

*Zjawiskowe! Krwiste postaci  
i fantastyczna akcja  
robią niesamowite wrażenie.*  
CHARLAINE HARRIS

STACIA  
KANE

NIEŚWIĘTA  
MAGIA

  
AMBER



**KANE STACIA**

**Dolna dzielnica #2 Nieswieta**

**magia**

# STACIA KANE

## ROZDZIAŁ 1

Pod ziemią duchy były silniejsze. Żadna czarownica nie schodziła tam dobrowolnie bez kościelnego dekretu, chyba że pragnęła śmierci. Chess miała wprawdzie poparcie Kościoła, ale to wcale nie sprawiło, że miała większą ochotę przejść przez drzwi, widoczne za plecami chudego mężczyzny z kubkiem w ręku. Były tam drzwi i schody. W dół do piwnicy, pod ziemię.

Przeszył ją dreszcz. I to wcale nie na widok kwadratowej, pomarszczonej twarzy mężczyzny ani z powodu tajemniczej energii, którą wyczuwała w tej brudnej norze. Po prostu coś jej mówiło, że to się nie skończy dobrze.

Rzadko kiedy jej sprawy kończyły się dobrze.

Mogła zapuszkować drani już za to, że mieli podziemia. Kościół ogłosił, że są nielegalne, a Kościoła należało słuchać, Ale potrzebowała czegoś więcej – miesięczne dochodzenie wymagało bardziej zadowalających rezultatów. Przykleiła więc do ust coś, co miało przypominać uśmiech, i wręczyła chudzielcowi zdjęcie, uważając, by nie dotknąć jego brudnych palców.

Zdjęcie przedstawiało Gary'ego Andersona, znajomego Demaskatora, ale chudzielec nie mógł tego wiedzieć. Przynajmniej taką miała nadzieję.

–To mój brat – powiedziała. Byłaby bardziej przekonująca, gdyby udało jej się uronić choć jedną łzę, ale nie pozwalały na to cepty, które wzięła wcześniej. Na haju trudno było cokolwiek czuć, a co dopiero coś tak intensywnego, żeby mogła się rozplakać. Do diabła, to właśnie był jeden z powodów, dla których brała to świństwo. No nie?

Chudzielec z trudem skupił zaropiałe oczy na fotografii i pokiwał głową.

–Taa... jakbym widział sobowtóra – wymamrotał, drapiąc się po kościstej piersi przez dziurę w podartym zielonym swetrze. Niemal ją uderzył, kiedy nagle podsunął jej kubek pod nos. – Masz, pij!

–Dzięki, ale...

–Nie, nie, maleńka. Łyknij sobie, albo nie idziesz na dół. Jasne? Wszyscy muszą. – Jego popękane usta rozciągnęły się w ponurym uśmiechu, który przypominał tłustą glistę pełzającą po twarzy. Zobaczyła połamane szare zęby. – Inaczej magia nie działa.

**Cholera. Kto wie, co jest w tym pieprzonym kubku? Nawet jeśli to nieszkodliwa „herbatka” – w co wątpiła – naczynie wyglądało tak, jakby nie widziało wody co najmniej od Nawiedzonego Tygodnia. Niemal widziała rojące się na brzegu zarazki.**

**Premia za to zlecenie wyniesie parę tysięcy, przypomniała sobie, biorąc kubek z suchej, kościstej dłoni.**

**Chudzielec nie spuszczał z niej oczu. Wlała zawartość kubka do gardła, wytrzymując jego spojrzenie.**

**Przez ułamek sekundy całe pomieszczenie przechyliło się na bok jak kolejka w wesołym miasteczku. Mikstura smakowała jak gorzkie zioła, klej, morska woda i ścieki zmieszane ze sobą. Była najbardziej obrzydliwą rzeczą, jaką Chess kiedykolwiek miała w ustach, a to już coś znaczyło.**

**Siłą woli przełknęła to świństwo i została nagrodzona kolejnym krzywym uśmiechem. Coś się za nim kryło... Nie, nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Mężczyzna pociągnął ją za rękaw i popchnął w stronę ciemnych schodów. Usłyszała odgłos swoich stóp uderzających o stopnie, gdy ruszyła w dół do wilgotnej jaskini.**

**Pozostali już tam byli. Siedzieli w kole pod płonącymi pochodniami, wokół odrapanego drewnianego stołu. Z jednego końca blatu zwiisał niebieski jedwabny szal poplamiony krwią lub winem. A może zawartością żołądka, który przegrał walkę z herbatką.**

**Nie mogła teraz o tym rozmyślać, nawet gdyby ją to obchodziło. Szybko podeszła do stołu, do drewnianego krzesła z prostym oparciem, które ktoś dla niej wysunął.**

**Ten ktoś wyglądał jak parodia człowieka. Niska istota nieokreślonej płci, ubrana w ściśnięty pasek na śmieci. Na twarzy miała biały makijaż. Świdrujące, pozbawione źrenic oczy otoczone były ciężkimi, czarnymi obwódkami. Głos istoty przypominał suchy szept i brzmiał jak nóż przecinający gruby karton.**

**–Usiądź, maleńka – wychrypiał. – Czarownica zaraz przyjdzie.**

**„Czarownicą” była madame Lupita, wcześniej znana jako Irene Lowe... Jak tylko zdobędzie dowody, madame będzie czekało bliskie spotkanie ze stryczkiem. Wystarczą zeznania Chess i to, co zarejestruje ukryty w staniku minidyktafon. Kościół nie tolerował nielegalnego wywoływania duchów ani żadnej podobnej działalności. Nawet jeśli były to tylko sztuczki, żeby wyciągnąć pieniądze od naiwniaków, o co podejrzewano Lupitę.**

**Podejrzewano? Do diabła! To, co miało się tu wydarzyć, było zupełnie oczywiste. Zwłaszcza gdy naprzeciwko Chess otworzyły się czarne drzwi i do środka wparowała korpulentna kobieta.**

Jej twarz była biała, a oczy otoczone czarnymi kreskami – krzykliwa parodia makijażu Starszych Kościoła. Ale na tym podobieństwo się kończyło. Madame Lupita miała na sobie błyszczący srebrny kaftan, z namalowanymi znakami runicznymi i magicznymi symbolami. Do kaftana przyczepiła mnóstwo żelaznych breloczków, zbyt małych, by mogły stanowić prawdziwą ochronę. Chess przypuszczała, że miały po prostu robić odpowiednie wrażenie, podobnie jak ciężki naszyjnik z bursztynów oprawionych w żelazo, który dostrzegła na krótkiej, grubej szyi kobiety, czy dopasowany srebrny turban na jej głowie.

Jakiegokolwiek było ich zadanie, wygląd Lupity najwyraźniej spełniał oczekiwania zgromadzonych wokół stołu osób. Chess bardziej poczuła, niż usłyszała ich zadowolone westchnienia. Najwyraźniej wszyscy byli przekonani, że przychodząc tutaj, postąpili słusznie. Dla tych, których nie było stać na kościelnego łącznika, żeby się skontaktować z duchami bliskich, takie amatorskie seanse stanowiły odpowiedź na modlitwy, których nie wolno im było wznosić.

Szkoda tylko, że były nielegalne. Właśnie dlatego tu przyszła. A przy okazji, pomagając Czarnemu Oddziałowi, miała okazję trochę dorobić.

Szkoda, że wszystko było sfirowane. Gdyby Lupita i jej podobni rzeczywiście byli na tyle potężni, by wywoływać duchy, Kościół już dawno by ich odnalazł – w ramach testów, które każde dziecko na świecie przechodziło w wieku czternastu lat – wyszkolił i zatrudnił. Wielu z nich miało co prawda jakąś szczątkową moc. Tyle, żeby przeszyć powietrze lekkim drżeniem i nabrać klientów. Większość ludzi nie miała pojęcia, jak wygląda prawdziwa energia i prawdziwa magia.

Ale Chess wiedziała. Znała to uczucie. Kochała je niemal tak samo, jak chłodny spokój, który dawały pigułki, mgliste poczucie szczęścia po dreamie czy błyszczące, musujące doznania po okazjonalnej kresce speedu. Wszystko to znała i kochała, bo wszystko, co pozwalało się oderwać od rzeczywistości, stanowiło błogosławieństwo w świecie, w którym wszelkie błogosławieństwa były zabronione.

Oczywiście prochy też były nielegalne. Ale to jej nie powstrzymywało przed braniem. A jej dilerów – Bumpa i Lexa – przed sprzedażą. To tylko znaczyło, że musieli być bardziej ostrożni.

A co do ostrożności... Madame Lupita usadowiła się przy stole i klasnęła w dłonie. Za plecami Chess coś zabrzęczało. Nie odwróciła się, ale wyraźnie słyszała delikatne uderzenia skrzydeł. Psychopompa. Madame Lupita na pewno wiedziała, jak zorganizować dobry show.

–Weźcie się za ręce – rozkazała głębokim, czystym głosem. – Żadnych sztuczek. Albo będziecie mieli złączone dłonie, albo się nie pojawią.

Po lewej siedział bardzo chudy, młody mężczyzna. Palce miał spocone, a twarz moką od łez. Przyglądał się zdjęciu, które leżało przed nim na stole. Chess nie mogła dostrzec postaci. Po prawej miała kobietę w średnim wieku, ubraną w tanią jedwabną sukienkę. Jej dłoń drżała w ręku Chess.

Lupita wyciągnęła rękę i chwyciła zdjęcie leżące przed kobietą.

–Jak ma na imię?

–A... Annabeth. Annabeth Whitman.

Lupita pochyliła głowę. Pozostali zrobili to samo, łącznie z Chess, która skorzystała z okazji, by rozejrzeć się po pokoju spod przymkniętych powiek.

Psychopompa usadowiła się na grzędzie za lewym ramieniem Upity – wrona, jej czarne pióra lśniły w blasku ognia. Po prawej Chess dostrzegła na ścianie kilka rzędów czaszek. Miała wrażenie, że się do niej uśmiechają. W większości należały do małych zwierząt, kotów i szczurów, rzadko psów. Po lewej zauważyła ściennie malowidło, przedstawiające wznoszące się do nieba widma o makabrycznych długich rękach i pająkowatych palcach.

Na czole Chess pojawiły się kropelki potu. Spłynęły po jej policzku. Czy parę minut temu też było tu tak gorąco? Nikt inny się nie pocił, więc dlaczego ona była cała mokra?

Oczywiście nikt inny nie włożył golfu z długimi rękawami, i to mimo panującego na zewnątrz chłodu. Chess nie miała wyjścia. Każdy centymetr jej ciała na rękach i piersiach zdobiły tatuaże – znak, że jest pracownikiem Kościoła. W magicznych symbolach skupiona była moc, ostrzegały ją i chroniły. Teraz zaczęły łaskotać, ale nie wiedziała, czy z powodu gorąca, jej własnych nerwów czy drgania aury. Nic wielkiego. Miała rację. Lupita nie posiadała mocy, by przywołać ducha.

I dobrze, bo nie zadała sobie trudu, żeby jakoś ochronić swoich „gości”. Nie użyła żadnego z symboli ochronnych, nawet nie usypała na podłodze okręgu z soli. A tego pracownicy Kościoła uczyli się na pierwszym roku szkolenia.

Chess zastanawiała się, co zobaczą. Pewnie hologramy. Technologia poszła tak daleko do przodu, że odróżnienie prawdziwych duchów od sfingowanych graniczyło z cudem, przynajmniej jeżeli nie miało się wrodzonych umiejętności. A jeżeli Lupita regularnie ściągала tyle kasy, pewnie było ją stać na urządzenia z najwyższej półki.

Mogła też sięgnąć po jakąś staroświecką sztuczkę, której szarlatani używali jeszcze przed Nawiedzonym Tygodniem. Przyćmione światła, dziwna i ohydna herbata o lekko halucynogennym działaniu, siła sugestii. Lustra, błyszczące tkaniny i desperacka wiara klientów też robiły swoje.

**Przynajmniej nic im nie groziło. Prawdziwy duch... był koszmarem. Prawdziwy duch, który znalazł się poza kontrolą Kościoła, nie miał w zwyczaju ucinać sobie miłej pogawędki z mamusią czy ukochanym przyjacielem. Prawdziwy duch myślał tylko o jednym: żeby zabić. Ukraść energię wszystkim, do których się zbliżył i wykorzystać ich siły życiowe, by się wzmocnić, jak pasożyt żywiący się krwią ofiar.**

**Nikt z tu obecnych nie miał najmniejszego pojęcia, co to znaczy stanąć twarzą w twarz z prawdziwym duchem. I na szczęście nigdy się tego nie dowiedzą. Jak tylko Lupita zacznie swój mały spektakl, będą ją mogli przymknąć. A jedyną straszną rzeczą, jaką zobaczą, będzie to okropne ściennie malowidło.**

**Pomarańczowe światło odbiło się od srebra. Chess wraz z innymi spojrzała na gospodynię i serce zaczęło jej mocniej bić. Lupita trzymała nad odkrytym ramieniem nóż. Magia krwi. Niedobrze. Magia krwi i żadnego koła ani ochronnych zaklęć. Lupita może i nie miała mocy, ale to było...**

**Nóż opadł. Krew Lupity zalała jej tatuaże, podobne do tatuaży Chess, ale nielegalne – kolejne przestępstwo na coraz dłuższej liście, jakby potrzebowała jeszcze czegoś, by się pogrążyć. Czerwony strumyk wsiąknął w jedwabny szal.**

**–Kadira tam, Annabeth Whitman – zaintonowała Madame Lupita. – Kadira tam.**

**Kropelka potu spadła na stół tuż przed Chess. Nie mogła złapać tchu. Cholera, naprawdę czuła się fatalnie. Osłabła. Wydawało jej się, że jest na widoku, jakby wszystkie mentalne bariery przestały działać, a moc próbowała z niej ulecieć.**

**Ulecieć... Lupita zaatakowała ją własną słabą mocą. Przyssała się do nich wszystkich. Chess poczuła się jak bateria, która za chwilę się wyczerpie. W tym samym momencie, gdy temperatura w pomieszczeniu spadła o jakieś dwadzieścia stopni, zrozumiała, że coś jest nie tak.**

**Lupita nie miała dość mocy, by wywołać ducha. Ale Chess owszem, a oszustka czerpała z jej energii. W jakiś sposób kobiecie udało się dostać do jej wnętrza, przejść przez nią, wysssać jej moc i skupić ją na swoim zaklęciu... cholera jasna!**

**Chess walczyła, przekierowując jak najwięcej energii na bariery ochronne, ale czuła się jak dziecko, bawiące się w przeciąganie liny z olbrzymem. Nie była w stanie myśleć, uleciała z niej cała energia i nie mogła... nie mogła jej utrzymać... Żołądek podszedł jej do gardła, a powieki zaczęły trzepotać.**

**Wrona zatrzepotała skrzydłami, zatańczyła na grzędzie i odfrunęła. Okrążyła pokój, lecąc coraz szybciej i szybciej. Chess poczuła na skórze dreszcz, a jej tatuaże krzyczały ostrzeżenia, których nie potrafiła wypowiedzieć...**

**Głęboki monotonny śpiew Lupity zaczął przypominać skrzek. Jak przez mgłę Chess**



dostrzegła, że kobieta podnosi się z krzesła, a jej obwiedzione czernią oczy robią się okrągłe z przerażenia. Wpatrywała się w jasną mgłę, która pojawiła się w rogu.

**Annabeth Whitman.**

Chess zazgrzytała zębami tak mocno, że o mało nie popękały. Wyrwała rękę z uścisku matki Annabeth. Minidyktafon zaopatrzony był w przycisk alarmowy, na wypadek gdyby jej towarzysze z Kościoła musieli pospieszyć jej z pomocą. Musiała się stąd wydostać, musiała ich wezwać. Cokolwiek się z nią działo, było zbyt silne, zbyt okropne. Nie pokona ducha. A jeżeli ktoś zaraz zrobi, Annabeth ich wszystkich pozabija.

Chess odnalazła przycisk. Nie przestała go naciskać, gdy blada kolumna cały czas rosła, i po chwili pojawiła się głowa. Długie białe kosmyki utworzyły ramiona, a postać zaczęła nabierać kształtów, z każdym uderzeniem ogarniętego paniką serca. Czarownica już dawno przestała liczyć, ile duchów widziała, ale za każdym razem towarzyszył jej ten sam strach. Nigdy nie słabł. Duch taki jak ten, uwolniony z podziemnego więzienia, pozbawiony zabezpieczeń i protokołów Kościoła, to jak naładowana broń albo miecz w ręku szaleńca.

A Chess i wszyscy, którzy znajdowali się w tym płonącym piekle, jako pierwsi mieli odczuć jego gniew.

Nikt z zebranych nie rozumiał, co się dzieje. Pani Whitman wstała z rękoma wyciągniętymi w błagalnym geście.

–Annabeth, moje dziecko... tęskniliśmy za tobą, chcieliśmy...

Postać Annabeth zdążyła przybrać ostateczny kształt – na wpół przezroczysty, ale idealny. Musiała być piękną dziewczyną. Długie jasne włosy spływały jej na ramiona, a pod suknią można było dostrzec niewyraźny zarys drobnego, ale ponętnie zaokrąglonego ciała.

Jej oczy zrobiły się okrągłe. Chess w nadziei wstrzymała oddech. Duchy nie zawsze były złośliwe. Nie zawsze... tylko w jakichś dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach. Istniała szansa, że Annabeth...

Niestety. Jej niewinne oczy zwęziły się, a idealne wargi wykrzywiły w grymasie. Chess ledwo zdążyła otworzyć usta, gdy Annabeth rzuciła się po leżący na stole zakrwawiony nóż.

Chess miała w torbie ziemię cmentarną i zioła. Ale nie mogła odprawić całego rytuału. I na pewno nie miała na to dość sił, nawet gdyby pod ręką miała cały odpowiedni sprzęt. Mogła jednak zatrzymać Annabeth. Powstrzymać ją, żeby nie zrobiła nikomu krzywdy.

Pociągnęła za suwak i otworzyła torbę. Nie spuszczać oczu z Annabeth, wsunęła rękę do torby i omijając pudełko na pigułki, kompas, chusteczki, pieniądze, mokre chusteczki i cały ten bajzel, odnalazła na dnie swoje zapasy.

Madame Lupita krzyknęła i próbowała uciec, ale waga i zamięłowanie do dramatyzmu ją powstrzymały. Potknęła się o fałdy swojej idiotycznej sukni – tak przynajmniej przypuszczała Chess – i z hukiem runęła na ziemię.

Pot zalał oczy czarownicy. Czowała, że żołądek podchodzi jej do gardła. Cholera, będzie wymiotować. Czowała się tak, jakby ktoś wbił jej w brzuch nóż i powoli go przekręcał. To nie było normalne. Nie powinna tak cierpieć z powodu magii, szczególnie własnej. Była... Co oni dosypali do tej cholernej herbaty?

Asystent, niski człowieczek w rogu, zaczął rechotać.

–Co, kiepsko z tobą, kościelna wiedźmo? Niedobrze ci?

O nie! Wiedzieli, kim jest... czym jest. Wiedzieli od chwili, gdy przekroczyła próg.

Annabeth ruszyła do matki. Chess rzuciła w jej stronę garść cmentarnej ziemi, próbując włożyć w to choć odrobinę mocy i wydobyć ze ściśniętego gardła jakieś słowa.

–Annabeth Whitman, nakazuję ci się zatrzymać. Mocą ziemi, która cię wiąże, nakazuję ci się zatrzymać.

Annabeth zawahała się, ale cały czas szła naprzód. Za mało mocy. Cholera!

Nagle rozległ się huk, a na schodach słychać było tupot nóg. Posiłki. Dzięki za technologię, która ich tu sprowadziła.

Chess odwróciła się od Annabeth. Inni się nią zajmą. Ruszyła w stronę dziwacznej postaci w worku na śmieci. Próbowwała się skoncentrować. Poczwała w dłoni chłodną, solidną rękojeść noża.

Z bliska Chess zdała sobie sprawę, że pod makijażem ukrywa się kobieta. Przystawiła jej nóż do gardła.

–Co było w herbacie?

Kobieta zachichotała. Chess poczuła drażniący, srebrzysty zapach potu po speedzie. Tylko tego jej brakowało. Walniętej narkomanki, która trzyma jej życie w swoich brudnych łapach.

–Co było w tej cholernej herbacie? Nie chcesz przecież umrzeć...

**–Nie zabijesz mnie, kościelna wiedźmo. Nie jesteś z tych, co zabijają.**

**Chess mocniej przycisnęła nóż, wbijając ostrze w szyję kobiety, i się skupiła. Kiedyś już zabiła. Nie chciała tego robić i wcale jej się to nie podobało, ale to zrobiła. Co więcej, знаła ludzi, którzy mordowali, nie mrugnawszy nawet okiem. Takich, którzy robili o wiele gorsze rzeczy. Do diabła, nie musiała długo szukać w pamięci, żeby znaleźć w niej ludzi, którzy mieli na sumieniu prawdziwe okropieństwa. Którzy sprawiali, że w jej sercu gotowała się nienawiść. Pomyślała o nich, pozwalając, by wspomnienia ogarnęły jej umysł i skryształizowały się w jej głowie, nabierając solidnego i mocnego kształtu.**

**Wokół panował chaos. Pracownicy Kościoła krzyczeli, a w powietrzu unosił się gęsty, suchy zapach ziół banicyjnych. Chess ignorowała to wszystko, wpatrując się w kobietę, którą trzymała na ostrzu noża. Nie spuszczała jej z oczu, głęboko w środku wierząc, że potrafi wbić w nią nóż, i pozwoliła, by kobieta również to dostrzegła.**

**Zadziało.**

**–Tasro, – Tamta spuściła wzrok. – To było tasro.**

**Trucizna. Tasro było trucizną. Chess czuła, że kręci jej się w głowie.**

**–Chessie? Wszystko porządku.**

**Dana Wright, również Demaskator. W jej oczach pojawiła się troska, w rękach trzymała garść ziół.**

**–Wsypali mi do napoju tasro. Wiedzieli, kim jestem, i to jeszcze zanim zeszłam po schodach. Apteczka jest w furgonetce?**

**–Pójdę z tobą. – Dana wyciągnęła do niej rękę, ale Chess się odsunęła. Nie chciała, by ktokolwiek ją dotykał. Chybaby tego nie zniosła.**

**–Nie, zajmij się tym, okej? Ja muszę... ja...**

**Nie dokończyła. Czuła się, jakby połknęła żyletkę. Nie miała zbyt dużo czasu. Nie wspominając już o małym ukłuciu niepewności. Antidotum nie powinno wejść w reakcję z pigułkami, ale... Lepiej być wtedy samemu. Na wszelki wypadek.**

**–Nie powinnaś sama...**

**–Nic mi nie będzie.**

**Dana chciała coś dodać, ale Chess nie czekała dłużej. Wbiegła po schodach i**

wypadła przez drzwi, pozwalając, by lodowaty wiatr osuszył jej czoło z potu.

Sprawa Mortona sprzed trzech miesięcy na zawsze zmieniła jej pozycję w Kościele. Nie tylko samą pracę – poza demaskatorstwem, zaczęła okazjonalnie współpracować z innymi wydziałami i w ten właśnie sposób znalazła się na dzisiejszym mrocznym przyjęciu – ale również jej pozycję w oczach tych, którzy z nią pracowali. Połowa ludzi patrzyła na nią tak, jakby była wielkim Zdrajcą, a druga połowa traktowała ją jak jakiegoś pieprzonego geniusza po tym, jak wygnała Ereshdirana, Złodzieja Snów, który zabił Randy'ego Duncana, innego Demaskatora. To, że Randy sam wezwał tę istotę, nie miało dla nich większego znaczenia.

Chess miała to gdzieś. Jedyne, co ją martwiło, to fakt, że anonimowość, którą tak bardzo ceniła, zniknęła. Teraz dokądkolwiek poszła, czuła na sobie ciekawskie spojrzenia. A to było do bani. Kto wie, czego mogą się dopatrzeć, jeżeli choć trochę się skupią? Pracownicy Kościoła nie powinni brać prochów.

Kluczem uniwersalnym otworzyła tylne drzwi furgonetki i pchnęła je z większą siłą, niż było to konieczne. Gdzieś z tyłu leżała apteczka, w której – oprócz podstawowych środków, takich jak bandaż i maści z antybiotykiem – przechowywano również odtrutki.

Wdrapała się do środka, zostawiając uchylone drzwi, żeby chłodził ją zimny wiatr. To nie powietrze w tamtej norze sprawiło, że było jej tak gorąco, ani nawet trucizna. Zanim weszła do budynku, wzięła jeszcze jednego cepta. Nie wiedziała, ile potrwa cały rytuał i związana z nim papierkowa robota, a nie chciała dać się zaskoczyć, gdyby wszystko się przeciągnęło. Gdyby teraz spokojnie usiadła, poczułaby jeszcze działanie prochów. Ale nie było na to czasu, chyba że chciała, by był to jej ostatni odlot.

Apteczka leżała pod ławką. Chess wydostała ją na zewnątrz i otworzyła wieczko. Cholera. Wszystko, tylko nie strzykawki. Mogła sobie pomarzyć...

Do tego igła była zimna. Świetnie.

Gdzieś z tyłu usłyszała głosy. Nie miała pojęcia, jak daleko byli pozostali, ale wolała uporać się z tym, zanim wróci. Nikt by się nie przyczepił, szczególnie po tym, jak Dana wyjaśni im, co się stało. Ale i tak wolała, żeby nie nakryto jej z tyłu furgonetki z igłą wbitą w żyłę. To było zbyt bliskie prawdy. Bo przed sobą musiała przyznać, że jeszcze krok i ta cholerna igła stanie się kluczowym elementem jej życia. Jak dotąd tylko strach i siła woli ją przed tym powstrzymywały.

Gumowa rurka był sztywna i nie chciała się zawiązać. Chess doskonale to rozumiała. Sama nie miała ochoty tego robić. Poczula w środku strach, który osiadł w jej żołądku, jak kawał na wpół zgniłego mięsa z Dolnej Dzielnicy. Zacisnęła pięść,

**żeby wyskoczyła żyła i uderzyła się w zagięcie łokcia. Przysięgała sobie, że nigdy czegoś takiego nie zrobi. Fakt, że ratowała życie i robiła to za zgodą Kościoła i w sposób, w jaki została nauczona, nie miał dla niej znaczenia. Zachowywała się jak zwykła narkomanka. Zawsze wiedziała, że ten moment kiedyś nadejdzie, przeczuwała go za każdym razem, gdy otwierała pudełko z pigułkami.**

**Pokręciła głową. To śmieszne. Wszystko miała pod kontrolą i to bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Nikt jej nie ścigał za długi, mogła sobie kupić mnóstwo pigułek... Dawała radę. Była szczęśliwym przeciętniakiem.**

**Jeden szybki strzał, to wszystko. Może to zrobić, to łatwe. Prawie tego nie poczuje, prawda?**

**Nieprawda. Lodowata igła wbiła się w jej żyłę. A gdy nacisnęła strzykawkę, poczuła, jak jej ramię przeszywa lodowaty chłód, jakby pękł lód. Poczowała łzy w oczach. Ściągając rurkę, odwróciła wzrok, żeby nie widzieć strzykawki poruszającej się w rytm pulsu, gdy szukała w apteczce kawałka waty.**

**Po kilku sekundach antidotum się rozgrzało. Znalazła watę, wyciągnęła igłę i przycisnęła wacik do ręki. Już po wszystkim. Zrobiła to i nie było tak źle.**

**I to było w tym wszystkim najgorsze.**

## ROZDZIAŁ 2

Kiedy parę godzin później Chess wchodziła do baru Trickstera, wciąż jeszcze słyszała wrzaski Madame Lupity, gdy wciągano ją do kościelnej furgonetki. Jak na Dolną Dzielnicę było dość wcześnie, tuż przed pierwszą. Grała kapela Rolling Ghosts i Chess chciała posłuchać chociaż końcówki. Przynajmniej ucieknie od wspomnień.

No i było ciepło, a nawet duszno, jak to w barze. Kiedy wyszła z piwnicy, była mokra od potu, ale zanim skończyła raport dla Kościoła i wróciła do domu w Dolnej Dzielnicy, już jej przeszło. Poza tym przeciąg wiejący od witrażowego okna, które stanowiło jedną ze ścian jej mieszkania, i leniwy grzejnik na wodę, który sprawiał, że zimą przysznic zawsze stanowił pewne ryzyko, dopełniły reszty.

Dzięki sprawie ze Złodziejem Snów większość prochów dostawała za darmo – nie od swojego regularnego dilerka Bumpa, ale od Lexa, który pracował dla głównego rywala Bumpa, Slobaga. Nie bardzo wiedziała, co Lex robił dla Slobaga. Nigdy go o to nie pytała, zresztą i tak wątpiła, by jej powiedział. Ich układ, taki jak był, sprawdzał się o wiele lepiej, gdy nie gadali zbyt dużo.

Ale – jeśli się nad tym zastanowić – prawda była taka że odkąd przestała płacić za większość prochów, stać ją było na przeprowadzkę.

I to właśnie powinna zrobić. Ale, chociaż teoretycznie miała więcej forsy, w rzeczywistości nie do końca tak było. Zamiast większej kasy miała więcej prochów. Coś jej mówiło, że to nie do końca zdrowe. Tyle że tak naprawdę miała to gdzieś. Wystarczająco mocno stąpała po ziemi, by wiedzieć, że to było bez znaczenia.

Lex był zabawny. Lubiała go, bo dawał jej to, czego potrzebowała. I to na wiele sposobów. Ale nie mogła mu zaufać. Zresztą, może wtedy wcale by go nie polubiła. I nie mogła w nieskończoność liczyć na darmowe prochy. Prędzej czy później będzie musiała znowu sama się zaopatrywać, a tanie mieszkanie było jedynym sposobem, by się jakoś utrzymać.

Poza tym Dolna Dzielnica to jej dom. No i tak naprawdę nie mogła sobie pozwolić na wielkie luksusy. Przynajmniej w jej budynku, przerobionym katolickim kościele, jednym z nielicznych, który przetrwał Nawiedzony Tydzień dwadzieścia cztery lata temu, panował spokój. Nawet stojące na rogu dziwki zazwyczaj zachowywały się cicho, czego nie można było powiedzieć o reszcie dzielnicy.

Bramkarz odsunął się i wpuścił ją do ciemnoczerwonego wnętrza baru. Rolling Ghosts nie zaczęli jeszcze grać. Z głośników dudniło The Clash, przez co zgromadzone w barze gadające głowy wyglądały jak duchy. Były ciche, ale jeszcze się nie poddawały.

Nie chciała myśleć o duchach. Uniosła palec w kierunku barmana i chwyciła piwo, które jej podał, wreszcie odzyskując czucie w palcach.

Terrible stał na swoim miejscu z tyłu. Ruszyła w jego stronę, obserwując czerwone światła odbijające się od jego błyszczących czarnych włosów. Widziała jego niesamowicie brzydki profil. Chociaż... Tak naprawdę dawno przestała to zauważać. Nawet teraz jedynie prześlizgnęła po nim wzrokiem. To był Terrible i już. Jej kumpel czy jakoś tak.

Ale wiedziała, że wszyscy inni to dostrzegali. Gęste, sterczące brwi, krzywy nos, który wyglądał tak, jakby kości próbowały przebić się przez skórę, blizny, szczękę przypominającą dziób okrętu. Widzieli gęste bokobrody, nieprzenikniony ciemny wzrok i robili krok do tyłu. Facet z taką twarzą miał wszystko gdzieś. A facet, który miał wszystko gdzieś, był groźny. Zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę wzrost Terrible'a i to, że zarabiał na życie jako osiłek Bumpa. Każdy kto spojrzał na Terrible'a oczekiwał, że jego ramiona muszą się gdzieś kończyć, a klatka piersiowa nie może być aż tak szeroka. Ale się mylił.

Przez chwilę Chess obserwowała, jak kumpel czaił się w ciemnościach, aż w końcu ją zauważył. Uniósł na powitanie brodę, ale nie ruszył się z miejsca. Coś go musiało martwić, ale nie miała jak o to zapytać. Już raz próbowali odbyć poważną rozmowę w zatłoczonym barze – nie poszło im za dobrze. Chess wołała o tym nie myśleć.

–Cześć – rzucił. Nie słyszała głosu Terrible'a, który na tle Garageland brzmiał jak mruknięcie, ale obserwowała ruch jego warg. – Myślałem, że się już nie zjawisz. Zrobiło się późno. Wszystko gra?

–Jasne. Robota mi się przeciągnęła.

–Coś blado wyglądasz.

Wzruszyła ramionami i pociągnęła łyk piwa. Nie było sensu o tym gadać, nie tutaj, kiedy ledwo się słyszeli.

–Kiedy wychodzą?

–Za parę minut, już niedługo. Oni... Zaczekaj chwilę. – Wyciągnął z kieszeni mały czarny telefon i otworzył klapkę. Jaskrawy blask ekranu rozświetlił panujący wokół mrok, ukazując jego zmarszczone brwi. – Ożeż...

–Co...

Rzucił jej szybkie spojrzenie i skinął głową, by poszła za nim. Próbowwała trzymać się jak najbliżej niego, gdy przedzierali się przez tłum z powrotem do wyjścia. Niemal rozcięła sobie policzek o ćwieki jakiegoś faceta. Wyszli na zewnątrz.

Na dworze stały znudzone grupki ludzi, które walczyły z zimnem w oczekiwaniu na darmowy koncert, gdy kapela zaczęła już grać. Wszyscy usuwali się z drogi, gdy Terrible ruszył do ściany budynku. Chess szła za nim. Przez chwilę zimne powietrze chłodziło jej rozgrzaną skórę, ale po chwili zrobiło jej się chłodno i zaczęła się trząść. Powinna była wziąć kurtkę, ale kurtki były takie upierdliwe w klubach.

–Mam problem. – Wybrał numer i podniósł telefon do ucha, nawet na nią nie spoglądając. – Znasz Czerwoną Bertę?

–Wiem, kim jest. – Czerwona Berta opiekowała się większością dziewczyn Bumpa, a to oznaczało, że zajmowała się wszystkimi prostytutkami w Dolnej Dzielnicy na zachód od Czterdziestej Trzeciej ulicy.

–Taa... cóż... Cześć, tak. – Najwyraźniej osoba, do której dzwonił, odebrała telefon.  
– Taa... ona... kiedy ją znaleźli? Kurwa! Taa... poczekaj. Zaraz tam będę.

Nie zdążył zamknąć klapki od telefonu, a już wiedziała, że chciał, żeby z nim pojechała. Tyle że nie miała pojęcia dlaczego.

–Co się dzieje?

Przez chwilę stał w miejscu ze zmrużonymi oczami, nie zwracając na nią uwagi. Wsunął telefon do kieszeni i intensywnie nad czymś myślał.

–Chcesz się wybrać na przejażdżkę?

–Co się dzieje?

–Mamy trupa. – Włożył ręce do kieszeni, przez co jego ramiona wydawały się jeszcze szersze. – Jedna z dziewczyn Bumpa. Trzeci trup, którego znaleźli.

–Ktoś zabija dziwki?

Wzruszył ramionami.

–To chyba jakiś duch. Inaczej bym cię nie prosił.

–Co, tak po prostu na ulicy?

–Nie jest ci zimno? Może wejdiesz do środka, Chess? W samochodzie jest cieplej, no nie? Rozejrzysz się trochę i już. – Skinął głową w stronę zgromadzonego tłumu. Racja. Lepiej nie dyskutować o tym publicznie. Przytaknęła i ruszyła za nim na drugą stronę ulicy. Z baru cały czas dochodziły dźwięki muzyki.

BT chevelle Terrible'a, rocznik sześćdziesiąty dziewięć, stał na chodniku dwa wejścia dalej. Latarnia wyglądała tak, jakby została ustawiona celowo, by go



wyeksponować. W jej pomarańczowym blasku lśniła świeża czarna farba. Chess bała się dotknąć samochodu, tak samo jak bałaby się podejść do drapieżnika. Auto wyglądało, jakby w każdej chwili było gotowe skoczyć do góry na swoich grubych czarnych oponach i zacząć połykać drogę.

Siedzenie na skórzanych fotelach przypominało przytulanie się plecami do bryły lodu, ale Chess o tym nie wspominała. Terrible nie był w nastroju do żartów. Czekwała po prostu, aż zacznie mówić. Wiedziała, że w końcu się odezwie.

Zdążyli przejechać dziesięć przecznic, mijając opustoszałe ulice na zachód od rewiru czerwonych latarni w Dolnej Dzielnicy, zanim się odezwał.

–To pierwsza dziwka – powiedział. – Ale trzecie ciało, kumasz? Bump nie zawracał sobie tym wcześniej głowy, poza tym że się wkurzył. Najpierw był diler. Slick Michigan, znałaś go?

Pokręciła głową. Nagrzewnica zaczęła działać i gdyby nie nerwy, mogłaby się nawet zrelaksować. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, był duch – morderca. To znaczy kolejny duch – morderca, jeszcze nie doszła do siebie po Złodzieju Snów.

Terrible cały czas nawijał, a Chess sięgnęła po pudełko z pigułkami i połknęła kilka ceptów, popijając piwem, które wciąż trzymała w dłoni.

–Znaleźli go jakieś pięć tygodni temu przy dokach. Nikt o tym nie myślał. Wiesz, jakie są doki. A Slick też nie należał do spokojnych typów. Myśleliśmy, że wdał się w jakąś bójkę, no nie? Zadarł z jakimś chłopakiem i dostał kosę.

–Nożem?

–Taa...

–Ale w takim razie...

Zerknął na nią.

–Drugi trup pojawił się jakieś dwa tygodnie temu. Mały Tag. Był gońcem, no nie? Nie sprzedawał, nie handlował. Tylko nosił towar z miejsca na miejsce. Znaleźli go w alejce niedaleko Brewster.

–Nawet nie wiedziałam, że w okolicy Brewster są jakieś alejki. – Wyjrzała przez okno. Najpierw jechali na południe, do Mather. Ale teraz olbrzymi wóz wykonał ostry skręt w lewo. Terrible nie zwracał uwagi na światła. Dlaczego ta dziwka zapuściła się tak daleko, na sam koniec rewiru Bumpa?

–Taa... W takim miejscu nigdy nie dzieje się nic dobrego. Nikt nawet nie wie, ile tam

leżał. Jego ciało nie wyglądało... zbyt ładnie, jeśli wiesz, co mam na myśli. Prawie nic z niego nie zostało. – Pociągnął spory łyk piwa i postawił je z powrotem między nogami. Wyciągnął z kieszeni dwa papierosy i je zapalił.

Chess wzięła jednego i oparła się o fotel, wypuszczając z ust kłęby dymu, który dolatywał do dachu wozu.

–A teraz ta dziewczyna.

–Taa...

–Nadal nie powiedziałaś, dlaczego myślisz, że to duch.

–Wcale nie jestem tego pewien. Ani ja, ani Bump, Ale inni tak myślą.

–Więc chcesz, żebym tam poszła i powiedziała, że to nie duch?

–To by nam pomogło.

–A jeśli to jednak duch?

Zerknął na nią, parkując samochód w pobliżu spalonego budynku.

–A co myślisz? Że Bump zadzwoni do Kościoła i poprosi ich o pomoc? Czy raczej zwróci się z tym do ciebie?

Cholera.

\*\*\*

Zarzuciła na siebie kurtkę Terrible'a i omal w niej nie utonęła. Wzruszyła ramionami i oddała ją z powrotem. Woląca zmarznąć niż wyglądać jak mała dziewczynka. Najlepiej też nie pokazywać się w jego ciuchach. Ich przyjaźń i tak była już tematem plotek, chociaż to akurat mogło mieć coś wspólnego z faktem, że jakieś trzy miesiące wcześniej zupełnie straciła głowę i omal nie pozwoliła mu się zerznąć na oczach połowy dzielnicy. Odsunęła od siebie to wspomnienie i spróbowała skupić się na tym, co ją czekało.

Ogniska rozpalone w metalowych kubkach na śmieci dawały trochę ciepła i rzucały tajemnicze cienie na puste, połamane ściany wzdłuż ulicy. Czterdziesta Piąta była praktycznie ziemią niczyją, bezustannie atakowaną przez ludzi Slobaga, którzy próbowali powiększyć swój rewir. Tu i ówdzie w powybijanych oknach paliły się światła, więc najwyraźniej mieszkali tu jacyś ludzie, ale na ziemi walały się jedynie roztrzaskane butelki i brudne igły.

Chess zerknęła w lewo, na drugą stronę ulicy. Skrzyżowanie dalej zaczynał się teren

Slobaga, Jakieś dziesięć albo jedenaście przecznic na północ i kilka na wschód mieszkał Lex. Chess zadrżała i z trudem powstrzymała, by nie objąć się rękoma. Jeśli już miała znosić zimno tylko po to, żeby wyglądać na twardzielkę, musiała dobrze rozegrać sprawę.

Chłód i tak nieco ustąpił, gdy dwa ostatnie cepty zaczęły krążyć w jej organizmie. A propos Lexa. Będzie musiała spotkać się z nim jutro rano.

Wysoka kobieta z burzą jaskrawoczerwonych, lśniących w świetle włosów odeszła od rozwydrzonej grupy i ruszyła w ich stronę. Jej długie nogi okryte były wełnianymi czerwonymi rajstopami. Włożyła też grube podkolanówki w pomarańczowe pasy, które wystawały z czerwonych sandałów na wysokich obcasach. Nie miała na sobie spódnicy, jedynie gruby zielony sweter, a na ramiona zarzuciła lśniące czarne futro. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, Chess podejrzewałaby, że to futro szczura. Ale to była Czerwona Berta. To mogło być futro fok jeszcze sprzed Nawiedzonego Tygodnia albo cokolwiek innego. Wyglądała przerażająco, jak lalka ubrana przez dziecko o morderczych skłonnościach.

–Terrible. – Mimo jej szorstkiego tonu Chess wyczuła, że kobieta się boi. Drżała. – Długo kazałeś na siebie czekać.

Nie odpowiedział. Przecisnął się przez krąg ludzi i zerknął na czarownicę. Poszła za nim, ale stopniowo coraz bardziej zwalniała kroku. Chciała tylko wyskoczyć na drinka, nie miała w planach bliskiego spotkania z trupem. Prawdę mówiąc, nigdy nie miała ochoty na bliskie spotkanie z nieboszczykiem. Poza tym te wszystkie spojrzenia, które na sobie czuła, wcale nie ułatwiały jej zadania.

Niektórzy przyglądali się jej z ciekawością, inni z wrogością. Tych drugich potrafiła ignorować. Ale nadzieja wbijała nóż w jej brzuch. Kilka dziewcząt w krótkich spódniczkach odkrywających blade, różowobiałe nogi – co wskazywałoby na początek hipotermii – zbiło się w grupkę. Wpatrywały się w nią tak, jakby za chwilę miała wyciągnąć magiczną różdżkę i przywrócić ich koleżankę do życia. Niewiele osób rozumiało, że naprawdę nie miała takiej mocy. Zazwyczaj ułatwiało jej to życie. Ale nie dzisiaj.

Podobnie jak to, że co najmniej kilka z tych dziewcząt używało podrzędnej erotycznej magii. Nic niezwykłego w ich profesji, ale rzecz dość kłopotliwa dla Chess. Czuła na skórze wilgotną, natarczywą energię, która nie dawała jej spokoju i wbrew jej woli rozgrzewała krew. Uczucie ciepła było miłe, ale nie jego przyczyna. Ani wspomnienia, które się z nim wiązały. Nigdy nie używała erotycznych zaklęć.

Terrible pochwyił jej spojrzenie. Jego wzrok był zamglony – a może tak jej się wydawało, bo było ciemno – i dostrzegła w nim coś, co przypominało smutek. Niedobrze. Przygotowała się na najgorsze i stanęła przy jego boku.

Puste, zakrwawione oczodoły wpatrywały się w niebo. Przez dłuższą chwilę Chess nie widziała niczego poza tą mroczną otchłanią w miejscu, w którym powinno tętnić życie. Ktokolwiek zabił tę dziewczynę, nie tylko wydłubał jej oczy, ale rozciął wokół nich skórę, tak że spod poszarpanych brzegów przebijała kość. Chess zamknęła oczy i przestąpiła z nogi na nogę na popękany chodnik. Nie tylko dlatego, że widok był okropny. Wokół zamordowanej unosiła się ta sama natarczywa moc, choć silniejsza niż w przypadku pozostałych dziewczyn.

To nie miało sensu. prostytutka była martwa. Zaklęcia powinny umrzeć wraz z nią, a nie wbijać się w energię Chess, wijąc się, kręcąc i pulsując mrokiem. Nie rozumiała tego. Nie czuła ciepła, tylko zimno i wilgoć. Było jej duszno, jakby ktoś ją wepchnął do jaskini. Uklęła przy bladym, nieruchomym ramieniu dziewczyny, w nadziei że uda jej się opanować drżenie nóg.

Kiedy się patrzy na prostytutkę, zwykle trudno określić, w jakim jest wieku. Z tą było tak samo. Mogła mieć od piętnastu do pięćdziesięciu lat. Luźna, zniszczona skóra twarzy nic nie mówiła Chess.

Podobnie jak ciało zamordowanej. Pod warstewką zamarzającej krwi, tworzącej już popękaną skorupę, kryły się wiotkie kończyny. Ale w Dolnej Dzielnicy ludzie rzadko jadali częściej niż parę razy w tygodniu, Niemal wszyscy byli szczupli albo przerażająco chudzi.

Jedyna rzecz, która wyróżniała tę prostytutkę – poza oczywistym, przerażającym faktem, że była martwa – to gęsta seksualna energia. Moc opłótła Chess, wślizgując się po jej ramieniu, gdy czarownica dotknęła twardego jak lód ciała dziewczyny. Ta siła nie mogła należeć do niej. To musiało się stać po jej śmierci. Może sprawiła to jakaś część rytuału? Ktoś mógł się posłużyć erotyczną magią, by zabić. Kryjący się w energii mrok, gładki i tajemniczy, wskazywał, że czegokolwiek użyto, nie były to zwyczajne erotyczne zaklęcia.

–To pewnie Płaczący Człowiek – odpowiedział ktoś z tłumu. – Wydłubał jej oczy, żeby nawet w Mieście nie mogła go zobaczyć.

–I zostawił na niej swój ślad – wtrącił inny przestraszony głos, wyższy i młodszy. – Na niej i na tamtej ścianie.

Chess zerknęła w górę i podążyła wzrokiem za wyciągniętym palcem mówiącego. Na ścianie zobaczyła wydrapany symbol. Nie były to runy, jak się początkowo obawiała, tylko hieroglif, przypominający symbol gangu. Trójkąt ze strzałkami i krzyżami odwróconymi do góry nogami. Wyglądało to na dziwaczne bazgroły, ale i tak włosy zjeżyły jej się na karku.

Odnalezienie symbolu na ciele dziewczyny zajęło jej dłuższą chwilę. Spodziewała

się, że został wycięty na bladej skórce, ale nie. Symbol pokrywał lewą pierś zamordowanej, tuż pod głębokim dekoltem jaskrawo – różowego topu. Był wypalony. I to zanim umarła, bo wokół rany zaczęły się tworzyć bąble.

–Czy ktoś coś słyszał? – Musiała odchrząknąć, żeby wydobyć z siebie głos. Pstryknęła parę zdjęć znaku tak, żeby nie było widać całego ciała. Jakby mogła przefiltrować stracone człowieczeństwo dziewczyny, patrząc na nią przez obiektyw.

–Płaczący Człowiek nie dał jej nawet krzyknąć – stwierdził ktoś. – Nikt nic nie słyszał.

–Ktoś z nią był? – Czy to w ogóle miało znaczenie? Cholera jasna! I co ona miała teraz zrobić? Owszem, Demaskatorzy czasami prowadzili dochodzenia w sprawach związanych z czarami. Ale tylko wtedy, gdy były to śledztwa takie, jak to z Madame Lupitą albo kiedy chodziło o prawdziwe duchy. Nie była detektywem. Jak, do cholery, Terrible i Bump sobie to wyobrażali? Że zerknie na tę biedną martwą dziewczynę i od razu będzie wiedziała, czy stoi za tym duch?

Oczywiście... Cholera! Wiedziała już, że to nie jest sprawka ducha, a przynajmniej, że nie mógł działać sam. Duchy nie potrafiły czarować. Albo dziewczyna chciała wypróbować jakieś nowe, niewiarygodnie silne zaklęcie – co było raczej mało prawdopodobne, ponieważ moc, którą wyczuła Chess, nie należała do tych, które można było, ot, tak sobie, stworzyć – albo jej morderca to człowiek.

Czerwona Berta wypchnęła do przodu jedną ze stojących w kole dziwek. Dziewczyna zachwiała się na wysokich szpilkach. Wyprostowała się, ale Chess zdążyła zauważyć, że jest kompletnie nawalona.

–Musiałam po coś pójść – wymamrotała, chwiejąc się na nogach.

–Zostawiłaś Daisy na śmierć. – Czerwona Berta przeszła ją wzrokiem, który nawet kogoś trzeźwego przyprawiłby o drgawki. Miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i nie należała do osób, z którymi można zadzierać. Przed Nawiedzonym Tygodniem była tancerką rewiową. Przed Nawiedzonym Tygodniem i atakiem ducha szalejącego z brzytwą. Berta przeżyła, ale jej uroda...

Chess zerknęła na niewzruszoną twarz Terrible'a, a potem przeniosła wzrok na dziewczynę.

–Widziałaś cokolwiek? Jak już wróciłaś?

–Założę się, że zobaczyła mnóstwo rzeczy – szepnął ktoś z tyłu. – Kwiatki i szczeniaki fruujące po niebie, co?

–Ducha. – Dziewczyna objęła się rękoma. – Widziałam, jak zniknął, kiedy wróciłam.

**–Ducha?**

**–Tak.**

**–Jak wyglądał?**

**–Miał... kapelusz.**

**Strach obleciał ludzi stojących wokół, cofnęli się o krok.**

**–Widziała Płaczącego Człowieka. To on nosi kapelusz.**

**Zanim Chess zdążyła cokolwiek powiedzieć, odezwała się Berta:**

**–Terrible. – Skinęła głową na drugą stronę ulicy. Chess podążyła za jej wzrokiem. Miała złe przeczucia jak ktoś, kto czuje, że kiepski wieczór może być jeszcze gorszy.**

**Z drugiej strony ulicy obserwowali ich ludzie Slobaga.**

## ROZDZIAŁ 3

Nie było ich wielu. Pięciu, może sześciu mężczyzn, stojących w cieniu. Nawet nie drgnęli, gdy w ich stronę zwróciły się wszystkie twarze. Ten spokój był bardziej przerażający, niż gdyby zaczęli ostrzyć maczety lub bawić się pistoletami. Zupełnie jakby wiedzieli, że ich atak nie napotka żadnego oporu.

Nagle Terrible wstał, unosząc przy tym brzeg koszuli i pokazując wysadzaną diamentami rękojeść noża. Chess próbowała zachować spokój. Z drugiej strony jego biodra zauważyła stalową kolbę pistoletu, w której odbijał się wodnisty księżyc. Od kiedy zaczął nosić broń? Zazwyczaj tego nie robił, a przynajmniej się z tym nie afiszował.

Berta wyciągnęła coś, co przypominało maczetę. W jednej chwili atmosfera się zmieniła – smutek zamienił się w oszalałą furję. Podniecenie. Błysnęły ostrza scyzoryków, rozsunęły się zamki tanich, nylonowych torebek, ukazując ostre pilniczki do paznokci i fifki. Jedna z dziewczyn otworzyła co najmniej stuletnią brzytwę z rączką z kości słoniowej. Nikt nie rwał się do walki tak, jak grupa dziwek z Dolnej Dzielnicy zgromadzonych wokół ciała towarzyszki.

Ludzie Slobaga nie ruszyli się z miejsca. Cholera! Co miała zrobić? Ludzie Slobaga to kompani Lexa. A ten chyba nie byłby zachwycony, gdyby wdała się z nimi w bójkę, niezależnie od tego, jak bardzo lubił ją mieć w łóżku. Z drugiej strony, Terrible był jej przyjacielem. I te wszystkie dziwki... Cóż, one były jego przyjaciółkami albo przynajmniej kimś, kim się opiekował.

Nie wspominając już o martwym ciele dziewczyny, które zamarzało powoli na chodniku u jej stóp.

–Chess – odezwał się Terrible, niemal nie poruszając ustami. Trzymał głowę w taki sposób, jakby szukał w powietrzu zapachu zwierzyny. – Może wrócisz na tamtą uliczkę, co? Wyniesiesz się stąd.

–Mam przy sobie nóż.

–Nie. Zmykaj. To nie twoja walka.

Nie dojdzie do żadnej walki, jeżeli tylko ona będzie miała tu coś do powiedzenia. Uniosła rękę, by poklepać go po ramieniu, jakby chciała mu podziękować. Ale po chwili ją opuściła – to by go tylko rozproszyło.

Idąc ciemną alejką, wyciągnęła z torebki telefon. Cos zaszeleściło i poruszyło się w stertach śmieci ustawionych pod poobijanymi ścianami. Pewnie szczury. Może koty albo psy. Ostrożnie ruszyła naprzód, a gdy otwierała klapkę telefonu, usłyszała brzęk

**noża Terrible'a.**

**Jaskrawy ekran zakłuł ją w oczy. Stojąc w kręgu światła, poczuła się jak na celowniku. Wtedy zdała sobie sprawę z tego, co zrobiła. Zostawiła ich wszystkich i chwyciła za telefon. Na jakim znowu celowniku? Nie miała czasu.**

**Szybko odnalazła numer Lexa. W pamięci telefonu miała tylko trzy zapamiętane pozycje.**

**Kucając, uderzyła tyłkiem w coś twardego o ostrych kantach. Jakaś metalowa skrzynia. Odruchowo to zapamiętała. To było idealne miejsce, by ukryć sprzęt elektroniczny potrzebny, żeby sfingować nawiedzenie. Lex odebrał telefon, zanim zdążyła się nad tym zastanowić.**

**–Cześć, tulipanku, co dziś porabiasz?**

**–Odwołaj ich, Lex – wyszeptała, ale wiedziała, że już za późno. Ktoś krzyknął. Walka się rozpoczęła. Starli się na samym środku ulicy, dzięki czemu miała doskonały widok na to, co się dzieje. To już nie było tylko pięciu czy sześciu ludzi Slobaga. Drugie tyle wysypało się na ulicę nie wiadomo skąd. Ilu jeszcze czekało i po co? Pilnowali ulicy?**

**–Kogo mam odwołać? Nie wiem, o czym mówisz. Wszystko w porządku?**

**–Nie, do cholery! Nic nie jest w porządku. Twój ludzie, Lex. Ludzie Slobaga, oni tu są... – Przerwał jej czyjś wrzask. Okrzyk bojowy Czerwonej Berty. Głos, który niegdyś wyśpiewywał na całe gardło rewiowe kawałki, teraz siał strach w okolicy. Maczeta przecięła powietrze i wbiła się w rękę jednego z ludzi Slobaga. Facet krzyknął i zatoczył się na bok.**

**Terrible nie tracił czasu. Chwycił tamtego za włosy i z całej siły walnął go pięścią w twarz. Facet upadł. Terrible odwrócił się do następnego.**

**Wszędzie wokół szalały dziwki. Atakowały mężczyzn małymi brzytwami i władały firkami jak profesjonalistki. Ostre obcasy wbijały się w miękkie skórzane buty. Dzielnie broniły swego, ale tamci mieli przewagę. Chess widziała, jak jedna z dziewcząt poleciała do góry. Po chwili jej krzyk się urwał, gdy uderzyła twarzą o ziemię.**

**–Co to, kurwa, za hałasy? Gdzie ty jesteś?**

**–Na Czterdziestej Piątej, do cholery! Czterdziestej Piątej i Berrie. Jest tu gromada twoich ludzi i zaczęli...**

**–Co tam robisz? To daleko od twojej chaty.**



**–Możemy o tym pogadać później? Odwołaj ich, teraz.**

**Metal szczęknął o chodnik. Długi cienki nóż, o lepkim i ciemnym ostrzu, przeleciał przez uliczkę. Jeden z mężczyzn upadł, a jego krew parowała w chłodnym powietrzu.**

**–Cholera. Bójka? Jesteś bezpieczna, tulipanku?**

**–Jeszcze przez jakieś dwie minuty. Lex, nie żartuję. Doszło do bójki na Czterdziestej Piątej, a ja jestem w samym środku tego piekła. Proszę cię, dowiedz się, kto za tym stoi, i ich odwołaj!**

**Kolejny wrzask. Z czarnej ziejącej rany na ramieniu jednej z dziewczek trysnęła krew. Chess nie potrafiła powiedzieć, która to dziewczyna. Zresztą i tak po chwili zniknęła. Kolejny ranny wojownik w tłumie. W tle dostrzegła twarz Terrible'a, dziwnie spokojną, jakby był całkowicie pochłonięty tym, co robił. Widziała, jak złapał jakiegoś faceta w pół obrotu, zarzucił go sobie na ramię i cisnął na ulicę. W jego pięści błysnął nóż.**

**–Nie rozłączaj się, dobra? Daj mi chwilę. – Na tle wrzasków i krzyków ulicznej burdy słyszała, jak rozmawia z kimś po kantońsku. A w odpowiedzi usłyszała kilka różnych głosów.**

**Chess przykucnęła niżej, w swojej nie najlepszej kryjówce, skupiając wzrok na bójce. Berta cały czas machała maczetą, lewą ręką. Chess w każdej chwili spodziewała się, że wokół zaczną latać głowy. Wolną dłonią sięgnęła po nóż. Dłoń miała tak spoconą, że dopiero za trzecim razem udało jej się go wyciągnąć. Na wszelki wypadek...**

**–Tulipanku? Jesteś tam?**

**Kilka sekund zajęło jej odzyskanie głosu.**

**–Tak, jestem.**

**–Trzymaj się. Zaraz będzie po wszystkim. Dobrze się schowałaś? Nie pokazuj się. Tamci goście cię nie znają, kapujesz?**

**–Tak, kapuję.**

**–Co ty w ogóle robisz na Czterdziestej Piątej?**

**–Terrible prosił, żebym...**

**–Terrible tam jest? Sam?**

**–Nie, nie jest sam. Jest z nim cała armia, kapujesz? Zresztą nawet gdyby był sam, a**

nie jest, i tak bym ci nie powiedziała.

–Myślałem, że jesteś fajniejsza.

–Nie jestem.

–Po co on cię tam w ogóle zabrał? To nie jest bezpieczne miejsce, wiesz o tym.

–Tu jest... martwa dziewczyna. Jedna z tych od Bumpa. – Do diabła! I tak się tego dowie, jeśli któremuś z jego ludzi uda się bezpiecznie wrócić. A wyglądało na to, że się uda. Na tle wrzasków dziewczyn, w powietrzu unosiły się chińskie okrzyki. Miała nadzieję, że to wezwanie do odwrotu.

–Ach tak? Ktoś chyba dostał to, na co zasłużył – stwierdził z satysfakcją Lex. Chess natychmiast przypomniała sobie puste oczodoły martwej dziewczyny. Gdyby teraz przed nią stał, dałaby mu w twarz.

–Co? O czym ty mówisz?

–O niczym. Tak tylko rzuciłem.

–Co to ma... Muszę lecieć. – Zamknęła klapkę telefonu. Na końcu uliczki pojawił się Terrible. Zasłonił sobą resztki światła. Widziała, jak za jego plecami ludzie Slobaga znowu wtopili się w cień, znikając w zaułkach między budynkami.

–Możesz już wyjść, Chess.

Wstała i nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Pojawiło się więcej osób, Czerwona Berta i kilka dziewczyn – Chess nie umiała powiedzieć które. Wszystkie dyszały tak, jakby właśnie próbowały przebiec z jednego końca miasta na drugi. Ale żyły.

Przynajmniej większość. Dziwka, która poleciała do góry, nadal leżała na ulicy. Podobnie jak czterech ludzi Slobaga. Czerwona Berta i jej dziewczyny z rzeczową bezwzględnością opróżniały ich kieszenie.

Chess sięgnęła do torby i wyciągnęła kilka chusteczek, które przyłożyła do głębokiego, opuchniętego rozcięcia pod okiem Terrible'a. Żeby to zrobić, musiała położyć rękę na jego klatce piersiowej i stanąć na palcach. Jej nos znalazł się zaledwie parę centymetrów od jego twarzy.

Ich spojrzenia się spotkały i poczuła na skórze uderzenie gorąca.

–Przepraszam, może powinieneś... Trzymaj.

Rzuciła mu pęk chusteczek. Wziął je z wahaniem. Szkoda tylko, że nie mógł jej uwolnić od uczucia zmieszania i paniki. Czuła się tak, jakby coś łaskotało ją w

**żołądka. Cholerne zakłęcia erotyczne. Odchrząknęła.**

**–Jakieś pół centymetra w lewo i musiałbyś jechać do szpitala.**

**W pomarańczowym blasku dostrzegła na jego koszuli mokre plamy i długie rozcięcie na rękawie, spod którego wystawało ciało, równie białe, jak kostki u jego palców.**

**–Nic mi nie jest. – Odsunął chusteczkę, pociągnął nosem i przyłożył ją z powrotem.**

**–Zostanie ci blizna.**

**Roześmiał się donośnie.**

**–Myślisz, że to coś zmieni?**

**Miał rację.**

**–Co myślisz o Daisy?**

**–O kim...? Aha.**

**Martwa dziewczyna cały czas leżała na chodniku. Szron na jej skórze sprawił, że przypominała dziwną rzeźbę, jak posągi pierwszych przywódców Kościoła stojące przed siedzibą Rządu w Północnej Dzielnicy. Tamte wykonano z kości słoniowej i pokryto warstwą diamentowego pyłu, żeby lśniły. Szron na ciele Daisy sprawiał podobne wrażenie, a jej okaleczone ciało wydawało się niemal piękne.**

**–Nie... wiem. To znaczy, nie wiem, czy to był duch. Jest za wcześnie, żebym mogła cokolwiek powiedzieć, jest tak ciemno i... – Chess zadrżała. Będzie musiała powiedzieć mu o tych zaklęciach, ale nie teraz. Nie, kiedy jej krew płynęła zbyt szybko, by czuła się bezpiecznie.**

**–Dobra. Nie przejmuj się, Chess. Może jutro miałabyś czas? Mogłabyś wpaść i trochę się rozejrzeć, co? W świetle dziennym? Wzięłabyś te swoje kościelne gadżety. Te swoje urządzenia i czego tam jeszcze potrzebujesz.**

**–Mówiłeś, że to raczej nie duch.**

**Zamrugnął oczami i skinął głową w kierunku grupki dziewczyn, które liczyły pieniądze i paliły papierosy zabitych mężczyzn.**

**–Ale one tak myślą. Ja i Bump nie jesteśmy tego pewni. Nie sądzisz, że to trochę dziwne? Tamci tak nagle się zjawili w środku nocy?**

**–Myślisz, że...**

**–Podjadę po ciebie jutro koło południa. Może być?**

**Nie chciała tego robić. Nie żeby nie miała zamiaru mu pomóc, ale cały czas pamiętała, co powiedział Lex. Jeśli to była sprawa gangów, jakaś walka o teren, wolałaby nie mieć z tym nic wspólnego. Dawała sobie radę na tyle, na ile mogła. Stawanie między ludźmi, którym winna była lojalność, a przynajmniej między jedną z tych osób – w końcu Bump jedynie sprzedawał jej towar i prowadził najbliższą palarnię w okolicy – a człowiekiem, z którym wymieniała życiowe płyny, to nie najlepszy sposób, by utrzymać stan równowagi.**

**Ale nie wiedziała, jak mogłaby odmówić. To by było nie tylko podejrzane, ale też... To by było nie w porządku.**

**Zerknęła na ciało Daisy, porzucone na popękany i brudnym chodniku jak zepsuta fifka. Gdyby nie Kościół, równie dobrze ona mogła tam leżeć. I pewnie tak by było. Tego się właśnie spodziewała, gdy dorastała.**

**Więc pokiwała głową.**

**–Powiedzieli, że nie muszę jutro przychodzić, nie po dzisiejszym. I tak nie ma żadnych nowych spraw.**

**–Dali ci wolne? Co się stało?**

**–Och, nic takiego. Trochę się zatrula. Ale mieli antidotum, nic wielkiego.**

**Uniósł brwi.**

**–Nie patrz tak na mnie. Jestem tu, tak? To żaden problem. Gdzie ta dziewczyna, która widziała ducha?**

**Chyba chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał.**

**–Laria. Ma na imię Laria.**

**–Właśnie, ona. – Chess rozejrzała się wśród kobiet, odnajdując głowę o kręconych brązowych włosach. Laria stała z tyłu, wyraźnie speszona. Chess próbowała pochwycić jej wzrok, ale nie dałaby głowy, czy komukolwiek by się to udało, biorąc pod uwagę jej stan. Dziewczyna wyglądała tak, jakby za chwilę miała się przewrócić.**

**–Przyprowadzę ją.**

**Z bliska tamta wydawała się młodsza. Miała szesnaście, najwyżej siedemnaście lat. Rękawy jasnoniebieskiej kurtki pokryte były szarymi plamami i na jednym łokciu miała dziurę. Kiedy mocniej objęła się rękoma, prześwitywała przez nią różowobiała**

skóra – wyglądała jak żółw wychylający się ze skorupy.

–Lario, nazywam się Chess. Możesz mi opowiedzieć, co widziałaś? O tym mężczyźnie, który zabił Daisy?

Prostytutka pokręciła gwałtownie głową. Jej zamglone brązowe oczy napęłniły się łzami.

–Nic nie widziałam.

–Ale wcześniej mówiłaś...

Laria znów pokręciła głową. Jej włosy poruszały się przy tym jak kępa brudnej stalowej wełny.

Chess zerknęła na Terrible'a, nie ukrywając irytacji. Owszem współczuła im, ale było późno i cholernie zimno. Marzyła o tym, by wrócić do domu, a opór Larii nikomu nie pomagał.

Terrible chwycił dziewczynę za rękę.

–Powiedz jej. To jedyny sposób, żebyśmy go złapali, rozumiesz?

–Ja nie...

–Daj spokój. Zostawiłaś ją, żeby się sztachnąć, nie? Przynajmniej tyle jesteś jej winna.

Dziwka jęknęła. Terrible tak mocno ścisnął jej ramię, że kciukiem dotykał kostki środkowego palca.

–To mnie boli...

–I będzie jeszcze bardziej bolało, jeśli nie zaczniesz mówić.

Chess wyciągnęła rękę.

–Możemy to chyba zrobić jutro, co?

–Jutro nic nie będzie pamiętać – stwierdził. – Musimy z nią pogadać dzisiaj.

Policzki Larii były mokre.

–Miał kapelusz, tylko tyle pamiętam. Że miał kapelusz.

–Był duży? Mały? Przezroczysty? – Terrible rozluźnił uścisk, a jego głos nieco

**złagodniał. – No dalej, Lario. Pamiętasz to, prawda? Musisz się tylko zastanowić.**

**–Nie był duży. Niewiele wyższy ode mnie. Kiedy podeszłam bliżej, nachylał się nad nią, potem wstał i był... – Laria przełknęła ślinę raz, potem drugi. – Wdziałam wszystko przez niego.**

**–Był przezroczysty?**

**–Widziałam przez niego – wyszeptała Laria. – A on spojrzał na mnie spod kapelusza. Śmieszny miał ten kapelusz, z czubkiem na środku i klapkami na uszach. Był cały przezroczysty, jego ubranie i wszystko... Uniosła rękę do twarzy i drżącymi palcami poklepała miejsce pod oczami.**

**–Jego oczy? – Ciarki, które Chess poczuła na plecach, nie miały nic wspólnego z temperaturą powietrza.**

**–Nie jego – odparła Laria głosem przypominającym jęk zranionego zwierzęcia. – Jej.**

**–Co?**

**Dziewczyna zaczęła płakać.**

**–Miał jej oczy.**

## ROZDZIAŁ 4

Pukanie do drzwi rozległo się w chwili, gdy była pewna, że już go nie usłyszy. Cały Lex. Otworzyła drzwi. Starła się zachować czujność by zmęczenie nie rozwiązało jej języka.

Oczywiście, z językiem można było zrobić wiele innych rzeczy. Mimo, że wcześniej rozłączyła się bez słowa, Lex wydawał się w dobrym nastroju. Przynajmniej mogło się tak wydawać skoro ją pocałował. Zanim się od niej odsunął, wepchnął jej do ręki plastikową torebkę. Poczuła, że kręci jej się w głowie. Więcej pigulek.

–Zamierzasz mnie opieprzyć, tulipanku? – Jego ciemne oczy lśniły z rozbawienia albo pożądania. Nie chciało jej się zgadywać.

–Dokładnie. Byłeś zupełnie niepoważny. Myślałam, że umrę na tej cholernej ulicy.

–Ale nie umarłaś. – Otworzył lodówkę i sięgnął po piwo. – Cały czas tu jesteś. Może opowiesz mi, co się tam działo?

Zesztywniała.

–Po co chcesz to wiedzieć?

–Nie mogę być ciekawy? Łądujesz w samym środku ulicznej awantury, więc chcę wiedzieć, jak się tam znalazłaś. Dlaczego zawsze jesteś dla mnie taka niedobra?

–Nie jestem.

–Właśnie że jesteś. – Pocałował ją w czoło i podał jej otwarte piwo. Patrzyła, jak z wdziękiem opada na kanapę. Rozparł się wygodnie i koszulka z Buzzcocks podniosła się, ukazując wąski pasek płaskiego brzucha. – Szczególnie że to ja ich w końcu odwołałem. Ale nieważne. Chodź tu, usiądź koło mnie.

Jednym nerwowym haustem wypila połowę piwa. Nie chciała siadać. Wystarczy, że znajdzie się w jego zasięgu, i na pewno o niczym nie porozmawiają. Poza tym cały czas była pod wpływem erotycznej magii tej biednej martwej dziewczyny.

–Najpierw powiedz mi, co miałeś na myśli.

–Z czym?

–Wiesz z czym. Powiedziałaś, że najwyższy czas, żeby Bump dostał za swoje. Dlaczego?

–Nie chcesz chyba gadać o trupach ani o tym całym Bumpie, co? Nie widziałem cię

od tygodnia.

–Powiedz mi, o co chodziło, i będziemy mogli pogadać o czym tylko chcesz.

Nie chciała go pytać, czy ludzie Slobaga mieli coś wspólnego ze śmiercią dziewczyny. Nie chciała, bo gdy pomyślała, co może usłyszeć, poczuła, jak żołądek skręca jej się ze strachu. Zemsta może oznaczać różne rzeczy. Naprawdę nie mogła uwierzyć, że Lex mógłby mieć coś wspólnego z ludźmi, którzy wydłubywali oczy z ludzkich głów, żywych lub martwych. A jednak...

W końcu wzruszył ramionami.

–Wiesz, że dużo się tu dzieje. Czasami ktoś umiera i nie wiadomo, kto za tym stoi.

–To nie jest odpowiedź.

–Nie zadałaś pytania.

–Co wiesz o tej martwej dziewczynie? Wiesz, kto ją zabił?

Nie wyglądał na urażonego ani tak, jakby nie zrozumiał pytania. I to sprawiło, że mu uwierzyła, nawet bardziej niż sposób, w jaki na nią spojrział.

–Nie, tulipanku. Nie mam z tym nic wspólnego. Nic a nic. Nie wiem, kto za tym stoi, to nie wyszło od nas. – Nie spuścił z niej wzroku.

Cicho wypuściła powietrze. Nie wiedziała nawet, że przestała oddychać. Ale po chwili zamarła, gdy dodał:

–Oczywiście Bump nie może tego powiedzieć.

–Co?

–To co słyszysz. To morderstwo może być zemstą kogoś, kto postanowił wziąć sprawy w swoje ręce.

Nie zastanawiała się nad tym, co robi. Po prostu sięgnęła do torebki, którą jej dał. Cały czas trzymała ją w zaciśniętej dłoni. Wyciągnęła kilka pigulek i popiła je piwem. W końcu nie musiała zrywać się jutro z łóżka bladym świtem. I dobrze, bo było już po trzeciej.

–Zauważ, że dziewczynę zamordowano blisko nas, na samej granicy. Co ona tam robiła? Zapytałaś o to Terrible'a?

–Nie.



**–Może powinnaś.**

Kiedy rozmawiali z Lexem i poruszali temat Terrible'a, zwykle czuła się zaniepokojona. Tak jakby czegoś unikali, a nie rozmawiali wprost. Minęła otwartą przestrzeń między ścianą a kuchnią i oparła się o blat, ukrywając się za nim przynajmniej częściowo.

**–Przestań robić te dziwne aluzje i powiedz wreszcie, o co chodzi.**

**–Mówię tylko, że mają martwą dziwkę. I że nie jest to pierwsza martwa dziwka, jaką widziałem.**

**–Czekaj, czekaj, Chcesz powiedzieć, że ktoś zabija dziwki po waszej stronie? Dziewczyny Slobaga?**

Pokiwał głową.

**–Widzisz? Cały czas powtarzam, że jesteś bystrą dziewczyną. A ty za każdym razem to potwierdzasz.**

**–Myślisz, że Bump za tym stoi?**

**–A kto inny?**

Zamrugnęła.

**–Bez urazy, Lex, ale to są dziwki. Przychodzi mi do głowy co najmniej kilka innych osób. – Na przykład Płaczący Człowiek, pomyślała, ale nic nie powiedziała. Życie nauczyło ją, że duchy istnieją, ale dzięki Kościołowi była sceptyczna w obliczu dowodów ich istnienia. Zresztą to wspomnienie ludzkich czynów powodowało, że na jej skórze pojawiły się kropelki potu.**

**–Czyli kto? Nie były z klientami, kiedy to się stało. Ktoś je dopadł na ulicy. – Chess obserwowała jego zwinne dłonie, gdy zapalał papierosa. Zaciągnął się i wypuścił gęsty niebieski dym; pachniał lepiej od tanich papierosów, które kupowali inni. – Myślisz, że to duch? Bump sprowadził cię, żebyś złapała ducha?**

**–Tego nie powiedziałam.**

**–Nie musisz. Mnie tak łatwo nie oszukasz. Mam już pewną wprawę, jeśli chodzi o ciebie, nie? Bump najwyraźniej chce, żebyś sprawdziła, czy za tą całą sprawą nie stoi duch. Wiesz, co ci powiem, tulipanku? Masz niezłe wzięcie.**

Uniosła brwi. Uśmiechnął się na ten widok.

**–U mnie na pewno masz wzięcie i dobrze o tym wiesz. Ale w jaki sposób Bump**

wrobił cię w tę robotę?

Zamrugła znowu. To nie była żadna sztuczka. Tylko mglista groźba, że jeśli tego nie zrobi, Bump może przysporzyć jej kłopotów. Może wymyśli kolejny dług? Cały czas od niego kupowała, chociaż większość prochów dostawała za darmo od Lexa. Ale gdyby przestała, zaczęłyby coś podejrzewać. I nie miała odwagi odwiedzić palarni Slobaga. Nie wszyscy w Dolnej Dzielnicy trzymali albo z Bumpem, albo ze Slobagiem. Niektórzy cały czas zmieniali front. Nie chciała, żeby ktokolwiek ją rozpoznał, a większość członków chińskiego gangu, gangu Slobaga, z zasady nienawidziła pracowników Kościoła.

To akurat mogła zrozumieć. Kiedy znaczna część kultury opiera się na kulcie przodków, fakt, że nagle ktoś każe ci płacić za możliwość obcowania z ich duchami, i to w jedynie słuszny i zatwierdzony przez Kościół sposób, musi boleć. Tyle że zrozumienie wcale nie ułatwiało jej życia.

–Wcale mnie nie wrobił – powiedziała w końcu, zdając sobie sprawę, że Lex cały czas ją obserwował.

–Tak po prostu się na to zdecydowałaś, bo masz dobre serce?

Kiwnęła głową. To była pułapka, wiedziała o tym. Ale nie miała pojęcia, jak jej uniknąć.

–Mnie też pomożesz? – Wstał i podszedł do niej, a jego kroki odbiły się cichym echem od podłogi. Widziała, jak się zbliżał, i znowu dostrzegła pułapkę, ale tym razem miała to gdzieś. Była gotowa sama skoczyć w sidła.

Przesunął ręką po jej biodrze, a dłoń położył na brzuchu, wsuwając koniuszki palców pod jej dżinsy.

–Może w mojej części miasta też są duchy? Jak myślisz? – Dym z jego papierosa pieścił jej skórę, kiedy odgarnął jej włosy z ramion. Skubał zębami płatki uszu i delikatnie ssał szyję w sposób, w jaki wiedział, że lubi. – Może wpadniesz do nas i trochę mi pomożesz?

–Już chyba dosyć ci pomogłam – wykrztusiła. Rozpiął guzik jej dżinsów i rozsunął zamek, by wsunąć rękę do majtek. Westchnęła.

–Możemy pomóc sobie nawzajem, prawda? Mogę ci w czymś pomóc, tulipanku?

–Może. – Sięgnęła w dół i odkryła, że pod dżinsami jest twardy i gotowy. Rozsunęła zamek.

Wydał z siebie niski, zadowolony gardłowy jęk, który kojarzył jej się z czasem, który

spędzali w jego łóżku. Papieros z cichym sykiem wylądował w zlewie. Przesunął dłońmi w górę, po jej żebrach, a potem w dół, ściągając z jej bioder dzinsy i majtki.

–To jak będzie? Pomożesz mi? Wpadniesz do nas i trochę się rozejrzysz? – Położył rękę na jej karku i delikatnie pochylił ją w dół. Wsunął kolano między jej uda i rozchylił jej nogi na tyle, na ile mógł, bo wokół kostek cały czas miała dzinsy. Poczuła na tyłku jego członek. Czekał. – Potrzebuję cię, tulipanku.

–Tak – wykrztusiła.

–Co takiego? Chyba nie usłyszałem.

Wzięła głęboki wdech, na tyle, na ile pozwalało jej ściśnięte gardło.

–Tak.

Jednym mocnym pchnięciem pokazał jej, jak bardzo to docenia.

\*\*\*

Osiem godzin później szła przez pusty plac przed Kościołem. Na nosie miała okulary przeciwsłoneczne i zdążyła wciągnąć kilka kresek speeda, dzięki czemu serce biło jej na tyle szybko, że dawało jej siłę. Lex został u niej do piątej, a tuż po dziesiątej obudził ją telefon. Dzwonił Starszy Griffin. Nieoczekiwanie pojawiła się nowa sprawa i pytał, czy mogłaby się nią zająć.

Kiedy wkroczyła do mrocznego, niebieskiego holu, wsunęła okulary na czubek głowy. W środku było cieplej i mogła zdjąć płaszcz, który i tak miała na sobie tylko dla picu. Speed sprawiał, że czuła się tak, jakby do klatki piersiowej miała przypięty kaloryfer.

W holu aż roiło się od ludzi – Demaskatorów i Starszych, którzy wracali ze swoich cotygodniowych zebrań; Dobrotliwi z teczkami pod pachą. Czwartek był najbardziej ruchliwym dniem dla Łączników, którzy bezpośrednio porozumiewali się ze zmarłymi. Ławki pod jedną z jasnych ścian aż uginały się od ludzi. Czekali na swoją kolej, by ktoś zaprowadził ich do pokoju Łączników. Stamtąd – razem z przypisanym im Łącznikiem – odbędą długą podróż pociągiem w głąb ziemi, żeby spotkać się z bladymi, pozbawionymi emocji cieniami najbliższych im osób lub odległych przodków.

Chess próbowała opanować drżenie. Ten pociąg i samo Miasto Wieczności były powodem, dla którego wybrała karierę Demaskatora, a nie Łącznika. Przejawiała w tym kierunku zdolności, ale nie umiała znieść ciągłego napięcia. Były dni, kiedy tylko strach przed Miastem trzymał ją przy życiu, i jeszcze nie całkiem doszła do siebie po tej nocy, kiedy ugrzęzła w ciemnościach na peronie.

Starszego Griffina nie było jeszcze w biurze. Chess usiadła na ciemnym, błyszczącym drewnianym krześle na korytarzu obok drzwi. Próbowła uspokoić drżenie nóg. Może nie powinna jednak brać tej trzeciej kreski.

–Dzień dobry, Cesario. Dziękuję, że przyszedłaś. Jak się czujesz? Mam nadzieję, że nie odczuwasz żadnych skutków ubocznych?

Zeskoczyła z krzesła i szybko skinęła głową.

–Czuję się świetnie, dziękuję. Dzień dobry.

Przekręcił w zamku ozdobny klucz z kości słoniowej i zaprosił ją do środka, zamknął za nimi drzwi.

–Usiądź, moja droga.

Usiadła i czekała na pokrytym poduszkami fotelu, który stał naprzeciwko masywnego, kamiennego biurka. Kochała to pomieszczenie i panujący w nim spokój. Ale lubiła też Starszego Griffina i wiedziała, że było to odwzajemnione, więc może nie tylko wystrój powodował, że czuła się tutaj jak w sanktuarium.

Starszy usiadł za biurkiem na tle wysokiego okna. Jasne firanki zamieniały ostre zimowe słońce w mglisty blask, który rozświetlał jego włosy jak aureolę. Jasna świetlna mgiełka pokrywała każdy centymetr pokoju. Zerknęła na stojący w rogu antyczny globus, zawsze ją fascynował. Mogła godzinami wpatrywać się w te wszystkie linie i kształty w miejscu, gdzie kiedyś widniały granice między państwami.

Było tu mnóstwo książek. Wszędzie – poustawiane przy ścianach, wystające spod szklanych blatów stołów. Półki aż ugięły się pod ich ciężarem, a tam gdzie ich nie było, stały miseczki z ziołami, rzędy pobłogosławionych czaszek i kości wykorzystywanych w czarach. Na ścianie za nią wisiał płaski telewizor – właśnie leciał serwis z wiadomościami. Był wyciszony i widziała tylko napisy, ale wiedziała, że jak tylko wyjdzie, Griffin włączy dźwięk, żeby mu towarzyszył. Właśnie takie drobnostki sprawiały, że przyjemnie się z nim pracowało, jej i wielu innym.

Ale dzisiaj wyglądał tak, jakby coś go martwiło. Nie nałożył makijażu, który w Święte Dni zamieniał jego twarz w maskę, i zauważyła cienie pod oczami Starszego oraz zmarszczone brwi, gdy przekręcał kluczyk w zamku biurka i wyciągnął jakąś teczkę.

–To przyszło dwa dni temu – powiedział, bardzo ostrożnie kładąc teczkę na biurku, jakby fakt umiejscowienia jej na samym środku podkreślał znaczenie sprawy. – Odbyliśmy z Prastarszym kilka rozmów na ten temat. Nie daje nam to spokoju i zdecydowałem, że w tym przypadku ominę nieco normalne procedury i przekażę sprawę tobie.

–Dziękuję panu – odparła, pochylając się nieco do przodu. – Ale jestem trochę zaskoczona. Dlaczego ja?

–Sposób... w jaki poradziłaś sobie ze sprawą Mortona, moja droga. Udowodniłaś nam, że nie tylko jesteś znakomitym śledczym, ale potrafisz również być dyskretna. To bardzo delikatna sprawa. Czy mówi ci coś nazwisko Roger Pyle?

Gdyby miała w ustach choć odrobinę śliny, na pewno splunęłaby na podłogę. A tak próbowała przełknąć i wydała z siebie suche cmoknięcie.

–Chodzi o tego aktora?

Starszy Griffin pokiwał głową.

–Tak, zdaje się, że to aktor.

–Jest nawiedzony?

–Zgłosił nawiedzenie. Z tego co wiem, właśnie przeprowadził się do nowego domu i ma jakieś problemy. – Przesunął teczkę w stronę Chess, żeby mogła na nią zerknąć. – Wszystko tu jest.

Kiedy otworzyła jasną okładkę, z teczki wysypały się papiery i fotografie.

–Zrobił zdjęcia?

–Ma sporą dokumentację.

Nic nie powiedziała. Oboje doskonale wiedzieli, jak łatwo można było podrobić dokumenty, szczególnie takie. Zdjęcia mglistych, szarych kształtów, ścian pokrytych lśniąącymi śladami, które przypominały ektoplazmę, a mogły być czymkolwiek. Akt własności i plany domu oraz wycinek ze starej gazety z czasów Przed Prawdą. Chess przebiegła po nich wzrokiem.

Spojrzała na Starszego.

–Popelniono tam kiedyś morderstwo?

–Na to wygląda.

O rany! Skąd tyle morderstw w tym tygodniu? Wszędzie słyszała o zabójstwach, widziała trupy, a teraz miała się wplątać w historię z duchami, które za życia padły ofiarą morderstwa. Nie tak wyobrażała sobie najbliższych kilka dni. Chciała je spędzić w idealnym spokoju, a to...

Griffin wiercił się niespokojnie na krześle.

**–To była decyzja Starszych, biorąc pod uwagę twoje... doświadczenie ze złowrogimi istotami i to, jak poradziłaś sobie z Ereshdiranem...**

**–Zostałam dziewczyną od morderczych duchów?**

**Uniósł brwi. Nie wiedziała, czy był rozbawiony, czy niezadowolony.**

**–Wydawałaś nam się najbardziej odpowiednią osobą do tej sprawy. Ale, oczywiście, jeśli ci to nie odpowiada, przydzielimy do niej innego Demaskatora. Chociaż nie muszę ci mówić, ile ta sprawa może dla ciebie znaczyć.**

**Czekała. Wiedziała już, że weźmie to dochodzenie. Kiedy Starsi podejmowali decyzję, lepiej było im się nie sprzeciwiać.**

**Poza tym nie mogła się powstrzymać. Podobał jej się pomysł prowadzenia śledztwa, które mogło wpłynąć na jej karierę. Agnew Doyle do tej pory jechał na sukcesie sprawy z Szarymi Wieżami i pewnie będzie tak jeszcze przez kilka lat.**

**Doyle. Starła się o nim nie myśleć. On też trzymał się ostatnio z daleka. Nic dziwnego, po tym jak Terrible sprzął go na kwaśne jabłko, a i Lex się dołożył.**

**Jej jedynym zmartwieniem był czas. Pomagała już Bumpowi i Lexowi i to niemal całkowicie zaprzętało jej głowę. Ale nie mogła się od tego wykręcić. I zaczynała rozumieć, że Starszy Griffin również nie zostawiał jej wyjścia.**

**–Premia za to zlecenie jest naprawdę niezła – dorzucił w końcu. – Czterdzieści tysięcy dolarów.**

**Samochód jeździł już ostatkiem sił, kanapa była zapadnięta, a w dzinsach zrobiły się dziury. Nawet oszczędzając pieniądze dzięki pigułkom, które dostawała za darmo od Lexa, trudno jej było związać koniec z końcem. Ledwo było ją stać na fajkę i prochy, które dla picu kupowała od Bumna, piwo, papierosy i płyty, i...**

**Za czterdzieści patyków mogła kupić sobie sporo czasu w krainie snów.**

**Pokiwała głową.**

**–Biorę to.**

## ROZDZIAŁ 5

Normalnie poszłaby do biblioteki, żeby sprawdzić adres Pyle'a i złożyć wniosek o wgląd w jego sprawozdania finansowe i historię zatrudnienia. Ale w tym wypadku nie było to konieczne. Wycinek z gazety i plany domu wystarczyły, by zorientowała się, jaki jest jego adres oraz stan finansów.

Poza tym Roger Pyle był sławny. Na tyle że nawet Chess wiedziała, kim jest. Zamienił błyskotliwe występy kabaretowe w serial telewizyjny, a ostatnio pojawiły się plotki, że zamierza przenieść się na duży ekran. Nigdy nie oglądała jego programu – parodii zakonu religijnego z czasów Przed Prawdą – ale na pewno nie potrzebowała zdjęć z akt, żeby wiedzieć, jak wyglądał.

I nie musiała przeglądać sprawozdań finansowych, żeby wiedzieć, jaki był bogaty. Pyle na pewno nie sfingowałby nawiedzenia dla kasy. Nawet jeżeli po jego nowym domu rzeczywiście plątały się jakieś zjawy, mógł liczyć co najwyżej na kilkaset tysięcy. Dla niego to była kropla w morzu.

Ale może istniały inne powody, żeby udawać, że jego dom jest nawiedzony. A czterdzieści patyków to dla niej kupa forsy. Potrzebowała kasy i musiała udowodnić, że Pyle kłamie.

Ale najpierw... Cały czas prześladowało ją wspomnienie pustych oczodołów martwej dziewczyny. I świadomość, że jeśli czegoś nie zrobi, zginie następna osoba. Nie miała pojęcia, czy sprawcą jest duch, czy coś innego, ale bogata kościelna biblioteka była równie dobrym miejscem jak każde inne, by rozpocząć poszukiwania.

Dobrotliwa Glass siedziała za swoim biurkiem ze złośliwym wyrazem twarzy jak troll na wrzosowisku. Chess z trudem się powstrzymała, by nie odwzajemnić pogardliwego spojrzenia. Glass nigdy jej nie lubiła, i to od pierwszego tygodnia szkolenia, kiedy przyłapała Chess na jedzeniu ciasteczek ukradzionych z kuchni. Ukradzionych w ilościach hurtowych – jeśli już Chess miała szczerze o tym opowiadać.

Drobne wykroczenie, ale Dobrotliwej Glass nie chodziło o samo przestępstwo. To odkrycie doprowadziło do następnego, w jej mniemaniu o wiele gorszego. Chess ukradła jedzenie, bo ciągle jej go brakowało. Nie miała przodków ani rodziny. Po Nawiedzonym Tygodniu nie było to coś nadzwyczajnego, ale nie w przypadku pracowników Kościoła.

Gęste brwi Dobrotliwej uniosły się nad świdrującymi oczami.

–Pracuje pani nad jakąś sprawą, panno Putman?

**–Owszem, Dobrotliwa Glass. – Chess pomachała teczką.**

**Nie otrzymała żadnej odpowiedzi, ale też się jej nie spodziewała. Zamiast tego otworzyły się drzwi po jej lewej stronie i weszła do czytelni dzieł zakazanych. Jak zawsze oczarowała ją kolekcja religijnych przedmiotów z przeszłości, oświetlonych jasnym światłem, jakby tylko czekały na to, że pewnego dnia znowu staną się użyteczne i przestaną być jedynie relikdami.**

**Wiedziała, że nie powinno tak być, ale dobrotliwy uśmiech grubego złotego Buddy w rogu sprawiał, że czuła się bezpieczniej. Odwzajemniła uśmiech, kładąc teczkę i torbę na jednym z długich drewnianych stołów.**

**Pod lśniącym złotym krzyżem wiszącym na przeciwległej ścianie – kolejnym symbolem religijnej przeszłości – było mnóstwo półek z książkami o magii. Chess uklękała przed nimi, przeglądając tytuły. Oczy... oczy...**

**Oczywiście wcześniej używała już oczu w zaklęciach, ale tylko jako elementu pomocniczego. Oczu salamandry dodawało się czasami do leczniczych okładów, gdy brakowało energii. Oczy kruka można było zesuszyć, zetrzeć na proszek i wykorzystać w zaklęciach ochronnych. Ale nigdy nie słyszała, by ktoś używał ludzkich oczu, a tym bardziej w zaklęciach erotycznych. Miała też wrażenie, że tym razem oczy miały być czymś więcej niż tylko składnikiem niezbędnym, by rzucić zaklęcie.**

**W końcu wybrała kilka książek i usiadła z nimi przy stole. Pierwsza była cienką książeczką o magii wzroku. Wiązała z nią pewne nadzieje, ale okazało się, że dotyczy wizji telepatycznych i zaklęć związanych z dochodzeniami pozacielesnymi. Tym zajmował się Czarny Oddział, złożony z rządowych pracowników Kościoła, a nie szeregowych, takich jak Chess. To oni zajmowali się przestępczością – zarówno zwyczajną, jak i magiczną – i łamaniem kodeksów prawnych oraz moralnych. Chess rozwiązywała jedynie sprawy sfingowanych nawiedzeń, „konspiracjami zawiązanymi w celu dokonania widmowego fałszerstwa”, jak brzmiała oficjalna nazwa jej działki. I banicją duchów, jeżeli rzeczywiście jakiegoś znalazła.**

**Druga książka zawierała więcej informacji. Zaczynała się od cytatu, który Chess już kiedyś słyszała – o oczach, które są oknami duszy – i jego analizą od strony magicznej.**

**Może to właśnie oznaczał znak wypalony na skórze Daisy i narysowany na ścianie? Chess wyciągnęła aparat, żeby mu się przyjrzeć, odruchowo zaciskając usta na widok okropnej, zapadniętej twarzy ofiary. Przewijała kolejne zdjęcia, aż znalazła to, którego szukała.**

**Ale znak nie przypominał twarzy. Twarze raczej nie miały kształtu trójkąta. Chociaż**



jego symetria mogła przywodzić podobne skojarzenia. Może to symbol jakiejś innej części ciała. Terrible wspominał, że Daisy była pierwszą kobietą, jaką znaleźli. I że niewiele zostało z drugiej ofiary, Małego Taga, o ile dobrze pamiętała. Czy to możliwe, że ktoś próbował stworzyć nowe ciało? Naczynie dla zaginionej duszy?

Takie rzeczy nie zdarzały się często. Chess знаła je tylko ze słyszenia. Nigdy się z czymś takim nie zetknęła i nie natknęła się na żadne dowody. Ale oczy szybko się psuły, jeśli się ich nie zamroziło. Jeżeli faktycznie zostały użyte po to, by dać wzrok jakiemuś zagubionemu na ziemi duchowi, jego Towarzyszowi czy komukolwiek, kto ich potrzebował...

**Kolejne trupy.**

Zakryła dłonie rękawami czerwonego swetra i objęła się, ale ciarki, które poczuła na całym ciele, nie miały nic wspólnego z temperaturą w pokoju. Duchów nie obchodziło, kogo zabijały. Wczorajsze spotkanie z Annabeth stanowiło doskonały przykład, na wypadek gdyby o tym zapomniała. Ale ten, kto wzywał duchy, kto trzymał je na ziemi i karmił je energią...

Wcale nie powinno jej to dziwić. Przecież wiedziała lepiej niż inni, do czego są zdolni ludzie. Ale za każdym razem czuła to samo ponure zdziwienie, że znowu pojawił się ktoś, kto znalazł nowy sposób zadawania bólu.

Przekartkowała książkę do końca, ale nic więcej nie znalazła. Tylko tyle, by zapisać jedną stronę w notatniku. Później pogada o tym z Terrible'em. Może coś wymyśli przypomni sobie coś, co jej pomoże. Na pewno tak będzie.

Westchnęła i odłożyła książki na półkę. Zerknęła na zegar w drugim końcu pokoju. Już prawie południe. Kościelne traktaty o runach i znakach muszą poczekać. Była pewna, że nigdy wcześniej nie widziała tego symbolu.

Chciała sprawdzić jeszcze jedno miejsce. Dobrotliwa Glass zmarszczyła brwi, gdy Chess opuściła czytelnię i ruszyła w stronę długiego rzędu akt w bibliotece głównej. Czarownica ją zignorowała.

Akta zawierały, a raczej powinny zawierać, bo zwykle pracownicy Kościoła zapominali je uzupełniać, informacje o każdym nawiedzeniu czy podejrzeniu nawiedzenia, jakie miało miejsce w Triumph City. O każdym budynku i każdej pustej działce...

A akta na samym końcu... Tam przechowywano materiały dotyczące rzeczy jeszcze gorszych od nawiedzeń. Informacje o kryminalistach – tych, na których wykonano wyrok śmierci, i tych, którzy zmarli z przyczyn naturalnych zarówno przed Nawiedzonym Tygodniem, jak i po nim. Wspominała o tym w rozmowie ze Starszym Griffinem – miejsca zbrodni mają specyficzną atmosferę. Ofiary często się tam

**bląkają, uwięzione w chwili śmierci, jak mordercy próbujący odtworzyć swoje zbrodnie.**

**Kimkolwiek był Płaczący Człowiek, powinna znaleźć chociaż wzmiankę o nim, właśnie tutaj. Jeżeli w ogóle był znany Kościołowi.**

**Zdjęcie, które znalazła w jednej z teczek, sprawiło, że niemal wypuściła ją z rąk. Westchnęła za to na tyle głośno, że Dobrotliwa Glass posłała jej karcące spojrzenie.**

**Płaczący Człowiek, znany również jako Charles Remington, zamordował na początku XIX wieku dziesięć prostytutek. Wszystkie na terenie obecnej Dolnej Dzielnicy.**

**I wydłubywał im oczy. Fotografia, którą znalazła wśród pożółkłych dokumentów, mogła stanowić kopię tej, którą miała na karcie pamięci w aparacie, począwszy od postrzępionej skóry, aż po kryształki lodu tworzące się na skrzepniętej krwi. Biedna kobieta.**

**Cholera! Tylko tego jej brakowało. Ducha mordercy, który wrócił na kolejną rundę. To by było tyle, jeśli chodzi o nieangażowanie się w tę sprawę.**

**\*\*\***

**Pierwszy rzut oka na dom Pyle'a, a raczej na otaczający go biały kamienny mur, bynajmniej nie rozwiał jej wątpliwości ani nie uwolnił od niepokoju, który pojawił się, gdy tylko skopiowała akta Płaczącego Człowieka. Mur z drewnianą bramą zasłaniał budynek, ale pozwalał zobaczyć czubki drzew i szczyt szarego skośnego dachu. Chess zatrzymała się przed bramą i otworzyła okno, wyrzucając z głowy Charlesa Remingtona, jego poprzednie ofiary i Daisy. Czas zabrać się do pracy.**

**Z małej stalowej skrzynki wydobył się mechaniczny głos:**

**–Imię, nazwisko i cel wizyty?**

**–Nazywam się Cesaria Putnam, jestem z Kościoła. Przyjechałam w sprawie nawiedzenia.**

**W odpowiedzi brama przesunęła się na bok i Chess mogła wjechać do środka.**

**Nie, forsa na pewno nie była dla Pyle'a zmartwieniem. Białe ściany, poprzecinane lśniącymi oknami, rozpościerały się na martwym, zimowym trawniku. Budynek otaczały łyse drzewa o sterczących gałęziach. Wyglądało to jak ręce próbujące zatrzymać dom w miejscu. Latem, kiedy trawa się zieleniła, a liście zakrywały ostre kany, rezydencja pewnie miała swój urok, może nawet była ładna. Ale teraz spoglądała nanią tuzinem czarnych oczu, rzucając wyzwanie, by Chess odkryła**

tajemnicę tego domostwa.

Chess pokonała kręty podjazd przed frontem. Wydawało się, że budynek zaprojektowano tak, by ci ludzie którzy się tu zjawiali, musieli oglądać go tak długo, jak tylko się da. W końcu dojechała do lśniącej budki strażnika.

Wszedł z niej ochroniarz, ubrany w luźne ciemnozielone spodnie i kurtkę w tym samym kolorze, która sprawiała, że jego ramiona wyglądały jak dwie góry. Nie był tak szeroki w barach jak Terrible, ale niewiele mu brakowało. Na głowie miał czapkę, która nadawała jego twarzy twardy, służbowy i apodyktyczny wyraz. Notes trzymał w ręku jak broń.

–Panna Putman?

–Tak, to ja.

Niebieskie oczy prześlizgnęły się po każdym centymetrze jej twarzy. Zrobił to w sposób bezosobowy, jakby była rzeźbą, którą miał później narysować z pamięci. W końcu skinął głową.

–Proszę tam zaparkować. – Machnął w powietrzu długopisem, wskazując jakieś miejsce po lewej stronie. – Ktoś zaprowadzi panią do domu.

–Gdzie... – zaczęła, ale już się odwrócił i schował w swojej małej budce. Pewnie ma tam cieplej, pomyślała. Chociaż jak na zimę, na dworze było nawet, nawet.

Zamknęła okno i ruszyła wzdłuż podjazdu. Droga urywała się za kępą świerków. Stał tam garaż, wystarczająco duży, by pomieścić sześć samochodów. Z boku stało kilku ochroniarzy, czekali na nią. Czy to dom, czy jakieś pieprzone więzienie? Wyglądali tak, jakby w każdej chwili spodziewali się zamieszek.

Przez chwilę siedziała w aucie, czując się tak, jakby znalazła się w scenie z kabaretu, a potem przekręciła kluczyk. Silnik zamarł i Chess otworzyła drzwi, czując na sobie wzrok mężczyzn. Powinna była naładować się przed przyjazdem, na zejściu zawsze robiła się nerwowa.

–Chessie?

Upuściła torbę i się obróciła. Spojrzała w twarz jednego z ochroniarzy. Wyglądał znajomo, nawet w tej głupiej czapce, ale nie potrafiła powiedzieć, skąd go знаła.

–Merritt Hale, pamiętasz mnie? – Zdjął czapkę i od razu sobie przypomniała.

–Merritt? O rany, jak się masz?

Nastąpiła niezręczna chwila, kiedy nie wiedzieli, czy powinni się objąć, pocałować, czy podać sobie ręce. W końcu zdecydowali się na niezdarne objęcie.

–Minęło sporo czasu, co? – zapytał, a jego twarz rozjaśnił szeroki, krzywy uśmiech, tak dobrze jej kiedyś znany. – Dziesięć lat? Dziewięć?

–Jakoś tak.

–Od kiedy wyjechałaś, żeby uczyć się w Kościele. – Kiwnął głową w stronę jej torby. – I chyba ci się udało, co? Ja w końcu wyszedłem, gdy skończyłem siedemnaście lat. Pamiętasz? Tylko tyle cię tam trzymają.

–Pamiętam. – Nie chciała, ale pamiętała. Dom Dziecka Corey, tak go nazywano, choć w niczym nie przypominał domu. Bardziej zoo, z tym że zamiast stać i oglądać zwierzęta, zamykali cię z nimi w środku.

Merritt chyba pomyślał o tym samym. Jego błękitne oczy na chwilę pociemniały. Włożył z powrotem czapkę, zakrywając rudawozłote włosy.

–Tak czy siak, przyszedłeś tu w sprawie duchów?

Pokiwała głową.

–Widziałeś jakieś?

–Nie, ale pracuję na dziennej zmianie. Za to znam kilku gości, którzy widzieli, a przynajmniej tak im się wydawało. Chodź. Zaprowadzę cię do środka.

Położył jej rękę na plecach i poprowadził przez czarną nawierzchnię, obok pozostałych ochroniarzy, którzy przyglądali się im ze zmrużonymi oczami. Merritt uniósł dłoń.

–Znam ją.

–Dlaczego się tak gapią?

–Normalnie by cię przeszukali, wiesz, żeby się upewnić, że nie masz przy sobie broni czy czegoś takiego.

Chess pomyślała o nożu schowanym w bocznej kieszonce torby i pudełku pełnym pigułek. Jeśli mieli zamiar ją przeszukiwać za każdym razem... Musi być ostrożniejsza.

–Torbę czy mnie?

Merritt przesunął wzrokiem po jej ciele, od stóp do czubka głowy i posłał jej szeroki

uśmiech. Zawsze był psem na baby. Kto jak kto, ale ona akurat o tym wiedziała. Sama go raz czy dwa wypróbowała. W Domu Dziecka Corey nie było co robić, a seks zawsze był najcenniejszą walutą.

I nadal tak było, jakby zaczęła się nad tym zastanawiać, ale nie chciała. Nie była z Lexem dla narkotyków.

–Wszystko. Pan Pyle nie lubi ryzykować i my też nie.

Postanowiła zapamiętać to sobie na przyszłość. Nie będzie tu spędzać zbyt dużo czasu, to pewne, jeśli nie będzie mogła zabrać ze sobą ceptów. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała, to nagle swędzenie i napady mdłości, gdy była z klientem.

Merritt zaprowadził ją do czegoś, co wyglądało jak pokój połączony z garażem, z zewnętrznymi drzwiami. Okazało się, że to korytarz. Żarówki rzucały jaskrawe światło na całą jego długość. Chess miała wrażenie, jakby szła przez salę operacyjną. Z powrotem zsunęła na nos okulary.

Merritt się uśmiechnął.

–Pan Pyle lubi, kiedy jest jasno. A biorąc pod uwagę, co się tu dzieje...

Punkt dla Pyle'a. Ci, którzy fingowali nawiedzenia, zapominali zwykle, że ludzie, którzy się bali, instynktownie ciągnęli do światła. Dziwne, ale prawdziwe.

Oczywiście punkt dla Pyle'a, to punkt przeciwko niej, ale nie miała zamiaru poddawać się już na początku.

Merritt otworzył drzwi na końcu korytarza i wprowadził ją do skromnego, równie jasnego, ale pustego pokoju. Chwycił za lśniąca złotą klamkę.

–Gotowa?

–Nie wiem, a jak myślisz?

–Ja na pewno tak – wymamrotał, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, przekroczył próg, skinieniem głowy pokazując jej, by poszła za nim.

Nagle wyrósł nad nią sufit. Był tak wysoko, że trudno jej było go zobaczyć. Poniżej krzyżowały się jasne drewniane belki, dzięki czemu pomieszczenie wydawało się bardziej kameralne.

Wyblakłe drewno pasowało do ogromnej półki nad kominkiem, wystarczająco dużej, by Chess mogła na niej stanąć, oraz krzesel i kanapy ozdobionych poduszkami w kolorze kości słoniowej i jasnopomarańczowym. Dywan miał ten sam

bladopomarańczowy odcień. Pokój był piękny i ostentacyjnie przytulny.

Na samym środku stał Roger Pyle. Emanowała od niego charyzma, tak jak wokół Bumpa można było wyczuć plugastwo. Miała wrażenie, że aktor dosłownie uderzył ją swym urokiem w pierś. Od razu stłumiła reakcję. Nie można lubić klientów, to nie przynosiło nic dobrego.

Mimo to od razu jej się spodobał, kiedy ruszył w jej stronę z wyciągniętą ręką i entuzjastycznym, niepewnym uśmiechem na twarzy.

–Panna Putnam, tak? Bardzo dziękuję, że pani przyjechała. My naprawdę... straciliśmy głowę, nie wiemy już co robić. – Podrapał się po szczecinie na brodzie i wtedy zauważyła, że ma worki pod oczami. Nie dostrzegła ich wcześniej, gdy się uśmiechał.

–Jestem tu, żeby panu pomóc, panie Pyle. – Zawsze na początku dziękowali jej za przybycie. Niewielu dziękowało jej później.

–Proszę mi mówić Roger. I proszę usiąść. Gdzie moje maniery? Merritt, poproś służącą, żeby przyniosła pannie Putnam coś do picia. Coś do picia, panno Putnam? Co pani sobie życzy? Mamy wszystko, proszę tylko powiedzieć. Jakąś przekąskę? Mamy mnóstwo jedzenia, różne rzeczy, wędliny, frytki, koktajl z krewetek, wszystko jest w kuchni, możemy przynieść, co tylko pani zechce... – Rozejrzał się wokół, wsuwając ręce do kieszeni jak dzieciak, którego nauczyciel przyłapał na gadaniu w klasie i którego ukarano dla przykładu.

Chess zlitowała się nad nim i wyciągnęła z torby butelkę z wodą.

–Nic mi nie trzeba, dziękuję.

–Aha, ma pani coś do picia. Świetnie, świetnie. Cóż, od czego mam zacząć? Co pani chce wiedzieć? Przejrzała pani teczkę, którą wam dałem? To znaczy nie pani, a Kościołowi? Wszystko tam napisałem, wszystko co wiem. I zdjęcia, i wszystko...

–Tak, przejrzałam ją, panie... Rogerze. Jest bardzo szczegółowa. Ale zanim zaczniemy ją omawiać, powinniśmy zebrać całą rodzinę. Mogą do nas zejść? Oszczędzimy sporo czasu, gdy porozmawiamy wszyscy razem.

Łatwiej też będzie ocenić ich reakcje i zobaczyć, czy próbują sobie nawzajem pomagać, ale zachowała to dla siebie.

–Ależ oczywiście, oczywiście. Merritt, możesz poprosić Kymmi i Arden? Kym jest chyba na górze, próbuje się zdrzemnąć. A Arden jest w pokoju nagrań albo gdzieś indziej? Może w swoim pokoju? Pewnie ogląda telewizję.

Merritt kiwnął głową i wyszedł, rzuciwszy Chess uspokajające spojrzenie, jakby myślał, że będzie się denerwować. jeśli zostanie sam na sam z Rogerem.

Chociaż chyba nie o to chodziło. W głowie czarownicy zrodziło się pewne podejrzenie, które nie było niczym zaskakującym, ale rozbudziło jej ciekawość. Może wszystkie znane osoby tyle gadały. Nie interesowała się nimi ani ich życiem, ale trudno było nie czytać nagłówków gazet i nie słyszeć plotek. Wiedziała, że większość ludzi sądzi, iż gwiazdy mają rozdęte ego i dlatego tak dużo gadają.

Nie sądziła jednak, żeby akurat to było przyczyną nadzwyczajnej elokwencji Rogera Pyle'a. Ani nerwy. A kiedy przysiadł naprzeciwko niej, na wypolerowanym stoliku do kawy, wiedziała już, że ma rację.

Roger Pyle był na totalnym haju.

Jego źrenice przypominały czarne plamki kurzu, zanurzone w słynnych złotobrazowych tęczówkach. Rozglądał się wokół i na niczym nie mógł się skupić. Koniuszkiem kciuka pocierał o kostki palca wskazującego, w tę i z powrotem, w tę i z powrotem – jakby grał na maleńkich skrzypcach. A jego puls bił tak mocno, że wyraźnie widziała tętnicę na szyi mężczyzny. Na pewno nie kłamał, mówiąc, że ma trudności ze spaniem. Patrząc na niego, miała poważne wątpliwości, czy udałoby mu się zasnąć nawet po hektolitrach płynnego dreamu.

–Tak się cieszę, że pani przyszła – powtórzył, patrząc w sufit, przez okno i zaraz potem na własne uderzające w podłogę stopy. – Mieszkamy tu zaledwie trzy miesiące, wie pani? Zbudowaliśmy dom, wprowadziliśmy się... To dom naszych marzeń. Moich i Kymmi. Mojej żony Kym i naszej córki Arden. Pozna je pani, kiedy Merritt je przyprowadzi.

–Dlaczego pan się tu przeprowadził?

–Robię program telewizyjny. Zakon? To komedia.

–Oczywiście.

–I mówi się też o filmie. Dla mnie, nie dla programu, więc nie musiałbym tak dużo pracować, nie musiałbym siedzieć w Hollywood. Myśleliśmy, że dla Arden byłaby to szansa na normalne dzieciństwo. Chcieliśmy mieszkać w mniej szalonym miejscu, bardziej zdrowym. Mówiłem producentowi, że chcę tu założyć studio, nagrać film...

Chess ukryła rozbawienie, sięgając po torbę i wyciągając z niej notes i długopis. Czy on mówił poważnie? Triumph City to bagno. Poprzedniej nocy badała sprawę zamordowanej prostytutki i była świadkiem walki gangów.

Ale może miał rację. Dla takich ludzi jak on, Triumph City mogło być normalne. Nie

mieszkał przecież w Dolnej Dzielnicy, ani nawet w Północnej czy Cross Town. Białe ceglaste monstrum, które zbudowali z żoną, znajdowało się poza granicami miasta, gdzie ulice robiły się szersze, a domy większe. Niegdyś tętniące życiem przedmieście dopiero zaczynało się odbudowywać po tym, jak Nawiedzony Tydzień zdziesiątkował ludzkość i sprawił, że ocalali szukali bezpieczeństwa, mieszkając niemal w komunach.

Wystarczyło, że pomyślała o hektarach pustej Przestrzeni rozciągających się poza murami domu, i miała wrażenie, że jest obserwowana. Nie wspominając już o tym, że przebywanie w towarzystwie kogoś, kto był tak naspeedowany, jakby przeniósł się w zupełnie inny wymiar; wystarczyło, żeby zaczęła się niespokojnie wiercić. Mocniej ścisnęła długopis i rozejrzała się po pokoju, mając nadzieję, że uda jej się opanować.

Ktoś ją obserwował. Jasnowłosa kobieta, której zadarty nos był równie sztuczny, jak lawendowy kolor oczu, gapiała się na Chess. Włosy opadały w miękkich puklach na ramiona, w stylu gwiazdy porno, a obcisła sukienka w kolorze kości słoniowej podkreślała pełny biust i brzuch tak twardy, że można było odbić od niego ćwierćdolarówkę. Ale nie było w niej nic seksownego, żadnej ciepłej iskierki. Nic, co wskazywałoby na to, że za tymi niesamowitymi oczami mogło się kryć coś ciekawego.

–Kymmi, kochanie – zaczął Roger, zerwawszy się na równe nogi. – To jest Cesaria Putnam, z Kościoła. Przyjechała w sprawie...

–Wiem, kim ona jest. – Kym Pyle rzuciła mężowi spojrzenie, które mogło przeciąć szkło. – I nie siadaj na stoliku do kawy. Tyle razy cię o to prosiłam.

To by było tyle, jeśli chodzi o kochającą się rodzinę. Może pod tą miękką dzianinową sukienką nie było mięśni i silikonu, tylko stal i mikroczipy?

–Przepraszam, kotku. Zapomniałem.

Kym go zignorowała, odwracając pogardliwe spojrzenie w stronę nowo przybyłej. Przez ułamek sekundy Chess zobaczyła siebie oczami tej kobiety – farbowane na czarno włosy z grzywką w stylu Bettie Page, wyblakły czerwony sweterek i czarne dżinsy, zakurzone botki na płaskich obcasach. Nic. Nikt ważny, ulicznica bez żadnych znanych przodków. To nic, że Chess celowo dążyła do tego, by sprawiać takie wrażenie, gdy pracowała nad sprawą. I tak trochę bolało.

Szybko się otrząsnęła. Nie przyjechała tu z towarzyską wizytą. Zjawiała się, by zapuszkować czyjś tyłek za próbę oszukania Kościoła, a była w tym cholernie dobra.

Odwzajemniła spojrzenie królowej dziwek i przykleiła do twarzy szeroki uśmiech.

–Bardzo mi miło panią poznać, pani Pyle. Może pani usiądzie? Mam sporo pytań.



**Kym uniosła wyskubaną brew, ale nic nie powiedziała. Usiadła na jednym z foteli, elegancko krzyżując nogi w kostkach.**

**Przez kilka minut siedzieli, słuchając, jak Roger zgrzyta zębami, aż w końcu weszła Arden Pyle. Wyglądała na czternaście lat, była ładna, miała szare oczy i przygnębiony wyraz twarzy. Bezkształtny niebieski sweter zakrywał ją od szyi do połowy ud. Pod spodem miała niebieskie dżinsy. Odkryte paznokcie u stóp pomalowała na czarno. Z jakiegoś powodu Chess uśmiechnęła się na ten widok.**

**–W porządku – powiedziała. – Może powiecie mi teraz, kiedy to wszystko się zaczęło. Kiedy po raz pierwszy zobaczyliście ducha? Daty, miejsca... cokolwiek pamiętacie.**

**–To wszystko nie ma sensu – oświadczyła Arden, a jej ton ostro kontrastował ze słodką, małą, okrągłą buźką.**

**–Arden, kochanie, pozwól pannie Putnam...**

**–Ale to nie ma sensu. – Arden rzuciła ojcu gniewne spojrzenie. – Bo ja wiem, że to wszystko lipa.**

## ROZDZIAŁ 6

–Arden! – Skóra Kym Pyle poczerwieniała pod perfekcyjną maską makijażu. – Jak śmiesz tak mówić!

Roger rzucił Chess niespokojne spojrzenie, choć wątpiła, by mógł skupić na czymkolwiek wzrok, i powiedział:

–Arden, kochanie, wiesz, że to nieprawda. Jesteś bardzo niesprawiedliwa. Mamusia i tatuś nigdy by czegoś takiego nie zrobili.

Arden skrzywiła swoją ładną twarzyczkę i rzuciła mu gniewne spojrzenie.

–Chyba żartujesz.

–Panno Putnam, zapewniam panią, że nic takiego nie robimy. Nasza córka ma bardzo bogatą wyobraźnię.

Może tak, może nie, pomyślała Chess. W którymś momencie pogada sobie z Arden na osobności. Nie dzisiaj, bo będą ją obserwować, ale przy innej okazji.

–W porządku, Rogerze. Wróćmy więc do mojego pytania, dobrze? Kiedy po raz pierwszy widzieliście zjawę?

–To wszystko bzdury – powtórzyła Arden. Chess przygotowała się na kolejne nagany ze strony rodziców, ale żadne z nich nie zareagowało.

Zamiast tego odezwała się Kym:

–Byłam w mojej pracowni. Haftuję. Szykuję gobelin z naszym drzewem genealogicznym na tamtą ścianę. – Wskazała głową za Chess, ale ta się nie odwróciła – Właśnie kończyłam imię mojej prababci, gdy zdałam sobie sprawę, że zrobiło się zimno, chociaż miałam na sobie sweter. Wstałam, żeby poprosić kogoś ze służby, by podkręcili ogrzewanie i... – Zacisnęła dłonie na kolanach. – To była kobieta. Wyglądała na przerażoną. Spojrzałam za siebie, żeby zobaczyć, na co patrzy, ale niczego nie dostrzegłam. Myślałam, że to może ktoś ze służby, ale kiedy się odwróciłam, już jej nie było.

–Ja widziałem mężczyznę – zaczął Roger. – W jednym z pokoi gościnnych. Poszedłem, żeby sprawdzić, czy czegoś nam nie trzeba, spodziewaliśmy się gości...

Arden prychnęła.

Zignorował ją.

–Pomyślałem, że zerknę na łazienkę w ich pokoju. Upewnię się, że nie brakuje szamponu czy pasty do zębów, wie pani, tego, co może być ludziom potrzebne. I wtedy go zauważyłem. Stał pod oknem. Zdaje się, że to był mężczyzna... Tak czy siak, był wyższy i szerszy w barach niż kobieta, ale zanim zorientowałem się, że to nikt ze służby, już go nie było.

–Co czułeś? Zimno, zdenerwowanie, strach, cokolwiek dziwnego? – Nie wszyscy odczuwali obecność ducha, ale i nie wszyscy o tym wiedzieli.

–Nic. Tak jak mówiłem, myślałem, że to ktoś ze służby, że czekał na mnie albo chciał trochę odetchnąć. Nie przeszkadza mi to, jeżeli tylko wszystko jest zrobione. – Podchwycił niezadowolone spojrzenie Kym. – Nie przeszkadza mi i już. Ale pomyślałem, że to dziwne, że nie zareagował na moje powitanie. A potem nagle... zniknął.

–Czy to się stało w ciągu dnia?

–Tak. Było około piątej. Ale teraz tak szybko się ściemnia. – Wzdrygnął się. – Noce są takie długie.

–Od tamtej pory sytuacja się pogorszyła?

Państwo Pyle pokiwali głowami. Arden nie zmieniła pozycji, siedząc z założonymi rękoma i znudzonym wyrazem twarzy.

–Dwa tygodnie temu zostaliśmy zaatakowani w trakcie snu – ciągnął Roger, – Kymmie została ranna. Od tamtej pory jest jeszcze gorzej. Nie chodzimy sami pod prysznic. Nocą w ogóle nigdzie nie chodzimy sami. Nie po domu.

Chess przejrzała stertę zdjęć, którą miała na kolanach, aż w końcu znalazła to, którego szukała. Domyślała się, że to Kym. Zdjęcie przedstawiało umięśnione kobiece plecy pokryte długimi, płytkimi zadrapaniami. Podniosła je.

–To pani, pani Pyle?

–Tak, Do tej pory mam ślady.

–Pokaż jej, mamó. – Arden zwróciła się do Chess. – Mama lubi pokazywać innym swoje ciało, prawda, mamó?

Kym wyglądała tak, jakby miała ochotę ją spoliczkować, ale zachowała spokój.

–Chce je pani zobaczyć, panno Putnam?

–Jeżeli nie ma pani nic przeciwko, to mogłoby pomóc.

**Kym podniosła się i odwróciła, krzyżując z przodu ręce, by chwycić za spód sukienki. Chess otworzyła usta, by coś powiedzieć. Nie chodziło jej o to, żeby kobieta rozbierała się przed córką, ale było za późno. Sukienka uniosła się, ukazując jedwabne stringi i szczupłe plecy przecięte paskiem stanika w identycznym różowym kolorze.**

**Udając, że nie ma w tym nic nieprzyzwoitego, Chess wstała i podeszła bliżej. Zadrapania nieco przyblakły.**

**Nie przypominały już wściekłych, nabrzmiałych ran ze zdjęcia, były wąskie i pokryte strupkami. – To się stało dwa tygodnie temu?**

**–Nie chciały się zagoić – wyjaśnił Roger. – Próbowaliśmy wszystkiego. Dopiero co zaczęły się zablizniać.**

**–Actibac? – zapytała Chess, nie mogąc się powstrzymać.**

**–Tak, skąd pani wie?**

**–Często się kaleczymy, więc jesteśmy na bieżąco. – Usiadła z powrotem na miejscu, mając nadzieję, że Kym zrozumie aluzję i opuści sukienkę, ale minęło dobrych trzydzieści sekund, zanim kobieta w końcu obciągnęła cienki materiał, zakrywając ciało.**

**–Szkoda, że o tym nie wiedziałem. Mogliśmy po prostu zadzwonić do Kościoła i zapytać. Byłoby super, co, Kymmie?**

**Żona rzuciła mu cierpki uśmiech, ale nie spuszczała wzroku z czarownicy.**

**Jeżeli tej dziwce wydawało się, że potrafi speszyć Chess i sprawić, żeby czarownica poczuła się nieswojo, to grubo się myliła. Chess przewróciła lekko oczami, odwróciła wzrok i sięgnęła po spektrometr.**

**–W porządku, może oprowadzicie mnie teraz po domu? Pokażecie mi, gdzie widzieliście zjawy i gdzie zdarzyły się ataki. Zobaczymy, co uda nam się znaleźć.**

**Kościół utrzymywał dla swoich pracowników kilka muzeów. Chess szczególnie lubiła synagogę. Pracownicy nosili tam małe czapeczki, niegdyś zwane jarmułkami. Dom Pyle'ów przypominał jej jedno z takich muzeów. Salon urządzone z taką samą starannością, był też równie bezosobowy.**

**Wspięli się na górę po uroczych, kręconych schodach prowadzących na długi korytarz. Okna na każdym z jego końców przypominały puste białe dziury, zakryte roletami. Światło, które mogło wpadać do środka, było bezużyteczne, ponieważ na całej długości korytarza rozmieszczono jaskrawe elektryczne żarówki. Te wszystkie**

**zapalone światła musiały kosztować fortunę.**

**Dziesięć pokoi, w tym główna sypialnia, pokój Arden, pokój komputerowy, biblioteka i spa. Pozostałe pomieszczenia stanowiły pokoje gościnne, różniące się jedynie kolorem.**

**Spektrometr Chess co jakiś wydawał z siebie ciche piknięcie, kiedy wraz z Pyle'ami zwiedzała każdy pokój gościnny i łazienkę. Ale robił to niezbyt często i nie na tyle mocno, by mogła coś wyczytać. Za to dokładnie zapamiętała rozkład budynku. Jeżeli państwo Pyle nie spali w nocy, trudno jej będzie zakraść się do nich po zmroku i użyć Rączki Chwały, by wzmocnić ich sen i trochę się rozejrzeć. Oczywiście, biorąc pod uwagę całą tę ochronę, wizyta po zmroku i tak była dość ryzykowna, czy właściciele będą spać, czy nie. Miała wrażenie, że ochrona jest tu świetnie wyszkolona. Może Merritt...?**

**Nie. Nawet gdyby mogła go o to prosić, nie powinna tego robić. Byłaby głupia, gdyby mu zaufała. Rok czy dwa wspólnej historii nie czyniło ich przyjaciółmi.**

**–Rogerze – zapytała, przerywając mu w pół zdania. Właśnie pokazywał, gdzie widział ducha młodego mężczyzny wychodzącego z łazienki. – Wiesz, gdzie są granice dawnego budynku? Tego, w którym dokonano morderstwa?**

**–Fundamenty i ściany zostały zburzone, zanim kupiliśmy tę ziemię. Ale z tego co wiemy, to chyba tam, gdzie są północne ściany, gdzie nasza sypialnia. Z szacunkowych pomiarów, które dostaliśmy od naszego rzeczoznawcy wynika, że tamten budynek kończył się gdzieś za tym pokojem. – Wskazał na drzwi. – W tamtej części domu nie widzieliśmy żadnych duchów, przynajmniej na razie.**

**–Śpicie tam?**

**Pyle'owie wymienili spojrzenia, nawet Arden, która w trakcie całej wycieczki nie odezwała się ani słowem.**

**–My po prostu nie śpimy w nocy – stwierdziła Kym – W żadnym z pokoi.**

**–Arden czasami nocuje u koleżanki – dodał Roger, – A ja i Kym śpimy w salonie.**

**Chess pokiwała głową. Może powinna użyć zaklęcia odstraszającego, żeby zatrzymać ich na dole. Wtedy mogłaby rozejrzeć się trochę na górze, ale to by wszystko skomplikowało. Nawet jeśli udałoby jej się wymyślić sposób, by dostać się do środka.**

**Wrócili korytarzem do głównej sypialni, ostatniego pokoju po prawej stronie. Chess spodziewała się urządzonego z rozmachem pokoju. Zobaczyła łóżko, które wielkością przypominało koję, i kawałek materaca pokryty jedwabnym prześcieradłem. Nad nim**

wisiał ogromny obraz nagiej Kym. Czy to właśnie miała na myśli Arden, gdy powiedziała, że matka lubi pokazywać ciało?

Kym wyglądała na zadowoloną. Leżała na boku, na czymś co przypominało futro, cóż za oryginalność. Jedną ręką skromnie zakrywała jasne pukle między nogami, a drugą zarzuciła z tyłu za głowę. Piękny obraz, przyznała Chess, ale i tak... Nic dziwnego, że Arden chodziła taka naburmuszona, gdy musiała porównywać swoje rozwijające się wdzięki z najlepszym ciałem, jakie można było kupić.

–Tej nocy, kiedy nastąpił atak – zaczęła – co się właściwie stało?

–Było ciemno. – Roger chyba powoli zaczynał odchodzić. Jego wzrok nie był już taki szklany. – Nie pamiętam, kiedy zasnąłem ani jak się obudziłem. Tylko... coś usłyszałem. Jakiś ruch w pokoju i wrzask Kymmi. I nie czułem swoich dłoni... To coś się śmiało i wrzeszczało – Zamrugał powiekami, powstrzymując łzy. Chess przypomniała sobie, że facet jest aktorem. – To byto okropne.

Kym się nie odzywała. Chess zanotowała w pamięci, żeby sprawdzić jej sprawozdania finansowe. Akta zawierały wyciągi z kilku kont, ale wszystkie były wspólne. Jeśli Kym szukała sposobu, by zakończyć to małżeństwo i zgarnąć jak najwięcej forsy, sfingowanie nawiedzenia było skutecznym, chociaż nieco zawiłym i ryzykownym sposobem, żeby to zrobić.

Było też bardzo niedyskretnym sposobem i mogło zakończyć karierę Rogera Pyle'a.

Powoli i uważnie rozejrzała się po reszcie pokoju. Spektrometr cicho popiskiwał w nowej kaburze przyczepionej do jej pasa. Dwie komody, dwie nocne szafki ze zdobionymi uchwyty. Wszystko w pokoju miało swoje lustrzane odbicie. Cóż za wyobraźnia. Gdyby Kym nie wyszła za faceta, za którego wyszła, pomyślała Chess, pewnie byłaby jedną z tych kobiet, które wieszały na ścianach gipsowe kaczkę i zbierały ręcznie malowane talerze.

Kiedy Chess chodziła w tę i z powrotem po pokoju, spektrometr cały czas miarowo pikał, przyspieszył przy łóżku, zwolnił przy oknie, aż w końcu rozszalał się na dobre przed zamkniętymi drzwiami po prawej stronie. Zerknęła na nie.

–Łazienka – wyjaśnił Roger.

Weszła do środka.

Nie, Kym nie należała do kobiet, które miały zahamowania. Okno w łazience nie miało rolet ani firanek. Zimne białe światło zalewało marmurową wannę i podłogę, odbijając się w lustrze po prawej stronie Chess. Latem mogło być tu całkiem ładnie. Teraz było sterylnie jak w szpitalu i cicho jak na cmentarzu.

**Ale coś w tym pomieszczeniu żyło. Spektrometr nie przestawał pikać, a jego wysoki dźwięk odbijał się od marmuru, aż w końcu przeszedł w przeciągły pisk. Serce Chess zaczęło bić mocniej. Nie słyszała własnych kroków, gdy stąpała po lśniącej podłodze. Gdy chodziła w tę i z powrotem, próbując znaleźć źródło pikania. Próbując odnaleźć ducha. Napięła mięśnie. Wiedziała, że nie jest sama. Martwe oczy obserwowały ją z miejsca, którego nie widziała. Skóra jej ścierpła i zaczęła mrowić, a tatuaże zaczęły się rozgrzewać, czekając na to, co miało się wydarzyć. Cokolwiek to miało być.**

**Ale nic się nie stało. Po chwili poczuła, że się rozluźnia. Pikanie spektrometru wcale nie musiało oznaczać, że jest tu jakiś duch, a jedynie, że kiedyś się tu pojawił. A istniały przecież sposoby, nielegalne sposoby, by oszukać nawet spektrometr. Nie bardzo wiedziała, jak można ich tutaj użyć, nie było zbyt wiele miejsca, by je ukryć, ale kto wie...**

**Pokręciła głową. Jeszcze nie czas, by myśleć o tym jak o prawdziwym nawiedzeniu. Przez to wszystko się wystraszyła. Zły ruch. Czas się stąd zabierać.**

**Ale gdy się odwróciła, by odejść, uderzył ją ten zapach. Był tam od chwili, gdy przekroczyła próg, ale bardzo subtelny, prawie nieuchwytny. W chwili gdy go poczuła i rozpoznała, zrobił się silniejszy. Śmierć. Rozkład. Gnijące resztki, wijące się pod powierzchnią ziemi. W tej woni kryło się wszystko co plugawe i złe, zostało w nim uwięzione i przekazane.**

**Nadal czuła się bezpiecznie. Nawet tatuaże przestały ją laskotać. Ale smród pozostał, unosząc się w powietrzu jak szept. Sprawdziła odpływ wanny, zastanawiając się, czy zapach nie pochodził właśnie stamtąd, ale nie był tam silniejszy niż w innych miejscach.**

**Została jeszcze podwójna umywalka pod lustrem. Stopy Chess poruszały się tak, jakby były zanurzone w błocie. Nie potrafiła myśleć o niczym innym, tylko o zapachu. Nie potrafiła się na niczym innym skupić. Wzrok jej się rozmywał, w uszach zaczęło dzwonić i rozbolała ją głowa.**

**Umywalki były białe, lśniące i czyste na tle ciemnozielonych blatów. Chess miała wrażenie, że w tym miejscu zapach był silniejszy, ale nie była tego absolutnie pewna. Zaczynała wątpić, czy kiedykolwiek uda jej się jeszcze zaczerpnąć świeżego powietrza. Gdy pomyślała o bakteriach, które niosła ze sobą ta woń, o plagach i epidemiach, nie mogła się zmusić, by sprawdzić drugą umywalkę.**

**Nie musiała. Kątem oka zauważyła jakiś ruch. Instynktownie się odwróciła i zobaczyła pełzającego po brzegu umywalki karalucha, jego czarny pancerz wyglądał obrzydliwie na tle nieskazitelnie czystego marmuru. Po chwili pojawił się następny, i następny. Chess zmusiła się, by zrobić krok do przodu, uważając, by trzymać się jak najdalej od blatu. Coś zakotłowało się w odpływie i usłyszała suchy szelest**

**ocierających się o siebie chropowatych pancerzy.**

**Zacisnęła pięści. Z odpływu wyleciała kropelka czerwonego płynu i wylądowała na lustrze. Chess poczuła, jak skręca jej się żołądek, gdy po pierwszej kropli pokazała się następna, a potem trzecia. Po chwili z odpływu wypłynęła krew, kleista czerwona ciecz, w której pływały wijące się ciała.**

**Nie zdawała sobie sprawy, że odsuwała się od umywalek, dopóki nie uderzyła udem w wysoki, chłodny brzeg wanny. Zachwiała się, nie mogąc oderwać oczu od jęczącej, bulgoczącej mazi.**

**Chwyciła brzeg wanny, by utrzymać równowagę. Nie będzie wymiotować... Po prostu nie. To też można było sfingować. Nie była to trudna sztuczka. Nawet miedziany, cierpki zapach krwi, który wyczuwała pod silniejszym odorem rozkładu, dało się podrobić. Co prawda nigdy wcześniej nie spotkała się z czymś tak skomplikowanym, ale też nigdy jeszcze nie prowadziła sprawy milionera.**

**–W porządku – odezwała się i jej własny głos ściągnął ją z powrotem na ziemię. Trzeba się stąd wynosić. Każda komórka w jej ciele krzyczała, że czas uciekać. Wróci tu później, zbada sprawę, rozejrzy się. Miała plany domu wiedziała, jak funkcjonuje rodzina i jakie panowały między nimi stosunki, niczego więcej nie potrzebowała.**

**Odzyskała panowanie nad sobą i wymaszerowała z łazienki z szerokim uśmiechem na twarzy, od którego rozboleły ją policzki. Oto strategia Demaskatorów – nigdy, ale to nigdy nie można było dać po sobie poznać, że widziało się coś nadzwyczajnego albo przerażającego. Jeśli to wszystko wyreżyserowali, zaczną się zastanawiać, dlaczego niczego nie powiedziała, a to wyprowadzi ich z równowagi. Jeśli nie, mogliby pomyśleć, że przyznała im rację.**

**–W porządku – stwierdziła. – Chyba mam już wszystko, czego potrzebuję, więc wrócę do Kościoła i zacznę pisać raport. Niedługo się odezwę.**

**–Niedługo? Kiedy? – Kym nie wyglądała na zadowoloną.**

**–Eee... może jutro? Po zmierzchu. Oczywiście zwykle nie pracujemy w Dzień Święty.**

**Kobieta się skrzywiła.**

**–Jutro wieczorem wydajemy przyjęcie. Arden nie będzie w domu.**

**Tak! Wreszcie coś szło po jej myśli. Szanse, że niepostrzeżenie wejdzie do domu, będą o wiele większe, jeśli wokół będzie pełno ludzi. A jeśli jeszcze Arden zanocuje u koleżanki...**



**–No właśnie, jeszcze nie widziałam twojego pokoju – zwróciła się do dziewczyny, – Mogę tam zajrzeć przed wyjściem? Jeśli zrobimy to dzisiaj, będziesz mogła mi towarzyszyć i nie naruszę twojej prywatności.**

**Arden nie wyglądała na przekonaną, ale zaprowadziła Chess do drugich drzwi na lewo. Dziwne... Dlaczego jej drzwi nie znajdowały się naprzeciwko pokoju rodziców?**

**Ciemne zasłony w oknach sprawiały, że pokój przypominał jaskinię. Chess ostrożnie stąpała po bezbarwnych, luźnych stertach ubrań rzuconych na podłogę. Rozsunęła zasłony. Wystarczyła sekunda, by wyciągnąć kabel od alarmu i otworzyć okno. Oczywiście ktoś mógł to zauważyć, ale przynajmniej miała teraz większe szanse, by dostać się do środka, kiedy wróci później. Odwracając się, schowała kabel w dłoni.**

**Pokój wyglądał... jak zwyczajny pokój. Ściany pokrywały plakaty gwiazd muzyki pop – najwyraźniej Arden nie interesowała się gwiazdami filmowymi, co nie było znowu takie zaskakujące, biorąc pod uwagę, jak jej ojciec zarabiał na życie – a pozostałą powierzchnię zajmowały ciuchy i podręczniki. Błyszczący różowy telefon komórkowy i laptop, w tym samym kolorze, leżały na zdobionym białym biurku, które ginęło pod stosem naklejek, zdjęć i karteczek z numerami telefonów.**

**Pozostała część pokoju była granatowa i żółta, dość zaskakujący dobór kolorów, ale Chess domyśliła się, że to nie był wybór dziewczyny.**

**Jeszcze więcej ubrań wylewało się z szafy. Widząc nerwowe, ukradkowe spojrzenia rzucone przez Arden w stronę na wpół otwartych drzwi, Chess podejrzewała, że coś tam ukrywa. Ale nie było sensu teraz o to pytać. Nie, jeśli następnego wieczoru będzie miała okazję obejrzeć wszystko na spokojnie.**

**Rzuciła okiem na żółtą łazienkę, trzymając się jak najdalej od umywalki. A potem się pożegnała, zabierając ze sobą wizytówkę Rogera Pyle'a oraz palące pragnienie, by nigdy więcej tu nie wracać.**

**Nigdzie nie dostrzegła Merritta. Wsiadła do samochodu i wyjechała z garażu. Auto zostało przeszukane. Fachowo, ale i tak wiedziała, że to zrobili. Czuła ich zapach, wyczuwała twarde dłonie szperające w jej rzeczach i macające pod siedzeniami.**

**Drewniana brama po raz kolejny się przed nią otworzyła i już Chess nie było. Pędziła przed siebie, byle najdalej od tych murów, aż w końcu musiała się zatrzymać. Sięgnęła po cepty.**

## ROZDZIAŁ 7

–Tak, mógł zrobić ten znak – powiedziała, gdy Terrible zatrzymał samochód na chodniku. Płyta Johnny’ego Casha wyłączyła się wraz z przekręceniem kluczyka w stacyjce, zostawiając po sobie głuchą ciszę. – Duchy zazwyczaj tego nie robią, ale to możliwe. Albo mógł to gdzieś znaleźć, albo sama nie wiem. To musiało się stać, zanim umarła, ale nie mam pojęcia dlaczego.

–Wcześniej też znakował swoje ofiary?

–Nie. Przynajmniej w aktach niczego takiego nie znalazłam, a były... zdjęcia. – Kolejne martwe twarze w galerii, która ją prześladowała. Randy Duncan, Mózg, nastolatek, którego nie udało jej się ochronić parę miesięcy wcześniej... Jego drobna, blada twarz wciąż nie dawała jej spokoju. Musiała ustawić nowe łóżko w innym miejscu, na przeciwległej ścianie. Za każdym razem, gdy wchodziła do sypialni, widziała na starym łóżku cień jego nieruchomej, cichej i zimnej postaci o szeroko otwartych oczach.

–Może nauczył się jakichś nowych sztuczek w Mieście?

Pokręciła głową.

–Nie wiem.

Przyjął to bez komentarza i wysiadł z samochodu. Pozbawiony jego ciężaru wóz uniósł się parę centymetrów w górę. Chess czekała w ciepłym wnętrzu, aż podejdzie z drugiej strony i otworzy jej drzwi. Była to uprzejmość, do której zdążyła się już przyzwyczaić.

Bez martwego ciała leżącego na chodniku ulica wydawała się jeszcze bardziej przerażająca niż poprzedniego wieczoru. Przejmująco pusta. Daisy przepadła dawno zapomniana, jakby, umierając, zniknęła nie tylko z powierzchni ziemi, ale i z pamięci.

Chess oderwała wzrok od miejsca, w którym leżało ciało, i skinęła głową w stronę uliczki.

–Chodźmy najpierw tam. Póki jest jeszcze widno.

Pod ubraniem jej skóra była szorstka. Ledwie wróciła do domu, rzuciła się do łazienki i wzięła energiczny prysznic. Szorstka i łaskocząca. Energia nie była tak silna jak wczorajszego wieczoru, ale cały czas unosiła się w powietrzu.

–Wziąłem to – powiedział Terrible, wyciągając z bagażnika długą metalową latarkę. Kiedy się pochylił, zauważyła pod jego koszulą lufę pistoletu i cienką, okrągłą rączkę

**jakiejś innej broni.**

**To ją trochę uspokoiło. Nie, żeby miała jakieś wątpliwości. Terrible nigdy nie ryzykował.**

**Ona też nie. Miała w torbie wszystko, co mogło jej się przydać, gdyby znowu pojawił się duch Charlesa Remingtona, i parę rzeczy, których nie potrzebowała, ale i tak wzięła je ze sobą.**

**–Chcesz potem pogadać z Czerwoną Bertą? Może będzie miała dla ciebie coś nowego. O martwych się nie zapomina, kumasz?**

**–Chcesz powiedzieć, że dziwki nadal ich pamiętają?**

**–Tak. Nie zwierzają mi się, ale wiem, że mają swoje małe tajemnice. Coś, o czym nie chcą rozmawiać, przynajmniej nie ze mną ani z Bumpem. Nie z facetami.**

**–Aha, jasne. Będzie miała czas dziś wieczorem?**

**–Mogę do niej potem zadzwonić. Jak skończymy.**

**–Dobra. – Rozejrzała się i stwierdziła, że ulica jest pusta, ale wiedziała, że nie należy wierzyć w to, co się widzi. Szczególnie tutaj, gdzie z każdą kolejną sekundą pojawiało się coraz więcej cieni. Wyprostowała ramiona i weszła w uliczkę. Znowu poczuła wokół seksualną energię. – Myślisz, że tym razem będziemy sami?**

**–Slobag zawsze coś kombinuje – stwierdził Terrible. Nie była to wprawdzie odpowiedź, ale zawsze coś. – Jeszcze w czasie Festiwalu próbował ubić jakiś interes na Pięćdziesiątej Pierwszej, położyć łapy na takim jednym budynku. Myśleliśmy z Bumpem, że chce się tam urządzić.**

**–I co zrobiliście? Spaliliście go?**

**–Tak.**

**Gdy brała od niego latarkę, musnęła palcami jego dłoń. Zazwyczaj zaczynała od oglądania ścian i sufitu, jeśli taki był, ale w tym wypadku byłoby to raczej trudne, zaczęła więc od chodnika. Chodziła tam i z powrotem, badając każdy oświetlony centymetr.**

**Nie chciało jej się nawet pytać, czy kiedy wybuchł pożar, ktoś był w środku. I tak szanse rozkładały się mniej więcej pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Zresztą to nie jej sprawa.**

**–Slobag wie, że to ty?**

Nie widziała, jak wzruszył ramionami, ale była pewna, że to zrobił.

–Może. To bez znaczenia.

–Bo jesteś tu bezpieczny?

–Bo on zawsze będzie do nas coś miał. Powód nie jest ważny.

Od światła latarki odbiła się niewielka iskierka, ale kiedy Chess się nachyliła, okazało się, że to tylko kawałek potłuczonego szkła. Poświeciła na ścianę po lewej stronie, słysząc poruszenie wśród stworzeń, które zeszłej nocy słyszały jej rozmowę telefoniczną. Uciekały jak karaluchy... Fúj!

–Niektóre rzeczy są... – urwała. – Hej! Popatrz na to.

Ukucnął obok niej, uderzając ramieniem o jej ramię.

–Co?

–Tam, pióro. – W torbie miała jednorazowe rękawiczki. Oddała mu latarkę, włożyła rękawiczkę i między kciukiem a palcem wskazującym uniosła piórko. Mimo rękawiczek poczuła na ręce ciarki. To na pewno miało jakiś związek z morderstwem.

Terrible poświecił latarką na pióro i wtedy dostrzegła małe włoski, paski i plamki.

–Cholera.

–Co?

–To pióro sowy – oznajmiła.

–Tak?

–Tak. – Obróciła je w świetle, – Nie jestem pewna jakiej. Chyba puchacza, ale nigdy nie byłam najlepsza z ornitologii.

–Nie wiedziałem, że Kościół naucza o ptakach.

–Ptaki to psychopompy. Szczególnie ptaki drapieżne. A zwłaszcza sowy.

–Zabierają dusze do Miasta, tak? Do tego ich używacie?

–Nie. To znaczy tak, w normalnych okolicznościach. Tyle że my używamy specjalnie szkolonych psów. Ptaki są zbyt nieprzewidywalne. Trudno się z nimi pracuje przy rytuałach.

**–Po co duchowi ptak? Nie potrzebuje go, żeby się tu dostać, prawda?**

**–Nie jestem pewna. Rzeczywiście, nie potrzebuje go, ale... – Wolną ręką wyłowiła z torby kilka plastikowych woreczków. – Otwórz jeden, dobra?**

**Otworzył i przytrzymał, żeby mogła wsunąć pióro do środka. Jak tylko je zamknęła, od razu poczuła się lepiej.**

**–Duchy nie używają psychopomp – powiedziała powoli, próbując zmusić swój krnąbrny mózg do myślenia. – Nie umieją czarować. To znaczy potrafią pobierać energię, ale nie potrafią jej tworzyć.**

**–Psychopompy dają im energię?**

**–Nie. Mają jakąś moc, ale nie taką, której potrzebują duchy.**

**Tak jak myślała. Terrible zrozumiał, co chciała powiedzieć.**

**–Więc ktoś pracuje z naszym duchem, tak?**

**Pokiwała głową. Wokół niej unosiły się ściany uliczki, wyciągnięte do ponurego nieba niczym olbrzymie ręce, które chcą ją ukryć i zgnieść. Do tej pory ani słowem nie wspomniała o energii, którą wyczuła zeszłej nocy, ale nie mogła tego dłużej odkładać.**

**–Wczoraj... – zaczęła. Odchrząknęła i zaczęła jeszcze raz. – Zeszłej nocy zauważyłam... wyczułam moc magii, której użyli. To była magia erotyczna.**

**Cisza.**

**–Ci, którzy ją zabili?**

**–Tak, chyba tak. Jestem tego pewna. To było naprawdę silne, na jej ciele i wszędzie wokół.**

**–Wiele dziwek używa magii. To im ułatwia pracę? Może wyczułaś coś od innych?**

**–Nie. Też o tym pomyślałam, ale to wydawało się... bardziej mroczne, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Coś było nie tak. I nie mogła tego zrobić żadna z dziewczyn. Energia była zbyt silna. I zbyt męska.**

**Dziwne, wczoraj o tym nie pomyślała, ale teraz wiedziała, że to prawda. Moc była męska, zbyt ostra i agresywna jak na czary kobiety. Nawet takiej jak Czerwona Berta.**

**–Nie wiedziałem, że potrafisz to odróżnić.**

**–Magia każdego człowieka jest inna, to tak jak, odciski palców. Albo to, że każdy ma swój zapach to wszystko chemia, rozumiesz? Energia z moich czarów jest inna niż twoja czy kogoś innego. Jest wyjątkowa.**

**–Więc potrafisz wyczuć, kto to zrobił?**

**Pokiwała głową.**

**–Zazwyczaj, jeśli mogę to z czym porównać. Wtedy, z Lamaru, wiele osób brało udział w zaklęciu, więc ich energia się wymieszała i nie byłam w stanie jej określić. Ale jeśli mocy używa tylko jedna osoba, tak, potrafię to zrobić.**

**–Do diabła. Niezła jazda, Chess. Jesteś naprawdę dobra.**

**Próbowała ukryć rumieniec. Skupiła się na wkładaniu plastikowego woreczka z piórem do kieszeni torby.**

**–Dzięki.**

**–Nie wiedziałem, że ptaki gubią pióra zimą – stwierdził, podnosząc się. Chess również wstała i poczuła w nogach ból.**

**–Niektóre tak, wszystko zależy od... Chwila, masz rację. Puchacze nie gubią piór zimą. To ich okres godowy.**

**–Ale chyba samo nie wypadło, co? Ktoś je wyrwał?**

**–Cóż... Ptak mógł o coś zahaczyć, ale zdaje się, masz rację, pewnie ktoś je wyrwał.**

**Zabrała mu latarkę i poświeciła wokół, szukając czegoś, o co ptak mógł zaczepić. Na ulicy było sporo ostrych krawędzi, ale nic nie wyglądało tak, jakby mogło wyrwać pióro.**

**–Poważna sprawa, co? Wyrwanie pióra? Myślisz, że to ma związek z morderstwem?**

**–Naprawdę nie wiem. Skrzywdzenie psychopompy nie jest aż tak poważnym wykroczeniem, jak jej zabicie, ale to był pewnie przypadek. Pióra są często wykorzystywane w rytuałach, ale nie znam takich, w których nie zostają zniszczone. Zwykle się je spala.**

**–Hej! Popatrz na to. – Terrible przesunął kilka pudełek i się pochylił. Światło odbiło się od kawałka lustra, które trzymał w dłoni. Jego dolna część owinięta była skórą, zamieniając lusterko w prymitywny nóż. – Należało do Daisy.**

**–Skąd wiesz... Och! Przecież ją znałeś, cały czas zapominam.**

–Wszystkie znam. – Obrócił prowizoryczną broń w dłoniach, przyglądając się jej z większym skupieniem, niż to było konieczne. – Daisy nie była zła. Fajna laska.

–Przykro mi... Nie wiedziałam...

Wzruszył ramionami. Przywiązywanie się do kogokolwiek w Dolnej Dzielnicy było głupotą.

–Nie znałem jej za dobrze. Ale Daisy nie była głupia. Wygląda na to, że ktoś tu był z duchem, co nie? Nie wyciąga się broni przeciwko czemuś, czego nie ma.

Chess wzięła od niego lśniące ostrze.

–A może po prostu wypadło jej z torebki.

Prychnął.

–Z torebki dziwki nic nie wypada przypadkowo, Chess.

–Aha, dobra. Ale gdzie jest torebka? Nie widziałam jej, a ty? Może miała ją któraś z dziewczyn?

–Chyba nie. Któraś by coś powiedziała. – Zmarszczył brwi. – Różne rzeczy tam trzymają. Wszystko co mają.

–Forse?

–Tak. To, czego nie oddały Czerwonej Bercie dla Bumpa, ale... Dziwki są przewrażliwione na punkcie swoich torebek. Nie lubią, jak ktoś ich dotyka. Nikomu nie pozwalają do nich zaglądać. Trzymają tam też czary, jeśli ich używają. To taki przesąd. Jeśli się dotknie torebki innej dziwki albo pozwoli komuś, by dotykał twojej, zaprasza się pecha. – Wzruszył ramionami. – Ich ciała należą do każdego, kto zapłaci. A torebki są tylko ich. Nikogo innego, tylko ich.

Odchrząknęła.

–To ma sens. Chodź, szukajmy dalej.

Słońce niemal schowało się za horyzont, zbyt odległe, by rzucać choćby cień. Puste budynki po drugiej stronie ulicy wyglądały jak czarne kształty na tle płonącego czerwonopomarańczowego nieba. Wsunęła dłonie do kieszeni, by je ogrzać i ruszyła w dół uliczki.

Przestraszyła się, gdy zadzwonił telefon Terrible'a. Nie zatrzymała się, by posłuchać, o czym rozmawia. Gdzieś tu była metalowa skrzynia, na której siedziała zeszłej nocy, i chciała ją odnaleźć.

Brnęła przez sterty starych gazet – rozpadały się, gdy dotykała ich butami. Światło latarki odbijało się od ścian, od sterty śmieci i mebli, tak połamanych i brudnych, że nawet mieszkańcy Dolnej Dzielnicy nie wiedzieli, co z nimi zrobić. Nagle w mroku zaświeciły dwie czerwone plamki. Zabłąkany szczur obserwował ich z jakiegoś zakamarka.

Skrzynia cały czas tam była. Dlatego pomyślała, że pewnie nie ma żadnego związku ze sprawą. Zabójcy może nie zauważyli pióra i broni Daisy, przyrzuconych śmieciami, ale tego by nie zostawili. Ale i tak warto było do niej zajrzeć.

–Tak... Tak, jak będę mógł. – Terrible zatrzasnął klapkę telefonu. Obejrzała się za siebie.

–Wszystko w porządku?

–Taka jedna laska. Zapomniałem do niej zadzwonić.

–Amy?

–Nie widziałem jej od tygodni.

Uklękła przed skrzynią i przesunęła ręką po krawędzi, szukając zamknięcia.

–Co się stało?

–Nic się nie stało. Po prostu jej nie widziałem.

–A teraz spotykasz się z kimś innym i nie dzwonisz, chociaż obiecałeś. Wstydz się.

Przesunęła haczyk i podniosła wieczko, szybciej niż było to konieczne. Ręce wymknęły jej się spod kontroli. Nic dziwnego, wokół cały czas unosiła się ta cholerna magia, jak jakieś przesłodzone perfumy, powodując ból w miejscu, w którym nie chciała nic czuć.

Skrzynia była pusta. Zbyt pusta. Jej nieskazitelne lśniące wnętrze ostro kontrastowało z grubą warstwą brudu na zewnątrz.

–Przejdzie jej – stwierdził. Pochylił się, żeby zajrzeć do skrzyni. – Cholernie czysto jak na skrzynię leżącą na ulicy, nie?

–To samo pomyślałam. – Przechyliła pudło do siebie, żeby oświetlić każdy róg. Wtedy poczuła lekki zapach. Znajomy, zatechły. Nie przypominał zapachu z domu Pyle'a. Ta woń przywodziła na myśl Kościół, niebieskawe światło i ciepłe popołudnia spędzone na zajęciach o magicznych właściwościach ziół. Był to zapach rytuału.

Mogła go jedynie zapamiętać i wziąć głęboki wdech i spróbować odnotować w



pamięci wrażenia. Cokolwiek to było, nieczęsto zdarzało jej się poczuć ten zapach, bo szybciej by go rozpoznała. Mogła więc od razu wykluczyć podstawowe zioła banicyjne. Dawno też nie czuła niczego podobnego, nie były to więc także zioła, których zeszłej nocy użyła Madame Lupita.

Terrible pociągnął nosem.

–Pachnie jak ten gość, Tyson – oznajmił. – Jego skóra miała taki zapach.

–Naprawdę? Nie pamiętam.

–Nie podeszłaś tak blisko jak ja.

To prawda i była za to wdzięczna. Tyson był Gospodarzem, kimś, kto dogadał się z duchem i dzielił się z nim swoim ciałem w zamian za moc, w przeciwieństwie do Towarzysza, który dzielił się energią, ale nie ciałem. W przypadku Tysona nie chodziło raczej o zwyczajnego ducha, ale nie została, żeby się o tym przekonać. Zwłaszcza że Terrible go zaatakował i gość Tysona postanowił się ujawnić. Miała wrażenie, że to wszystko wydarzyło się bardzo dawno temu. A minęło zaledwie parę miesięcy.

–Myślisz, że użyli tej skrzyni, a potem ją zostawili? To się kupy nie trzyma.

–To prawda. – Zamknęła skrzynię. – Ale kto wie, dlaczego ludzie robią różne rzeczy. Może coś poszło nie po ich myśli. A może skrzynia już tu była i po prostu z niej skorzystali, a potem ją zostawili.

–Czujesz coś?

–Wibracje. Takie jak wszędzie, ta sama energia.

Pokiwał głową.

–Co jeszcze musimy sprawdzić?

–Cholera. Wszystko co się da. Nie ma większego sensu używać spektrometru, jeśli nie jest to aktywne nawiedzenie, a duch jest podróżnikiem, rozumiesz? Ale musimy się dowiedzieć czegoś o tym ludzkim Towarzyszu albo o czarownicy, która wezwała ducha. Jeżeli po to była im potrzebna psychopompa.

Ruszyli wzdłuż ścian. Terrible szedł za nią z latarką. Cegły aż wibrowały od energii, gdy dotykała ich dłońią. Coś się tu wydarzyło. Nie wiedziała tylko kiedy.

–Możesz przesunąć to krzesło, chcę za nie zajrzeć. W ciemnej uliczce Terrible wyglądał jak cień. Podniósł połamany szkielet krzesła i odepchnął na bok.

**Postawiła stopę na czymś żywym. Szczur. Zapiszczał, przeszywając swym wrzaskiem mrok, a ona jęknęła i odskoczyła do tyłu. Terrible chwycił ją za ramiona. Niepotrzebnie. Utrzymała równowagę.**

**Stała tak dłuższą chwilę, pozwalając, by jej dotykał, i walcząc z rosnącym pożądaniem spowodowanym przez te cholerne zakłęcia. Nie potrafiła oprzeć się tej potrzebie. Chciała, by ją trzymał w zimnym mroku, tuż obok miejsca, gdzie została zamordowana dziewczyna. Nie miała pojęcia, jakim cudem jego ręce były tak ciepłe, nawet zimą, ale żar, który sączył się przez sweter i płaszcz, był cudowny.**

**A byłoby jeszcze przyjemniej, gdyby nie strach, że w każdej chwili może pojawić się duch albo, co gorsza, ktoś od Slobaga. Była tu z Terrible'em sama i nie mogłaby zadzwonić do Lexa po pomoc. Na samą myśl aż zadrżała. A w każdym razie myślała, że to dlatego.**

**–Wszystko gra, Chess?**

**Odchrząknęła i wyślizgnęła się spod jego ciężkich dłoni.**

**–Tak, jasne. Chcę to już skończyć. Denerwuję się.**

**–Niepotrzebnie. Nie pojawiło się nic, z czym byśmy sobie nie poradzili, prawda? Ty i ja.**

**Poruszył latarką.**

**Odwróciła się, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, ale była zadowolona.**

**–Tak chyba masz rację.**

**–Zadzwonić do Czerwonej Berty? Sprawdzę, czy będzie mogła z tobą pogadać. Dobrze by było się czegoś dowiedzieć.**

**–Tak, dobra.**

**Gdzie miała speed? Ten dzień zrobił się o wiele dłuższy, niż przewidywała. Marzyła o swojej kanapie, nie do końca ciepłym mieszkaniu i zimnym piwie z lodówki. Westchnęła.**

**Normalnie nie brała speeda, kiedy próbowała pracować. Wiedziała z doświadczenia, że wpływał na jej reakcję na duchy, maskował je. Ale w tej chwili nie próbowała odnaleźć ducha. To, że duch istniał, było faktem i prawdą. Nie potrzebowała swoich zdolności, żeby się o tym przekonać. W tej chwili chciała tylko jakichkolwiek wskazówek i była cholernie zmęczona. Jechała na pięciu godzinach snu i miała pusty żołądek. Na dodatek cały czas trzymał mróz.**

**Terrible oddał jej latarkę i sięgnął po telefon. Zastanawiała się, ile numerów miał w pamięci aparatu. Pewnie więcej niż trzy, pomyślała, połykając kilka nipów.**

**Słyszała za plecami donośny głos Terrible'a. Nagle zauważyła na ceglach kilka kropel ekto plazmy. Żadna niespodzianka, tylko potwierdzenie. Duch i jego Towarzysz. Typowa milutka, psychotyczna parka.**

**–Berta jest zajęta.**

**Zerknęła w jego stronę. Stał niedaleko z żalonym wyrazem twarzy.**

**–Mówi, że w domu ma za dużo ludzi, żeby myśleć. Wszystkie dziewczyny tam są, no nie? Nie chcą chodzić po ulicach. Spróbujemy później.**

**–Dobra.**

**–Głodna?**

**Nie po takiej ilości speedu w organizmie. A przynajmniej nie, dopóki działa narkotyk. Ale miała ochotę na colę i mogła skubnąć kilka frytek.**

**–Stawiasz?**

**–Tak.**

**–To w porządku, dlaczego nie.**

**W knajpce przynajmniej będzie ciepło. Wiedziała, dokąd ją zabierze, zawsze tam chodzili. Do kafejki oddalonej parę przecznic od jej mieszkania. Lubił tamtejsze szejki i dawali mu, no i jej, gdy mu towarzyszyła, hamburgery z podwójną porcją wołowiny, więc byli całkiem w porządku. Wiedziała też, że będzie tam głośno, gwarno i jasno, a w tej chwili miała ochotę właśnie na coś takiego.**

**Przydałoby jej się trochę życia wokół.**

## ROZDZIAŁ 8

Istniało wiele ciekawych sposobów na spędzenie wolnego czasu po mszy w Dniu Świętym, ale Chess nie miała okazji, by się nimi nacieszyć. Szkoda. W domu czekało na nią kilka świeżo zrobionych skrętów, koc, w którym wcale nie było tak wiele dziur i płyta z dziesięcioma odcinkami serialu Rogera Pyle'a. Zazwyczaj inaczej spędzała wolny czas, ale i tak zapowiadało się całkiem przyzwoite popołudnie. A przyzwoite popołudnie było ostatnio na wagę złota.

Zamiast tego szła długim korytarzem łączącym główny budynek Kościoła z więzieniem, prosto do części przeznaczony dla duchów. Według rejestru Charles Remington powinien być osadzony w Więzieniu Dziesiątym. Chess miała zamiar sprawdzić, czy rzeczywiście tak jest.

Nie wiedziała tylko, czy wołałaby go tam zobaczyć. Jej kroki odbijały się echem po przypominającym tunel korytarzu, przez co miała wrażenie, że nie jest sama. Jakby cała armia podążała za nią w stronę sterylnej mroku Więzienia Dziesiątego, Ledwo się powstrzymała, by się nie obejrzeć. W tym korytarzu mogli przebywać jedynie pracownicy Kościoła. Musiała przyłożyć palec wskazujący do identyfikatora i użyć klucza, żeby się tu dostać. Drzwi zamknęły się za nią automatycznie i nie słyszała, by się ponownie otworzyły. Błada, szara poświata dnia wlewała się do środka przez przyciemnione szyby w wysokich oknach. Towarzyszyło jej jasnoniebieskie światło ze specjalnych żarówek zawieszonych pod sufitem. Ze wszystkich miejsc w Triumph City, w których mogłaby się w tej chwili znaleźć, to było najbardziej bezpieczne.

Wprawdzie włosy na jej karku wciąż się jeżyły, jakby nie do końca w to wierząc, ale miała świadomość wszystkich środków bezpieczeństwa, jakie tu zastosowano, i tylko to się liczyło. I chociaż więzienia dla duchów wydawały się okropne, nie były aż tak przerażające jak samo Miasto.

Większość ludzi nie podzieliłaby jej poglądu. Niewielu uważało, że wieczny spokój Miasta był przerażającą, wyizolowaną pustką.

Przycisnęła palec do identyfikatora przy drzwiach, a prawą ręką przekręciła klucz. Drzwi zabrzęczały, otworzyły się i Chess wkroczyła do więziennej poczekalni.

Dobrotliwa Chambers, więzienna Dobrotliwa, siedziała za biurkiem w czarnej czapeczce, nienagannie zawiązanej pod spiczastą, porośniętą włoskami brodą. Czasami Chess zastanawiała się, ile ta kobieta może mieć lat. W ciągu dziewięciu lat, od kiedy Chess była związana z Kościołem, nie zauważyła, by Dobrotliwa postarzała się choćby o jeden dzień, jakby w średnim wieku zamieniła się w siedemdziesięciolatkę i tak już zostało.

–Dzień dobry. – Kobieta sięgnęła po długopis, unosząc go nad rejestrem. – Masz

**Jakaś wiadomość czy chcesz się zobaczyć z więźniem?**

**–Chcę zobaczyć więźnia.**

**–Imię, nazwisko i data śmierci?**

**Chess podała wszystkie dane.**

**–Proszę tu podpisać.**

**Chess wzięła długopis, a Dobrotliwa zdjęła z wieszaka jasnoniebieską aksamitną szatę.**

**–Musisz to włożyć. Zwiedzałaś więzienie w trakcie szkolenia? Świetnie. Ubranie i rzeczy zostaw w szatni. Zawołam dla ciebie windę.**

**Palce Chess drżały, gdy rozwiązywała buty. Nie chciała tego robić. Zerknęła przez ramię, sprawdzając, czy w zamkniętych drzwiach nie ma żadnych otworów, ale niczego nie zauważyła. Dobrze. Będzie miała okazję połknąć kilka pigułek, w nadziei że choć trochę ukoją jej nerwy, zanim wsiądzie do windy. Okazywanie umarłym jakichkolwiek emocji, a zwłaszcza strachu, było poważnym błędem. A już okazywanie go uwięzionym duchom, zamkniętym w żelaznych klatkach i poddawanych torturom, było jak rozcięcie żyły i drażnienie krwią wygłodniałego tygrysa. Nie najlepszy pomysł.**

**Odsunęła od siebie tę myśl, skupiając się na czarnej kredzie, którą wyciągnęła z torby. Musiała nadać moc znakom, które rysowała na czole i prawym policzku, i zdecydować, które i niedokończonych tatuaży powinna aktywować. Większość z nich dokończono, ale niektóre były zbyt silne, by mogły być cały czas aktywne.**

**Kiedy skończyła rysować, całe jej ciało wibrowało od ciepła i mocy. Pigułki jeszcze nie zaczęły działać, ale nie miało to większego znaczenia. Wiedziała, że w końcu zaczną, i czuła, że da radę. To była jej praca. To była jedyna rzecz na świecie, w której była naprawdę dobra, i nie mogła sobie pozwolić na strach.**

**Szata pachniała kadzidłem i dymem, zapachami, które dodawały otuchy, gdyż przywodziły na myśl Kościół i... No dobra. Nie wiedziała, dlaczego zapach dymu miałby dodawać otuchy, ale tak właśnie było. Czuła się bezpiecznie, jakby cienki, wytarty materiał miał wytrzymałość zbroi. I w pewnym sensie tak było.**

**Dobrotliwa Chapman wręczyła jej teczkę Remingtona i torebkę ziemi cmentarnej.**

**–To tylko zwykła ziemia, ale w razie czego ci może.**

**–Dziękuję. – Chess miała przy sobie trochę melodii, którą wsunęła do kieszeni**

szaty. Nie była idealna, ale musiała wystarczyć.

–Masz piętnaście minut – poinformowała ją Dobrotliwa, otwierając drzwi do windy. – Potem uruchomimy alarm.

Chess kiwnęła głową.

–Dziękuję.

–Powodzenia. Fakty są prawdą.

–Fakty są prawdą – odparła. Drzwi od windy zamknęły się i została sama. Zjeżdżała głęboko pod ziemię, do świata zmarłych przestępców.

W Mieście Wieczności panowała cisza, pełna oczekiwana, bolesna, jak przed opadnięciem ostrza gilotyny. Od czasu do czasu słychać było szczękanie metalu, odbijające się szerokim echem w pustej przestrzeni.

Ale Więzienie Dziesiąte znajdowało się poza Miastem, a pierwszą różnicą było gorące powietrze buchające z szalejącego wokół ognia i skwierczenie ektoplazmy na rozgrzanych węglach. Chess była wdzięczna za ciekłą szatę, jej ciuchy po minucie byłyby mokre od potu. Duchy nienawidziły gorąca i nie lubiły ognia. Chess też za nimi nie przepadała, ale musi wytrzymać. Zresztą wystarczy, że sprawdzi, czy Remington jest na swoim miejscu, i będzie mogła wyjść.

Żelazna kładka brzęczała pod jej stopami, gdy ruszyła w stronę więzienia. Było tak olbrzymie, że nie widziała, gdzie się kończy. W rozgrzanej czerwonej otchłani bez dna, poprzecinanej jedynie płomieniami, widziała duchy zamknięte w zwisających z sufitów w żelaznych klatkach. Podłączono je do prądu o niewielkim napięciu, który nadawał im solidną postać i uniemożliwiał ucieczkę. Ucieczka zresztą i tak była niemożliwa, ponieważ każdy przedmiot w pomieszczeniu był zaklęty i naładowany magią.

Zmarli obserwowali ją pustymi oczami, z szeroko otwartymi ustami. Skóra ją swędziała, mrowiła i łaskotała tak mocno, że miała wrażenie, iż wszyscy to widzieli. Przez jej ciało przepływała moc, jakby wzięła co najmniej dziesięć kresek speeda. Tatuże zaczęły reagować na energią duchów, a mięśnie na ich nienawiść.

Po lewej stronie buchnęły iskry. Nienaoliwione koła zębate skrzypiały w zadymionym, dusznym powietrzu. Przez chwilę nie wiedziała, co się dzieje. Nie pamiętała, co robić. Udało jej się i w ostatniej chwili schyliła się pod rozgrzaną żelazną barierką, gdy pierwsza metalowa klatka przemknęła nad jej głową. Co godzinę lub dwie duchy przenoszone były w inne miejsce tortur. Niektóre miały wtedy przerwę. Chess wiedziała najlepiej ze wszystkich, że ten chwilowy spokój mógł być najgorszą torturą. Nawet duch wiedział, że to nie będzie trwać wiecznie. Czekał,

patrzył, jak mijają kolejne minuty, i wiedział, że ból znów się zbliża.

Przez szpary w barierce obserwowała przesuujące się nad głową klatki. Kropelki ektoplazmy leciały na kładkę i wyciekały przez dziury w kształcie rombu.

Wstała i ruszyła przed siebie, wpatrując się w jeden punkt. Jak długo tu była? Pięć minut, siedem? Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, był alarm.

Kładka zakręciła, lawirując między płomieniami. Po lewej stronie żelazne kolce w klatkach przebijały duchy. Po prawej dwie klatki bujały się w przód i w tył w wysokich niebieskich płomieniach. To były mniej surowe kary. Naprawdę straszne rzeczy działy się dużo dalej, nawet dalej niż szła Chess, żeby znaleźć Charlesa Remingtona. Jeżeli tam był.

Pot zalewał jej oczy. Wytarła go i skręciła za kolejny róg. Na każdej klatce umieszczono tabliczkę z imieniem i nazwiskiem ducha. Remingtona osadzono w tym sektorze.

Był tu.

Jego klatka wisiała do góry nogami nad kadzią gotującej się wody. Opuszczała się, wisiała tak kilka długich minut, a potem znowu się unosiła. Na szczęście przyszła w momencie, gdy był na górze, więc mogła mu się uważnie przyjrzeć i stwierdzić, że to rzeczywiście Charles Remington.

Na szczęście albo i na nieszczęście. Gdy przypomniała sobie zdjęcia z kostnicy – te puste oczodoły, o których nie mogła zapomnieć – cieszyła się, że dostał za swoje. Ale wiedziała też, że to oznacza zupełnie nowe problemy.

Remington siedział w więzieniu, jego duch był uwięziony w żelaznej klatce i torturowany. W więzieniu, a zatem nie na ulicach Triumph City, gdzie ktoś mordował prostytutki.

A jeśli to nie Remington... to kto?

\*\*\*

O tej porze w bibliotece można było znaleźć ledwie garstkę osób – Dobrotliwą bibliotekarkę, dzisiaj Dobrotliwą Martin, i kilkoro studentów z tyłu, zgromadzonych przy stole w sekcji podstawowej. Chess czuła na sobie ich wzrok, ale go zignorowała. Nie ich interes, kim jest, co robi i dlaczego do jej czoła przykleiły się przepecone strąki włosów.

To nie miało sensu. Jakiś duch polował na prostytutki. Duch, którego nie mogła namierzyć, a tym bardziej złapać na gorącym uczynku. A na pewno nie miała zamiaru

prosić któreś z dziewczyn, by odegrała rolę przynęty. I to wcale nie z altruizmu. Kto wie, co Bump albo Lex by zrobili, gdyby któraś z ich dziewczyn zginęła?

Za tym mogło stać Lamaru, nie miała żadnych wątpliwości. Ale nie sądziła, by to byli oni, nie tym razem. Oni się ujawniali. Byli o wiele bardziej dosłowni. Poza tym nie widziała związku między śmiercią kilku prostytutek a bezustannym dążeniem Lamaru do obalenia Kościoła.

Chess pokręciła głową i wyciągnęła aparat. Znak wypalony na skórze Daisy musiał coś znaczyć. Cokolwiek.

Ale nic jej nie mówił. Obraz na cyfrowym ekranie milczał, tak samo jak Daisy. Nigdy wcześniej nie widziała podobnych symboli, była tego pewna.

W porządku, więc to nie runy. Co dalej?

Chwyciła długopis i otworzyła notes na czystej stronie. Kopiowanie symboli mogło być niebezpieczne. Większość aktywowała się zaraz po narysowaniu, a ponieważ Chess nie miała pojęcia, co oznaczał znak wypalony na ciele dziwki ani co mógł zrobić, nie miała zamiaru kopiować go w całości. Zamiast tego próbowała oddzielić poszczególne elementy i poskładać je w całość.

To i tak pewnie nic nie da. Nawet jeśli dowie się, czym były poszczególne części, nie będzie wiedziała, co znaczą. Ale zawsze to było coś, a musiała się czymś zająć.

Ten kawałek tutaj, jeśli robi kółko, to może być „A” ... Ta część mogła być runem, może higan? Ale higan był znakiem ochronnym. Nie potrafiła sobie wyobrazić, po co ktoś miałby wypalać symbol ochronny na piersi kobiety, którą miał zamiar zamordować.

Cholera! Gdyby tylko umiała rozróżnić poszczególne warstwy, wiedzieć, które elementy się na siebie nakładają, mogłaby się dowiedzieć o wiele więcej o tym cholernym znaku. A tak...

–Dzień dobry, Cesario. Wszystko w porządku?

Zacisnęła palce, próbując zgnieść papier, ale w ostatniej chwili powstrzymała się przed wyrwaniem kartki z notesu. Nie było lepszego sposobu, żeby przekonać kogoś, że działo się coś dziwnego, niż niszczenie dowodów na jego oczach.

Starszy Griffin i tak by pewnie niczego nie podejrzewał, ale jednak.

–Tak, w najlepszym. A u pana?

Pokiwał głową. Bez kapelusza jego jasne włosy ułożyły się w fale na wysokim czole,



odbijając światło z fluorescencyjnej lampy, która wisiała na suficie.

Usiadł naprzeciwko niej, składając na stole dłonie.

–Jak ci idzie śledztwo?

–Chyba dobrze. Dowiem się więcej dziś wieczorem, kiedy tam wrócę.

–To bardzo ciekawa sprawa – stwierdził. – Muszę przyznać, że mam pewne wątpliwości.

–Wątpliwości?

–Roger Pyle cieszy się opinią uczuciowego i pracowitego człowieka. A ta jego organizacja na rzecz przeciwdziałania narkotykom... Zresztą, sama widziałas akta.

Organizacja na rzecz przeciwdziałania narkotykom? Cholera, nawet nie zadała sobie trudu, by przejrzeć materiały. Jeszcze. Zrobiłaby to, nie zapomniała, ale nigdy wcześniej nie słyszała o fundacji Światło Dnia. Bo nigdy nie zaprzętała sobie głowy czymś, co miało w nazwie „przeciwdziałanie narkotykom”.

Pokiwała głową i przykleiła do twarzy uśmiech.

–Oczywiście. To bardzo miły człowiek.

Tyle że gdy go poznała, był na totalnym haju. Hipokryta.

–Myślisz, że szybko znajdziesz rozwiązanie?

Kolejne kiwnięcie, bardzo przekonujące.

–Oczywiście.

–Świetnie. Lubię jego program. Mam nadzieję, że okaże się niewinny.

–Ale chyba nie chce pan, żeby był nawiedzony?

Roześmiał się lekko i była to jedna i tych nielicznych okazji, kiedy słyszała jego śmiech.

–Oczywiście że nie. Ale z tego, co wiem, ma wokół siebie dość... bezwzględnych przyjaciół. Trudno się dziwić, w jego zawodzie. Nikomu nie życzę niczego złego, Cesario, ale będę bardzo rozczarowany, jeżeli ktoś, kto sprawia ludziom tyle radości, okaże się kłamcą i przestępcą, kimś kto odrzuca Prawdę dla osobistych korzyści.

Jego obwiedzione czernią oczy zaśniły, gdy pokręcił głową.

**–Przepraszam, Cesario. Jestem dziś w nieco filozoficznym nastroju.**

**–Mogę panu w czymś pomóc? – Nie chodziło tylko to, że zawsze go lubiła. Miała ochotę zająć się problemem, który można było jakoś rozwiązać. A przynajmniej problemem dotyczącym kogoś innego, tak dla odmiany.**

**Ale pokręcił głową.**

**–Nie, dziękuję. To minie. Nad czym pracujesz?**

**–Słucham? – Zakryła kartkę ręką, przynajmniej na tyle, na ile mogła. Ale niewystarczająco. Niektóre narysowane przez nią gryzmoły i runy wystawały spod jej dłoni. – Och, to nic takiego. Tak się tylko wyglupiam.**

**–Mogę zobaczyć?**

**Cholera. Jak mogła mu odmówić, żeby to nie wyglądało podejrzanie? Nie mogła. Podała notes Starszemu, a policzki rozboleły ją od sztucznego uśmiechu.**

**–Tworzysz jakiś nowy symbol? – Zerknął na nią i zobaczył, że pokiwała głową. – To interesujące. Do czego ma służyć? Zdaje się, że do ochrony, widzę tu Higam. Ale po co są te elementy?**

**–Tak naprawdę, próbuję odtworzyć pewien symbol – Ogarnięta nagłym szaleństwem lub inspiracją, mieszanką obu tych rzeczy, chwyciła aparat. Zdjęcie zostało zrobione z bardzo bliska i nie było widać martwej twarzy Daisy. Do diabła, nie było nawet widać jej szyi. Nic nie wskazywało na to, że symbol, który pokazała Starszemu Griffinowi, widnieje na ciele trupa.**

**Gdyby nie przyglądała mu się uważnie, pewnie nie zauważyłaby lekkiego uniesienia brwi i mrugnięcia, zanim wygładził czoło. Czy to możliwe, że widział już kiedyś ten znak?**

**–Widziałam to któregoś dnia – powiedziała, zanim zdążył zapytać. Formalnie to nie było kłamstwo. – Pomyślałam, że wygląda interesująco.**

**–Na kim? Gdzie to widziałaś?**

**–Eee... w Cross Town. – To już było kłamstwo. – U jakiejś kobiety w restauracji.**

**–Tak... – Nie patrzył na nią.**

**–Starszy Griffinie? O co chodzi?**

**–Słucham? Och, nic takiego. Coś mi to przypomniało... cóż. Ten znak przypomina coś, co kiedyś widziałem, lata temu, kiedy mnie szkolono. Wiesz, że byłem jednym z**

**pierwszych objętych programem? Zanim Nawiedzony Tydzień udowodnił światu Prawdę.**

**Pokiwała głową. Zazwyczaj lubiła słuchać historii z czasów Przed Prawdą i o wczesnych latach Kościoła, ale dzisiaj miała na głowie ważniejsze rzeczy.**

**–Co to za symbol? I kiedy pan go widział? Jeśli wolno spytać.**

**Pokręcił głową.**

**–Nie... Gdy się nad tym zastanowiłem, to nie są do siebie podobne.**

**–Ale...**

**Odłożył aparat na stół.**

**–Przepraszam cię, moja droga. Jest później, niż myślałem. Powinienem już iść.**

**–Proszę, ja tylko... – Cholera! – Chciałabym wiedzieć, do czego służy. Myślałam, że... Wie pan, że lubię pracować z innymi departamentami. Pomyślałam, że jeśli poszerzę swoją wiedzę ezoteryczną, będę mogła częściej to robić. To wszystko. Może mi pan powiedzieć, do czego służy ten symbol? A może zna pan któryś z jego elementów?**

**Otworzyła szerzej oczy i wyduła lekko usta. Nie na tyle, by wyglądało na to, że chce go uwieść, ale na tyle, żeby wzbudzić jego sympatię. Przynajmniej taką miała nadzieję. Napięła każdy mięsień w ciele. Proszę, proszę...**

**Pochylił głowę, po czym znowu ją uniósł.**

**–Naprawdę nic o nim nie wiem. Zresztą, jak wiesz, mamy lepsze symbole. Takie, które zapewniają o wiele lepszą ochronę. Te, których uczono nas w czasach mojej młodości, nie były niezawodne, w odróżnieniu od tych, których używa się obecnie. Doceniam to, że chcesz się rozwijać, ale obawiam się, że akurat ta droga jest dość kręta i nie przyniesie ci nic dobrego.**

**–Chcę tylko wiedzieć, do czego służy ten symbol. Nie mam zamiaru go używać.**

**Westchnął i przyglądał się jej przez długą chwilę, aż w końcu jej oczy zaczęły się kleić i poczuła, że musi mrugnąć.**

**W końcu się odezwał.**

**–Przepraszam, moja droga. Nie mogę, nie dzisiaj. Może innym razem, do widzenia. Fakty są prawdą.**

**–Fakty są prawdą – powtórzyła, nie słysząc własnych słów. Nie słyszała też, jak stukał obcasami, gdy opuszczał czytelnię publikacji zakazanych.**

**„Kiedy mnie szkolono”, powiedział. Albo zrobił bezmyślnie, albo chciał jej dać jakąś wskazówkę. Tak czy siak, po chwili, w odległym rogu pokoju pod uśmiechniętym złotym Buddą, odnalazła stary podręcznik.**

**Budda i pozostałe relikwie zdobiące ściany czytelni były jednym z powodów, dla których lubiła tu pracować. Oczywiście w budynku Archiwum było ich więcej – stuletnie Biblie chrześcijańskie, drukowane na papierze tak cienkim, że niemal przezroczystym; całe pomieszczenie wypełnione scenami z narodzin Chrystusa, buddyjska świątynia zrekonstruowana pod wysokim dachem. Koran i dywaniki do modlitwy, statuetki hinduskich bożków ze złotymi liśćmi przyklejonymi do kamiennych ramion, które wyglądały jak dziwaczna wysypka.**

**To wszystko nie miało już znaczenia, ale obrazy nadal ją fascynowały. Kiedyś dawały ludzkości pocieszenie. Teraz stały w muzeum, udostępniane tylko tym, którzy otrzymali przepustkę. Jak szybko ludzie i przedmioty tracili na znaczeniu, jak szybko ci, których kiedyś czczono, odchodzili w zapomnienie.**

**Wzdrygnęła się, biorąc do rąk zakurzone książki i zerkając na spis treści, a potem przeglądając kolejne strony w poszukiwaniu symbolu. Jej nozdrza wypełnił zapach stęchlizny, który unosił się z kart podręczników, aż zaczęły ją piec oczy. Potarła je tyłem dłoni i szukała dalej.**

**W pierwszych trzech tomach niczego nie znalazła. Już miała się poddać, gdy nagle...**

**To nie był symbol, którego szukała, a przynajmniej niezupełnie. Wydawało się, że brakuje w nim czegoś. Jednej litery czy całego runu? Trudno powiedzieć. Może jednego, a może trzech. Napisy nakładały się na siebie. Ale lepsze to niż nic. Jakby ktoś naszkicował symbol, zanim go skończył.**

**Miała rację. To był symbol ochronny... Ale nie dla umarłych.**

**Symbol był przeznaczony dla pracowników Kościoła. Miał zatrzymać duszę w ich ciele w przypadku poważnych obrażeń.**

**Przypomniała sobie sprawę z lotniskiem Chester. Dotyczyła martwego faceta, którego dusza była uwięziona w ciele, zatrzymana przez magię i wykorzystywana do przekazywania energii złemu duchowi. Przez ułamek sekundy Chess czuła, jak krew krzepnie jej w żyłach. Cholera, nie mogło być jeszcze jednego...**

**Nie. Daisy nie żyła. Inne dziwki, o których mówili Terrible i Lex, też były martwe. Tylko dlaczego ich dusze zostały uwięzione w ciele, gdy ich ciała spustoszone i**

porzucono? Co oznaczały pozostałe runy symbolu i czemu służyły?

Westchnęła i zrobiła zdjęcie tej stronie, przybliżając obiektyw, by potem móc odczytać napis pod spodem. We wczesnym okresie Kościoła każdy pracownik miał obowiązek narysować ten znak na jakiejś części ciała, zanim przystąpił do walki z duchami. Pomyślała, że to całkiem niezły pomysł. Zastanawiała się, czemu się to zmieniło i dlaczego symbol przestał być używany. Nawet o nim nie uczono.

Szkolenie rozpoczęła, gdy miała piętnaście lat, a skończyła, mając dwadzieścia jeden. Uczono ich setek symboli ochronnych, które miały stanowić podstawę do tworzenia własnych. Każdy pracownik Kościoła miał za zadanie stworzyć i rozwinąć swój własny indywidualny system, własny sposób pracy z ziołami, symbolami i energią płynącą z magii. Za kopiowanie wzorów kościelnych obniżano ocenę.

Więc całkiem możliwe, że symbol, który najwyraźniej został zaprojektowany w połowie XX wieku, stanowił podstawę tego, który widziała na Daisy... Całkiem możliwe i biorąc pod uwagę zmieszanie Starszego Griffina – że symbol użyty na Daisy został już kiedyś wykorzystany. Z tak niepokojącym skutkiem, że Usunięto go z kościelnego szkolenia.

Zamknęła książki i zerknęła na zdobiony zegar. Już prawie trzecia. Czas ruszać. Miała zamiar odwiedzić wieczorem Pyle'ów i chciała się jeszcze zdrzemnąć.

Poza tym, o ile Starszy Griffin nie zmieni nagle zdania i nie zjawi się tu z powrotem, by powiedzieć jej wszystko, co wie, szanse na to, żeby dowiedziała się o symbolu czegoś więcej, były bliskie zeru. W aktach mogła coś znaleźć, ale to tysiące teczek i nie miała zamiaru ich przeglądać. Lepiej porównać oba zdjęcia i spróbować oddzielić od siebie poszczególne elementy.

Większość pracowników zdążyła już wyjść. Chess schodziła po szerokich marmurowych schodach w kompletnej ciszy – jedyna żywa istota w budynku.

Skończyły się też Rozrachunki, chociaż jakiś mężczyzna wciąż jeszcze tkwił w dybach, z zakutymi rękoma i szyją. Pewnie zostanie na noc, pomyślała. Może złodziej albo... tak. Czerwone rękawiczki, pokryte resztkami jedzenia, podobnie jak pochylona głowa i jasne pończochy, wskazywały na cudzołożnika. I to dość pechowego, jeżeli żona zdecydowała się tak go urządzić.

Minęła nieszczęśnika, kiwając głową do strażnika kościelnego. Lodowaty wiatr przebił się przez materiał płaszcza, gdy brnęła przez martwe liście pokrywające chodnik. Szła do samochodu, stojącego samotnie pod ścianą na samym końcu parkingu.

W kieszeni miała kluczyki, wciąż ciepłe, bo ogrzały się w bibliotece. Wsunęła je do zamka, otworzyła drzwi i zamarła, wyczuwając na klamce energię, która prześlizgnęła

**się po jej ręce. Czarną, gęstą i gorącą, która zalała jej piersi i wdarła się między nogi. Serce podeszło jej do gardła, nie tyle z powodu pożądania, ile ze strachu. Poczła ciemną moc, czyste nienasycone zło, czyhające pod rozgrzaną powierzchnią...**

**Na siedzeniu kierowcy leżała para oczu. Leżały spokojnie na szarym materiale, patrzyły na nią. Oni na nią patrzyli. Wiedzieli, kim jest. I wiedzieli, że jest w to wplątana.**

**Kimkolwiek byli, zaczęli się irytować.**

## ROZDZIAŁ 9

Skradając się przez jałowy las za domem Pyle'ów, Chess doszła do wniosku, że dobrze zrobiła, ubierając się na czarno. Tak naprawdę nie miała wyboru, nigdy nie kupowała białych rzeczy, ale perspektywa skradania się pod szeroką ścianą budynku i rzucania się w oczy jak plama atramentu na obrusie nie była miła. Szczególnie że za każdym razem, gdy się odwróciła, czuła na sobie spojrzenie upiornych oczu.

Miała nadzieję, że niedługo pozostanie na widoku. I że nikt nie zauważył otwartego okna ani braku kabla w oknie sypialni Arden.

Wśród łysych gałęzi zawodził zimny wiatr. To dobrze. Świst zagłuszał jej kroki, kiedy podchodziła do budynku. Z tego co wiedziała, ochrona robiła obchód co trzydzieści, czterdzieści minut. Czekala w lesie wystarczająco długo, żeby widzieć ich dwa razy, ale kto wie, może któryś i nich zdecyduje się, ot, tak sobie, zmienić rozkład? Nie mogła siedzieć w krzakach całą noc, próbując rozgryźć ich rytm pracy.

Tego ranka, jeszcze przed mszą, udało jej się zdobyć kościelną rozkładaną drabinę. Wyglądała jak metalowa tuba z kilkoma krótkimi kolcami, o długości około trzydziestu centymetrów, wystającymi po bokach w dwóch równych rzędach. Wyciągnęła ją, ustawiła kontrolkę na dole na wysokość czterech metrów, uklękła na trawie i nacisnęła przycisk.

Drabina wysunęła się jak wąż wychodzący ze skóry. Z boku wyskoczyło więcej uchwytów na nogi i ręce. Całość nie była zbyt stabilna ani bezpieczna, ale spełniała swoją funkcję i szybko się składała.

Wyciągnęła nóżki, wbijając je w zamarznąłą ziemię, tak głęboko jak tylko mogła, a potem zaczęła się wspinać.

Drabina zachwiała się pod jej ciężarem, ale wytrzymała. Chess miała nadzieję, że szczęście również jej nie zawiedzie.

I nie zawiodło. Przynajmniej przy oknie Arden – łatwo przesunęło się do góry. Chess wpełzała do środka i wciągnęła drabinę, pamiętając o tym, żeby zmienić uchwyt i nie przyciąć sobie palców. Wsunęła drabinę do torby i wyciągnęła kilka kabli i torebek. Nie mogła się doczekać, by obejrzeć pokój Arden, szczególnie tamtą szafę, ale najpierw musiała zainstalować system ostrzegawczy.

Gdy otworzyła drzwi, usłyszała głośny śmiech, który sprawił, że aż podskoczyła, ale korytarz był ciemny i pusty. Przyjęcie odbywało się na dole i było na tyle głośne, że mogło zbudzić umarłego. Albo i nie, na co Chess całym sercem liczyła.

W 1924 roku, Przed Prawdą, zmarło tu pięć osób. Zostali brutalnie zamordowani.

Wycinek z gazety, który Roger Pyle dołączył do swoich dokumentów, przedstawiał jedynie część historii. Chess musiała przeszukać kościelny rejestr, by dowiedzieć się reszty.

Państwo Clevedenowie, ich dorosły syn Andrew i dwoje służących. Tego ranka jedna z sąsiadek – a wtedy ta część miasta stanowiła odrębne miasteczko – zapukała do ich drzwi, chcąc pożyczyć cukier. Ponieważ dom wydawał jej się podejrzanie cichy, weszła do środka przez otwarte drzwi i znalazła ich w łóżkach. Pokoje były zalane krwią. Kościół przejął policyjne akta, w tym zdjęcia i stenogramy z przesłuchań podejrzanych. Nie było ich wiele. Państwo Cleveden byli w miasteczku lubiani. Mili ludzie.

Szkoda tylko, że po śmierci nie byli już tacy mili. Chess nie umiała wskazać niczego, co byłoby bardziej agresywne i przepełnione złością niż duch ofiary morderstwa.

–*Shedka ramedina* – szepnęła, posypując szczyt schodów solą, tworząc półokrąg. Lewą ręką nakreśliła w powietrzu symbol odpierający, czując, jak budzi się do życia. Nie był idealny. Wolałaby rzucić zaklęcie na dole. Ale jeśli wszystko pójdzie po jej myśli, każdy imprezowicz, który zdecyduje się wejść na piętro, a niewielu pewnie takich będzie, biorąc pod uwagę plotki o domniemanych duchach, nagle zmieni zdanie.

Na ścianie pod długim stołem znalazła gniazdko elektryczne. Podłączyła alarm podłogowy i włączyła go, a potem wyjęła nożyk i zrobiła niewielkie nacięcie w dywanie przy dolnej listwie.

Muzyka na dole zrobiła się głośniejsza. Zerknęła w tamtą stronę, ale nic nie zauważyła, więc wróciła do pracy, wsuwając alarm pod dywan, aż w końcu maleńkie wybrzuszenie pod spodem dotknęło ściany. Dobrze. Przed przyjściem sprawdziła system. Jeśli ktokolwiek naruszy słabe pole elektryczne emitowane przez alarm, czajnik na jej na pasku zacznie brzęczeć.

Czas odwiedzić pokój Arden. Chess zacisnęła zęby na kieszonkowej latarce i rozpoczęła poszukiwania.

W szafie wisiało tyle ubrań, że drążek wyginał się pod ich ciężarem. Prawie nie dało się ich ruszyć. Chess wzięła tyle, ile mogła i położyła je na podłodze, zapamiętując kolejność. Potem poświeciła latarką na sufit. Znowu nic.

Po chwili wyciągnęła z torby czujnik elektryczny. Postawiła go na podłodze, ale nie zareagował, wypróbowała więc kilka miejsc na ścianie. Tylko w jednym miejscu usłyszała piknięcie, ale było na tyle ciche, że była pewna, iż to tylko normalne okablowanie w ścianie.

Co ukrywała słodka mała Arden?



Niewielką kolekcję zdecydowanie nieprzyzwoitych ubrań, cekinowych topów bez pleców, spódniczek, które pewnie ledwo zakrywały jej tyłek. Małe białe pudełko po butach...

Bingo. Może niezupełnie, ale na pewno było tam parę interesujących rzeczy. Kilka skrętów, mała torebeczka z kolejną porcją zielska, czekającego na skręcenie. Chess powąchała zawartość i się skrzywiła. Daleko jej było do towaru Bumpa. Żyłka. Hm... Żadnej słomki, może więc Arden przycinała świeże skręty, o ile nie używała jej do robienia kresek. Prezerwatywy. Tani wisiołek z motylkami w różnych odcieniach złota. Może prezent od chłopaka, o którym nie wiedzieli rodzice? Tak czy siak, nic z tego nie miało znaczenia.

Dwadzieścia minut później wiedziała już, że pokój dziewczyny był czysty. To niedobrze. Ale z drugiej strony w tym pokoju nic się przecież nigdy nie pojawiło. Punkt dla Chess.

Odłożyła ubrania na miejsce i położyła latarkę na dywanie przy łóżku, żeby wsunąć z powrotem albumy ze zdjęciami, różnego rodzaju książki i papiery, które też nie powiedziały jej nic nowego. Żadnych informacji o duchach, żadnych książek o elektronice, kabli ani części urządzeń. Nic. Odłożyła rzeczy dziewczyny na miejsce i otworzyła drzwi.

Hałas na dole nieco ucichł. Czyżby przyjęcie powoli dobiegało końca?

Wiedziała, że nie powinna, ale nie mogła się oprzeć. Pobiegnęła wzdłuż korytarza do szczytu schodów. Czujnik zabręczał, gdy przekroczyła linię ostrzegawczą. Dodatkowy test systemu.

Położyła się na brzuchu na dywanie i wyjrzała zza rogu. Dostrzegła niewielki fragment kanapy, za którą ustawili się mężczyźni. Ich wzrok był skupiony, a dłonie obejmowały...

Byli nadzy. Patrzyli na wijące się na kanapie ciało. Kym Pyle, w pozycji półsiedzącej, ze skórą lśniącą od potu, całowała jakiegoś ciemnowłosego mężczyznę, którego Chess nigdy wcześniej nie widziała. Tamten ugniatał jej piersi niczym ciasto na chleb. Ręce Kym sięgały w dół do płaskiego brzucha, zaplątane w lśniących, zaczesanych do tyłu włosach innego mężczyzny.

Przy ścianie, za widzami, stał Roger Pyle, a jego biodra odbijały się rytmicznie od jakiejś kobiety. Chess nie widziała jej twarzy.

Przyjęcie swingersów.

Nic dziwnego, że odesłali Arden. Chociaż dziewczyna i tak pewnie o wszystkim wiedziała. Uwaga o ekshibicjonizmie matki nabrała teraz nowego znaczenia.

**Chess wzruszyła ramionami. Odbywający się na dole rytualny, pozbawiony spontaniczności seks nic dla niej nie znaczył. Poczwała ulgę, gdy zauważyła, że nie przywołał żadnych złych wspomnień, chociaż tego typu obrazki nie były dla niej niczym nowym. Na szczęście jej umysł milczał i była mu za to wdzięczna.**

**Jeszcze raz zerknęła w dół, zauważając, że do Rogera i jego partnerki przyłączył się jakiś mężczyzna. A potem pobiegła do sypialni Pyle'ów.**

**Powinna zacząć od łazienki, ale nie miała na to ochoty. Dlatego najpierw sprawdziła sufit, szukając szpar w gzymsie albo błysku obiektywu projektora. Pyle'owie niczego w tym pokoju nie widzieli, ale to tutaj miał miejsce bezpośredni i jedyny fizyczny atak.**

**Potem sprawdziła łóżko, ściągając gruby koc i miękkie jedwabne prześcieradło. Uniosła materac i zerknęła pod spód, ale znalazła jedynie sprężyny.**

**Zagłówek pokryty był grubym szarym zamszem. Chess ostrożnie zbadała każdy centymetr, ale nie wyczuła na gładkim materiale żadnego wybrzuszenia.**

**Obraz przedstawiający Kym Pyle był ciężki i niewygodnie się go zdejmowało, ale Chess dała radę. Bingo. Mała dziurka, wielkości główki od szpilki. Rama skutecznie skrywała ją w cieniu, o ile ktoś się dokładnie nie przyjrzał. Z tyłu musiała być niewielka kamera. Albo projektor.**

**Urządzenie było małe i sprytne, przypominało kościelny sprzęt. Nie mogła go wyjąć, żeby upewnić się, co to było, więc nie wiedziała do końca, w jaki sposób z niego korzystano.**

**Czujnik elektroniczny dał jej odpowiedź, niskie sygnały wskazywały na podłogę. Jedna z desek była obluzowana. Obiektów w ścianie to zapewne bezprzewodowy nadajnik lub odbiornik. Druga część aparatury znajdowała się w podłodze, a kable A/V biegły w prawo... Prosto do nocnej szafki. Chess otworzyła ją i znalazła urządzenie. Niezwykle skomplikowane ustrojstwo. Do czego służyło? Do nagrywania czy projekcji?**

**Wyciągnęła je i upewniwszy się, że jest wyłączone, znalazła przycisk ustawiony w pozycji gotowej do nagrywania. Co nie znaczy, że zawsze tak było. Może szykowali dla niej mały pokaz w czasie kolejnej popołudniowej wizyty? Tego typu zabawa nie mogła się udać w nocy. Snop światła z projektora, nawet holograficznego, byłby widoczny. Ale o zmierzchu, kiedy światło dzienne przybierało niezwyklej odcień, a światło elektryczne nie było w stanie rozjaśnić wnętrza pokoi... Wtedy każdy mógł się nabrać. Nawet ona. Przynajmniej do chwili, w której by się zorientowała, że to mogło wyglądać jak duch, ale nim nie było.**

**Cóż, skoro lubią kamery... Te, które miała przy sobie były za duże, ale następnym razem weźmie coś ze sobą i ukryje. Karnisze od zasłon przypominały duże, złote**

pręty z ozdobnymi gałkami na obu końcach. Mogła bez problemu pociągnąć za nimi kable i zainstalować minikamerę. Tyle że najpierw musiała się dowiedzieć, co takiego nagrywali.

Chess otworzyła szufladę i znalazła zdumiewającą kolekcję wibratorów i wszelkiego rodzaju seksualnych zabawek. Nie wiedziała nawet, do czego służą niektóre z nich. Nie znalazła żadnych płyt do odtwarzacza.

Leżały pod łóżkiem, między pudełkami wypełnionymi czarną koronkową bielizną. Było ich siedem, bez opisów na pudełkach. Będzie musiała sprawdzić, co na nich jest. Po kolei skopiowała wszystkie małą nagrywarką, którą wzięła ze sobą. Pewnie byłoby łatwiej i obraz byłby wyraźniejszy, gdyby użyła ich sprzętu, ale nie chciała ryzykować.

Przytrzymała kieszonkową latarkę zębami, żeby sfotografować urządzenie. Zamknęła szafkę, odłożyła płyty pod łóżko i podeszła do komody. Same rzeczy Rogera. Kym pewnie trzymała swoje w szafie, a tę miała zamiar sprawdzić w następnej kolejności.

Sześć szuflad wypełnionych bielizną, skarpetkami i zwykłymi podkoszulkami. Ani jednego pornosa ukrytego pod ciuchami, który mógłby przełamać nieco monotonię. Pomyślała jednak, że tego typu gazetki nie były nikomu potrzebne, gdy miało się u boku nie tylko Kym, ale i sporą grupkę chętnych gości. Szybko przejechała wokół czujnikiem elektronicznym i przekonała się, że pod szufladami i komodą niczego nie było.

Szafa Kym, a właściwie szafa Kym i Rogera, bo w jednej trzeciej zawierała męskie ubrania, była niemal tak duża, jak sama sypialnia. Chess weszła do środka i aż podskoczyła, a serce zaczęło jej mocniej bić.

Lustro. Idiotko. Szerokie lustro do samej podłogi. A obok toaletka z przyciemnianymi żarówkami.

Okrążyła pokój ze spektrometrem, który tylko gdzieniegdzie wydał z siebie ciche piknięcie, a potem jeszcze raz z czujnikiem elektronicznym. Nadal nic. Nic w setkach par butów ani wiszących na ścianie, wysokich na cztery rzędy, półkach. Nic w kieszeniach jedwabnych spodni, w podszewkach futrzanych czapek. Używając lusterka z długą rączką, sprawdziła półkę, która była dla niej za wysoko, by mogła cokolwiek zobaczyć.

Nie mogła tego dłużej odkładać. Musiała sprawdzić łazienkę.

Czekała na nią, wzdychając na powitanie, gdy stanęła na ciemnej marmurowej podłodze. W przytłumionym zimnym blasku księżycy, wpadającym przez oszronione okno, całe pomieszczenie wydawało się mokre i śliskie, pokryte czymś ciemnym i

nieprzyjemnym.

Urządzenie na jej pasku lekko zabrzęczało. Ktoś był na górze? Nie słyszała żadnych głosów ani kroków, ale elektronika nie kłamała. Przywarła do ściany i czekała, próbując uchwycić jakiś dźwięk.

Ale wokół panowała cisza. Nasłuchiwała, aż w końcu zaczęło jej dzwonić w uszach. Co się dzieje? Może ktoś po prostu stał na korytarzu albo – biorąc pod uwagę rodzaj przyjęcia – się tam pieprzył?

Gdyby ją złapali, nie byłby to jeszcze koniec świata. Dokumenty, które państwo Pyle podpisali w momencie złożenia skargi, uprawniały Chess i każdego innego pracownika Kościoła do wejścia na teren posesji nawet bez wcześniejszej zapowiedzi. Ale to w złym guście dać się złapać. To znak, że może nie było się wystarczająco dobrym. Atticus Collins do tej pory nie doszedł do siebie po tym, jak kiedyś zapomniał użyć swojej Rączki. Został przyłapany na szperaniu w szafce z koronkową bielizną przez wściekłego, uzbrojonego w pistolet męża, który wziął go za zbrojeńca. Przez kilka miesięcy wszędzie gdziekolwiek się obejrzał, widział majtki. Ktoś przyczepił je nawet do anteny jego auta.

Mogła sobie tylko wyobrazić, czym będą w nią rzucać, jeśli da się złapać w domu Pyle'ów. Fuj.

Ale nie miała zamiaru stać pod tą idiotyczną ścianą przez całą noc, więc po pięciu minutach zdecydowała, że ma dość. I tak od tego wszystkiego rozboleła ją głowa.

Poświeciła latarką na sufit, ale nic nie znalazła. Ani jednej pajęczyny w rogu, co nie było znowu aż tak zaskakujące. Zauważyła za to cień na ścianie, który okazał się niewielką szafką.

Wybielacz, środki dezynfekujące, wybielacz, środki czyszczące, gęsty wybielacz do fug, zapasowe kostki toaletowe, żeby woda była niebieska. Dlaczego ludzie chcieli, żeby ich łazienki wyglądały jak publiczne toalety, kiedy można było kupić kostki, które nie farbowały wody? Szczotki do szorowania, gąbki, rękawiczki... Widać Kym miała obsesję nie tylko na punkcie czystych butów. Cała szafka śmierdziała wybielaczami i środkami czyszczącymi, jakby zawartość którejsz z butelek się wylała. Chess poczuła, że zaczyna jej się kręcić w głowie, a oczy zaczęły ją piec.

Spektrometr zareagował przy umywalce. Znowu była idealnie czysta i lśniaco biała. Chess nachyliła się, by poświecić w przewód kanalizacyjny...

I omal nie wyskoczyła ze skóry, gdy w lustrze, nad swoim prawym ramieniem, zauważyła jakąś twarz.

Latarka wypadła jej z rąk, odbijając się z głośnym hukiem od marmuru. Potoczyła

się na brzeg blatu i upadła na podłogę. Chess przeszukała całe pomieszczenie, ale niczego nie znalazła.

Nie wyobraziła sobie tej twarzy. To była kobieta, a jej oczy przypominały jasne, pozbawione źrenic kule osadzone we wścieklej twarzy. Potargane włosy zwisające w strąkach na ramiona. Usta wykrzywione w grymasie... Chess zadrżała. Spróbowała się opanować i znowu się wzdrygnęła.

Ale tym razem nie mogła dojść do siebie. Wydawało jej się, że ktoś przejął kontrolę nad jej ciałem. Próbowwała unieść ręce, by odgarnąć włosy i otrzeć czoło, ale trzęsły się tak mocno, jakby dostała jakiegoś ataku.

Objęła się ramionami. Kiedy zrobiło się tu tak zimno? Marmur za jej plecami zmroził jej kręgosłup. Czuła, że nie może się ruszyć, nie może nabrać w płuca dość powietrza.

Wtedy usłyszała w sypialni cichy dźwięk. Nie rozpoznała go, ale gdy się odwróciła, dostrzegła jasny cień, który właśnie nabierał kształtów...

Tak mocno ścisnęła ramiona, że aż poczuła ból, ale nie mogła się opanować. Mglista masa wiła się, próbując odnaleźć swój kształt, aż nagle zrobiła się bardzo wyraźna.

Mężczyzna. Wydawało się, że jest ubrany w spodnie i luźną koszulę. Nie widział jej. Całą uwagę skupił na pustym łóżku, ale była pewna, że ono samo go nie interesowało. Widział jakieś kształty, śpiące postacie. Na pewno, ponieważ nagle jego półprzezroczyste ręce uniosły się, a ostrze siekiery utworzyło na suficie ostry cień.

Siekiera opadła w dół.

Chess zagryzła wargi tak mocno, że poczuła krew w ustach. Co dziwne, w ogóle nie bolało. Męczyły ją okropne mdłości, strach, wstyd, że się boi i przerażenie, że jest świadkiem strasznego morderstwa, które wydarzyło się sto lat temu...

Siekiera uniosła się i znowu opadła w dół. W górę i w dół. Niemal widziała krew tryskającą z dawno pochowanych ciał, niemal czuła...

Ten zapach. Ten sam co wcześniej, kolejne fale duszącego smrodu, które sprawiły, że upadła na ziemię próbując złapać oddech. Nie mogła uciec od tej woni nie mogła jej znieść. Okno było jakieś trzy metry od niej, po przeciwnej stronie łazienki. Najciszej jak mogła, sięgnęła do torby, zmuszając ręce do posłuszeństwa. Tym razem była przygotowana, miała ziemię cmentarną i asafetydę. Nawet wzięła ze sobą trochę melidii, tak na wszelki wypadek.

**Musiła zaryzykować, potrzebowała powietrza. Jeśli nie zaczerpnie oddechu, umrze. Żołądek podszedł jej do gardła, głowa jej pękała, jakby zeszłej nocy wypła kratkę piwa, a przed oczami pojawiły się ciemne plamki. Ale okno było tuż – tuż.**

**Ugięła nogi. Po raz ostatni zerknęła na postać w sypialni i skoczyła do przodu.**

# ROZDZIAŁ 10

Już go nie widziała. Nie była pewna, czy postać, którą dostrzegła w lustrze, zniknęła, czy czaiła się za jej plecami. Jej gardło buntowało się przeciwko smrodowi. Zaciśnęła zęby, żeby powstrzymać atak kaszlu. Już nie chodziło o to, że chciała otworzyć okno. Musiała to zrobić, jeśli miała zachować przytomność.

Włosy na jej karku się zjeżyły, gdy odrętwiałymi palcami szukała haczyka. W końcu go znalazła.

Do środka wpadło świeże, czyste i lodowate powietrze. I była to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek poczuła. Nabrała powietrza w płuca z taką siłą, jakby wciągała dream, a miała tylko minutę przy fajce. Zaryzykowała atak i wychyliła się na zewnątrz tak daleko, jak tylko mogła, pozwalając, by blask księżyca pieścił jej skórę. By chłodził ją wiatr.

Wreszcie przestało ją mdlić. Odwróciła się, żeby zerknąć na pokój. Nic. Przez kilka minut siedziała na zimnym parapecie, oddychała głęboko i rozglądała się wokół. Cały czas miała przy sobie torbę. Teraz, kiedy odzyskała kontrolę w palcach, chwyciła garść ziemi. Poczowała się pewniej i silniej.

Na tyle silnie, by w końcu wstać i na palcach wrócić do drzwi sypialni.

Duch zniknął. Pokój znowu zalany był blaskiem księżyca. Łóżko było równo posłane, tak jak je zostawiła, na ścianach nie było krwi. Jakby nic się nie wydarzyło.

Może tak było. To dość niezwykle, że duch nie zauważył ludzkiej istoty, zwłaszcza duch mordercy odgrywającego swoją zbrodnię.

Oczywiście, nie czuła się tak podle bez powodu. Pulsowanie, które łomotało w jej głowie, nie chciało ustąpić. Wciąż dudniło jej za oczami. Czuła się tak, jakby ktoś wyłożył jej gardło papierem ściernym. Napiła się, ale woda miała nieświeży, gorzki i metaliczny smak, przypominający stare brudne monety.

Gdy ruszyła do przodu, nogi zaczęły jej się trząść. Udało jej się odnaleźć latarkę, która poturlała się pod szafkę. W pokoju nadal było zimno, ale był to naturalny chłód. Bała się zamknąć okno. Nawet teraz, gdy zjawa już zniknęła, Chess cały czas czuła w powietrzu zapach zgnilizny. Lekki, ale wyraźny, jak echo złego wspomnienia.

Już miała się wyprostować, gdy zauważyła coś pod umywalką. Jaśniejszy punkt na srebrnej rurze, w miejscu, gdzie ktoś zdrapał trochę metalu... Jakby niedawno coś było tu naprawiane. Albo jakby ktoś tu majstrował.

Poświeciła latarką w odpływ, przygotowując się na widok karaluchów, krwi albo

diabli wiedzą, co jeszcze mogło stamtąd wypłynąć. W środku mogła być mniejsza, wewnętrzna rurka albo...

–Sprawdźcie to okno.

Cholera! Odwróciła się. Otwarte okno wydawało się z niej szydzić, przypominając pustą dziurę na tle jasnej ściany. Zapomniała o ochronie. Przecież robili regularne obchody. Obserwowała ich z lasu na tyłach domu.

Klnąc pod nosem, chwyciła torbę i wybiegła z łazienki. Czujnik na jej pasku znowu zabrzączał, czyżby byli już na korytarzu? Przywarła do ściany przy drzwiach, ale nic nie słyszała.

W trzech długich susach przebiegła korytarz i znalazła się z powrotem w pokoju Arden. Nie miała czasu, żeby wyjąć spod dywanu alarm.

Nie usunęła też zabezpieczenia ze schodów. Usłyszała w oddali zmieszane męskie głosy i nerwowe szczebiotanie kobiet. Domyślała się, że goście nie byli zachwyceni nagłym najściem. Wcale im się nie dziwiła.

Miała dwa wyjścia. Mogła wyciągnąć drabinę i zejść, ryzykując, że złapią ją na dole, albo schować się w szafie Arden. Żadna z tych możliwości nie wydawała się zbyt atrakcyjna. Zwłaszcza jeśli zdecydują się przeszukać pokój Arden i odkryją brakujący kabel albo... no cóż, ją.

W takim razie jednak okno. Prawą rękę wyciągnęła z torby drabinę, a lewą przesunęła do góry szybę.

Chociaż głosy robiły się coraz wyraźniejsze. W każdej chwili mogli pojawić się w drzwiach. Cztery metry... ponad dwa metry więcej niż miała wzrostu.

Albo ją złapią, albo coś sobie złamie. Wolą już to drugie. Szybkim, zwinnym ruchem chwyciła lodowaty parapet i przeskoczyła na drugą stronę.

Wisiła tak jakąś sekundę, jak tarcza namalowana na ścianie budynku. Potem się puściła.

Jej nogi przeszył ból, ale chyba nic nie złamała. Z trudem się podniosła i ruszyła do przodu. Zerknęła za siebie dopiero, gdy znalazła się w bezpiecznym cieniu drzew. Ochroniarze właśnie wychodzili zza rogu budynku.

\*\*\*

Samochód Lexa zostawili na Piętnastej i resztę drogi przebyli pieszo. Były takie miejsca poniżej Trzydziestej, gdzie nawet ludzie Slobaga zachowywali czujność



właśnie zmierzali do jednego z nich. Tylko tego jej brakowało. Nie żeby nie wierzyła Lexowi, że potrafi ją obronić. Potrafił. Na tyle, na ile mógł.

Ale potrafiła sobie wyobrazić lepszy sposób na spędzenie mroźnego wieczoru niż włóczenie się po ulicach. Szczególnie że gdy zadzwonił, powiedział tylko, że ma dla niej ciekawe informacje i powinna do niego wpaść.

Wziął ją za rękę i poprowadził w ciemną uliczkę. Gdyby nie było tak zimno, nabrałaby podejrzeń, ale nieźle mroziło, więc wątpiła, by coś kombinował.

Oczywiście, już nieraz się myliła. Jego usta były zimne, ale szybko się rozgrzały. Szkoda, że nie mogła tego samego powiedzieć o jego dłoniach. Jak tylko wsunął je pod jej bluzkę, wrzasnęła.

Jego śmiech odbił się od jej szyi.

–Zimne ręce, co?

–Jak lód.

–Przepraszam. – Delikatnie chwycił zębami płatek jej ucha. – Znasz jakieś ciepłe miejsce, gdzie mógłbym je włożyć?

–W taką pogodę? Nic z tego.

–Nie myśl o tym. Wyobraź sobie, że jesteśmy w moim łóżku.

–Ale nie jesteśmy. Stoimy na środku ulicy. Ktoś mógłby przechodzić i nas zobaczyć, pomijając już to, że jest cholernie zimno.

–To część zabawy, nie sądzisz? – Skubnął zębami jej szyję. – Daj spokój, tulipanku, rozgrzejemy się trochę.

Zachichotała.

–Po to mnie tu przywiozłeś?

–Nie, ale wyglądasz słodko w tym kościelnym płaszczyku. Podobają mi się te wielkie guziki z przodu.

Pocałował ją przy brudnej ścianie z cegieł. Położyła odrętwiałe ręce na jego udach, wsunęła je pod jego skórzaną kurtkę i poszarpany sweter, aż wreszcie poczuła nagą skórę. Jęknęła i odskoczył do tyłu.

–Zimne co?

**–Nie musiałaś tego robić. Mogłaś jakoś inaczej udowodnić, że masz rację. Widzisz? Jesteś niedobra. – Ale oboje się uśmiechali. – Może powinienem być bardziej stanowczy, jak myślisz? O tak...**

**Jej nadgarstki uderzyły o szorstkie i zimne cegły. Serce zaczęło jej mocniej bić.**

**–Mam cię.**

**–Na to wygląda – zgodziła się. Ich usta dzieliło ledwie parę centymetrów. – Ale jeżeli mamy się z kimś spotkać, to może rzeczywiście powinniśmy to zrobić?**

**–Cholera. Zawsze martwisz się o takie głupoty. Na przykład o to, że powinniśmy być tam, gdzie trzeba. – Puścił ją i się cofnął. – Chodź do mnie na chwilę, trochę się ogrzejemy i ruszymy dalej.**

**Przytuliła plecy do jego klatki piersiowej, pozwalając, by objął ją ramionami. Musiała przyznać, że tak rzeczywiście było cieplej, chociaż dziwnie się czuła, stojąc blisko niego i nic nie robiąc. Dziwnie, ale nie niezręcznie. Dobrze było mieć kogoś przy sobie, po horrorze, jaki przeżyła w łazience Pyle'ów. Nie chciała włączyć się teraz po ulicach. Nie chciała niczego robić, tylko zaszyć się w domu pod wytartym kocem, ale... Ktoś mógł umrzeć. Doszła do wniosku, że nie może się nad sobą zbytnio rozczulać.**

**–Przypomnij mi, kim jest ten gość?**

**–Nazywają go Hat Trick, ale lepiej o tym nie pamiętać. Nie idziemy w bezpieczne miejsce, tulipanku. Lepiej swój nóż trzymaj pod ręką.**

**–A idę tam, ponieważ...**

**–A kto inny powinien tam pójść? Słyszałem, że Hat może coś wiedzieć, i pomyślałem, że wezmę cię ze sobą. Może ma jakieś informacje o duchu? Tylko że ja bym nie wiedział, czy mówi prawdę, czy nie. A ty tak. Dlatego tu jesteś.**

**–Jasne.**

**Przez kilka minut szli w milczeniu. Stwierdziła że są przy opuszczonych magazynach, które w okolicy Piętnastej wyrastały jak grzyby po deszczu. W samym sercu terytorium Slobaga. W powybijanych oknach wisiały blaszane dzwoneczki wietrzne, dla uciechy dzikich lokatorów, którzy zajmowali tu każdy wolny kąt. Wiatr niósł w ich stronę fałszywe, nieharmonijne i nieprzyjemne dla ucha dźwięki.**

**–Wzięłaś ze sobą sprzęt?**

**–Nie, zostawiłam wszystko w domu, bo wieczór jest wprost wymarzony na**

**przechadzkę. Oczywiście, że wszystko wzięłam.**

**–Tylko pytam. Nie musisz być taka napastliwa.**

**–Dobra, przepraszam.**

**Przewróciła oczami, ale tak, żeby nie widział, i szła dalej. Ubzdurał sobie, że była o wiele bardziej drażliwa niż w rzeczywistości. Przynajmniej tak jej się wydawało.**

**Ale może rzeczywiście przy nim była bardziej drażliwa niż przy innych, i to nie w sensie fizycznym. Bo chociaż bardzo go lubiła, wiedziała, że ich związek psuje fakt, że Lex dostarcza jej prochy za darmo... Skrzyżowała ręce na piersi. Nawet nie chciała wspominać tego tematu. O nie!**

**Byli już w połowie ulicy i czuła, że z każdym krokiem śledzi ją coraz więcej par oczu. Okna po obu stronach były puste, ale to nie znaczyło, że nikt ich nie obserwuje.**

**–Hej. – Dotknął jej ramienia, żeby ją zatrzymać, i pochylił się, by pocałować ją w czoło, – Nie chcę się z tobą kłócić, ale jestem dziś trochę wkurzony. Nie zasługujesz na to.**

**Wzruszyła ramionami. I co miała zrobić? Powiedzieć mu, żeby szedł do diabła i wrócić do domu? I tak nie było sensu się z nim kłócić.**

**–Nie ma problemu.**

**Miała wrażenie, że przeszli już kilka kilometrów, podczas gdy naprawdę pokonali zaledwie kilka przecznic. W końcu skręcili w lewo. Wtedy Chess usłyszała muzykę. Na początku ledwo ją było słyhać, ale gdy podeszli bliżej, zrobiła się głośniejsza. Dziwaczne połączenie łomoczącego techno i Pixies.**

**Nie miała wątpliwości, że muzyka dochodziła z miejsca, do którego zmierzali. Budynek wyrósł przed nimi zupełnie nagle, olbrzymi kształt, stojący na straży na samym końcu ulicy. Tuziny okien, wypełnionych migającym pomarańczowym światłem, wpatrywały się w nich, rzucając im wyzwanie, by weszli do środka. Na dachu płonęły ogniska, a błyszczące płomienie przecinały czarne niebo. Targowisko Nightsedge.**

**–Gotowa? – szepnął Lex.**

**Pokiwała głową i mocniej chwyciła rękojęć noża, który miała w kieszeni.**

**To, co na zewnątrz wyglądało jak jedno wielkie ognisko, w rzeczywistości było tuzinem ognisk rozpalonych w metalowych kubłach lub kamiennych kręgach.**

Poczuła na brwiach kropelki potu. Serce zaczęło jej walić w piersiach, a w głowie dudniło *Wave of Mutilation*, przez co czuła się jak na haju. Wzdłuż pokrytych graffiti ścian stały sprężynowe kanapy, na których leżeli ludzie z przymkniętymi oczami albo pary w na wpół rozpiętych ubraniach. Wokół unosiła się woń dymu, pieczonego mięsa i potu, skwaśniałego mleka i seksu, a ponad tymi wszystkimi zapachami rozgrzanych ciał i zmiętej pościeli unosiła się woń dreamu, palących się skrętów i kleju.

Poczuła na plecach ciarki. W jednym rogu niewielka grupa posiniaczonych, wychudzonych nastolatków zgromadziła się wokół fajki wodnej. Kręcili na ziemi nożem, żeby zobaczyć, kto będzie następny. W przeciwległym końcu – -. Naprawdę był naszyjnik z orzechów arekowych i tsantsa – spreparowanych miniaturowych ludzkich głów. Obok zauważyła kolekcję biżuterii zrobionej ze strzykawek i kości, a dalej całą półkę ozdobnych fajek do dreamu, które lśniły w blasku ognia.

Istniała Dolna Dzielnica i istniało to miejsce. Poczuła się tak, jakby ktoś zdarł z niej skórę, miała ochotę rzucić się na podłogę i sama się zakopać. To było jak jej własne targowisko, ale do dziesiątej potęgi.

Lex klepnął ją po ramieniu, sprowadzając z powrotem na ziemię.

–Przestań się gapić, tulipanku. Nie chcemy zwracać na siebie uwagi.

–Wcale się nie gapię.

–Ale prawie. Chodź za mną.

Przedzierali się przez tłum, mijając nagą kobietę, z ciałem pokrytym niebieskimi kreskami i zielonowłosego faceta, który robił tatuaże. Chess zatrzymała się, gdy dostrzegła niskiego faceta na końcu kolejki, stojącego obok parującego kotła zielonkawej zupy.

Obok niego stało pudło zrobione z czystego szkła z żelaznymi kratami w rogu. W środku był duch.

A przynajmniej wyglądał jak duch. Nie była pewna. Jej zmysły były stępione przez otaczającą moc i pragnienie, by złożyć się w ofierze na stosie z narkotyków, seksu i przemocy. Trudno by jej było wyczuć prawdziwego ducha, nawet gdyby zaszedł ją od tyłu i założył jej pętlę na szyję.

Ale istota w pudle miała puste, wściekle spojrzenie ducha i niewidzącą, bezosobową nienawiść, charakteryzującą umarłych poza granicami Miasta.

Widząc jej zainteresowanie, mężczyzna pokazał zęby w ohydny uśmiechu i nacisnął przycisk z boku pudełka. Duch podskoczył, przez chwilę rzucał się wokół,

aż w końcu się uspokoił. Prąd elektryczny, utwardzający ducha. Najgorsza tortura.

–Może mały upominek dla panienki... – zaproponował mężczyzna, wpatrując się w nią i w Lexa. – Panienka chyba zasługuje na prezent?

Lex go zignorował i cały czas szedł naprzód. Chess trzymała się za nim, nie odwracając głowy, ale co chwila zerkając na boki, próbując to wszystko ogarnąć i zachować w pamięci słodkie, niebezpieczne obrazy.

Ruszyli w górę po wąskich, zardzewiałych schodach przymocowanych do ściany. Z każdym kolejnym krokiem stopnie trzeszczały, a płatki rdzy opadały niczym deszcz na głowy stojących pod nimi osób. Nie pytała, dokąd idą. To nie miało znaczenia.

Schody prowadziły do okna. Znowu ogarnął ją lodowaty chłód i dostrzegła płaski dach sąsiedniego budynku. Jakiś mężczyzna z dwoma toporkami w rękach kiwnął na Lexa i pomachał ręką, by szli za nim. Po chwili pojawił się Hat Trick.

Był zaskakująco niski i przysadzisty. Kucał na stołku, który wydawał się zbyt mały nawet dla najmniejszego człowieka. Chess nie umiała określić jego wieku. W jednej chwili jego twarz była pomarszczona jak u staruszka, a w drugiej gładka i pozbawiona zmarszczek jak u młodego mężczyzny. Pewnie jakieś zaklęcie, pomyślała, ale nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziała. Wszyscy kupowali albo próbowali stworzyć różnego rodzaju czary piękności, ale większość z nich była zupełnie bezużyteczna. Kościół nawet o tym nie wspominał, wiedząc, że siła tego typu magii brała się z wiary osób, które ją praktykowały.

Ale to zaklęcie najwyraźniej działało, przynajmniej do pewnego stopnia. Chess pomyślała, że gdyby nie była tym, kim jest, widziałaby w nim młodego, przystojnego mężczyznę, którego cień udało jej się uchwycić. Z pewnością to właśnie widział Lex, który był tak wrażliwy na czary jak worek cementu.

–Lex – rzucił Hat Trick zaskakująco normalnym i lekkim głosem. – I twoja wiedźma. Podejdź tu, dziewczyno, skupmy się na tobie.

Przybierając spokojny i niewzruszony wyraz twarzy, podeszła bliżej. Na tyle blisko, że poczuła zapach ziół i smród niemytego ciała. Cholera, pod tymi wszystkimi warstwami futra był naprawdę stary. Czy on w ogóle opuszczał ten dach?

Obejrzał ją od stóp do głów. Czowała się tak, jakby prześwietlał ją rentgenem. W końcu pokiwał głową i odwrócił wzrok, szukając czegoś w workach, które miał przy sobie. Wyciągnął torebkę i położył na wyciągniętej dłoni. W przytłumionym świetle wpadającym przez okno dostrzegła brud pod paznokciami i chropowatą skórę palców.

Wzięła torebkę, nie dotykając go, i ją otworzyła. Jakieś zioła, wyglądały jak... Och!

**Hat Trick uchwycił jej spojrzenie.**

**–Wiesz co to jest, tak?**

**Pokiwała głową.**

**–Jakaś dziewczyna mi to wczoraj przyniosła. Mówi, że znalazła. Nawet do nas docierają różne plotki. To dziwne. Pomyślałem, że najlepiej powiedzieć Slobagowi. – Skinął głową w kierunku Lexa. – Ale nie jesteśmy w to wplątani, jasne? Tam, gdzie to znaleźliśmy, nic już nie ma i nigdy wcześniej tego nie widzieliśmy. Wiemy, co to może znaczyć. I dlatego zadzwoniliśmy.**

**Lex pokiwał głową.**

**–Nie ma problemu, Hat. Nie ma problemu, jasne?**

**Tamten pokręcił głową.**

**–Ale wy macie problem. Tylko jeszcze o tym nie wiecie, dopóki wasza wiedźma wam o tym nie powie.**

**Lex zerknął na Chess, unosząc brwi.**

**–O co tu chodzi, tulipanku?**

**–To althea. – Dom Tysona, Tysona i ducha, z którym się połączył. Terrible mówił, że ta metalowa skrzynia na ulicy pachniała jak Tyson. Nie tylko ricanthą, to nie wszystko. Altheą też. Duchy i sowy, psychopompy, seks i oczy. To wszystko nie miało sensu. Ale był to kolejny element układanki. I to całkiem spory. Zaczęło jej się kręcić w głowie.**

**–No i...?**

**–To wiążące zioło. Zatrzymuje duchy.**

**–Nie używasz czegoś takiego?**

**–Nie. To pułapka. Zamyka drzwi między tym, co jest tu, a Miastem. To znaczy, nie pozwala duszy połączyć się z psychopompą. Więc nie może odejść.**

**–Tworzy ducha?**

**Pokiwała głową.**

**–Tworzy i go trzyma. Tutaj. Gdzieś, gdziekolwiek to robią.**

**Przez chwilę pomyślała, że może nie ma to związku z jej sprawą. Ale od razu odrzuciła tę myśl. To samo wyczuła w tamtej uliczce.**

**Co kombinował duch do spółki z Towarzyszem? I skąd oni to brali? Althea była nielegalna. Za jej posiadanie groziła śmierć. Chociaż akurat dla ducha nie miało to większego znaczenia.**

**Podziękowali Hatowi i ruszyli w dół, mijając dilerów broni i biżuterii oraz budkę, w której sprzedawano węże na metry. Nie chciała stąd wychodzić. To było miejsce warte bliższego poznania. Miejsce, w którym można było przepaść na wiele godzin. Nie chciało jej się iść do domu. Jeżeli miałyby już dokądkolwiek pójść, to z powrotem do Lexa, gdzie mogliby zanurkować w pościeli i nie wychodzić stamtąd przez tydzień.**

**Chwileczkę. Czyja to była myśl? Tydzień w łóżku z Lexem? Po co, u diabła, miałyby robić coś takiego? Po dwóch dniach byłaby gotowa go udusić.**

**Do diabła, w tym momencie łóżko wydawało jej się fantastycznym pomysłem.**

**Chess zamarła. Nagle zauważyła otaczający ich tłum. Sami obcy, groźni ludzie. Zdała sobie sprawę, że podniecenie, które czuła, nie było jej, ale wydawało się bardzo znajome. A jej serce biło tak szybko nie dlatego, że była rozpalona, a z powodu strachu.**

**Oni tu byli. Duch i Towarzysz.**

**Tuż obok jakiś jasnowidz zaczął rozstawiać składany stolik. Położył na nim ciemną szklaną kulę. Chess wpatrywała się w nią, ale tak naprawdę nic nie widziała. Wiedziała, że Lex coś do niej mówił, ale go nie słuchała. Gdzie się ukryli? Wiedziała, że gdzieś tu są. Wyczuwała ich obecność. Z każdą kolejną minutą otaczająca ją moc przybierała na sile.**

**Na zabrudzonej powierzchni szklanej kuli pojawiła się długa, ponura twarz. Jej usta wykrzywiły się w cichym, udręczonym jęku, po czym zniknęła.**

**–Co się dzieje, tulipanku?**

**Pokręciła głową. Usta miała zbyt suche, by cokolwiek powiedzieć, a w płucach zbyt mało powietrza, by wydobyć z gardła jakikolwiek dźwięk. Ten tłum, ci wszyscy ludzie wokół niej. Te wszystkie spocone, śmierzące ciała, dotykające się nawzajem, dotykające jej. Te zarazki fruujące w powietrzu, wdychane przez brudne usta i wydychane z powrotem.**

**Prawie ich nie słyszała. Ledwo rozróżniała melodię piosenki Avengersów, która wydawała się dolatywać gdzieś z daleka.**

**–Oni tu są – wykrztusiła, a słowa drapały ją w gardło jak papier ścierny. Przełknęła i spróbowała jeszcze raz. – Oni tu są, Lex, tutaj. Gdzieś w pobliżu...**

**Nawet tutaj... W najdalszym, najciemniejszym zakamarku Dolnej Dzielnicy, gdzie nawet Slobag nie miał pełni władzy śledzili ją.**

**Krzykliwe kolory i zapachy Targowiska Nightsedge zamieniły się w obrzydliwy, mieniący się wir, jak kiepska jazda po sizzlu. Lex trzymał ją za rękę tak mocno, że aż ją to bolało. A może było na odwrót. Pewnie tak. I cały czas przepływała przez nią energia, tak przesłodzona i okropna, że ledwo trzymała się na nogach.**

**Ale dała radę. Zmusiła się, by iść naprzód. Oni gdzieś tu byli, a ona ich znajdzie. Nie miała pojęcia, czy wiedzieli, że ich wyczuła. Nie miała zamiaru ich ostrzegać, ale gdyby ich teraz znalazła, gdyby ich złapała...**

**Niewiele myśląc, ruszyła wzdłuż alejek, cofając się, gdy energia słabła, skręcając, gdy stawała się silniejsza. Cholera, była bardzo silna, prawie tak jak czysta energia ziemiska, którą przekierowała wtedy na lotnisku Chester. Silniejsza niż cokolwiek, co mógł stworzyć człowiek. Ale szła za nią, bo nie miała innego wyjścia. Mimo strachu, który z każdym krokiem narastał w jej sercu. Mimo że z każdą chwilą coraz trudniej jej się oddychało przez gęstą lawę chorego pożądania.**

**Byli coraz bliżej. Lex trzymał się tuż obok niej. Czowała obok siebie jego ciało, które przeszkadzało jej się skupić. Ale nie do końca, bo była tak blisko... tak blisko. Wiedziała, że są tuż obok. Może to pułapka, ale nie miała wyjścia. Bo jeśli nie, jeśli znajdzie ich, zanim się zorientują... Tam!**

**Lex wydał z siebie stłumiony jęk, gdy niemal wyrwała mu rękę ze stawu. Tak bardzo jej się spieszyło.**

**Przy drzwiach. Nie wiedziała, skąd to wie, ale po prostu wiedziała. Ten skrawek materiału znikający za nierównym, wyciętym w ścianie prostokątem należał do zabójcy.**

**Mogła go złapać. Oboje mogli go złapać. Lex bez słowa wypadł przez drzwi. Ona też.**

**Ich stopy uderzały o kocie łby i był to jedyny dźwięk – - dudnieniem muzyki dobiegającym z Targowiska. Chess słyszała w uszach własny oddech i mocniej chwyciła rękojeść noża, aż poczuła ból. Zignorowała go.**

**Zabójca nie przestawał biec i tylko raz zerknął przez ramię. Skręcił w prawo. Jego płaszcz powiewał, jakby machał im na pożegnanie.**

**Coraz bliżej, zaczynali go doganiać. Biegli za nim po ulicach, których w ogóle nie**



widziała. Ale gdyby go złapali, mogli to skończyć. Mogli wszystko skończyć.

Torba objęła się o jej uda. Zawinęła lewą dłoń wokół paska, pozwalając jej opaść w dół i zakręcić pasek wokół nadgarstka. To też mogła być dobra broń.

Świece stojące w oknach rzucały na mokre kocie łby jasne światło. W środku ludzie prowadzili normalne życie, opowiadali historie, brali prochy, pieprzyli się czy robili cokolwiek innego, co robiło się za zamkniętymi drzwiami w mroźną noc. I byli zupełnie nieświadomi tego, że ledwie piętnaście metrów od ich drzwi przemknęła śmierć.

Skręcili za nim w lewo. Ulica była pusta. Zniknął.

Ale energia pozostała i Chess podążyła za nią, ufając instynktowi. Skręciła za róg i wiedziała, że się nie pomyliła.

Znikając za rogiem, zabójca potracił śmietnik, który potoczył się w ich stronę. Brzęk metalu uderzającego o bruk przypominał charczenie zużytych biegów.

Kolejna ulica. I kolejna. Chess miała całkiem niezły zmysł orientacji. Wydawało jej się, że kierują się na północny zachód, ale nie wiedziała dlaczego. Tam przecież nic nie było. Budynki robiły się coraz rzadsze, a te, które mijali, były coraz bardziej zniszczone. Z większości pozostały już tylko ściany o pustych oknach i szeroko otwartych drzwiach, rozdziawionych w cichym okrzyku. Pokonane budynki olbrzymy, na wpół zakopane w okrutnym betonie.

Potknęła się o kamień. Coraz trudniej było biec, nogi odmawiały jej posłuszeństwa, płuca błagały o powietrze i prawie nic nie widziała. Ale nie miała wyjścia. Nie mogła pozwolić, żeby Lex pobiegł dalej bez niej. Mimo że miała przy sobie nóż, na samą myśl o tym, że zostałaby sama na tej ulicy... Wiedziała, co mogło się kryć za spalonymi, rozpadającymi się murami.

Znowu w lewo, krótka przecznica. W oddali dostrzegła mordercę, poruszał się w ciemnościach jak cień. Nie było latarni, a księżyc przypominał niewielki okruch na niebie. Jak daleko się zapuścili? Nie miała pojęcia, ale widziała zabójcę i wiedziała, że są blisko. I to zapewniło jej siłę, której potrzebowała. Dała z siebie wszystko, jak nigdy wcześniej, pokonując ból i odnajdując w sobie palącą się w duszy nienawiść. Nienawiść była czysta, silna.

Zabójca znowu skręcił w prawo, zaledwie dziesięć metrów przed nimi. Skręcili za nim, unosząc noże. Tak blisko, byli tak blisko. Czują, że mogłaby sukinsyna rozerwać na strzępy gołymi rękoma...

Nic. Pusta ulica. Pusta ściana. A przed nimi kołyszące się drzwi do głównego krematorium Triumph City.



# ROZDZIAŁ 11

Nie chciała tam wchodzić. Nie chciała... nie chciała...

Szkoda tylko, że nie miała wyboru. Ten ktoś był w środku. Morderca się tam schował, i fakt, że nie była na to gotowa, a jej serce waliło ze strachu, a nie z wysiłku, nie miał żadnego znaczenia. Drań ją śledził i nadał będzie to robił. Miała okazję z tym skończyć. Będzie tchórzliwą pindą, jeśli tego nie zrobi.

Bez słowa przywarli do siebie z Lexem, trzymając w rękach noże. Chess zarzuciła torbę z powrotem na ramię, co też dawało pewną ochronę. Jeśli skoczy na nich, gdy otworzą drzwi – a dałaby głowę, że tak właśnie zrobi – będą przynajmniej na tyle gotowi, na ile to możliwe.

Drzwi powinny być zamknięte. Za dnia może nie wrzało tu jak w ulu – w końcu nikt nie chciał tu pracować, było zbyt niebezpiecznie – ale sporo się działo. Wiele osób umierało w Triumph City, a po śmierci ich ciała natychmiast kremowano. Były pewne... przypadki, w trakcie Nawiedzonego Tygodnia i zaraz po nim. kiedy umarli nadaremnie próbowali wrócić do swoich gnijących ciał. Dopóki istniało ciało, duszom łatwiej było wrócić.

Lex zerknął na nią. Pokiwała głową. Razem pchnęli drzwi tak, że z głośnym hukiem uderzyły w betonową ścianę.

Nic się nie stało. I dobrze, bo niewielkie, pokryte sadzą okna ledwie wpuszczały do środka odrobinę księżycowej poświaty. Piece były wygaszone. Chess nie widziała własnej ręki, którą miała przed twarzą, ani Lexa, idącego przy jej boku. Ale go wyczuwała. Pożądanie uderzało o jej skórę, badało, pulsowało. Zacisnęła zęby i próbowała nie zwracać na to uwagi. Zwalczała to z całych sił.

Poczuła na ustach ciepłe, duszne i oleiste powietrze. Bała się oblizać wargi, bo wiedziała, że to zapach śmierci. Stopionego ludzkiego tłuszczu, sproszkowanych kości.

Próbowała nie oddychać, ignorując wołanie ciała o tlen. Dusila się, umierała, dławiąc krzyk przerażenia, który wydobywał się z jej gardła. Coś załaskotało ją w policzek i zdała sobie sprawę, że to łza.

Jej naspeedowane źrenice się rozszerzyły. Skąpe światło, które wlewało się do środka, spoczywało na krawędzi długich stalowych pieców, odpoczywających po ciężkim dniu składania zmarłych w ofierze. Wiedziała, że w budynku było siedem palenisk. Zwiedzała krematorium kiedyś ze szkołą. I przez całe życie ten lub inny przeciwnik groził jej kolejną wizytą w tym miejscu.

**Ale gorsze od samych pieców, gorsze nawet od kleistego, gęstego odpożądania powietrza, były blade ciała pokryte białymi prześcieradłami, ułożone przy przeciwległej ścianie. Błyszczały w ciemnościach, kurcząc się i rozciągając. Czy one się ruszały? Trudno było cokolwiek powiedzieć. Może to złudzenie albo dusze zmarłych, które jeszcze nie osiadły, jeszcze czekały...**

**Weź się, do cholery, w garść!**

**Wstrzymała oddech, czekając, aż jej serce zacznie wolniej bić, i wypuściła powietrze. To wszystko bzdury.**

**Lex trącił ją ręką. Prawie go nie widziała, ale poczuła na nadgarstku znajomy dotyk. Uniósł dłoń, wskazując na przeciwległą ścianę. Jasne. Tam paliły się światła i tam było biuro. Drugie wyjście. Dlaczego cały czas tu stali? Cholera, już im pewnie uciekł.**

**Ostrożnie stąpali po brudnej podłodze. Próbowali poruszać się szybko, ale musieli zachować ciszę. Każdy ich krok brzmiał jak wystrzał z pistoletu.**

**Ale czy to na pewno były ich kroki? Odwróciła się w prawo, gdzie leżał stos ciał. Coś się tam poruszyło. Ale to nie ciała. Szczury. Czarne plamki na białym tle. Było ich niewiele, ale nagle poczuła ucisk w pustym żołądku. Może wędrowały też po podłodze i pełzyły w jej stronę, gotowe wspiąć się po nodze...**

**Zacisnęła zęby i odwróciła wzrok. Zrobiła kolejny krok. Ręką, w której trzymała nóż, zataczała w powietrzu niewielkie kółka. Czuła, że Lex robi to samo, poruszając dłonią i tułowiem.**

**Nagle powietrze przeszył przerażający ryk jak śmiertelny wrzask demona. Cały budynek zadrżał.**

**Piece obudziły się do życia, otwierając drzwi.**

**W kilka sekund całkowita ciemność i cisza zamieniły się w płonącą czerwień. Chess nieraz czuła się zdemaskowana, ale tym razem stała, oślepiąca, w samym środku magazynu z trupami, wściekle mrugając i próbując zwęzić źrenice. Kiedy przymykała powieki, widziała białe płomienie, gdy je otwierała, jej oczy zalewało czerwonopomarańczowe światło.**

**Temperatura w pomieszczeniu skoczyła w górę. Drzwiczki nie powinny być otwarte, kiedy w środku szalał ogień. To było zbyt niebezpieczne. Może morderca zepsuł mechanizm? Jakim cudem, do cholery?**

**Jej twarz zalał pot. Płaszcz zrobił się zbyt ciężki a grzywka przykleiła się do czoła. Mocniej chwyciła rękojeść noża klejącymi się palcami.**

**Złapała Lexa za rękę. Też była mokra, podobnie jak jego twarz. Nie mieli dokąd uciec, gdzie się ukryć. Nie teraz. Stali w samym środku piekła, czekając na nieunikniony atak.**

**Na tle syczących płomieni usłyszała brzęk i łoskot rur. Zafascynowane ciepłem szczury wdrapywały się na taśmociąg. Zanim się zorientowały, że to ogień, było już za późno. Widziała, jak jeden z nich stanął w płomieniach, wybuchając jak sztuczne ognie.**

**Lex popchnął ją do przodu. Była jeszcze szansa, żeby złapać mordercę albo przynajmniej uciec. Udało im się dojść do połowy pomieszczenia. Zabójca mógł się schować w biurze, mógł stać na metalowej kładce otaczającej krematorium...**

**Był tuż przed nimi. Drań miał ze sobą ducha.**

**Chess odskoczyła w bok. Lex ruszył do przodu z wyciągniętym ostrzem. Czarownica obróciła się, wymachując nożem, a lewą ręką sięgnęła do torby. Szybko. Ale nie dość szybko. Zimne dłonie zacisnęły się na jej gardle.**

**O cholera! Pożądanie rozpaliło jej skórę – stanęła w płomieniach jak ciało w piecu krematoryjnym. W ciągu sekundy została zredukowana do zera. Prawie nie istniała. Jej ciałem wstrząsnął bolesny, okropny, nienawistny orgazm, którego nie chciała, ale którego nie była w stanie kontrolować. I znowu była w łóżku, miała czternaście lat i nienawidziła tego, co jej robili. I siebie, bo jej się to podobało. Ogarnął ją wstyd, jak czerwony ocean pełen brudnych igieł i potłuczonego szkła, odzierając jej kości ze skóry. Bolało ją gardło, ale nie przestawała krzyczeć. Tatuże piekły jak świeżo wypalone znaki. Tonęła, spadała... Wygrywali, zaraz ją pokonają. Ta myśl uderzyła ją niczym młot i ogarnęła ją żelazna determinacja. Nie miała już czternastu lat. Nie była już tamtym dzieciakiem i nie chce tu leżeć i umierać. Nie po tym wszystkim co przeszła.**

**Ale nie miała czego kopnąć, z czym walczyć. Lodowate ręce cały czas zaciskały się na jej szyi, odcinając dostęp powietrza, a co gorsza, krążenie krwi. Gumowymi palcami odnalazła zamek i go pociągnęła. Cała torba się poruszyła, ale zamek lekko się otworzył... wystarczająco. Potrzebowała powietrza. Nawet tego rozgrzanego powietrza, które wypełniało pomieszczenie. Zrobiło jej się czarno przed oczami...**

**Uniosła dłoń, uderzając w rękę ducha. Poczwała, że jest twarda, a utwardzone części ducha można uszkodzić. Jego twarz... O rany! O cholera, te oczy! Te oczy zawieszony w pustej eterycznej twarzy... jej twarzy. O kurwa! Nie, to niemożliwe...**

**Na szczęście wykonywała ruchy bezwiednie, kierując nóż w dół. Ręka, która ją ścisnęła, poruszyła się na tyle, że Chess zdążyła zaczerpnąć powietrza i głębiej sięgnąć do torby. Ziemia, cmentarna ziemia... gdzieś tu była. Musiała być i... O**

**cholera!**

**Lex krzyknął. Zabójca też. Wdziała, jak walczą na środku podłogi, coraz bliżej wygłodniałych ust najbliższego pieca. Płomienie podskoczyły do góry, w oczekiwaniu na kolejny posiłek.**

**Kolejny zamach nożem – ale nie trafiła. Czubkiem ostrza drasnęła własny policzek, zostawiając długą piekącą ranę. Dobrze. Ból przywrócił jej siły, rozdrażnił ją.**

**Cały czas grzebała w torbie, ale nie mogła znaleźć ziemi. Niczego nie mogła znaleźć. Kręciło jej się w głowie. Wyciągnęła dłoń i przecięła nią ducha, w nadziei że udało jej się zebrać chociaż kilka ziarenek. Chociaż tyle, by nieco go osłabić.**

**Udało się. Tylko na sekundę lub dwie, ale się uda. Tylko tyle potrzebowała. Uniosła ręce, zrobiła unik i chwyciła ducha za nadgarstki w miejscu, gdzie zaczął się utwardzać.**

**Uderzyła o ziemię, przeturlała się z powrotem i wstała na nogi. Musiało być tu coś, czego mogła użyć. Bez sensu teraz szukać ziemi, nie miała na to czasu. Torebka musiała jej wypaść, kiedy biegła. Elektryczność? W torbie miała czujnik elektryczny, mogła odwrócić kable, użyć przeciwko duchowi jego własnej siły, ale co potem? To nie wystarczy, by go porazić, a samo utwardzenie nic nie da. Mogła sprawić mu ból, ale nie uda jej się naprawdę skrzywdzić ani złapać w pułapkę. Ogień? Czysta gorąca energia. To może się udać. Przynajmniej zniszczy te okropne, nagie gałki oczne, a to już coś.**

**Chess okrążyła Lexa i zabójcę, zwartych w ponurej walce. Zbliżyła się do pieca. Nie tego. Przez chwilę chciała zaatakować zabójcę nożem i pomóc Lexowi, ale duch ruszył w jej stronę. Udało jej się zrobić unik, uderzyła kolaniem o betonową podłogę i okazja minęła.**

**To będzie bolało.**

**Pobiegła w stronę drzwi wejściowych, odciągając ducha od Lexa i zabójcy. Jeśli jej się nie uda, nie mogła rozpraszać towarzysza. Potrzebował co najmniej dwóch sekund, żeby uciec.**

**Taśmociąg był inny, niż się spodziewała, zrobiony z szarego elastycznego metalu, który brzęczał, gdy poruszał się wokół amortyzatorów i kół, a na brzegach miał cienkie żelazne linki. Świetnie. Wzięła głęboki wdech i wskoczyła na taśmę.**

**Uderzyła ją fala gorącego powietrza, jeszcze gorsza niż poprzednio, gorsza niż w więzieniu dla duchów. Poczowała, jak pękają jej usta, a wzrok jej się rozmazał. Cholera, musiała widzieć, co się dzieje. To powinno być idealnie zgrane w czasie...**

**Duch rzucił się w jej stronę, manewrując ciałem w taki sposób, że wylądował na brzuchu na taśmociągu.**

**Z jakiegoś powodu duchy nie były najlepsze w skakaniu i dobrze.**

**Piekły ją uda. Miała ochotę krzyczeć. Wydawało jej się, że zaraz stanie w płomieniach. I rzeczywiście mało brakowało, żeby się tak stało.**

**Duch zbliżał się do niej, rozchylając ponure usta w uśmiechu i czekając, aż Chess zginie. Pewnie wyobrażał sobie, że wyssie z niej energię jak mleczny koktajl. Czarownica wcale nie była pewna, czy nie będzie miał okazji.**

**Stalowa rama pieca parzyła ją, gdy sięgnęła do tyłu i chwyciła ją rękoma. Zrobiła krok do przodu i kolejny, żeby nie upaść. Gdyby się przewróciła, wszystko byłoby stracone. Nie mogłaby uciec...**

**Duch skoczył. Chess nabrała powietrza i wstrzymała oddech. Zaciśnęła uda. Zgięła ramiona i podskoczyła, a duch wpadł do pieca.**

**Uderzył ją zapach palącego się materiału. Jej dżinsy zaczęły się dymić, za chwilę wybuchną płomieniem. Podskoczyła, nie czekając na to, by zobaczyć, czy ogień strawił ducha, czy nie. Jeśli tak, była bezpieczna, jeśli nie – martwa. Nie było sensu marnować ostatnich sekund, by się tym przejmować.**

**Przebiegła po piecu, dudniąc butami o stal i zeskokczyła z drugiej strony.**

**Nóż Lexa uderzył o beton. Zabójca wrzasnął. Dopadła ich w ostatniej chwili, by powstrzymać towarzysza przed zadaniem śmiertelnego ciosu.**

**Przez chwilę Lex walczył, ale przestał, gdy zdał sobie sprawę, że to ona. Nie marnowała czasu.**

**–Co ty robisz? – wychrypiała gardłowym głosem, zmienionym nie do poznania. Pomyślała, że powinna napić się wody, ale zaraz odrzuciła ten pomysł. Wyszłaby na słabeusza. – Co ty im robisz?**

**Zabójca się roześmiał. W czerwonym blasku ognia wyglądał jak demon z dawnych legend. Jego skórę pokrywały znaki i symbole, jakby był z nich zrobiony, nie mając własnych cech. Oczy miał czarne, a zęby poplamione krwią.**

**–Ty – zasyczał. – Znam cię. Jesteś wścibska, wiesz?**

**Serce zaczęło jej mocniej bić. Znał ją? Te oczy... w samochodzie. Musiał ją dzień wcześniej widzieć z Terrible'em, widzieć ich w tamtej alejce, może poszedł za nimi do knajpy? Poszedł za nią do domu? Poczwała na sobie wzrok Lexa i zmusiła się, by**

**zachować spokój. Ręce ją piekły. Tak mocno zacisnęła pięści, że przecięła paznokciami delikatną, napiętą skórę.**

**–Odpowiedz jej – zażądał Lex. – Odpowiedz albo cię...**

**Zabójca niemal się uśmiechnął, ukazując okropne czerwone zęby.**

**–Myślisz, że możesz mi grozić?**

**Do diabła z tym, chciało jej się pić i nie była w stanie myśleć. Po pierwszym łyku w jej oczach pojawiły się łzy. Poczwała, jak płyn rozlewa się po jej ciele. To było lepsze niż seks. Szkoda tylko, że nie mogła się tym nacieszyć.**

**Znał ją, znał jej samochód, wiedział, gdzie pracuje...**

**Zabójca znowu się roześmiał. Lex zerknął na nią. Chess wiedziała, że są w niebezpieczeństwie, rozumiała, co planował, czego chciał... Ale było za późno.**

**Morderca coś krzyknął. Chess nie rozpoznała słów, ale poczuła na skórze ich moc. Przewrócił oczami, ukazując białka. Jego duch, zwrócony ciału, wyskoczył z niego w całej swojej postaci. Zrzucił na bok Lexa, jakby ten był dzieckiem, skoczył na równe nogi i uciekł. Prosto na schody. A duch biegł tuż za nim.**

**Chess rzuciła się do przodu. Próbowwała ich zatrzymać, ale nie zdążyła. Wbiegł po schodach, przebiegł przez kładkę i wyskoczył przez okno, zanim zdążyła wstać. Kiedy wybiegli z Lexem na zewnątrz, już go nie było.**

**Została po nim tylko gęsta i ciężka energia, ale szybko się ulotniła. Chess miała to gdzieś. Każda kostka w jej ciele i każdy mięsień błagały o odpoczynek. Czuła się tak, jakby wessała pełną popielniczkę. A energia seksualna też tak szybko nie zniknie, jeśli byli w pobliżu. Może mieli gdzieś samochód?**

**–Cholera. – Lex wytarł czoło koszulką. – Tyle zachodu i niczego się nie dowiedzieliśmy.**

**–Niezupełnie – odparła Chess. Te oczy... ta twarz. Cholera, kto w to uwierzy? Wiedziała, że Terrible na pewno to zrobi. Ale... Cholera! Tak, on jej uwierzy. Będzie musiała mu tylko wyjaśnić, dlaczego wałęsała się nocą z Lexem na terenie Slobaga. Albo wymyślić jakąś niezłą historyjkę.**

**–Co chcesz przez to powiedzieć?**

**–Wiem, kim jest duch.**

**–Co? Skąd?**



**Wiatr rozwiał jej włosy i osuszył pot, aż poczuła, jak jej twarz pokryła się lodem. Tak samo się czuła, gdy zobaczyła akta Remingtona.**

**–Widziałam jej zdjęcie. Ma na imię Vanita. Była ofiarą morderstwa.**

**\*\*\***

**Wiedziała, że na świecie nie ma wystarczająco dużo prochów, żeby zapomniała o tych cholernych oczach unoszących się przed jej twarzą. Ale na pewno miała zamiar spróbować. Sięgnęła po cztery cepty, ale po chwili jeden odłożyła. Lex pewnie będzie miał jakieś oozery. Poprosi go o jednego, zanim pójdzie do domu.**

**Dom... O niczym innym nie marzyła, ale zanim tam wróci, miną wieki. Jeżeli w ogóle jest tam bezpieczna. Zabójca ją znał. Ta myśl nie dawała jej spokoju. Jak zdarta płyta, która zacięła się w jej głowie. Wie, gdzie mieszkam... wie, gdzie mieszkam...**

**Wlekli się powoli przez ulice, nie odzywając się i pozwalając, by mroziło ich lodowate powietrze. Butelka z wodą była pusta, podobnie jak jej ciało.**

**W końcu Lex się odezwał:**

**–Dlaczego duch zamordowanej dziewczyny zabija innych ludzi? I to dziwki?**

**–Duchy... a zwłaszcza ofiary morderstw po prostu nienawidzą. Zatrzymują się w miejscu, w którym byli, gdy zginęli. Nie ewoluują, ani nic.**

**–Więc ta laska, która morduje, pracuje z jakimś gościem. Zabija ludzi dla oczu? Widzi bez nich?**

**Westchnęła. Jej spocona grzywka zamieniła się w małe sople lodu.**

**–Nie wiem. Chyba nie. Niewidomi zostają niewidomymi duchami, a morderca wydłubał jej oczy, więc pewnie ich potrzebuje.**

**Pokiwał głową. Szli dalej.**

**–Zostaniesz u mnie?**

**–Powinnam wrócić do domu.**

**–Nie wiem, czy to dobry pomysł, skoro cię znają i w ogóle. Może u mnie będzie lepiej, co? Bezpieczniej.**

**–Nie wzięłam ze sobą niczego, a jutro mam kupę roboty. Nic mi nie będzie – stwierdziła, ale miała rację i dobrze o tym wiedziała. Serce cały czas waliło jej w piersi, a strach, zmęczenie i speed sprawiły, że jej ruchy stały się nerwowe. Marzyła o tym,**

**by cepty wreszcie zaczęły działać.**

**–To może pójde z tobą?**

**–Nie, dzięki.**

**–No to weź swoje rzeczy i wróć do mnie. Nie żartuję, tulipanku.**

**Jego troska przyprawiła ją o dreszcze. Przed chwilą chciał, by u niego została, żeby była bezpieczna, potem chciał zostać u niej. A teraz, zanim zdążyła się zorientować...**

**Nie chodziło o to, że nie chciała u niego nocować, chociaż naprawdę marzyła tylko o tym, by znaleźć się we własnym łóżku. Nie miała też nic przeciwko temu, żeby czuć przy swoim boku jego ciepłe ciało, zwłaszcza dzisiejszej nocy. Ale nie mogła znieść myśli, że tego potrzebuje. Nie chciała, by interesował się jej życiem. Jak ktoś zaczyna interesować się twoim życiem, wkrótce potem chce decydować, co masz robić. Uzależnienie to delikatna roślina, która najlepiej rośnie w ciszy i spokoju.**

**–No dobra.**

**–Przyjadę po ciebie. Weź co ci potrzeba i zadzwoń po mnie.**

**–Dobra – powtórzyła.**

**Miała tylko nadzieję, że jego mieszkanie będzie tak bezpieczne, jak myślał. Śledzili ją, ale niczego nie zauważyła. To samo mogli zrobić z Lexem.**

# ROZDZIAŁ 12

Terrible czekał na nią przed drzwiami do budynku. Na jego widok ucisk w jej piersi nieco zelżał. Uśmiechnęła się. Co za okropna noc, pełna napięcia i strachu. Cały czas bolała ją głowa i nie mogła zapomnieć widoku tamtej twarzy, oczu. Wyobrażała sobie, że po nią idą... Chętnie się trochę rozerwie. Wypije parę piw i się zrelaksuje. Może Terrible przekima się u niej na kanapie, a Lexowi wyśle wiadomość, że jednak nie przyjdzie.

A potem zauważyła wyraz jego twarzy i zrozumiała, że nie przyszedł po to, żeby posłuchać płyt, i minie dużo czasu, zanim którekolwiek i nich będzie miało okazję się położyć.

Zatrzymała się, zsuwając z ramienia torbę.

–Następna?

–Jakąś godzinę temu.

Godzinę temu. Oczywiście. Vanita i jej Towarzysz opuścili krematorium i znaleźli kolejną ofiarę, żeby zdobyć dla ducha nową parę oczu.

Znowu rozbolała ją głowa.

–Gdzie?

Zawahał się.

Wskazał głową w prawo.

–Tuż za rogiem.

W głowie jej dudniło.

–Przed moim domem? Tutaj?

Ludzie cały czas umierali na ulicy. Do diabła, w Dolnej Dzielnicy ludzie umierali na każdej ulicy. To nie było najbezpieczniejsze miejsce na ziemi. Ale rytualne zabójstwo tuż pod jej domem... Naprawdę wiedzieli, gdzie mieszka i kim jest.

Oczy cały czas leżały w plastikowym woreczku w jej torbie. Powinna mu je pokazać i powiedzieć, co się stało.

Ale nie teraz. Nie tutaj, na ulicy, gdzie każdy mógł ich zobaczyć. Nie wiedziała, jak zareaguje. Kiedy już obejrzą ciało, może wejdzie do niej na górę i wtedy wszystko mu

opowie.

Wyciągnęła z torby papierosa i przechyliła głowę, żeby odpalić go od buchającego płomienia metalowej zapalniczki Terrible'a.

–Pokaż.

Zaprowadził ją za róg, na niewielki, prywatny parking za jej domem. Nie należał do jej budynku – ich parking był po drugiej stronie – ale do diabła, widziała go z małego pokoju, w którym miała pralkę i suszarkę. Parapet w tym pokoju był szeroki i gładki. Czasami lubiła tam usiąść, zapalić skręta i poczytać. Może gdyby była w domu, coś by zauważyła. Mogłaby temu zapobiec?

Tym razem wokół ciała zgromadził się większy tłum, złożony nie tylko z dziwek, ale i z okolicznych mieszkańców. Niektórzy mieli na sobie spodnie od pidżamy, widoczne spod grubych płaszczy. Inni byli ubrani jak na wieczorne wyjście, ale wszyscy mieli ten sam wyraz twarzy i wrogi, przestraszony, podejrzliwy.

Rozpoznała dziewczynę. Tak jej się przynajmniej wydawało, ale szeroki nos i wystająca broda rzeczywiście wyglądały jakby znajomo. Trudno było zobaczyć cokolwiek poza pustymi, zakrwawionymi dziurami, w których powinny być oczy.

–To Płaczący Człowiek – odezwał się ktoś. – Kościół chyba nic tu nie poradzi. Duch jest zbyt potężny.

–To nie on – powiedziała bez zastanowienia, klękając przy ciele dziewczyny. Odchyliła futrzaną kurtkę i stylonową bluzkę, by zobaczyć wypalony na piersi znak. Zauważyła pęcherze, jak u pozostałych. Biedaczka jeszcze żyła, związana i zakneblowana, kiedy jej to zrobił.

–A kto? – usłyszała czyjeś pytanie. – To znak Płaczącego Człowieka, nie powiesz, że nie.

–To na pewno Płaczący Człowiek, wszyscy tak mówią...

–To nie Płaczący Człowiek – powtórzyła, nie zwracając na nich uwagi. Gdzie torebka? Nie było jej przy ciele dziewczyny ani nigdzie w pobliżu.

–A co ty tam wiesz – kpił jakiś facet. – Mam niby wierzyć jakiejś zaćpanej kościelnej wiedźmie...

Te słowa przeszyły ją jak ostrze brzytwy. Oblała się rumieńcem, tak gorącym, że miała wrażenie, iż jej skóra paruje w lodowatym powietrzu.

Przynajmniej nie miała problemu ze znalezieniem osoby, która to powiedziała.

**Musiała tylko poszukać faceta, którego Terrible chwycił za gardło.**

**–Chyba się przesłyszałem – powiedział cichym, spokojnym głosem. – Możesz to powtórzyć głośniej?**

**Facet pokręcił głową, a oczy wyszły mu na wierzch. Wyglądał jak robak, z tymi swoimi cienkimi jasnymi włosami sterczącymi na czubku głowy i rękoma zaciśniętymi w bezużyteczne małe pięstki.**

**–Na pewno? Jeśli masz coś do powiedzenia, zrób to teraz, a nie później. Teraz mamy świadków. Później może być gorzej, kumasz?**

**Facet rozumiał. Tak jak i wszyscy pozostali. Widok cofającej się nagle grupy ludzi mógł być nawet zabawny, gdyby nie to, że czuła się upokorzona. I robiło jej się niedobrze na widok martwej dziewczyny u swoich stóp. To była jej wina. Nie złapała złoczyńcy, pozwoliła mu uciec. Miał na rękach krew tej dziewczyny. Tak jak Mózga. Cholera, musiała się napić.**

**Terrible zwolnił uścisk, rzucając mężczyznę na ulicę i uklęknął przy niej.**

**–Dokładnie tak samo, nie?**

**Pokiwała głową.**

**–Nigdzie nie widzę torebki.**

**–Elitho, gdzie jest jej torebka? Miała ją przy sobie, gdy ją znalazłaś?**

**Elitha z całą pewnością była znajoma. Parę tygodni temu Chess poczęstowała ją na rogu papierosem.**

**–Nie widziałam jej – powiedziała, mrugając, by powstrzymać łzy. Wsunęła do ust kciuk i zaczęła obgryzać paznokiec, przez co wyglądała jak mała dziewczynka. – Jej już nie ma, a ja nawet nie wiem, gdzie jest jej torebka.**

**–Byłaś z nią? – zapytała Chess.**

**–Czekałam w domu, ale nie przyszła...**

**Terrible wziął Chess za rękę i odciągnął z dala od tłumu.**

**–Jesteś pewna, że to nie Płaczący Człowiek? Znalazłaś coś?**

**W jego wzroku wyczytała to, co myślał. Nie miał zamiaru komentować uwagi o „zacpanej wiedźmie”. Chciał, żeby o tym zapomniała. Może było to możliwe, a może nie, ale i tak była mu za to wdzięczna. Gdyby próbował z nią o tym gadać, mogłaby**

**zrobić coś głupiego, na przykład się rozplakać. Nie odzywając się, pozwolił jej zachować resztki godności.**

**Dzięki temu zyskała też chwilę, żeby pomyśleć. Nie mogła mu powiedzieć o Vanicie, nie tłumacząc, jak się o tym dowiedziała. Ale miała sto procent pewności, że to nie Remington był mordercą. I wiedziała, jak to wyjaśnić.**

**–Byłam dziś w więzieniu dla duchów. Remington tam jest. Widziałam go, to nie on.**

**–Kurwa. – Stał przez chwilę, wpatrując się w jakiś punkt nad jej ramieniem. Widziała, jak próbuje sobie to wszystko poukładać w głowie. – Bump chciał, żebym cię do niego zawiózł, może być?**

**–Co, teraz?**

**–Tak, jeśli masz czas.**

**Zastanawiała się. Była taka zmęczona... Może Bump da jej trochę speedu, jak do niego przyjdzie. Następnego dnia miała się spotkać z Pyle'ami, ale nie o jakiejś konkretnej godzinie. Zresztą, choć trudno było w to uwierzyć, ledwie dochodziło wpół do drugiej. Może jak zaczną gadać, wymyśli jakiś powód... Znajdzie jakąś wymówkę...**

**–Dobra. Poczekaj chwilę, tylko wezmę coś z domu.**

**\*\*\***

**Tłum wokół ciała dziwki zdążył się rozejść. Zostało tylko kilku gapiów, którzy zgromadzili się po prawej, jakby czekali, aż wstanie. A może nie chcieli odejść i czekali, aż zabierze ją ten, który miał to zrobić, żeby zobaczyć jej ostatnie poníženie, gdy wrzucą ją na tył ciężarówki, jak porzucony na chodniku mebel.**

**Jakby na zawołanie, pojawiła się furgonetka. Jaskrawe światła rozjaśniły skórę dziewczyny i rozświetliły jej włosy srebrnym blaskiem. Chess przyglądała się wraz z innymi, jak drobne, blade ciało udaje się w ostatnią podróż.**

**Przejażdżka do Bumpa nie zajęła im dużo czasu. Akurat tyle, by wysłuchać w całości *Ace of Spades*, ale Chess wydawało się, że nigdy się nie skończy. Niezależnie od tego, o czym Bump chciał z nią pogadać, to nie mogło być nic dobrego. Od sprawy z lotniskiem Chester sprzed paru miesięcy, zamienili może dwa słowa. A nawet gdyby... Jeśli wzywał cię diler narkotyków, nigdy nie wynikało z tego nic dobrego.**

**–Wszystko gra? Wiem, że widok tych dziewczyn to dla ciebie niezły szok.**

Rozgryzła cepty, czując między zębami ich gorzki smak. Aż szczypały ją oczy. Popiła pigułki, ale język pozostał szorstki i suchy. Jakies półtorej godziny temu wzięła już trzy i jeszcze nipsy, wiedziała więc, że trochę przegina, ale w tym momencie gównu ją to obchodziło.

–A co z tobą? Ty je przecież znałeś, ja nie.

Zawahał się, jakby się zastanawiał, co odpowiedzieć.

–Taa... Chciałbym, żebyśmy już to skończyli.

Zerknął na nią, zatrzymując ciężki samochód w pobliżu targowiska. Będą musieli przez nie przejść, żeby dotrzeć do Bumpa.

–Mam coś dla ciebie. Co ty na to, jeśli powiem, że Slobag ma dokładnie ten sam problem?

Cholera. Wiedział, musiał coś usłyszeć... Dlatego zabrał ją do Bumpa. Pewnie coś podejrzewali.

Zasłużyła sobie na to. Okłamywała ich i kręciła za ich plecami. Nie wiedzieli, że zgodziła się schrzanić sprawę z lotniskiem Chester dla Lexa ani że rozmawiała z nim o martwych dziwkach. Nie wiedzieli, że już wcześniej wałęsała się w jego części miasta, że brała od niego większość prochów i że dosłownie sypiała z wrogiem. Dlaczego więc dopadł ją ból, a nie strach?

–Chess?

–Ja, nie... och! – Poczowała ulgę, niemal tak samo silną jak pierwsze uderzenie pigułek, które przyspieszyło rytm jej serca. – Eee... Slobag też stracił dziwki?

–Tak słyszałem. Znajomy chłopak mi o tym powiedział, ale nie chciałem nic mówić, ktoś mógłby nas usłyszeć, kapujesz?

–Ja... Nie. Właściwie to nie. Dlaczego nie chcesz, żeby ludzie wiedzieli, że to samo dzieje się u Slobaga?

Wyciągnął papierosy i uniósł pytająco brwi. Chess kiwnęła głową. Zapalił obydwa i podał jej jednego.

–Bo niektórzy nadal myślą, że to Slobag, a nie chcemy wyprowadzać ich z błędu. Mniej się martwią, gdy myślą, że to zwykła potyczka między nami, a nie duchy.

–Cholera, Terrible, sprytnie.

Jego policzki pokryły się rumieńcem, widocznym nawet w słabym świetle

wpadającym przez szyby samochodu.

–Tak, cóż... – zaczął. – Chodzi o to, że nie tylko my obrywamy.

–I dlatego Bump chce się ze mną widzieć? Chce o tym rozmawiać?

–Może. Mówił tylko, żebym cię przyprowadził.

–Jak myślisz, o co mu chodzi?

–Nie jestem pewien. – Wypuścił chmurę białego dymu, która uderzyła w przednią szybę samochodu. Wirował jak piana na dnie wodospadu. – Znasz Bumpa, zawsze chce wiedzieć wszystko z pierwszej ręki, w tym przypadku od ciebie. Może wymyślił jakiś plan i potrzebuje pomocy.

Nacisnął klamkę. Do samochodu wpadło zimne powietrze.

–Chodźmy, zobaczymy, czego chce.

Targowisko wciąż tętniło życiem, ale powoli zaczynało robić się pusto. To znak, że zbliżał się koniec handlu. Największy tłum zgromadził się przed wejściem do palarni, gdzie utworzyła się chaotyczna kolejka trzęsących się ludzi, którzy prawie na siebie nie patrzyli. Chess niemal wyczuwała dym. Może jak już się dowie, czego chce Bump... Miała przy sobie jakieś trzydzieści dolców. Starczy na niewielką porcyjkę dreamu i dwadzieścia minut zapomnienia na sofie. Zapomniałaby o oczach i spędziła trochę czasu w bezpiecznym miejscu.

–A jak ci idzie ta kościelna sprawa? Tego gościa z telewizji? Myślisz, że mówią prawdę?

–Nie wiem, – Oderwała wzrok od szczęśliwej grupki. – Może tak, może nie. Muszę poczekać i zobaczyć, co jeszcze uda mi się znaleźć.

–A te duchy? Są wredne? Bardziej od pozostałych?

–Tak. Duchy ofiar morderstwa... trzymają to w sobie, jeśli wiesz, co mam na myśli. Zostają w tym miejscu, w którym byli, gdy zginęli. – Czy dopiero co o tym nic mówiła?

–Taa... O niektórych sprawach trudno zapomnieć. Nieważne jak mocno oberwałeś, to się nigdy nie kończy. O to chodzi? Pewnie teraz chcą wyrównać rachunki i dlatego wracają.

Zamrugnęła, próbując złagodzić pieczenie oczu.

–Tyle że to nie działa w ten sposób.



**–Nie. Nie da się zmienić tego, co się już stało. Można próbować zapomnieć, ale to trudne. Więc cały czas o tym myślą. Stoją w miejscu jak samochody w blokach startowych.**

**Przeniósł wzrok z jej twarzy na swoje stopy. Chess patrzyła, jak uniósł rękę i podrapał się po szyi. Wyciągnął z kieszeni kolejnego papierosa.**

**–Tak – oznajmiła. – Tak to chyba jest. Dla nas wszystkich, tak naprawdę.**

**Wypuścił dym, zmieniając wyraz twarzy.**

**–Tak to jest. Trzeba poczekać i zobaczyć. Ale sama wiesz, że Bump nie lubi czekać. Jest wtedy zły.**

**–Wiem, pod tym względem go znam.**

**Mruknął coś pod nosem na potwierdzenie i ruszyli w stronę Bumpa. Po kilku krokach zatrzymał się, krzywiąc pokrytą bliznami wargi.**

**–Co?**

**–Cholera. Zaczekaj chwilę, dobrze?**

**–Ale... – zaczęła, tyle że już go nie było. Przeciął betonowy plac. Na przeciwległym końcu targowiska podskoczyła jakaś postać. Zaraz potem oderwała się od gromadki skupionej wokół ogniska. Aha. Ktoś wisiał Bumpowi forszę.**

**Powiedział, żeby na niego zaczekała, i to właśnie powinna zrobić. Ale nie zrobiła. Poszła za nim, kiwając głową do Edsela, gdy mijała jego budkę. Poruszała się tak szybko, jak tylko mogła. Torba uderzała o jej nogę. przypomniała sobie, że nie pokazała Terrible’owi oczu. Idiotka. No dobra, zanim pójdą do Bumpa, żeby się dowiedzieć, czego od niej chciał, będzie musiała to zrobić.**

**Nie było trudno go znaleźć. Wyszła z targowiska i skierowała się tam, skąd dochodziły błagalne jęki.**

**Ofiara Terrible’a leżała z twarzą na chodniku, z kolanem osiłka wbitym w sam środek pleców. Chess usunęła się w cień budynku na rogu. Wszyscy na ulicy zrobili to samo, nieznajomi, którzy wiedzieli, co się dzieje, i nie chcieli się angażować. Nie chcieli być świadkami, żeby nikt nie posądził ich o zaangażowanie w sprawę. Terrible dorwał już swoją ofiarę, nikt nie chciał być następnym.**

**–Tu nie ma dość forsy, Nestor – powiedział, przetrząsając postrzępiony portfel męczyzny. Wyciągnął kilka wymiętych banknotów i wepchnął je do kieszeni. – To nie wystarczy, kapujesz? Bump chce dostać swoją forszę. Wisisz mu już od trzech**

miesiący.

Nestor wił się jak przewrócony na plecy robak. Próbował wymachiwać nogami, ale nie mógł się uwolnić.

–Potrzebuję trochę więcej czasu, tylko troszeczkę...

–Czym się zajmujesz?

–Co?

Terrible wstał, odwracając Nestora twarzą do góry, wciąż trzymając but na jego piersi.

–Jaką masz robotę? Używasz rąk?

–Jasne. W fabryce, co nie? Robię takie zegary, te z tymi...

Jednym ciężkim stąpnięciem Terrible złamał mu nogę. Krzyk Nestora odbił się od ścian, wbijając się w mózg Chess.

Serce zaczęło jej mocniej bić. Powinna odejść. Wiedziała, że Terrible nie chciałby, żeby to widziała. Ale nie mogła się ruszyć z miejsca, przyklejona do zimnej ściany, skąd widziała jego postać oświetloną blaskiem pojedynczej latarni.

Ukląkł i otworzył nóż, trzymając go w taki sposób, żeby Nestor mógł skupić na nim szeroko otwarte, przerażone oczy.

–Następnym razem nie będziesz miał tyle szczęścia, jasne? Masz dwa tygodnie. Dwa tygodnie i Bump ma dostać wszystko. Albo stracisz dużo więcej niż teraz, kumasz?

Tamten pokiwał głową, całe jego ciało wydawało się przytakiwać, ale to mogły być równie dobrze konwulsje.

–Błagam...

Skrzywił się, gdy potężna ręka Terrible'a lekko uderzyła go w policzek.

–A teraz wszystko gra, tak? Oddasz Bumpowi forszę i nie będziemy musieli tego więcej robić. Pełny luz, co nie? To nic osobistego.

–A... jeśli zdobędę pewne informacje? Takie, które Bump... będzie mógł wykorzystać?

–To znaczy?

**Nestor pokręcił głową.**

**–Do diabła. Nie drażnij mnie, co? Powiedz, o co chodzi, to może Bump da ci jeszcze jeden tydzień. Jeśli mi nie powiesz, stracisz tydzień. To nie jest jakaś pieprzona gra.**

**Nestor wyszeptał coś szorstkim i świszczącym głosem. Terrible pokiwał głową i wstał.**

**–Dowiesz się, to pogadamy. Ale nic nie obiecuję, jasne? Nadal masz dwa tygodnie, znajdę cię.**

**Wstał i się odwrócił. Napotkał jej wzrok.**

**W pierwszym odruchu chciała się wycofać, schować się z powrotem za róg. Za późno. Poza tym, czy to miało znaczenie? To nie było tak, że nie wiedziała, w jaki sposób zarabiał na życie i nie widziała skutków tego, co robił.**

**Czekała więc, aż do niej dołączy. Zostawił Nestora jęczącego na chodniku. Nie obejrzał się za siebie, ruszyli z powrotem w stronę Targowiska.**

**–Zapomniałam ci o czymś powiedzieć – jej głos brzmiał nerwowo i niezwykle głośno w otaczającej ich ciszy. – Ktoś zostawił dziś dla mnie prezent.**

**–Co? Cholera, chyba sobie żartujesz?**

**–Ani trochę. – Podała mu torebkę. Kleiła jej się do rąk, chociaż była zupełnie sucha. Jakby oczy w środku próbowały przegryźć się przez plastik i wessać jej palce w swoją ślepą otchłań, – Znalazłam je w samochodzie, na fotelu pasażera. Przy Kościele.**

**–A teraz jeszcze to ciało przed twoim domem. Cholera, Chess! Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?**

**Wzruszyła ramionami. Miała nadzieję, że wyglądało to swobodnie.**

**–Wiedziałam, że i tak spotkam cię później. Miałam dziś wieczorem pracować, chciałam wrócić do domu i się przespać.**

**–A nie myślisz, że te oczy są ważne? Może powinnaś trzymać się z daleka od swojego mieszkania. Może ktoś chce cię dopaść?**

**–A co miałam zrobić, do cholery?! Nie jestem głupia. Wiem dobrze, o co chodzi, jasne? Ale wciąż tam mieszkam i chciałam wrócić do domu, żeby się przespać. Ze względu na moją pracę, rozumiesz? To coś, czym się zajmuję. Co nie powoduje, że ludzie włamują się do mojego mieszkania albo że podrzucają oczy w moim**

**samochodzie.**

**–Coś, czym nie będziesz mogła się zajmować, jeśli będziesz olewać groźby morderców.**

**Wrócili na targowisko, przebijając się przez ostatnie grupki kupujących. Nie zastanawiała się nawet nad tym, dlaczego ludzie tak szybko schodzili im z drogi. Terrible nie wyglądał na szczęśliwego. Ona pewnie też nie.**

**–Posłuchaj. – Chwyliła go za ramię, zatrzymując i zmuszając, żeby spojrzał jej w twarz. – Rzeczywiście powinnam powiedzieć ci o tym wcześniej. Ale to już nieważne, jasne? Zostanę dziś w nocy na terenie Kościoła. Nic mi nie będzie.**

**Zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy, chociaż go okłamała. Wiedziała, że i tak jej uwierzy. Zaufa. Cholera, była niezłą łajzą. I tak już kłamała, skąd ma prochy i ile ich bierze. To była jej sprawa. Ale to...**

**Nie wyglądał na zadowolonego, ale pokiwał głową.**

**–Zadzwoń, dobra? Jakby coś zaczęło się dziać. W Kościele może i jest bezpiecznie, ale oni też znają magię, nie? Tak jak tamci z Lamaru, pokonali twoje zaklęcia i weszli do twojego mieszkania.**

**–Tak, ale oni mieli Randy’ego, który powiedział im, co robić.**

**–A skąd wiesz, że teraz jest inaczej? Po prostu zadzwoń, jeśli coś się będzie działo.**

**–Dobra, w porządku. Już dobrze, nie patrz tak na mnie.**

**–Cholera. Jeśli ktokolwiek będzie próbował coś ci zrobić, dostanie kosę, jasne?**

**Uśmiechnęła się.**

**–Jasne. Zwłaszcza że teraz mam kogoś, kto mnie uczy, jak się bić.**

**–Myślisz, że jesteś już tak dobra? A może nie chcę, żebyś mi odebrała robotę.**

**–Tak, zastanawiałam się nad tym, ale pomyślałam, że ci ją zostawię. Wiesz, żebyś miał się czym zająć.**

**–Wielkie dzięki. Dzięki, że o mnie pomyślałaś.**

**Dotarli do domu Bumpa. Budynek stał na skraju Targowiska, a za rogiem świstał już wiatr. Chess uchwyciła gęsty, słodki zapach fajek, który unosił się w lodowatym powietrzu. Niewiele myśląc, wzięła głęboki wdech, marząc o tym, żeby znaleźć się w środku, a nie stać na tym cholernym zimnie.**

**I nie musieć czekać na Bumpa, żeby dowiedzieć się, co takiego planował dla niej tym razem.**

# ROZDZIAŁ 13

Terrible uniósł rękę i zapukał do prostych, czarnych drzwi domu Bumpa. Chess przygotowała się na horror, który czekał na nich w środku. Nie chodziło o samego Bumpa, ale o jego wątpliwy gust, jeśli chodzi o wystrój wewnątrz.

Było jeszcze gorzej, niż myślała. Pierwszym, co zobaczyła, gdy ruszyła jaskrawym szkarłatnym korytarzem za niską, nijaką brunetką, był Bump. Siedział na purpurowej, pluszowej kanapie. Nad jego głową wisiał nowy obraz, którego nigdy wcześniej nie widziała, przedstawiający nagą kobietę z, co za niespodzianka, szeroko rozstawionymi nogami i zadowolonym uśmiechem na jaskrawo umalowanej twarzy. Celowo lub nie, Bump usadowił się dokładnie pod obrazem i wyglądał tak, jakby wypadł z łona kobiety, a ona – zszokowana i zadowolona – spoglądała w dół, by zobaczyć, co urodziła.

Nawet jak na Bumpa było to dość ekstremalne. Jeden rzut oka na obraz i Chess miała dość. Zwłaszcza gdy wyobrażała sobie, jak z twarzy kobiety znikają jej wesole oczy, a uśmiech robi się milczący i martwy, jak u tych dziwek z ulicy. Przypomniła sobie na wpół przezroczystą twarz Vanity.

Ile ceptów już połknęła? Może mogła wziąć jeszcze ze dwa? Cały czas czuła dreszcze, mimo że próbowała udawać odważną i mimo tej krótkiej chwili bez troski pod drzwiami. Na myśl o morderstwie, które wydarzyło się tuż pod jej sypialnią, o krematorium, o oczach... Miała przy sobie notes. Pewnie mogła sobie pozwolić na jeszcze dwie pigułki. Umysł będzie pracował trochę wolniej, ale jeśli zacznie robić notatki i potem je przejrzeć...

–Minęło sporo czasu, biedroneczko – stwierdził Bump. Machnął ręką by usiadła na drugiej sofie, jakby wszystkiego było mało, jego pidżama była z futra. Ohydne, różowego futra z czarnymi paskami zebry. Cienkie rude włosy sterczały mu z tyłu głowy jak dmuchawiec.

Wprawdzie miał na sobie pidżamę i nie zdążył się uczesać, ale to wciąż był Bump. Przy jego nodze spoczywała błyszcząca czarna laska ze złotą rączką, a na palcach lśniły ciężkie pierścienie. Rzucały na ściany maleńkie iskierki.

Chess usiadła, walcząc z pokusą, żeby położyć na siedzeniu jakąś chusteczkę i czekała, aż mężczyzna zacznie mówić.

–Dlaczego, do cholery, nie zdejmiesz płaszcza, co? Przecież tu nie jest zimno. Posiedź trochę z Bumpem. Bump ma parę spraw do obgadania. kumasz?

Świetnie. Jeśli chciał, żeby tu została, musiał jej trochę pomóc. Zsunęła płaszcz i celowo ziewnęła.

**–Z tobą zawsze są jakieś ceregiele, co? – Wstał. Jego pidżama wyglądała jeszcze gorzej, niż Chess się spodziewała. Powoli ruszył w stronę błyszczącego czarnego barku w rogu i wrócił z małym, polakierowanym pudełeczkiem. – Mój prywatny towar, biedroneczko. Mam nadzieję, że ci się spodoba.**

**Podobało się jej. Pudełko było sprytnie wykonane, gdy się je otworzyło, ukazywało się lustrzane dno i przegródki na różny ekwipunek. Chess zajęła się przygotowywaniem kilku kresek, a Bump mówił dalej.**

**–I co dla mnie masz? Znalazłaś coś?**

**–Niezupełnie. To duch, ale nie Płaczący Człowiek, jak wszyscy myślą. Tamten cały czas siedzi w więzieniu dla duchów. Byłam tam dzisiaj. Poza tym... Terrible ci nie mówił?**

**Brwi Bumpa uniosły się, niemal znikając w jego włosach.**

**–Tak, mówił, co widziałaś. Ale nie to, co wiesz. Rozumiemy się?**

**–Pokaż mu te oczy, Chess.**

**A właśnie. Przez ułamek sekundy niemal udało jej się o nich zapomnieć. Sztywnymi palcami sięgnęła do torby, a Terrible mówił dalej.**

**–Nie udało mi się złapać Dwuokiego Lou. Nikt go nie widział, nikt nic nie wie. Sprawdziłem jego chatę, ale chyba już tam nie mieszka.**

**Bump się skrzywił.**

**–Uciekł. Wie, że go szukamy.**

**Terrible pokiwał głową.**

**–Ale złapałem Nestora. Zabrałem mu to. – Chess zerknęła w górę i zobaczyła, że Terrible rzuca Bumpowi pomięte banknoty. – Chce się dogadać, mówi, że słyszał coś o jakimś magazynie na Osiemdziesiątej, ale nie jest pewien. Pyta, czy jak się czegoś dowie, będziesz chciał się dogadać. Może coś z tego być, no nie?**

**Bump wzruszył ramionami. Patrzył beznamiętnym wzrokiem na banknoty i na oczy.**

**–Ktoś ci je dał, biedroneczko?**

**Kiwnęła głową. Nastąpiła długa cisza, przerywana jedynie stukaniem niewielkiej złotej słomki o lusterko i długimi, głębokimi wdechami Chess.**

**O... kurwa. Prywatny towar Bumpa był naprawdę niezły. Nos jej zdrętwiał, zatoki**

też. W ogóle cała prawa część twarzy jej zdrętwiała, a serce podskoczyło radośnie do góry i zaczęło szybciej bić. Atmosfera w pokoju momentalnie się zmieniła. Czerwone ściany zrobiły się przytulne, futrzana pidżama Bumpa urocza, a wulgarny obraz na ścianie... Cóż, dalej był wulgarny, ale już jej tak nie przeszkadzał.

Ale uśmiezek, który pojawił się na twarzy Bumpa, owszem. Coś kombinował, to pewne. Szykowała się na najgorsze. Nie żeby miała coś do powiedzenia, ale czuła się lepiej, gdy mogła udawać, że tak jest. Powie mu, żeby poszedł do diabła, zamiast zgodzić się na wszystko, czego chciał, bo potrzebowała jego prochów. Cholera, teraz potrzebowała już czegoś więcej. Potrzebowała ochrony. Potrzebowała tego obleśnego alfonsa z jego okropną pidżamą i domem o pornograficznym wystroju. Gdyby myślała, że jest coś warta, w tym momencie pewnie by siebie znienawidziła. A tak... Po prostu kolejny zwyczajny dzień w rynsztoku.

–Oczy dziewczyny Bumpa? – Obejrzał torebkę, dotykając gałek przez plastik. – I jak? Co myślisz?

–Nie wiem. Ale były w moim samochodzie, więc...

–Więc chyba musimy trochę przyspieszyć, co? To ty jesteś tu ekspertem, biedroneczko. Więc powiedz Bumpowi wszystko, co wiesz. Czego ten duch chce? Dlaczego je zabija?

Pochwyciła spojrzenie Terrible'a. Wyraz jego twarzy nic jej nie mówił, nie miała pojęcia, co myślał, ale i tak nie miała zamiaru wyjawić Bumpowi, o czym rozmawiali. Nawet gdyby to miało jakieś znaczenie.

–Duchy po prostu zabijają. Tym się właśnie zajmują.

–Ale ty potrafisz je powstrzymać, tak? Przecież to twoja praca, do cholery! To dlaczego jeszcze nic nie zrobiłaś?

–Minęły raptem trzy dni. – Cholera! Zaczynała się bronić. Ale była beznadziejna.

–Tak. Trzy dni to cholernie dużo czasu. Szczególnie że teraz ktoś siedzi ci na karku, biedroneczko. Niby co te oczy mają znaczyć, co? Oni cię obserwują.

Wzruszyła ramionami. Dokładnie tak to rozumiała. A Bump nie oczekiwał odpowiedzi, a jedynie potwierdzenia.

–Może ty będziesz następna, co? Może wykorzystamy cię jako przynętę? Postawimy cię na ulicy.

Chyba nie mówił tego poważnie. Problem w tym, że z Bumpem nigdy nic nie wiadomo.



**–Nie. To się nie uda. – Terrible poruszył się na fotelu, wzrok mu spochmurniał. – Wiedzą, kim jest. Wiedzą, że nie jest dziwką.**

**–To założymy jej pieprzoną perukę. Zakryjemy te tatuaże. Wtedy jej nie poznają. Co ty na to, biedroneczko? Może uda ci się zarobić parę dolców...**

**–Ona tego nie zrobi Bump.**

**Tamten zmarszczył nos, przez co wyglądał jak nadęta uczennica.**

**–Tak tylko pytam. Głośno myślę. Nie narażamy jej przecież na niebezpieczeństwo. Słyszałeś, co mówiła? Walka z duchami to jej praca, no nie? To dlaczego tego nie wykorzystamy? Nie damy jej się tym zająć?**

**–To się nie uda – powtórzył Terrible. Pochylił się na kanapie i wydawał się jeszcze większy, jak zwierzę, które uniosło się na przednich łapach.**

**–Terrible myśli, że się nie uda – poprawił Bump, nie patrząc na podwładnego. – Ale Bump myśli o tobie... w bardziej przyjazny sposób. Wydaje mi się, że jesteś tego rodzaju biedroneczką, która lubi mieć wybór i sama o wszystkim decyduje, co? Pomyśl, co możesz dla siebie ugrać, jeśli tylko będziesz chętna... I będziesz mieć otwarty umysł.**

**–Ugrać coś dla siebie? – Nie myślała o tym... ale w sumie miał rację. To była jej praca. Pomijając zimno i jego obleśną aluzję, że mogłaby obsłużyć paru klientów, to wcale nie był głupi pomysł.**

**To był właśnie problem z Bumpem. Poza tym, że był książkowym wręcz przykładem złoczyńcy do tego stopnia, że w każdej chwili spodziewała się, że zapanuje i będzie nimi kręcił, jego pomysły trzymały się kupy.**

**Nie wspominając już o tym, że gdyby Vanita i jej człowiek rzeczywiście dali się nabrać... Mogła ją rozpoznać. Wszyscy mogli ją rozpoznać. Nie musiały już ukrywać, że coś wie, tylko dlatego, że nie wiedziała, jak się z tego wytłumaczyć, bo odpowiedź na pytanie znalazła nie w tej części miasta, co powinna.**

**Rozpoznać, do diabła. Może uda się ją nawet złapać.**

**–Tak, wiesz, jak jest. Zachowasz przyjaźń Bumpa. Jesteś moją kościelną czarownicą, wiesz o tym, prawda? Wszyscy o tym wiedzą. To znacznie ułatwia życie, co? Nie chcesz chyba tego stracić? Chyba nie chcesz być nieprzyjacielem Bumpa? Może będziesz mogła przeskoczyć kolejkę, gdy wpadniesz na fajkę. Będziesz miała dość towaru, gdy skończą ci się zapasy. Co ty na to? Zawsze będziesz miała wszystkiego w bród. Rozumiemy się?**

O tak, rozumiała aż za dobrze. Jego groźba nie mogła być bardziej oczywista. I lodowata.

Co wcale nie było konieczne. Oboje wiedzieli, że wystarczy jeden telefon do Kościoła i byłaby skończona. Koniec z pracą, domem... Zostałaby jej tylko długa odsiadka w podłym więzieniu i całe życie podejrzeń i smutku. Życie bez pigułek i fajek, bez... wszystkiego.

Oczy Bumpa lśniły jak tani złoty zegarek wiszący na marynarce pasera.

–No, rozumiała – stwierdził jakby do siebie. – Tak długo jak będziemy rozmawiać, zostaniemy przyjaciółmi... Musimy się jakoś spotkać ze Slobagiem. Będziesz tam, jasne? Może użyjesz tej swojej magii i pomożesz Bumpowi, co? Weźmiesz co ci potrzeba i wyczarujesz dla Bumpa trochę magii. Słyszałem, że dobra czarownica może nawet uśmiercić człowieka. To prawda, biedroneczko?

Terrible poruszył się niespokojnie.

–Bump, ona nie...

–Nie.

–Co takiego?

Chess wsunęła ręce z powrotem do rękawów płaszcza.

–Powiedziałam: „nie”. Nie rzucę dla ciebie zaklęcia śmierci. Nie...

–A kto mówi, żebyś to zrobiła? Tego Bump nie powiedział, co nie? Nie. Bump po prostu zadał pytanie i mogłabyś być na tyle miła, żeby na nie odpowiedzieć. Zwłaszcza że Bump ci coś dał. Chcę się tylko czegoś dowiedzieć. O co chodzi z tymi zaklęciami? Może Bump popyta gdzie indziej. Jeśli myślisz, że nie jesteś dość dobra, by sama się tym zająć.

Czy on jej rzucał wyzwanie? Zmusiła się, by się skupić, przez mgiełkę z ceptów i speedu, która ogarnęła jej umysł. Przez tę maleńką część umysłu, która gotowa była przyjąć jego wyzwanie. Nie dość dobra? Była cholernie dobra. Gdyby tylko chciała, mogłaby...

Nie, nie da się na to nabrać.

–Na tych zaklęciach nie można polegać, czasem przynoszą odwrotny skutek. Nie chcesz chyba...

–A tam, nie opowiadaj głupot, biedroneczko. Mogą zaatakować tych, którzy nie

wiedzą, co robią, no nie? Którzy nie mają takich zdolności, jak ty. Nie mówię, że masz to zrobić. Tylko pytam. Może Bumpowi wystarczy, czy ja wiem, włos z głowy Slobaga? To byłoby dla mnie pewne zabezpieczenie. Dla Bumpa i Terrible'a. I dla wszystkich. Bump tu wszystkich chroni, tak? Co by się stało, gdyby Bumpa zabrakło? Co by się stało z Terrible'em? To by ci się wcale nie spodobało. Więc tak naprawdę to nie jest żadna prośba, jeśli się nad tym zastanowisz. Rozumiesz? Pomyśl tylko i powiedz, czy Bump nie ma racji?

Zerknęła na Terrible'a, który cały czas siedział na kanapie, gapiąc się na swoje stopy. Luźno opuścił ręce, ale pięści zacisnął tak mocno, że jego pokaleczone, olbrzymie kostki zrobiły się białe. Wiedział o tym? Może i wkurzyło go to, co usłyszał, ale nie kazał Bumpowi się zamknąć. Był mu winien o wiele więcej niż jej. Była tylko jego przyjaciółką, Bump – jego szefem. Zabrał go z ulicy, gdy Terrible był dzieckiem, dał mu dom i pracę.

Ale mógł ją chociaż uprzedzić. Chociaż tyle. Dopiero co stała na zewnątrz, myśląc, że jest największą łajzą na świecie, bo nie powiedziała mu wszystkiego, a on pozwalał Bumpowi sugerować, że mogłaby kogoś zamordować, i nawet jej nie uprzedził, czego może się spodziewać. Nawet nie... Nieważne, dobra.

Chciał, żeby to zrobiła. Przyprowadził ją tu i trzymał gębę na kłódkę. Najwyraźniej wybrał to, co było dla niego ważniejsze. Wolałby, żeby nie wałęsała się w krótkiej spódniczce na rogu ulicy, ale nie miał nic przeciwko, by przygotowała zaklęcie śmierci. Czy on ją w ogóle znał?

Zerknęła na swoje odbicie w lusterku. Kreska, która została na dnie, przecięła jej twarz, jak biała blizna na policzku. Do diabła z tym. Nachyliła się i wciągnęła proszek. Jakby ten ruch zapisany był krwią.

–Dobra, w porządku.

Bump się uśmiechnął, pokazując przy tym wszystkie zęby, jak tygrys. Od początku wiedział, że się zgodzi. Wiedział, że ma ją w garści.

–Gdy się ma czyjeś włosy, paznokcie albo coś innego, można przygotować różne zaklęcia – oznajmiła, mając płonną nadzieję, że uda jej się ustalić jakieś granice.

–Niewielkie rzeczy Jeżeli to się w ogóle uda. Niektórzy nic zostawiają żadnych śladów, rozumiesz? A ich włosy me są wiele warte. Więc nie mogę nic obiecać.

–W porządku, to wystarczy. Masz w sobie wiarę, biedroneczko Wiem. że chcesz pomóc staremu kumplowi Bumpowi. Dobrze ci zapłacę. Może na początek weźmiesz sobie resztę tej torebki, co? A potem Bump zobaczy, co będzie mógł dla ciebie zrobić. Przyjdź jutro, biedroneczko, Może Bump będzie coś dla ciebie miał. I od razu zacznij nad tym pracować, jasne? Musimy mieć coś od obu, więc zacznij

**kombinować.**

**–Obu?**

**–Taa... Od Slobaga i jego pieprzonego synalka. Jak on się nazywa?**

**–Lex – podpowiedział Terrible.**

## ROZDZIAŁ 14

Terrible odwrócił się do niej, jak tylko zamknął za sobą drzwi samochodu. Jego gęste brwi poruszały się niespokojnie nad głęboko osadzonymi oczami.

–Chyba nie...

–Wiedziałaś, czego chce? – Szyby chevelle’a były całkowicie pokryte szronem. Jakby znaleźli się w statku kosmicznym, pędzącym przez pustkę. Zaczęła szperać w torbie, żeby uniknąć jego wzroku, a potem powolnym ruchem odkręciła butelkę z wodą.

Powinien był ją ostrzec Jak mógł jej to zrobić? Jak mógł ją zrobić w coś takiego?

Nie odpowiedział. Do diabła z ram.

–Terrible, wiedziałaś, czego on chce?

–Nie, to nie tak... Cholera. Nie wiedziałem, że to planuje. Wspominał coś wcześniej, ale myślałem, że się rozmyślił. Mówił też o pomysle z przynętą, ale zapowiedziałem mu, że nic z tego.

–Chodzi mi o to drugie. O to, żebym użyła magii żeby kogoś zabić. Wiedziałaś o tym? Wiedziałaś? I nic mi nie powiedziałaś?

–Nigdy wcześniej o tym nie mówił. Chess...

–Wygląda na to, że wpadł na to pod wpływem chwili. No proszę, co za pomysły gość.

–Chyba nie chcesz tego zrobić, co?

–Dlaczego?

Zamrugnął. Z deski rozdzielczej buchnęło lodowate powietrze i Chess szczelniej owinęła szyję płaszczem.

–Po prostu... Nie wydaje mi się, żebyś mogła. Tu chodzi o zabójstwo, Chess. Bump nie żartuje, kumasz? Mówi, że możesz przygotować jakieś inne zaklęcie, ale jak przyjdzie co do czego, nie będzie cię o nie prosił. Poprosi o śmierć. Rozumiesz?

–I co z tego? – Jego troska zaczynała ją drażnić, jakby ktoś pocierał jej duszę papierem ściernym. Nie mogła uwierzyć, że jej nie uprzedził i pozwolił jej wejść w ten ślepy zaułek. Mógł sobie mówić, jeśli chciał, że nic nie wiedział. Ale znał Bumpa. Na pewno się domyślał, że coś takiego chodzi po tej jego kędzierzawej głowie. I siedział

**tam, zaciskając pięści i nie odzywając się ani słowem.**

**I co z tego, że im dłużej o tym myślała, tym bardziej wydawało jej się, że pomysł z przynętą nie był taki zły, a to już coś znaczyło. Nieważne, że próbował się za nią wstawić. Liczyło się tylko to, że ją zawiódł. Że coś przed nią ukrył.**

**A jeśli chodzi o ukrywanie przed nią różnych rzeczy... Lex był synem Slobaga? Do diabła, cały czas myślała, że nie miał rodziców, tak jak ona. Nigdy o nich nie wspominał. Jakby nie miał żadnych krewnych z wyjątkiem siostry, Blue, której Chess nigdy nie poznała.**

**Nie był zwyczajnym żołnierzem z gangu Slobaga. Nie był nawet jednym z ważniejszych graczy. Był spadkobiercą. Pewnego dnia to wszystko będzie jego.**

**I nawet słowem nie zająknął się na ten temat. Ukrywał to przez całe cztery miesiące.**

**Czy Slobag wiedział, kim ona jest? Wszyscy o tym wiedzieli? Jeśli do Terrible'a docierały plotki, że ktoś morduje dziwki Slobaga... To któregoś dnia może się również dowiedzieć, że syn Slobaga sypia z kościelną czarownicą. Nie będzie trudno to powiązać.**

**Slobag też mógłby na nią donieść, gdyby o tym wiedział. Czemu nie? Dlaczego nie miałby zabrać Bumpowi jedynej rzeczy, której sam nie miał? Przynajmniej tak sądziła, inaczej Lex nie prosiłby jej o pomoc.**

**A za jakiś czas – cholera, nawet nie zapytała kiedy – znajdzie się w jednym miejscu z nimi wszystkimi. Z Bumpem i Slobagiem, z Terrible'em i Lexem. Z wszystkimi, którzy myśleli, że jest im coś winna.**

**Nie wspominając już o tajemniczym przyjacielu. Tym samym, który zostawiał szczątki ludzkiego ciała w jej samochodzie i łaził za nią po ciemnych ulicach.**

**Jakim cudem się w to wszystko wplątała? Chciała dać się zabić?**

**Fakt, że nie znalazła odpowiedzi na to pytanie, zmroził ją o wiele bardziej niż wiejący na zewnątrz wiatr.**

**–Ja... po prostu. Posłuchaj, Bump miewa różne pomysły, co nie znaczy, że trzeba je realizować, jasne? Pogadam z nim.**

**Zdecydowanym ruchem nałożyła nakrętkę z powrotem na butelkę i odwróciła się do przyjaciela.**

**–Co się do cholery dzieje, Terrible?**

Wycieraczki z jękiem przesuwają się po szybie, usuwając mokre placki szronu. Na twarzy mężczyzny pojawiły się cienie. Wyglądał blado w świetle ulicznej latarni.

–Nie podoba mi się to. Mówiłem mu o tym.

–Ale nie zadałeś sobie trudu, żeby mnie o tym uprzedzić, co? Żebym wiedziała, czego się spodziewać że... A do diabła z tym! Nieważne.

–Nie wiedziałem, że tego zażąda. I nie myślałem, że się zgodzisz, nawet jeśli to zrobi.

–Więc teraz całą winę zwalasz na mnie?

–Nie, ale zabijanie ludzi to nie jest...

–Ty na okrągło zabijasz ludzi.

Wcisnął coś na desce rozdzielczej i Chess poczuła na zmarzniętej skórze falę gorącego powietrza. Wrzucił bieg i ruszył z chodnika.

–Tak – stwierdził w końcu. Z całej siły zacisnął ręce na kierownicy, jakby to był czyjś kark, który miał zamiar skręcić. – Robię to. Ale ty nie jesteś mną.

–Co, myślisz, że sobie nie poradzę?

–Tego nie powiedziałem.

–To co chcesz powiedzieć?

–Nic. Nic nie chcę powiedzieć, jasne? Sama dokonasz wyboru. Jeśli o mnie chodzi, wszystko gra. Jak sobie chcesz.

–To ty mnie tam zabrałeś. I nawet mnie nie ostrzegłeś. Nie rozumiem, dlaczego teraz jesteś taki wkurzony.

–Nie jestem. Tak jak mówię, zrobisz, co zechcesz.

–To po co mnie w ogóle pytasz, czy to zrobię?

Nie odezwał się.

–Terrible?

Włączył radio, z którego ryknęło Motorhead, aż jej fotel zaczął wibrować. Wyłączyła je.

**–Terrible.**

Znowu sięgnął do radia. Chwyliła go ze rękę, a on z całej siły wcisnął hamulec. Opony zapiszczały, a ciężki przód samochodu przechylił się, prawie rzucając Chess na deskę rozdzielczą. Złapał ją za ramię, zanim zdążyła jej dotknąć.

**–Czego chcesz, Chess? Pogadać? W porządku, gadaj, ile możesz.**

Poczuta na skórze jego gniew. Było w nim tyle energii, że tatuaże zaczęły ją łaskotać. Powinna się bać, szczególnie po tym, jak widziała, że złamał Nestorowi nogę. Może gdyby nie była tak naćpana, naprawdę by się bała. Pomyślała, że niewiele osób, które miało okazję widzieć go takiego, jak ona teraz – gdy jego olbrzymia postać górowała nad nią, a jego oczy były zmrużone i pociemniałe z gniewu – przeżyło, żeby móc o tym opowiedzieć.

**Ale się nie bała. Wbiła w niego wzrok.**

**–Wrobiłeś mnie – stwierdziła. – Wrobiłeś mnie, w momencie gdy mnie tam zabrałeś, jak posłuszny piesek Bumpa. Więc nie wiem, jakim prawem osądzasz mnie za jedyną rzecz, którą mogłam powiedzieć. Nie, nie zamierzam zabijać ludzi. Ale chcę się dowiedzieć, kto zabija te dziewczyny. I zachować swoją pracę. I na pewno chcę, żebyś przeprosił mnie za to, co zrobiłeś.**

**W odpowiedzi wcisnął pedał gazu. Chess opadła na fotel. Nie zakręciła do końca butelki i woda chlusnęła na jej płaszcz.**

**Świetnie. Jeśli tak ma zamiar to rozegrać, to w porządku. To była jego wina. Nie miała wątpliwości, że w tym wypadku miała rację. Terrible o tym wiedział. I jeszcze miał czelność uważać się za kogoś lepszego? Zachowywał się tak, jakby zgodziła się na coś złego, gdy tak naprawdę zrobiła jedyną rzecz, jaką mogła.**

**Gdyby naprawdę był jej przyjacielem, pomógłby jej. Zrozumiałby. Nawet by o to nie pytał, nawet przez chwilę nie przeszłoby mu przez myśl, że rzeczywiście miała zamiar rzucić zaklęcie śmierci. Wiedział, co to znaczy, wiedział, że to wymaga ofiar... Jeśli w ogóle zadziała. Gdyby naprawdę był jej przyjacielem...**

**Rany, czy mogła być jeszcze bardziej żalosna? Nie, Terrible nie był jej przyjacielem. Kiedy skończyła się sprawa z lotniskiem Chester, to ona zaproponowała żeby się od czasu do czasu spotykali. To ona... Ona go pocałowała wtedy w barze. Tak jej się wydawało. Chociaż wspomnienie, kto wtedy zaczął, było dość mgliste. Ale wszystko, co zdarzyło się potem, pamiętała z ponurą dokładnością.**

**Ta cała przyjaźń to tylko głupia fantazja, która powstała w jej głowie. Wymyśliła to, bo zrobiła się słaba. Bo była po prostu beznadziejna i myślała, że miło będzie czasami z kimś pogadać.**



**Bo była na tyle głupia, że uwierzyła facetowi, który zarabiał na życie, sprzedając narkotyki, zajmując się prostytutkami, bijąc i zabijając ludzi. Facetowi, przed którym ludzie uciekali na ulicy. I nie tylko mu uwierzyła, ale naprawdę mu zaufała.**

**Poczuła w gardle wielką gulę wstydu i rozczarowania. Niczego się nie nauczyła? Nikomu nie wolno ufać. Nikt nie był bezpieczny. To były Fakty i Prawda.**

**–Wiesz co? – Zaryzykowała i zerknęła w jego stronę, ale wyglądał przez przednią szybę, zaciskając szczęki. – Zapomnij o tym, co mówiłam. Chyba naprawdę to zrobię.**

**W samochodzie zapanowała cisza.**

**Po chwili zatrzymał wóz pod jej budynkiem. Nie powiedziała nawet „cześć”. Wyszła z wozu, trzaskając drzwiami.**

**On też się nie odezwał. Ale kiedy wróciła do domu i wyjrzała przez witrażowe okno, które pokrywało całą frontową ścianę budynku, jego chevelle cały czas stał na chodniku, a warkot silnika był jedynym dźwiękiem, który słyszała.**

**\*\*\***

**Lex zawsze miał w sypialni zasunięte rolety, żeby nie wpuszczać światła. To było dobre, gdy spało się w dzień, ale niezbyt fajne w środku nocy.**

**Chess nie była pewna, co ją obudziło, przerywając jej spocony, nerwowy sen, ale po chwili znowu usłyszała ten dźwięk.**

**Zgrzyt. Pisk. Jakby ktoś przejechał paznokciem po szybie.**

**Przewróciła się na drugi bok. Chłopak się nie poruszył. W tle rozbrzmiewał jego ciężki, równy oddech, poprawiła T – shirt i okryła się kocem. Dziwnie się czuła, śpiąc u niego w ciuchach. To pewnie jakaś gałąź, pomyślała. Wiatr rozszalał się na dobre, zanim uspokoiła się na tyle, żeby zadzwonić po Lexa i poprosić, by po nią przyjechał. Wichura rozwiewała jej włosy i zapierała dech, gdy wyjechali z tunelu...**

**Za oknem nie było żadnych drzew.**

**Zgrzyt. Zgrzyt.**

**Usiadła, odwracając się tak gwałtownie, że aż zakręciło jej się w głowie. Coś czaiło się za oknem, na piątym piętrze.**

**Wyciągnęła rękę do Lexa. Chciała go obudzić, żeby poszedł to sprawdzić, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Takie rzeczy robił chłopak, prawda? Chłopak albo mąż. Lex nie był ani jednym, ani drugim. Nie będzie go prosić, by toczył za nią jej**

walki, chociaż miała na to ogromną ochotę. A już na pewno nie wtedy, gdy zegar wskazywał prawie piątą rano.

Poza tym miała przeczucie, że nie poradziłby sobie z tym, co czaiło się po drugiej stronie szyby.

Wyślizgnęła się z łóżka, żalując, że ma na sobie tylko koszulkę. Przydałaby się chociaż para skarpetek. Tak na zdrowy rozum wiedziała, że cokolwiek się tam kryło, nie mogło jej skrzywdzić. Duchy nie potrafiły unosić się piętnaście metrów nad ziemią, a nic innego nie potrafiło przenikać przez ściany.

Ale mając bose stopy i czując na udach powiew zimnego powietrza, czuła się wyjątkowo bezsilna. Wątpiła też, by to, co czekało za oknem, sprawiło, że poczuje się bezpieczniej.

Skrzyżowała ręce na piersiach i mocno się objęła. Zanim dotarła do okna, jej stopy zdrętwiały z zimna na chłodnej podłodze.

Gwałtownie odsunęła roletę – ze świstem pofrunęła do góry – i zobaczyła coś, co sprawiło, że całe jej ciało zdrętwiało, jakby spędziła ostatnią godzinę w palarni Sowa. I to nie taka zwyczajna. To była właśnie ta sowa. Wiedziała o tym. Prawdopodobieństwo pojawienia się dwóch puchaczy w Dolnej Dzielnicy było takie samo, jak prawdopodobieństwo, że któregoś dnia zostanie Starszym. Wiedziałyby, nawet gdyby ptak nie trzymał w ostrym dziobie oka.

Zimne czarne oczy sowy patrzyły na nią przez szybę. Chess poczuła, jak ulatuje z niej całe powietrze. Stała wmurowana w podłogę, zahipnotyzowana pustym spojrzeniem ptaka. Sowa. Zwiastun śmierci.

Kto umarł? Czyje świeże, ociekające krwią oko trzymała w dziobie?

I kto będzie następny? Tego akurat mogła się domyślać.

Ptak zatrzepotał skrzydłami i ten ruch wyrwał Chess z transu.

–*Arkrandia bellarum dishager* – wyszeptała, wkładając w te słowa całą swą moc i czując, jak magia przebija się przez szybę i uderza w ciepłe, opierzone ciało. Niemal natychmiast odbiła się i wróciła, krwistoczerwona i gęsta od doskonale jej już znanej erotycznej magii.

Zacisnęła szczęki. Nie miała zamiaru reagować, poruszać się, chociaż wiedziała, że sowa ma to gdzieś. Była jedynie narzędziem, maskotką, nie wykonawcą. Ale tamci ją obserwowali, wiedzieli o tym. Z dachu, z ziemi, skądś. Widzieli ją. Dranie.

Sowa znowu zatrzepotała skrzydłami i zeskoczyła z parapetu. Chess patrzyła, jak

opada w dół, chwyta wiatr i szybuje w górę, odlatując ponad niszczącymi dachami Dolnej Dzielnicy. Aż w końcu rozplynęła się w ciemnościach.

Wślizgnęła się z powrotem do łóżka i leżała, gapiąc się w sufit, do czasu, aż Lex obudził się około południa.

Martwe dziwki. W sumie było ich już sześć. Od rana na ulicach nie mówiło się o niczym innym, tylko o drugim ciele, które znaleziono tuż przed świtem na Siedemnastej. Oczy tej dziwki Chess widziała w dziobie sowy za oknem Lexa.

Ale Terrible nawet nie zadzwonił, żeby jej o tym powiedzieć.

Rozmyślanie o martwych prostytutkach nie należało do najprzyjemniejszych sposobów na urozmaicenie przejażdżki do domu Pyle'ów, ale i tak było lepsze od innych spraw, na których musiała się teraz skupić. I przypomniało jej o tym, w co się wpakowała, aż poczuła mdłości, na samą myśl, że w ogóle dała się w to wrobić. Przynajmniej nie sprawdzała co pięć minut komórki, jak jakaś głupia laska, która czeka na telefon.

Zatrzymała się nieopodal białych murów posiadłości aktora, żeby opróżnić pudełko z pigułkami. Cztery cepty. Pomyślała, że ma jakieś sześć godzin, zanim będzie musiała się stamtąd wynieść. I tak nie zamierzała tam długo zostać, biorąc pod uwagę bezlitosne białe niebo, w każdej chwili grożące śnieżycą, i fakt, że w głowie roilo jej się od pytań, na które nie знаła odpowiedzi. I na które nie chciała odpowiadać.

Vanita najwyraźniej postanowiła przyspieszyć grę. Oczy w jej samochodzie, cztery morderstwa w ciągu jednej nocy. To całkiem sporo. Więc... czy to jej wina? Czy ich wczorajsze spotkanie do tego stopnia rozzłościło ducha, że teraz próbował stworzyć zapas oczu?

Może. Na samą myśl o tym poczuła, że pigułki stanęły jej w gardle.

Zmusiła się, by je przełknąć i ruszyła dalej.

Na tle białego nieba dom wyglądał jeszcze bardziej przerażająco, jakby szary skośny dach i gałęzie, które przypominały kościste palce, próbowały powstrzymać budynek przed atakiem. Zeszłej nocy nie miała wiele czasu, żeby rozmyślać o duchach, które widziała. O siekierze unoszącej się do sufitu i opadającej rytmicznie. Teraz wspomnienie wróciło do niej ze zdwojoną siłą. Wzdrygnęła się, wychodząc z samochodu i podając ochroniarzowi torebkę.

–Nie ma Merritta?

–Będzie później.

**Dobrze, że nie wzięła ze sobą pigułek. Przeszukanie było zaskakująco dokładne – przyłożył się do tego bardziej, niż się spodziewała. Ale nic nie powiedziała, nawet wtedy, gdy ręka ochroniarza musnęła jej piersi parę razy więcej, niż to było konieczne.**

**Było też więcej ochroniarzy. Ten, który trzymał w ręku torbę, złowił jej zaciekawione spojrzenie. Na plakietce widniało imię Taylor.**

**–Zeszłej nocy było włamanie – wyjaśnił. – Tak nam się wydaje.**

**–Och?**

**Wzruszył ramionami i oddał jej torebkę.**

**–Miłej zabawy. Może pani wejść bocznym wejściem.**

**–Tak naprawdę najpierw chciałabym pogadać z wami, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.**

**–Pan Pyle nic o tym nie wspominał...**

**–Może go pan zapytać, ale mam prawo przesłuchać wszystkich na terenie posesji. I chciałabym od tego zacząć. Mogłabym dostać listę z nazwiskami wszystkich pracowników? I jeśli zna pan kogoś, kto widział zjawę, chciałabym z nim porozmawiać.**

**Zawahał się.**

**–Będę musiał zapytać pana Pyle'a.**

**Dupek. Nie była dziś w nastroju na takie gierki.**

**–Świetnie. Może mi pan wcześniej pokazać, gdzie jest pomieszczenie ochrony? Na dworze jest zimno.**

**Najwyraźniej tyle mógł zrobić, i to bez pytania. Pomieszczenie znajdowało się za garażem i mieściło się w nieciekawym budynku, przypominającym szopę. Miało foliowane szyby, które zniekształciły jej odbicie, gdy przechodziła obok, wykręcając jej tułów, spłaszczając twarz i powiększając czoło.**

**Na suficie wisiały takie same jaskrawe lampy, co w korytarzu łączącym dom z garażem. W połączeniu – zimowym światłem dnia sprawiały, że pokój wyglądał jak pomieszczenie rytualne w Kościele – był tak samo jasny i czysty, jakby na coś czekał.**

**Przy jednej ze ścian stało długie, szare biurko, na którym poustawiane były**

niewielkie monitory. Kamery monitoringowe. Cholera, nawet nie przyszło jej do głowy, że są na zewnątrz. Widzieli ją? Nie, na pewno nie. Gdyby tak było, złapaliby ją.

Ale jedna z kamer była wyraźnie ustawiona na tył domu, gdzie na samym końcu budynku widoczne było okno Arden. Dlaczego nikt niczego nie zauważył? Dlaczego jej nie złapali, zanim ktoś dostrzegł otwarte okno w łazience?

Rozejrzała się po pokoju – centrala telefoniczna, skórzane obrotowe fotele i mniejsze biurko z równo ułożonymi przegródkami na papiery. Na ścianie przy drzwiach wisiała półka na wpół wypełniona odbiornikami radiowymi. Pod nią druga – z bronią, z której sterczały strzelby.

Taylor stał odwrócony plecami, gdy dzwonił do pracodawcy, żeby zapytać, czy powinien jej pomóc. Chess od razu zauważyła kabel biegnący od monitora ustawionego na tył budynku pod biurko, gdzie stały nagrywarki. Pewnie już za późno, ale warto spróbować...

Płyta wysunęła się z cichym kliknięciem. Chess nadstawiła uszu, by uchwycić jakąkolwiek zmianę w głosie Taylora i wyłuskała z torebki pilniczki do paznokci. Potem zrobiła kilka głębokich, szybkich nacięć na błyszczącej powierzchni. Nie były doskonałe. Zresztą pewnie to i tak nie miało znaczenia, ale od razu poczuła się lepiej.

Zanim Taylor zdążył się odwrócić, wsunęła płytę z powrotem i oparła się o niski, chłodny blat biurka.

–W porządku – powiedział. Chess zauważyła w jego głębokich, brązowych oczach chłód. Chyba nie bardzo podobało mu się to, co usłyszał. To ciekawe. – Pan Pyle chce panią przywitać i prosi, żeby udostępnić pani wszystko, czego pani potrzebuje.

–Te listy, proszę.

–Aha... Ale proszę mi coś powiedzieć, panno Putnam. Nie sądzi pani chyba, że pan Pyle sfingowałby we własnym domu nawiedzenie, prawda? Nie straszylby żony i córki, i to dla forsy, której nie potrzebuje?

Nie mrugnęła nawet okiem.

–Jestem tu tylko po to, żeby pomóc.

–Tak...

Grę w „kto pierwszy spuści wzrok opanowała dość wcześnie, ale nie wydawała jej się interesująca i aż tak jej nie zależało na zwycięstwie.

–Jakiś problem?

**Tak jak się spodziewała, wycofał się.**

**–Nie. Chciałem tylko powiedzieć, co myślę. Pan Pyle to dobry człowiek. Nie jest oszustem.**

**–Wezmę to pod uwagę.**

**–To dobrze. Szczególnie że ja jako jedyny z ochrony widziałem ducha.**

**–Proszę mi o tym opowiedzieć.**

**Opadła na jedno z obrotowych krzeseł, biorąc notes i długopis – W tej samej chwili włączyła przycisk na małym magnetofonie, który miała w torebce.**

**–Co pan widział?**

**–Była trzecia nad ranem, właśnie robiłem obchód wewnątrz budynku. Sprawdzałem gabinet pana Pyle’a i takie tam. Naprzeciwko części mieszkalnej. Czasami zostawia tam otwarte okna i zasypia przy biurku albo na kanapie. Pan Pyle ciężko pracuje. Więc zdarza się, że muszę tam wejść, żeby go obudzić albo zamknąć okno i upewnić się, że wszystko w porządku.**

**–Po co? Zdaje się, że dość dokładnie obserwujecie teren wokół budynku, tak? Po co jeszcze sprawdzacie wewnątrz?**

**Zmrużył oczy.**

**–Lubimy być dokładni.**

**–W porządku, tylko pytam. Proszę mówić dalej.**

**–Tamtej nocy był tu Fletcher. Wie pani, kim on jest?**

**Kiedy Chess pokręciła głową, westchnął i sam usiadł na krześle.**

**–Oliver Fletcher jest producentem programu pana Pyle’a. Tak naprawdę jest jego szefem, ale są też przyjaciółmi. To Fletcher pomógł Pyle’owi na samym początku, kiedy ten występował jeszcze w małych klubach. Fletcher go wypatrzył i zaprosił do jednego z produkowanych przez siebie programów. Potem zapraszał go coraz częściej. W końcu obsadził go w Zakonie, a resztę chyba pani zna.**

**Nie znała, ale mogła się domyślić. Roger Pyle został wielką gwiazdą, a Oliver Fletcher stworzył telewizyjny przebój. I obaj zarabiali kupę szmalu.**

**Zapisała w notesie imię oraz nazwisko producenta. Może warto sprawdzić i jego finanse, skoro był przyjacielem Pyle’ą.**

–Tak czy siak, pan Fletcher tu wtedy był, czasami siedzieli razem do późnej nocy, ale nie tamtego wieczoru, Wszedłem do gabinetu i... I coś było nie tak. Poczulem dziwny zapach. – Zbladł. – Próbowałem włączyć światło, ale nie działało. Pomyślałem, że przepaliła się żarówka i że muszę włączyć lampkę. Ale nie chciałem. Tam... po prostu śmierdziało i było naprawdę zimno.

Roztarł ramiona gestem, który Chess od razu rozpoznała. Włosy stanęły mu dęba. Ludzie nie robili tego świadomie, ale w takiej sytuacji zawsze próbowali się uspokoić. Albo Taylor mówił prawdę, albo był cholernie dobrym aktorem.

–Tam było strasznie. Nigdy wcześniej się tak nie czułem i jeszcze to światło nie chciało się zapalić. Pomyślałem, że zachowuję się jak idiota, że przestraszyłem się tego pie... cholernego smrodu. A to pewnie tylko ogrzewanie w domu zaczynało wariować. Zrobiłem kilka kroków naprzód i... wtedy ich zobaczyłem.

–Ich? Czyli było ich więcej?

Pokiwał głową, ale jakby odruchowo. Nie patrzył na nią i wyglądał tak, jakby nie wiedział, że Chess wciąż siedzi naprzeciw niego.

–Mężczyzna. Miał na sobie taką luźną koszulę, białą albo jakiegoś jasnego koloru. I spodnie. Ale nie widziałem całych spodni, on jakby... zamieniał się w mgłę w okolicy kolan, I jeszcze otaczało go światło z okna. Ale miał w ręku siekierę.

–Siekierę? – Chess poczuła na plecach ciarki. Zmąciły przytulne ciepło pigulek.

–Siekierę. I to dużą. A w drugiej ręce... – Taylor zadrżał. – Trzymał głowę. Czyjaś głowę, chyba kobiety. Trzymał ją za włosy. Były całe poplątane i poskręcane... Ona chyba stała za nim, to znaczy jej ciało bez głowy. To wyglądało tak, jakby stała za nim kobieta bez głowy. I wyciągała do niego ręce.

Uciekłem. Odwróciłem się i uciekłem, przez salon, aż na korytarz i nie przestałem biec, dopóki nie znalazłem się tutaj. Zatrzasnąłem drzwi i... czekałem, aż facet z siekierą po mnie przyjdzie.

Odwrócił się do niej z szeroko otwartymi oczami.

–Więc sama pani widzi, wiem, że to wszystko prawda. Wiem, że pan Pyle nie kłamie. To coś mnie widziało. Szło w moją stronę. Wiem, że tak było.

## ROZDZIAŁ 15

Drzwi do pomieszczenia ochrony się otworzyły. Taylor wyskoczył z fotela jak oparzony, a jego szeroka twarz pokryła się rumieńcem. Przez moment wyglądał jak szaleniec gotowy chwycić siekierę, ale po chwili jego skóra przybrała normalny odcień, a na twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

–Pan Fletcher! Jak miło pana widzieć.

Więc to był Fletcher. Wysoki, szczupły, o lśniących szpakowatych włosach, gładko zaczesanych nad wysokim czołem. Zapach sukcesu i władzy unosił się wokół niego jak droga woda kolońska. Widać, że był tego w pełni świadomy. Uśmiech, który jej posłał, zawierał w sobie typową dla mężczyzn chłodną ocenę – najwyraźniej próbował zdecydować, do jakiego stopnia jej zaimponował.

Widząc to, miała ochotę posłać mu szydercze spojrzenie, Ale zamiast tego na jej twarzy pojawił się promienny uśmiech. Na razie lepiej nie robić sobie z niego wroga.

–Miło cię widzieć, Taylor – rzucił Fletcher, nie spuszczając z niej oczu. – Kim jest twój miły gość?

Taylor przedstawił ją, a Chess poczuła, że policzki zaczynają ją boleć od sztucznego uśmiechu.

Twarz producenta pociemniała.

–Ach, Roger i te jego duchy. Taki pech. Człowiek buduje dom swoich marzeń, a potem dzieje się coś takiego.

–Widział pan tu jakieś istoty, panie Fletcher?

–Ja? Nie, nie widziałem. Ale mogę panią zapewnić, że jeśli Roger twierdzi, że tu są, to tak jest w istocie. Roger to niezwykle uczciwy człowiek. Oddałby pani ostatnią koszulę, gdyby mógł w ten sposób pomóc.

Czy to tylko wyobraźnia, czy usłyszała w jego głosie nutkę pogardy?

Taylor chyba niczego nie wyczuł. Wpatrywał się we Fletchera jak zahipnotyzowany, jakby facet właśnie ogłosił, że słońce wstaje i zachodzi na jego rozkaz.

–Wydaje się bardzo miły – powiedziała, mając nadzieję, że usłyszy coś więcej.

–To prawda. Zawsze taki był. Szkoda. Ludzie chętnie wykorzystują takich jak on. Roger jest taki naiwny... Próbowałem z nim rozmawiać, ale to nie ma sensu. On po prostu uparł się ufać ludziom. – Roześmiał się lekko. – Co można z kimś takim



**zrobić?**

**–Obsadzić go w swoim programie telewizyjnym?**

**Roześmiał się, ale dostrzegła w jego oku błysk. Cholera, to był błąd. Facet najwyraźniej lubił, gdy kobiety były ładne i puste jak naczynia, które mógł wypełnić. I chyba mogła się domyślić czym.**

**A nawet była tego pewna. Gdy się odwrócił, żeby powiedzieć coś Taylorowi, dostrzegła lśniący ciemny zarys jego głowy i zdała sobie sprawę, że już go widziała.**

**Poprzedniej nocy. To jego głowa leżała na kanapie między nogami Kym Pyle.**

**Na rozkaz Fletchera Taylor odmaszerował, zostawiając ich samych. Dobrze. Może teraz dowie się czegoś więcej o Pyle'ach, gdy w pobliżu nie będzie fanatycznie oddanych pracowników ochrony.**

**Usadowił się na fotelu zwolnionym przez Taylora i wyciągnął z kieszeni elegancką złotą papierośnicę. Uniósł brwi pytająco.**

**–Nie ma pani nic przeciwko?**

**Świetnie. Pokręciła głową i tym razem obdarzyła go prawdziwym uśmiechem. Wyciągnęła własną paczkę i pozwoliła, by zapalił jej papierosa. Rzadko miała okazję palić w pracy.**

**–Często odwiedza pan Rogera i Kym Pyle'ów, panie Fletcher?**

**–Nie tak często, jakbym chciał. I, uprzedzając pani kolejne pytanie, nie, nie widziałem tu nic nadzwyczajnego.**

**–Ale jest pan pewien, że pan Pyle mówi prawdę.**

**–Znam Rogera. On nie kłamie.**

**Wyczuła swoją szansę.**

**–Kym? Arden?**

**–Arden jest niespokojną młodą damą, ale jak pani pewnie sama zauważyła, brakuje jej wyrafinowania, by zrobić coś takiego. Roger opowiadał mi o niektórych rzeczach, które widzieli z Kym. To brzmiało przerażająco.**

**–A Kym?**

**–Kym nie jest wystarczająco inteligentna.**

**–Nie ma pan o niej najlepszego zdania?**

**–Tego nie powiedziałem. Kym jest piękną kobietą.**

**Chess udała, że ta odpowiedź w pełni ją zadowala.**

**–A może to ktoś inny? Ktoś, kto jest dość wyrafinowany i inteligentny?**

**–Mam nadzieję, że pani mi to powie, panno Putnam. Czy kiedykolwiek widziała pani ukartowane nawiedzenie na taką skalę, na jaką dzieje się to tutaj? Naprawdę sądzi pani, że ktokolwiek mógłby coś takiego zaaranżować?**

**–Trudno powiedzieć.**

**Wstał i obdarzył ją bezbarwnym uśmiechem. Wydawał się usatysfakcjonowany, co wzbudziło jej niepokój.**

**–Proszę mi powiedzieć, jeśli spotka pani taką osobę. Chciałbym ją zatrudnić.**

**\*\*\***

**Dwie godziny później Chess znowu siedziała w pomarańczowo – kremowym salonie domu Pyle’ów. Zajęła miejsce przed kominkiem. Przeglądała notatki. Powinna jeszcze zamienić z Pyle’ami kilka słów i będzie mogła stąd wyjść. Ani minuty później. Jeszcze nie czuła swędzenia, ale powrót do domu zajmie jej prawie godzinę, a chciała zostawić sobie trochę zapasu.**

**Skoro sprawdzała notatki, mogła równie dobrze sprawdzić telefon. Żadnych nieodebranych połączeń. Żadnych wiadomości. Nic. Rozmawiała z Lexem rano, ale...**

**Zamknęła oczy i odsunęła od siebie tę myśl. Nie powinna myśleć o niczym poza pracą, zwłaszcza że miała teraz jasny umysł.**

**Dwaj inni ochroniarze też widzieli duchy. Wszystkie historie były podobne i pasowały do tego, czego doświadczyła na własnej skórze. Zapach – cały czas go czuła, mężczyzna w luźnej koszuli, jakiś inny mężczyzna, kobieta, którą widziała w lustrze w łazience.**

**Morderca i dwie ofiary. Brakowało tylko jednego mężczyzny, pewnie syna. Chyba że to jego Roger widział w łazience dla gości.**

**No i Oliver Fletcher. To interesujące. Najwyraźniej był przyjacielem Pyle’a i wielbicielem jego talentu. Ale też pogardzał nim i jego rodziną, niezależnie od tego, ile robieranych imprez zaliczył w tym domu. Zastanawiała się czy przyleciał specjalnie na to przyjęcie, czy miał jakiś inny powód, żeby się tu zjawić. Pracował z Rogerem**

**nad serialem telewizyjnym. Może miał też produkować jego film?**

**Będzie musiała zapytać o to Rogera. Właśnie wchodził do pokoju z szerokim uśmiechem na wesolej twarzy. Sprawdziła jego oczy. Żrenice trochę rozszerzone, ale nic wielkiego. Przypomniała sobie, że nie znalazła w pokoju Pyle'ów żadnych prochów. Może trzymał je w gabinecie? Cholera, będzie musiała wrócić tu z Rączką, uspić ich i zajrzeć do tamtego pokoju. Szczególnie że miało tam miejsce ciekawe zdarzenie.**

**Ten tydzień chyba nigdy się nie skończy. Martwe dziwki, ogromny dom pełen nieszczęśliwych ludzi i żadnej odpowiedzi.**

**Mogło być gorzej, wiedziała o tym z doświadczenia. Ale to jej wcale nie pocieszało, nie tak, jak zazwyczaj.**

**–Jak idzie sprawa? – zapytał Roger. – Czy wszyscy są pomocni? Zapewnili pani wszystko, co niezbędne?**

**Kiwnęła głową.**

**–Tak, wszyscy zachowują się super.**

**Wyraźnie się uspokoił.**

**–Znakomicie. Znakomicie. Proszę dać znać, jeśli będzie pani jeszcze czegoś potrzebowała.**

**–Właśnie się nad czymś zastanawiałam. Pracownicy, którzy widzieli zjawy, mówią o charakterystycznym zapachu. Ale pan o nim nie wspomniał, gdy opowiadał pan o swoim spotkaniu z duchem. Pamięta pan jakiś zapach?**

**Roger zmarszczył czoło.**

**–Nie... chyba nie. Czułem się wtedy trochę dziwnie, ale pomyślałem, że to pewnie dlatego, że wypłem za dużo kawy. Wie pani, kofeina sprawia, że robię się trochę nerwowy, nie potrafię normalnie myśleć. Ale nie zauważyłem żadnego zapachu ani nic takiego.**

**–Zawsze tak było czy tylko wtedy, za pierwszym razem? Na przykład tej nocy, kiedy zaatakowano was w sypialni? Wtedy nie pił pan kawy.**

**–Nie, chyba nie. Nie... Przepraszam, panno Putnam, to było okropne. Nie pamiętam, czy czułem jakiś zapach, czy nie. Myślałem tylko o Kym. I o tym, co się stało.**

**Pokiwała głową i uśmiechnęła się, chcąc mu pokazać, że rozumie.**

**–Oczywiście.**

**–Czytała pani artykuły? O tych morderstwach? – Wzdrygnął się. – Nie rozumiem, jak ktoś mógł zrobić coś takiego. A kiedy pomyślę, że to się stało tutaj, na tej ziemi. Okropne. Nic dziwnego, że wrócili.**

**–Cóż, to nie zawsze jest kwestia...**

**–Myśli pani, że jeśli odkryjemy, kto ich zabił, to sobie pójdą? Zastanawiałem się nad tym. Jak w starych książkach. Wie pani, gdy trauma mija, bo prawda wychodzi na jaw. Czy to się zdarza?**

**Nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. Wydawał się pełen nadziei.**

**–Obawiam się, że nie, panie Pyle. Próbowaliśmy tego nieraz, ale odkryliśmy, że nie robi to żadnej różnicy. Nawet jeśli odkryjemy prawdę, umarli tego nie czują. To ich nie dotyczy, nie ma na nich wpływu, więc nie mogą pójść dalej. To znaczy ci, którzy są w pułapce.**

**Już po raz trzeci rozmawia na ten temat. To nie mógł być zwykły zbieg okoliczności. Co chciała sobie powiedzieć? Czego nie rozumiała?**

**–Była pani w Mieście Wieczności? Jak tam jest?**

**Przykleiła do twarzy sztuczny uśmiech.**

**–Bardzo cicho.**

**I przerażająco. Ciemno, zimno, a wokół pełno duchów. Resztki życia, sunące w ciszy po ogromnej przestrzeni. Nic.**

**Najwyraźniej była jedyną osobą, która tak myślała. Nikt inny nie miał problemu z Miastem. Ale dla niej to był... koszmar. To miejsce wydawało jej się tak okropne, że warto było żyć, chociażby po to, by go unikać.**

**Zmieniła temat.**

**–Poznałam Olivera Fletchera. Spotkałam go w pomieszczeniu ochrony.**

**–Olivera? Świetnie. To interesujący człowiek. Bardzo mi pomógł... Jest chyba najlepszym przyjacielem jakiego kiedykolwiek miałem. Zawdzięczam mu całą karierę.**

**–Ależ kochanie, nie bądź taki skromny. Do wszystkiego doszedłeś własną ciężką pracą.**

**Chess musiała przyznać, że Kym Pyle wiedziała, jak zrobić dobre wejście. Dzisiaj**

miała na sobie obcisły czarny sweterek z głębokim dekoltem i czerwone wąskie spodnie. Jasne włosy związała z tyłu w gładki kucyk.

Przejechała szkarłatnymi paznokciami po włosach Rogera, obdarzając go ciepłym uśmiechem, o który Chess by jej nie podejrzewała. Może przyjęcie pozwoliło jej rozładować napięcie?

A może Pyle'owie doszli do wniosku, że to będzie wyglądać mniej podejrzanie, jeśli Kym przestanie zachowywać się jak królowa, która ma zły dzień.

Kobieta odwróciła się do niej, a jej uśmiech nieco przybladł.

–Panno Putnam. Myślałam, że odjechała pani już jakąś godzinę temu. Nikt pani nie powiedział?

–O czym?

–O śniegu. Nie widziała pani? Na zewnątrz szaleje śnieżycą. Myślałam, że któryś z pracowników panią powiadomi.

Chess zeskoczyła z fotela, a głos Kym zamienił się w cichy szum. Grube pomarańczowe zasłony przesłaniały wielkie okna. Chess gwałtownie je rozsunęła i aż jęknęła. To nie był śnieg. Na dworze szalała zamieć, a olbrzymie płatki śniegu przesłaniały cały świat.

O kurwa, kurwa, kurwą, kurwa...

–Powinnam już iść. – Chwyciła torbę, gwałtownie otwierając zamek. – Przepraszam, ale...

–Nie może pani teraz odjechać – stwierdziła Kym. – Tam jest okropnie. Drogi są...

–Ale jeśli teraz się nie ruszę, kto wie, jak długo będę musiała tu zostać. – Kluczyki, gdzie są kluczyki? W pomieszczeniu ochrony, na haczyku. Oddała je, gdy parkowali jej samochód.

–Nie wydaje mi się, żeby mogła pani teraz wyjechać. – Kym usadowiła się na krześle. – Arden wspomniała, że pada już od godziny. Tak mi przykro. Zdrzemnęłam się, a zasłony były zasłonięte. Nie wierzę, że nikt pani nie uprzedził. Roger, będę musiała znowu porozmawiać z ochroną, nie są zbyt uważni. Za co im płacimy?

–Ależ jestem pewna, że dam sobie radę. Jeździłam już w śniegu, więc...

–Ale tutaj nie sypią soli na drogi – zaprotestował Roger. – A pługi pojawią się, jak już będzie po wszystkim.

**–Przepraszam. – Chess zarzuciła torbę na ramię, mrugając powiekami, by powstrzymać łzy. Cholera, jak mogła do tego dopuścić? – Muszę przynajmniej spróbować. Nie mogę się państwu tak narzucać...**

**–Nie ma o czym mówić. Niech się pani nie wygłupia, musi pani z nami zostać. Zje pani z nami kolację, przenocuje. Mamy mnóstwo miejsca. Na dworze jest okropnie, nie może pani prowadzić w taką pogodę.**

**–Zobaczę najpierw, jak to wygląda – wykrztusiła. Wypadła z pokoju i pędem rzuciła się przez długi jasny korytarz.**

**Nie da rady. Grube płatki śniegu przylepiły się do jej powiek i pokryły ubranie. Na ziemi leżało już jakieś dziesięć centymetrów białego puchu. Nie widziała nawet ogrodzenia na drugim końcu posesji. Wszystko było białe – Żadnych punktów orientacyjnych. Nic.**

**Nie miała się na co gapić. A pudełko z pigułkami było puste. Ręce jej się trzęsły, gdy uniosła je do twarzy, przyciskając do ust zaciśniętą pięść.**

**Ile miała czasu? Dwie godziny, może trzy, zanim się zacznie. A potem jeszcze dwie, zanim zrobi się naprawdę źle? W torbie miała jakieś cukierki – cukier na chwilę jej pomoże, ale... cała noc?**

**Oczy zaczęły ją piec. Przetarła je, próbując uspokoić szalejące serce. W porządku. Będzie dobrze. Za parę godzin śnieg przestanie padać. Mógł przestać w każdej chwili, prawda? I było jeszcze dość wcześnie. Ludzie zaczną wracać z pracy, pojawią się pługi i wtedy się stąd wydostanie.**

**Pyle'owie musieli mieć jakiś mały pług, skoro tu mieszkali. Może któryś z ochroniarzy... Merritt! On na pewno jej pomoże. Wystarczy, że uda jej się wytrzymać godzinę albo dwie... Wszystko będzie dobrze. I tak miała zamiar zostać do szóstej, prawda?**

**W porządku. Wszystko dobrze się skończy. Musi to przeczekać, jeszcze trochę wytrzymać i będzie mogła pojechać do domu. Wtedy weźmie pigułki.**

**Jeszcze tylko trochę.**

# ROZDZIAŁ 16

Musiała przyznać, że to było dość interesujące. Tak samo jak ostatnie godziny człowieka czekającego na pluton egzekucyjny, ale jednak interesujące.

Jeszcze nigdy nie spędziła tyle czasu z klientami. A już na pewno nie nocowała u żadnego w domu.

Szkoda tylko, że za parę godzin jedyne, co będzie w stanie zrobić, to ścisnąć muszlę klozetową, w nadziei że zaraz umrze. I rozpaczliwie kombinować, jak wyjechać, żeby nikt się nie zorientował, że ledwo trzyma się na nogach.

Przetarła ręką wilgotne czoło. Próbowwała skupić wzrok na stojącym przed nią talerzu. Za wysokimi oknami jadalni po pustym niebie wirował śnieg. Wokół siebie słyszała głosy. Rozmawiali o błahostkach. O zakupach, o wspólnych znajomych... Gdyby choć trochę interesowała się ich światem, pewnie byłoby to fascynujące. Ale koncentrowała się tylko na tym, żeby nie drapać się po rękach.

Swędziały ją dłonie, łydki i wrażliwa skóra na nadgarstkach. Żołądek jeszcze nie dołączył do imprezy, ale to tylko kwestia czasu.

Służący dyskretnie sprząтали ze stołu, zabierając kurczaka, którego ledwo tknęła, i stawiając przed nią czekoladowe ciasto. Chess chwyciła widelec. Cukier. Cukier mógł jej trochę pomóc. Przynajmniej na tyle, żeby mogła uciec na górę, zanim ktoś zauważy, że coś jest nie tak.

–A więc, panno Putnam, słyszałem, że zostaje pani na noc? – Oliver uśmiechnął się do niej znad pełnego widelca.

Kiwnęła głową.

Zwrócił się do Rogera:

–Dlaczego nie dałeś pani mojego pokoju?

–Dlatego że ty tam nocujesz?

–Ale mój jest najładniejszy. Nalegam.

–Dziękuję panu, ale nie trzeba.

–Nie, nie, nalegam. Proszę się tam rozgościć.

–W zupełności wystarczy mi pokój, który mi przydzielono.

**–To niemożliwe. – Ściągnął brwi jak niemowlak, któremu zabrano smoczek. – Mój jest najładniejszy, musi go pani wziąć.**

**–Oliverze, chyba stawiasz panią w niezręcznej sytuacji – zauważył cicho Roger.**

**Chess wykorzystwała szansę.**

**–Tak. Bardzo proszę, nie chcę czuć się bardziej winna niż w tej chwili. Podoba mi się mój pokój i nie czułabym się dobrze, gdybym zabrała pański. Proszę.**

**Fletcher otworzył usta, a jego twarz poczerwieniała. Chess patrzyła na niego chłodnym wzrokiem. Miło z jego strony, że zaproponował zamianę, ale po co aż tak nalegał? I tak miała to gdzieś. Nie będzie tam przecież spać. Mogła równie dobrze spędzić noc w piwnicy, jeśli o nią chodziło.**

**–Arden – odezwała się Kym, zanurzyła widelec w kałuży czekoladowego sosu na brzegu talerza i wsunęła go do ust. – Nie jedz tego zbyt dużo. Już i tak wystarczająco przybrałaś na wadze.**

**Dziewczyna nabrała olbrzymią porcję sosu i wepchnęła ją do ust.**

**–Mam to gdzieś!**

**–Może ciebie to nie obchodzi, ale mnie tak.**

**–Daj jej się nacieszyć deserem – poprosił Oliver. Oparł się na krzesło, zarzucając ramię na oparcie ruchem najwyraźniej obliczonym na to, by wyeksponować muskularną klatkę piersiową widoczną pod białą koszulą. Mrugnął do córki Pyle'ów, a ta posłała mu szeroki uśmiech.**

**–Widzisz? Oliverowi podobam się taka, jaka jestem.**

**–Oliver nie jest twoją matką.**

**–A szkoda.**

**Ich głosy raniły jej skórę jak pazury. Nie mogli się po prostu zamknąć?**

**Dyskusja robiła się coraz poważniejsza i zamieniła się w kłótnię. Każdy mięsień w ciele Chess miał ochotę się skulić. Nie powinno jej tu być. Zupełnie zapomnieli, że była z nimi w tym samym pokoju. A była? Dlaczego tu była?**

**Drżącą ręką sięgnęła po kolejną porcję deseru. Ciasto z bitą śmietaną. Nigdy takiego nie jadła. Zbyt słodkie. Zostawiało na języku klejącą warstwę, jakby przełykała smalec.**



**Tak, zupełnie jak smalec.**

**To było jedno z tych wspomnień, których wołała nie pamiętać. Właściwie żadnego nie chciała pamiętać. Co za pech. Wiedziała, że obrazy przeszłości są blisko, unoszą się wokół jak duchy, które podobno nawiedzały dom Pyle'ów. Czekały, aż stanie się zupełnie bezbronna, zanim przystąpią do ataku.**

**Wrzaski Arden zrobiły się niezrozumiałe. Chess czuła się tak, jakby ktoś paznokciami drapał ją po mózgu. Dziewczyna wybiegła z pokoju, a jej kroki wprawiły podłogę w wibrację, przez co stopy Chess zaczęły drżeć.**

**Zapadła błogosławiona cisza. Przynajmniej dla czarownicy. Pozostali wyglądali na zażenowanych.**

**–Porozmawiam z nią – stwierdził Oliver. Celowo upuścił chusteczkę na śnieżnobiały obrus.**

**–Nie – odrzekła Kym. – Nikt się z nią nie dogada. Nie wiem już, co mamy z nią zrobić. Czytałam o pewnej szkole prowadzonej przez Kościół, niedaleko Arkadii. Oni ją wyprostują. Panno Putnam, nie sądzi pani, że kościelna edukacja jest najlepsza?**

**–Co? Och, eee... tak.**

**–Myśli pani, że pomogą Arden? – Jej stalowe spojrzenie przyszpiliło Chess do krzesła. Czuła się jak robak pod szkłem powiększającym.**

**–Z waszą córką nie dzieje się nic złego, to typowe problemy wieku dojrzewania – zaprotestował Oliver. – Pamiętajcie, że propozycja, żeby zamieszkała ze mną, jest wciąż aktualna.**

**–Nie możemy cię tak wykorzystywać – zaproponowała Kym.**

**Chess zerknęła na Rogera. Siedział nieruchomo na swoim miejscu. Znowu był naćpany? Gdzie trzymał prochy? Może powinna wpaść do jego gabinetu i trochę się rozejrzeć. Wcześniej wyciągnęła spod dywanu nadajnik i mogła go teraz położyć pod drzwiami gabinetu. Może coś tam znajdzie.**

**A jeśli ją złapią? Do diabła z tym. W tej chwili miała to gdzieś. Potrzebowała pigułek. Czegokolwiek. Nawet zwyczajne leki na przeziębienie mogły jej pomóc. Po prostu... cokolwiek. Znowu wytarta czoło i wstała. Jej widelec zabrzączał o talerz.**

**–Przepraszam. Obiad był wspaniały. Dziękuję, ale... Zostawię już państwa w spokoju, jeśli nie mają państwo nic przeciwko.**

**–To nie jest konieczne. – Roger odezwał się po raz pierwszy od początku posiłku. –**

**Naprawdę. Mieliśmy oglądać najnowszy film Olivera. Jeszcze nie wszedł do kin. Musimy pani jakoś wynagrodzić noc w nawiedzonym domu, prawda?**

**Jej uśmiech przypominał grymas.**

**–Och, nie. Nie chciałabym państwu przeszkadzać. Pójdę już. Dziękuję za wszystko.**

**–Jest pani pewna?**

**Kiwnęła głową. Jeśli Pyle za chwilę się nie zamknie, odwróci się i zwyczajnie przed nim ucieknie.**

**–Proszę zadzwonić, gdyby pani czegoś potrzebowała – powiedziała Kym. – Niebieskim przyciskiem może pani wezwać ochronę.**

**–A jak zobaczy pani ducha... – odezwał się Oliver. – Cóż, chyba wie pani, co wtedy robić, prawda?**

**Rozchylił usta. Chess pomyślała, że pewnie się uśmiechnął, ale wyglądało to tak, jakby miał zamiar ją pożreć. Uciekła.**

**\*\*\***

**Drzwi do gabinetu były zamknięte. Drżącymi rękoma zaczęła majstrować przy zamku, usta wypełniły jej się śliną. Musiał je tu trzymać. No bo gdzie indziej?**

**Zamek puścił i wślizgnęła się do środka. Wokół panował mrok. Prawdziwy mrok. Rolety były zasłonięte i nie wpuszczały do środka bladego światła. Na zewnątrz szalała burza, a wokół domu hulał wiatr. Nie słyszała go w jadalni, ale tutaj świst był bardzo wyraźny – dziki gniew niebios, który dawał o sobie znać. Chess zadrżała. Była cała spocona. Ruszyła do biurka.**

**Nic. Same papiery, mnóstwo papierów. Normalnie by ją zainteresowały, ale teraz ledwo rzuciła na nie okiem. Niby w czym mogły jej pomóc? Jakie znaczenie miał rezultat tej cholernej sprawy? Potrzebowała pigułek. Tylko to się liczyło.**

**Kiedy dotarła do ostatniej szuflady, z jej gardła wydobył się cichy jęk. Nadal nic. Żadnych torebek skrywających wielokolorowe obietnice. Żadnych kopert, portmonetek, żadnych... Cholera jasna! Żadnych pigułek, żadnych prochów.**

**Za plecami miała barek wypełniony błyszczącymi butelkami i kryształowymi kieliszkami. A nad nim niewielki telewizor i odtwarzacz. Chess ruszyła w jego stronę. Czowała, że nogi ma jak z waty.**

**Panika wcale jej nie pomagała. Fizycznie nie czuła się jeszcze najgorzej. Wszystko**

**ją swędziało, pocila się, była trochę roztrzęsiona. I bolała ją głowa. Ale z tym mogła sobie poradzić. Wiedziała jednak, że będzie coraz gorzej. Czekala na to...**

**Otworzyła barek i zaczęła przestawiać butelki. Może Pyle trzymał za nimi towar? Barek to całkiem niezła kryjówka, no nie?**

**Jakaś część jej samej obserwowała się z boku, zniesmaczona tym, co widziała. Chodziła na czworakach, szukając narkotyków, które zamierzała ukraść z domu klienta. Reszta miała to gdzieś. Wcale jej to nie dziwiło. W końcu tym właśnie była. Zaćpaną czarownicą. Niczym. Nikim.**

**W szafce z segregatorami też nic nie znalazła. Zestawienia finansowe, na które ledwo spojrzała, i kilka fotek Kym przebranej w niegrzeczny strój Dobrotliwej.**

**Na półkach leżały książki, a w ścianach nie znalazła żadnych sekretnych paneli ani sejfów ukrytych za kiczowatymi obrazkami. Pokój był czysty.**

**Więc gdzie, do cholery, trzymał prochy? Nie w sypialni, nie w gabinecie... Gdzie? Na miłość boską, gdzie?**

**Wiedziała, że gdzieś je miał. Musiał je gdzieś schować. Widziała to w jego oczach. Gdzie, do cholery, trzymał pigułki?**

**Po jej twarzy pociekły łzy. Niczego nie znalazła, cepty zostały w domu, a na zewnątrz szalała śnieżyca.**

**Była w pułapce. I nie mogła zrobić absolutnie nic, żeby się stąd wydostać.**

**Nie wiedziała, kiedy poczuła ten zapach. Nie zwracała na niego uwagi, aż w końcu tylko tę woń dało się zauważyć. Była tak silna, że niemal mogła jej dotknąć.**

**Poczuła ssanie w żołądku i nie miało to nic wspólnego z brakiem pigulek. Wstała i... Zobaczyła ducha.**

**Stał, a właściwie stali, odwrócenii do niej plecami. Ta sama scenka, którą wcześniej opisał Taylor. Mężczyzna z siekierą, który trzymał w ręku coś, co mogło wyglądać jak kupa piachu, gdyby nie poszarpana na dole skóra. Szyja, w miejscu, w którym ją przeciął.**

**Za nim stała druga postać, wyciągając przed siebie sękatę dłoń. Powiewająca suknią opinała jej ciało – kobieta.**

**Stali między nią a drzwiami. Normalnie próbowałyby uciec, ale teraz wątpiła, żeby jej nogi dały radę tak szybko się poruszać.**

**Żołądek jej się ścisnął. Nie wiedziała, czy to przez zapach, narkotykowy głód czy duchy. Głowa pękała jej z bólu, czuła się tak, jakby spuchnięty mózg nie mieścił się w czaszce i za chwilę miał wybuchnąć.**

**Duchy się poruszyły. Mężczyzna uniósł siekierę, zarzucając ją sobie na ramię. Odwrócił głowę w stronę biurka.**

**Do Chess.**

**Cofnęła się i z całej siły uderzyła udami o krawędź barku. Niczego nie poczuła. Nie spuszczając z oczu ducha, sięgnęła do torby. Znalazła ziemię cmentarną i zacisnęła ją w dłoni. Może się uda. Na pewno by się udało, gdyby mogła włożyć w to jakąkolwiek moc. Gdyby cokolwiek w sobie miała. Poczowała się jak obcięty przewód elektryczny, spod jej skóry leciały iskry, ale obwód przerwano.**

**Mężczyzna uniósł rękę, pokazując jej obciętą głowę. Widział ją. Nie tak jak wtedy w łazience. Naprawdę ją widział. Wiedział, że tam była. Widmowa siekiera nie mogła jej skrzywdzić, ale na biurku leżał nóż do otwierania listów. Jego ostrze lśniło w ohydny zielonkawym świetle otaczającym istotę. Jeśli Chess widziała ten nóż, duch też go zobaczy.**

**Wyobraziła sobie, jak to będzie. Pewnie jak w prawdziwym horrorze. Widziała, jak zjawa unosi nóż, a jej ciało przechodzi przez biurko, jakby wcale go tam nie było. Istota próbuje zadać cios, a Chess usiłuje zakryć się rękoma. Nóż wbija się w jej pierś, a z rany tryska krew. Przelatywała przez jego przezroczystą postać, zmieniając kolor. W końcu wizja zaczęła się materializować. Duch ruszył do przodu, a za nim postępowała kobieta, jak jakiś dziwaczny piesek podążający za swoim panem. Musiała zrobić coś teraz, teraz, teraz...**

**Chess rzuciła ziemią.**

***–Arcranda beliam dishager!***

**Pospolite zaklęcie banicyjne, ale ledwo przeszło przez jej ściśnięte gardło i brzmiało jak dziecięcy wierszyk. Nie było w nim mocy, niczego. Duch ani drgnął. Zrobił kolejny krok.**

**Spróbowała raz jeszcze, z całej siły starała się skupić i znaleźć w sobie choć odrobinę energii. Znała się na tym, potrafiła to robić i robiła to setki razy. To była jej cholerna praca...**

***–Arcranda beliam dishager!***

**Nadal nic. Nie czuła się słaba, więc powinno zadziałać. Ale co ona, do cholery, mogła wiedzieć? Prawie nic nie czuła, poza tym że żołądek podchodził jej do gardła.**

Nie miała wyboru. Rzuciła się do ucieczki, czując pod stopami nierówną, gąbczastą podłogę. Ręka ześlizgnęła jej się z klamki. Zerknęła za siebie i zobaczyła, że duch odwraca się i ją obserwuje. Z tego kąta lepiej widziała głowę, którą trzymał w ręku. Tę samą twarz widziała w lustrze w łazience.

Z jej gardła próbował się wydostać krzyk. Powstrzymała go, z całej siły zaciskając zęby, aż poczuła ból. Klamka puściła.

Rzuciła się do przodu i upadła na podłogę. Duchy wciąż były w gabinecie, zaczęły się poruszać, szły po nią...

Usłyszała z salonu głos Kym. Z trudem się podniosła, po raz ostatni zerknęła na duchy i zamknęła za sobą drzwi. Jej ręce, jej ciało były lepkie jak wyciśnięta szmata.

Drzwi ich nie zatrzymają. Musi uciekać. Jak najszybciej wbiec po schodach, wpaść do pokoju i zamknąć za sobą drzwi, żeby potem móc rozpaść się na kawałki. Do diabła z Pyle'ami, będą musieli radzić sobie sami. Jak dotąd nie mieli żadnych problemów w salonie, prawda?

Ale duchy nie przeszły przez drzwi. Dlaczego nie wychodziły? To nie było normalne.

Chess czekała. Ukryta w rogu wpatrywała się w drzwi, aż w końcu zaczęły przypominać czarny cień na tle jasnych ścian. Oczy zaczęły ją piec, a drzwi zaczęły się powiększać. Iluzja. Nadal żadnych duchów. Coś jej mówiło, że to ważne, że to coś znaczy, ale nie pamiętała co. Jedyne co mogła zrobić, to z przerażeniem czekać na zbliżającą się noc.

Wyjrzała zza rogu i zerknęła do salonu. Jeden ze służących właśnie rozstawiał elegancki, szykowny i na pewno drogi projektor. Pyle'owie kupowali tylko to, co najlepsze. Przynajmniej będą mieli jakieś zajęcie. Miała nadzieję, że nie przyjdzie im do głowy sprawdzić, jak daje sobie radę.

Każdy krok przypominał wspinaczkę na wysoką górę, ale przynajmniej nikt jej nie widział. Ściany przechylały się na boki, podłoga wirowała. Nie mogła złapać tchu. Zanim dotarła na szczyt schodów, bluzka przykleiła jej się do piersi.

Który to był pokój? Tyle tu drzwi. Nie pamiętała, czy te jej to były drugie na prawo, czy trzecie. Czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Ile było drzwi?

Potykając się na zdrętwiałych nogach, ruszyła korytarzem i otworzyła pierwsze z brzegu drzwi. Jeśli się pomyli, to co z tego?

Arden Pyle klęczała w małej łazience nad lśniącą białą muszlą klozetową, jedną ręką odgarniając z twarzy jasne, spocone włosy. Wymiotowała. Mała zapowiedź tego, co czekało tej nocy Chess. Przez jedną szaloną chwilę miała ochotę poprosić

**dziewczyne, żeby się posunęła i zrobiła jej miejsce.**

**Arden otworzyła usta. Pochyliła pełną skruchy twarz, po czym znowu ją uniosła, napotykać wzrok Chess. Spod rozchylonego dekoltu szlafroka wyglądał niewielki purpurowy siniak. Wyglądał jak malinka.**

**–Nie wydaj mnie – poprosiła. – Ja... nie mów mojej mamie, dobra?**

**Chess bezmyślnie pokiwała głową i odwróciła się, zamykając za sobą drzwi. Bulimia. Tak naprawdę to żadna niespodzianka. I nie jej sprawa. Na ten temat nie powinna się wypowiadać. Bo co niby miałyby jej poradzić? Żeby spróbowała środków uspokajających, bo tłumiły apetyt? Dawanie życiowych rad nie było jej najmocniejszą stroną.**

**Jej pokój to ten drugi po lewej. Rzuciła się na łóżko i czekała na śmierć.**

**\*\*\***

**Jeszcze nie umarła. Czerwone cyferki na zegarze były rozmazane i błyszcząły w ciemnościach. Nie mogła ich odczytać. Nie umiała skupić na nich wzroku. Wydawały się zbyt jaskrawe. Bolały ją od nich oczy. Czuła na sobie jakiś ciężar i zaczęła się pocić. Kołdra. Jak przez mgłę przypomniła sobie, że naciągnęła ją na siebie, gdy dopadła ją ostatnia fala dreszczy. Bolały ją szczęka, ręce i nogi. Jej żołądek zniknął, zostawiając po sobie rozpaloną dziurę.**

**Dziurę, która domagała się uwagi. Odrzuciła koce. A raczej próbowała to zrobić. Ręce odmówiły jej posłuszeństwa. Zdołała jedynie wyrzucić nakrycie. Sił miała tyle co noworodek.**

**Poczuła kolejny skurcz. Spadła z łóżka, spocona i obolała. Łazienka? Gdzie była łazienka? Ale ciemno. Pokój cały czas wirował, nie mogła go zatrzymać, jakby znalazła się na karuzeli, z której nie dało się wysiąść. Bezsilna. Beznadziejna. Dywan drapał ją w ręce i kolana jak słoma. Kaleczył ją: próbując wedrzeć się do środka. Zanim dojdzie do łazienki, cała zaleje się krwią. Jeśli dojdzie.**

**Jej usta wypełniły się śliną, kwaśną i gorzką. Nie mogła jej przełknąć. I nie mogła jej wypluć na dywan. Trzymała ją więc w ustach, ciepłą i obrzydliwą jak mocz, i próbowała doczołgać się do łazienki.**

**Była zbyt słaba. Upadła, a jej skóra zaczęła krzyczeć, gdy otarła się o dywan. Ale zimno. Tak cholernie zimno, nie mogła tego znieść. Potrzebowała swoich pigułek, kurwa...**

**Kolejna próba. Przeszył ją ból i zgięła się wpół. Znowu żołądek. Swędzenie. Niech już przestanie swędzieć. Odgarnęła z twarzy mokre strąki i zaczęła się drapać po**

**szy, po nogach i rękach. Wszystko ją swędziało. Nie chciało przestać.**

**Nie potrafiła dłużej powstrzymać łez. Otworzyła usta i zaczęła lkać, śliniąc dywan. Czuła, jak coś pełza pod jej skórą. Nie była już Chess. Nie potrafiła myśleć o sobie po imieniu, nie umiała myśleć o sobie jak o człowieku. Istniały tylko ból, zimno i drgawki. I to palące pragnienie, od którego nie mogła uciec, unoszące się nad nią jak mroczna zjawa.**

**Zjadła deser, tłusty, ohydny deser, który znowu stanął jej przed oczami. Talerz pełen bitej śmietany i czekolady. Nie mogła go dłużej utrzymać.**

**Drzwi do łazienki były zamknięte. Szarpała klamkę, a cała zawartość żołądka podeszła jej do gardła. Rzuciła się do toalety, ale nie trafiła. Zwymiotowała na podłogę, na swoje ręce. Uderzyła kolanami o płytki. Kolejna nuta bólu w całej symfonii.**

**Obok niej lśniła biała toaleta. Podciągnęła się do góry i oparła głowę o chłodną porcelanę. Teraz było jej za gorąco, całe jej ciało wydawało się rozgrzane i spuchnięte, jakby za chwilę miało wybuchnąć.**

**Jej ręce powędrowały w dół, do nóg, drapiąc i rozrywając skórę. Pigułki. Potrzebowała ceptów, czegokolwiek... Kurwa, tak bardzo ich potrzebowała. Nie da rady.**

**Żyletki? Gdzie były žyletki? Mogła wziąć te z szafy Arden. Powinna była to zrobić i podciąć sobie gardło. Miasto już jej nie przerażało, nie teraz. Nie, gdy tak wyglądało jej życie. Gdy czuła ten ból, to pragnienie, te okropne, rozpaczliwe drgawki i skurcze. Kiedy ślina ciekła jej po brodzie, a łzy ciurkiem leciały z oczu. I nagle poczuła, że musi skorzystać z toalety w zupełnie innym celu, bardzo nieprzyjemnym...**

**Trwało to całą wieczność, wylewał się z niej kwas. Nie przestawała się drapać. Jej ręce zamieniły się w szpony, nie mogła wyprostować palców, czuła ból, skurcze w każdym mięśniu. Zaraz spadnie z toalety. Paznokcie mówiły tej niewielkiej, racjonalnej części jej umysłu, że poszarpała sobie skórę i zaczęła krwawić.**

**Krew. Jej krew była pusta. Potrzebowała pigułek. Dlaczego ich ze sobą nie wzięła? Mogła je przecież schować. To było obrzydliwe, ale mogła to zrobić. Czemu nie, po co udawała, że ma do siebie jakikolwiek szacunek? Czy to było warte szacunku? Ten ból?**

**Zwymiotowała na podłogę przy toalecie. Dobrze, że zdjęła džinsy, gdy zaczęły ranić jej skórę. Co to za różnica? I tak znajdą ją rano, przyjdą i ją znajdą. Zadzwonią po karetkę i może nawet ktoś przyjedzie. Może gdzieś ją zabiorą i wszyscy będą wiedzieli. Będą wiedzieli, że jest brudna, słaba i zdesperowana. A wszystko dlatego, że nie chciała skorzystać z najlepszej kryjówki, jaką ma kobieta.**

Tak mówiła jedna z jej matek zastępczych. Chess przypomniła sobie tę kobietę, jej chude, nagie ciało. Pokazywała jej, ile można tam schować. I że mała Chess też może tam chować różne rzeczy, a potem wsiąść do autobusu jadącego na drugi koniec miasta i pozwolić temu miłemu panu to wszystko wyjąć. Dawali jej słodycze i pieniądze dla pani Matki Zastępczej. Widziała ją, widziała całą niekończącą się paradę matek. Patrzyły na nią pożądliwie, krzyczały, wrzeszczały, że jest nic niewarta i nadaje się tylko do jednego. Wyzywały ją, czuła ich ciosy, ich napastliwe palce, jakby były z nią tu w pokoju. Cały czas krzyczała w myślach. Widziała bałagan, jakiego narobiła, i ogarnęły ją wstyd i rozpacz.

Papier toaletowy. Musiała znaleźć papier toaletowy. Wytrzeć usta... wytrzeć nogi. Zetrzeć wspomnienia. Wytrzeć podłogę. Nie była w stanie zrobić tego dobrze, ale coś przecież mogła zrobić, prawda? Żeby udowodnić sobie, że nie jest taka zła, jak mówili. Że nie jest bezwartościowa, że jest... Po policzkach płynęły jej łzy, zalewając ręce. Była bezwartościowa, mieli rację...

Znowu gorąco, potwornie gorąco. Delirycznie. Wtedy zauważyła w pokoju coś jasnego. Coś przemknęło obok drzwi do łazienki...

Uderzyła ramieniem o podłogę, gdy dopadł ją kolejny skurcz, gorszy od pozostałych. Chwycił ją i wyciągi ją z ciała. Miała ochotę krzyzczeć. Będzie wrzeszczeć do chwili, gdy znowu straci przytomność i już tak zostanie.

Obok niej stała szafka. Za czwartym razem udało jej się dosięgnąć uchwytu i otworzyć drzwi. Szorstką krawędzią uderzyła się w udo, raniąc nagą skórę. Co za ulga. Mogła się podrapać. Nie przestawała się drapać, aż w końcu rozboleła ją ręka i puściła uchwyt, a w dłoni znowu poczuła skurcz.

Było zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Żyletki? Środek do czyszczenia rur? Cokolwiek? Nie dawała już rady. Nie mogła tego dłużej znieść. Najgorsze piekło dla dusz, najciemniejsze więzienie w mieście nie mogło się z tym równać. Nawet to, co widziała w Więzieniu Dziesiątym, nie było aż tak złe. Można było przynajmniej odpocząć.

To kara za jej wszystkie przewinienia. Teraz przyszedł czas zapłaty, prawda? Kiedy już zjawi się psychopompa. Jej psychopompa. Ta, która po nią leci, i uniesie jej duszę na swym opierzonym grzbiecie. Zabierze ją pod ziemię. Z pewnością będzie o tym wiedzieć, będzie to czuć?

–Ja już zapłaciłam – wyjęczała, przerażona dźwiękiem własnego głosu. – Już wystarczająco zapłaciłam.

Przejechała dłonią po dnie szafki. Nic tam nie było. Nawet cholernej szmaty, którą mogłaby sobie wepchnąć do gardła. Uduszenie nie byłoby takie złe, prawda? Nie



byłoby takie okropne.

Zaczęła kopać powietrze. Jej nogi nie mogły przestać. Znowu wymiotowała, ledwo się podnosząc. Bolała ją głowa. I to bardzo. Jakby ktoś walił w nią młotkiem, w kółko i w kółko, uderzał w całe jej ciało. Wszystko wokół zrobiło się czerwone od krwi, która zalała jej mózg.

Za drzwiami znowu mignęło coś białego. Jakiś kształt, nie do końca ludzki. Był wielki. Prawie taki wielki jak...

Cień rozpląnął się w nicość. Musi przestać płakać, powinna przestać płakać. Co to za różnica? To dobrze, że tam był duch. Zabije ją. Skończy to, o kurwa, nie mogła dłużej czekać, musi to skończyć teraz...

Ramiona trzęsły się pod jej ciężarem. Wyczołgała się z łazienki. Znajdzie ducha. Znajdzie go i... W końcu były tam jakieś ciężkie przedmioty, prawda? Roztrzaska jej czaszkę. Będzie szybko. Ból zniknie.

Upadła i na brzuchu doczołgała się do łóżka. Duch stał w rogu, nie ruszał się. Widział ją? Czy ona tam w ogóle była? Może też była duchem. Może naprawdę umarła. Cóż za piękna myśl.

Nie miała przy sobie noża. Nie wzięła go. Niczego nie wzięła! Nie zabrała nawet pigułek. O cholera, pigułki, tak bardzo ich potrzebowała, nie mogła bez nich żyć. Nie mogła tego dłużej znieść...

Jakąś godzinę zajęło jej otwarcie torebki. Duch cały czas stał przy oknie. Na zewnątrz panował mrok, a śnieg przestał padać. I co z tego? I tak nie była w stanie nigdzie jechać – wyjść z pokoju, zejść po schodach, a co dopiero prowadzić samochód. Nie umiałaby teraz włożyć butów. Jej palce były zbyt skurczone, skulone na końcu stóp jak zdechłe myszy.

Poczuła w dłoni coś małego i chłodnego. Telefon. Zewnętrzny świat. Mogła do kogoś zadzwonić.

Do kogoś... kogo potrzebowała. Ta myśl rozjaśniła jej głowę na tyle, na ile było to możliwe. Chwyciła telefon, jakby był pudełkiem pełnym pigułek.

Duch się nie poruszył. Nawet na nią nie spojrział. Dlaczego? Dlaczego się nie ruszał?

Bolały ją palce. Upuściła aparat. Nie była w stanie go utrzymać, jej dłonie przypominały szpony.

Znowu zaczęła płakać. Wpychała do ust swoje obrzydliwe palce, ale nie miała

wyboru. Dławiła się. Gryzła ręce i wreszcie otworzyła pięść. Musiała odgiąć palce. Były jej potrzebne.

Duch zniknął. Dobrze. Będzie musiała otworzyć okno. Jeśli odbierze. Jeśli przyjdzie. Bałagan...

Telefon nie chciał się otworzyć. Próbowwała poruszyć klapkę zakrwawionymi, śliskimi palcami, próbowała zębami. Udało się. Upuściła aparat, gdy kolejny skurcz zamienił jej ciało wygiętą deskę. Podniosła go. Nacisnęła przycisk.

Proszę... proszę... proszę...

Odebrał. Zadawał pytanie. Próbowwała odpowiadać, mówić składnie. Wytłumaczyła mu, jak wejść do środka.

I czekała, nieruchoma, na podłodze przy łóżku.

# ROZDZIAŁ 17

Unosiła się gdzieś pod sufitem, spoglądając na siebie z góry. Widziała małą, przemoczoną, trzęsącą się postać, skuloną przy ścianie. Nawet nie próbowała wspiąć się z powrotem na łóżko ani wciągnąć dżinsów na zakrwawione, obolałe nogi. Podała się. Nie było jej. Zagubiła się w bólu.

Od środka atakowały ją potwory, ostrymi zębami kąsały jej wnętrzności. Serce pompowało w jej żyły benzynę. Niewielki, wypełniony wymiocinami kosz na śmieci, który trzymała w ramionach, rozgrzał się od jej skóry. Nie mogła uspokoić nóg i z każdym kolejnym uderzeniem o dywan miała ochotę krzyczeć.

W oknie pojawił się jakiś ciemny kształt. najpierw głowa, potem ramiona. Zaciśnięte na parapecie palce. Chess wróciła do swojego ciała.

Głowa opadła jej w bok.

„Cześć”. Chciała powiedzieć, ale zamiast tego wyszło:

–Proszę.

To nie miało znaczenia. I tak jej chyba nie słyszał. Wślizgnął się przez okno, wychylił się i wciągnął do pokoju drabinę. Co on wyprawiał? Dlaczego zajmowało mu to tyle czasu?

Nie miał zamiaru jej pomóc. Wiedziała o tym. Przyjechał, żeby się z niej ponabijać. Zadrwić. Myślała... Myślała, że będzie w porządku, że zależy mu na tyle, by jej pomóc. Pomyliła się. Cholera, jak bardzo się pomyliła.

Ledwo na nią spojrział. Przeszedł nad jej roztrzęsionymi nogami prosto do łazienki. Światło zakłuło ją w oczy. Zamknęła powieki i się odwróciła. Musiał na nią patrzeć?

Szum wody. Duże ręce na jej głowie i na ramionach. Przyłożył coś chłodnego do jej czoła, wytarł jej twarz. To było miłe. Niesamowite.

–Chess. No dalej, Chess, trzymaj się.

W odpowiedzi usłyszał jej szloch. Był tu, teraz już wiedziała, że jej pomoże, i nie mogła powstrzymać płaczu.

–Daj mi to. – Zabrał jej z rąk kubek na śmieci. – Wszystko będzie dobrze, trzymaj się.

–Nie mogę. – Poleciała do przodu, opierając się o jego szeroką klatkę piersiową. Była taka mocna, taka silna, wtuliła się w nią. Próbowała wpełznąć do środka, żeby stać się jego częścią i nigdy więcej nie być sama. Jego kurtka wciąż była zimna, na

**zewnątrz musiało nieźle mrozić. – Nie mogę, cholera... Przepraszam... Dziękuję. Proszę, pomóż mi, pomóż mi... Tak bardzo ci dziękuję... Proszę, Terrible, tak mi przykro...**

**Chwycił ją za ramiona i postawił przy ścianie. Z jakiegoś powodu poczuła się jeszcze gorzej. Była naprawdę obrzydliwa, prawda? Nie mógł na nią patrzeć. Dobrze, że nie zadzwoniła po Lexa. Nawet nie przyszło jej to do głowy.**

**Nagle dopadł ją kolejny skurcz i o wszystkim zapomniała. Zagryzła wargi i poczuła w ustach krew. Żołądek podszedł jej do gardła, rzuciła się w stronę śmietnika i wymiotowała. Nie mogła przestać wymiotować. Upadła na podłogę. Nie miała sił, by się utrzymać. Drapała rękoma o dywan.**

**Terrible podniósł ją i znów postawił przy ścianie.**

**–Dobrze, Chess. Zaraz ci pomożemy, co? Daj rękę.**

**–Co... Nie, nie. Żadnych igieł, proszę... Żadnych igieł...**

**–Nie mamy wyboru, skarbie. Chodź. Nie dasz rady. Nie przełkniesz pigulek. Taka prawda, Chessie. Daj mi to zrobić.**

**–Nie mogę.**

**–Możesz. No dalej. Zostawiłem na śniegu ślady, kumasz? Nie mamy zbyt wiele czasu, zanim ktoś je zauważy. Mówiłaś, że ochroniarze robią obchody.**

**–Nie, nie mogę, nie mogę...**

**Nie zwracał na nią uwagi. Powietrze wokół zawirowało, gdy wziął ją na rękę i zaniósł do łazienki, sadzając na chłodnych płytkach. Cały czas miała zamknięte oczy. Było zbyt jasno, białe płytki, białe światło, jak w jakimś okropnym zakładzie. Mogła sobie tylko wyobrazić, jak to wyglądało, mimo jej rozpaczliwych wysiłków, by posprzątać. Nie chciała na to patrzeć. Nienawidziła siebie za to, że on to widział. Że widział ten bałagan, że oglądał ją w staniku i majtkach, jakby była ciałem, które czekało na wyrzucenie. Była taka słaba, tak cholernie słaba...**

**Gumowa rurka, trochę klejąca. Lekki ból w ramieniu, gdy ją zacisnął, płaski dźwięk, gdy ją zawiązał. Ostra woń alkoholu, chłód na skórze. Przełknęła ślinę, raz i drugi. Jej stopy uderzyły o podłogę, bębniąc jak werble. Była blisko. Kurwa, była blisko. Na samą myśl o igle robiło jej się niedobrze, ale czuła, że zbliża się ulga, i miała wszystko gdzieś...**

**–Zaciśniesz pięść? – Zacisnął jej palce, żeby pomóc – No dalej, kochanie, zaciśnij pięść. Zrób to dla mnie co?**

**Próbowała, walcząc z przeszywającym bólem. Próbowała ścisnąć dłoń najmocniej jak mogła, rozluźniła i spróbowała ponownie. Kiedy lekko uderzył ją w ramię, miała ochotę zawyć z bólu, ale zacisnęła zęby i cały czas zaciskała dłoń, cały czas...**

**Nie bolało. Nie tak jak wtedy, gdy sama to zrobiła. Poczula ukłucie igły... jak porusza się jego dłoń. Jak rozwiązuje rurkę...**

**Poczula... O kurwa! O tak! O tak...**

**Nadal czuła się upokorzona. To było okropne. Ale to już nie miało znaczenia. Nie. Ponieważ jej mięśnie się rozluźniły, w oczach pojawiły się łzy wdzięczności, a żołądek się uspokoił. Zniknął ból głowy.**

**–Dziękuję – szepnęła. Pod powiekami widziała tańczące światełka. Piękne, spokojne światełka. – Dziękuję...**

**Kubeł pojawił się pod jej brodą, zanim zdążyła się zorientować, że go potrzebuje. Znowu zaczęła wymiotować, ale absolutnie nic nie czuła. Niesamowite. Właśnie tak. Chłodny, wilgotny materiał wycierał jej usta, twarz, przynosząc ulgę jej spoczonej skórze. Westchnęła i odchyliła głowę, żeby mógł wytrzeć jej szyję i klatkę piersiową.**

**Chciała, by zjechał jeszcze niżej i wytarł pot, krew i łzy, tak jak usunął jej cierpienie. Żeby ją oczyścił i sprawił, by znów była cała.**

**Otworzyła oczy z przerażeniem. Terrible. Zadzwoiła do Terrible'a! Człowieka, który jej nienawidził. Który ją zdradził, sprzedał Bumpowi i postawił w sytuacji bez wyjścia.**

**Ale widząc, jak klęczał przy niej, uważnie wpatrując się w jej twarz, nie znalazła w sobie złości. Może zbyt daleko odleciała. To dopiero cudowna myśl. Znowu była na haju, znowu spokojna. Okropne wspomnienia uciekły, wściekłe, oskarżające głosy zniknęły. Wszystkie. I nic już nie miało znaczenia. Nawet to, że była wkurzona.**

**–Dobra – powiedział. Znowu wyciągnął szmatkę, zastanowił się i jej podał. Wytarta śliskie palce, a on mówił dalej: – Muszę spadać. Zaparkowałem kawał drogi stąd, drogi są jeszcze nieprzejezdne.**

**–Och!**

**Sięgnął do kieszeni i wyciągnął niewielką torebeczkę. W środku było co najmniej tuzin ceptów. Wszystko mu wybaczyła.**

**–To ci chyba wystarczy do jutra, nie?**

**–Taa... To znaczy tak. Dziękci.**

**–Wszystko dobrze?**

**Kiwnęła głową, wycierając ręką oczy, żeby na niego nie patrzeć. Ona mu wybaczyła, ale Terrible wyglądał na wściekłego. Nadal.**

**A może chodziło o to, że siedziała w łazience, skulona na podłodze, ledwie parę centymetrów od syfu, którego narobiła wcześniej. Mokre włosy przykleiły jej się do głowy, a całe ciało było pokryte krwią, potem i wymiocinami. Tak. Nie była w tej chwili zbyt pociągająca.**

**–Dobra, ja... Dobra, Chess. Zadzwoń do mnie, jak wrócisz, okej? Bump chce, żebyś coś dla niego zrobiła. Chce pogadać.**

**Niech to diabli! Na tym cholernym głodzie przynajmniej nie musiała się martwić tym, czego od niej chce Bump. Ani myśleć o tym, co się zdarzyło w samochodzie.**

**Ale pokiwała głową, jakby jego słowa nie walnęły jej prosto w pierś.**

**–Dobra.**

**Przez ułamek sekundy wydawało się, że chciał jeszcze coś powiedzieć. Otworzył usta, głowę przechylił na bok. Ale to minęło. Podniósł zużytą igłę i gumową rurkę. I wsunął je do kieszeni.**

**–Dobra, do jutra.**

**Patrzyła, jak idzie przez pokój, ustawia drabinę za oknem i przeskakuje przez parapet w ciemną noc. Zniknął.**

**Zniknął jak duchy, które nie zwracały na nią uwagi. Dziwne. Pomyśli o tym później. Teraz chciała jedynie usiąść i dobrze się poczuć. Odpocząć i się zrelaksować.**

**I posprzątać brudną łazienkę, zanim nadejdzie ranek.**

**\*\*\***

**Zapaliła świeżo zrobionego skręta. Zaciągnęła się. Już prawie piąta, a nie miała co robić i nie musiała nigdzie iść. Dziwnie się czuła, mając tyle wolnego. Cały czas spodziewała się, że lada moment ktoś zapuka do drzwi i wyciągnie ją na mróz.**

**Ale w domu panowała cisza. Wciągnęła do płuc gorący, ostry dym i zaczęła przeglądać sprawozdania finansowe Fletchera. Przynajmniej te, które w tak krótkim czasie udało jej się zdobyć. Zerknęła na informacje o jego kontaktach i od razu je odrzuciła. Wiedziała, że on też by tak zrobił, gdyby był na jej miejscu.**

**Jakby to było, mieć tyle forsy? Pieniądze nigdy nie znaczyły dla niej wiele, poza**

tym, że mogły jej kupić chwilę zapomnienia. Ale trudno zachować obojętność, patrząc na rachunki za buty, które przekraczały to, co przez pół roku wydawała na jedzenie. Poczowała lekkie ukłucie zazdrości i odrobinę rozpacz. Świat był pełen takich ludzi jak Oliver Fletcher, dla których wszystko było łatwe. Nie interesowało jej, co robili ani jak żyli, ale ten spokój... Tego mu zazdrościła.

A wyglądało na to, że Olivera stać było na całkowity spokój. Przynajmniej dopóki nie zaczęła przyglądać się uważniej.

Skręt spokojnie się palił, a ona robiła notatki. W pokoju słychać było jedynie, jak zaciąga się dymem i skrobie długopisem o papier. Na kontach pojawiała się dużo pieniędzy, ale – o ile się nie myliła – równie dużo z nich wychodziło. Raty za siedem samochodów. Hipoteka na trzy domy. Benzyna do prywatnego odrzutowca. Rachunki za markowe ciuchy, które musiała sprawdzić cztery razy, żeby się upewnić, że dobrze widzi. Wzrok miała coraz bardziej rozmazany. Płatności dla firm zarządzających, marketingowych, stylistów, firm maklerskich...

I przelewy na oddzielny rachunek. Zawsze ten sam. Bezimienny. Za każdym razem tysiące, tysiące dolarów.

Zapisała go, trzy razy sprawdzając, czy zrobiła to poprawnie. Jutro złoży wniosek o wgląd w te akta, żeby sprawdzić, kto jest właścicielem rachunku. To może być ważne, a może nie. Ale we Fletcherze było coś takiego... Przypomniała sobie jego wczorajszy szyderczy uśmiezek i od razu wiedziała, dlaczego czegoś na niego szuka. Owszem, to było lekkie nadużycie, ale kto wie. Był jej najważniejszym podejrzanym.

Nie miała ich w końcu wielu. Nie zdążyła nawet pogadać z Merrittem i zapytać, co sądzi o rodzinie. Nie znalazła u Rogera Pyle'a niczego, co wskazywałoby na to, że miał jakikolwiek powód, by sfingować nawiedzenie. Do diabła, dotąd nie znalazła też żadnych dowodów na to, że cała rzecz została sfingowana, chociaż w głębi serca czuła, że tak jest.

Zaciągnęła się i strzepnęła popiół do plastikowej popielniczki na podłodze.

Może się zdrzemnie, włączy jakąś płytę i prześpi się na kanapie. Szkoda jej było marnować całkiem niezły odlot na sen, ale ostatnio nie miała go zbyt wiele. Oczywiście fakt, że ktoś zostawiał w jej samochodzie oczy i łaził za nią po całym mieście, nie sprzyjał spokojnym słodkim snom. Do tego dochodziły jeszcze narkotykowy głód, kłótnie z ludźmi, których... których lubiła, zaklęcia śmierci i strach, że ją złapią.

Ktoś mógł ją teraz obserwować. Do sufitu przy oknie witrażowym przyczepiła koc, co było tanią i dość mizerną próbą ukrycia się przed ciekawskimi oczami. Na samą

**myśl o tym zaczęła chichotać, ale to zawsze coś...**

**Miała paranoję. I tyle. Paranoję. Litery zaczęły się rozplywać przed jej oczami. Wetknęła kartki do teczki i ją zamknęła. Dość czytania. Czas na muzykę, a może kolejne odcinki serialu Pyle'a, który wcale nie był taki zły. Nie skończyła jeszcze pierwszej płyty...**

**Nie obejrzała też płyt, które skopiowała w domu Pyle'ów. To był idealny moment.**

**Nagranie rozpoczęło się, jak tylko wsunęła płytę do odtwarzacza. Chwyciła jeszcze butelkę wody – czuła się tak, jakby w ustach miała watę – i usiadła. Skręt zdążył się prawie wypalić. Zgasiła go w palcach i klapnęła na zapadnięte poduszki ze skrzyżowanymi nogami.**

**Pokój Pyle'ów. Naga Kym, ze związanymi nadgarstkami i okrutnym uśmiechem na twarzy. O cholera. To wszystko? Prywatna kolekcja pornograficzna Kym i Rogera? Jeśli tak było, Chess miała przed sobą kilka długich godzin. I miała na to niemal taką samą ochotę, jak na zrobienie sobie na tyłku tatuażu z imieniem Lexa.**

**Tak, to było to. Kolejna płyta była taka sama. I kolejna. Czy tak kończyły się wszystkie związki? Ludzie byli sobą do tego stopnia znudzeni, że musieli się przebierać za pastuchów i wiejskie dziewczki, czarownice i Starszych, uczennice i nauczycielki... Cokolwiek, byleby tylko udawać, że nie pieprzą się z tą samą osobą, co ostatnim razem?**

**I to byli ludzie, którzy podobno się lubili i kochali. Którzy wobec prawa, połączeni krwią i magią w Kościele, zobowiązali się kochać. A po latach okazywało się, że tkwią w pułapce z kimś, kogo znali tak dobrze, iż została już tylko nuda. Nikt nie mógł naprawdę kogoś poznać i nadal pragnąć tej osoby. Nadal jej kochać.**

**Do diabła, jedynym podwodem, dla którego Lex wytrzymał już tyle czasu, i jedynym powodem, dla którego ona mu na to pozwalała – poza darmowymi prochami rzecz jasna – było to, że nie widywali się zbyt często. I że za bardzo im na sobie nie zależało.**

**Dobrze robiła, że tak to właśnie rozgrywała i zachowywała dystans. Cholera, czy ta płyta i wszystkie pozostałe nie były tego najlepszym dowodem? Była na tyle mądra, że trzymała się z dala od osób, do których mogła coś czuć i które mogły poczuć coś do niej. Na tyle mądra, że nie wiązała się z ludźmi, z którymi naprawdę mogła...**

**Zatrzymała się. Scena, którą oglądała, zmieniła się. Nowe dekoracje, inna akcja. Patrzyła, próbując skupić rozmazany wzrok. Otworzyła usta, a żołądek podszedł jej do gardła. Po omacku zaczęła szukać telefonu.**

**Kym Pyle, przywiązana do okropnego żelaznego pręta w pokoju, którego Chess nie**



rozpoznała. Jej skóra i pomalowana albo posypana białym proszkiem – wydawała się lśnić w bladym świetle, a wokół oczu miała czarne cienie. Próbowwała uwolnić się z łańcuchów, obnażyła zęby, a jej nagie ciało zaczęło się wić, gdy nagle zbliżył się Roger, rzucając w nią coś, co wyglądało jak ziemia.

Jakby była duchem.

Ricantha, żeby kontrolować i tworzyć duchy. Znak, by zatrzymać duszę w ciele, i althea, by nie dołączyła do psychopompy. Sowa. by zaniósła ją tam, gdzie była potrzebna. I może lekki prąd elektryczny, żeby nadać jej solidny kształt?

Chess nie mogła oderwać wzroku od ekranu. Jej oczy zrobiły się ogromne i tak suche, że trzeszczały, gdy mrugała powiekami.

Terrible mówił, że torebka dziwki była jak jej dusza. Jedyna prywatna rzecz, jaką posiadała. Coś, co miało w sobie taką ilość energii, było jak totem łączący duszę ze światem poza Miastem.

Była taka głupia, tak cholernie głupia... Tak bardzo skupiła się na oczach i swoim własnym bezcennym tyłku, że zupełnie przeoczyła najbardziej ewidentną wskazówkę, najbardziej oczywistą rzecz.

Tak jak mówiła, duchy były uwięzione w miejscu w którym zginęły. Nie ruszały do przodu.

Czym zajmowała się prostytutka? Uprawiała seks dla pieniędzy.

Więc jeśli duch zamordowanej prostytutki chciał prowadzić dom publiczny, co powinien zrobić?

Zapełnić go duchami prostytutek.

Scena na ekranie się zmieniała, ale nie zwracała na nią uwagi. Wybierała numer Terrible'a, próbując opanować drżenie nóg.

Czy gdyby bardziej się skupiła, mogłaby temu zapobiec?

Od samego początku źle się do tego zabrała. Zaangażowała się w sprawę Lexa i zmarnowała mnóstwo czasu, martwiąc się o to, że ktoś ją śledzi i złapie, ukrywając to, czego nie chciała pokazać.

A propos ukrywania... Zatrzasnęła telefon. Nie rozmawiała z Terrible'em, odkąd wyszedł wtedy od Pyle'ów. Tak naprawdę nie rozmawiała z nim od czasu tamtej idiotycznej kłótni. Co miała teraz zrobić? Zadzwonić, powiedzieć mu, co wie i tak to zostawić?

**Nie. Była wystarczająco nawalona i podniecona, żeby opowiedzieć mu o wszystkim osobiście. Zasłużyła na to, żeby zobaczyć jego reakcję. Na to, by... Po prostu chciała się z nim zobaczyć. A ponieważ i tak miała głowę w chmurach, czuła się na tyle pewnie, że mogła to zrobić. Poza tym była mu coś winna, prawda?**

**Czas spłacić dług.**

## ROZDZIAŁ 18

Dwadzieścia minut później stała na korytarzu pod jego mieszkaniem, z dwunastopakiem piwa w ręku. Była zdenerwowana. Gdy zapukała w grube, stalowe drzwi, wydobył się z nich głuchy dźwięk.

Nikt nie otwierał. Okej. Dobra, gdzie on był? Nie przyszło jej nawet do głowy, że może go nie zastać.

Zapukała jeszcze raz, przestępując z nogi na nogę. A może... Może był w środku, wiedział, że to ona, i nie chciał jej otworzyć? Nie chciał się z nią widzieć?

Nie. Nie wierzyła w to. Musiała z nim porozmawiać, wszystko mu powiedzieć. A on powinien być w domu, żeby jej wysłuchać, ponieważ miała rację. I tylko to się liczyło.

Na pewno miała rację. To jedyne rozwiązanie, które miało sens, ale... Cholera, wszystko było trochę pokręcone, co nie? Kto, do diabła, chciałby płacić za to, żeby pieprzyć się z duchami?

Dwunastopak, który trzymała w ręku, zaczął jej ciążyć. Jeszcze raz zapuka, jeszcze chwilę poczeka... Przełożyła piwo do prawej ręki.

Terrible otworzył nagle drzwi. Jego twarz nie wyrażała absolutnie nic. Cholera.

–Cześć, Chess. – Cisza. – Wszystko gra?

–Tak, jasne. Eee... Przyniosłam ci... – Co ona wyprawia? Pokazała mu piwo i opuściła rękę. Była skończoną idiotką? Przyszła powiedzieć mu coś strasznego i... A, do diabła z tym! – Rozgryzłam to – powiedziała. – Wiem, co robią duchy. Wiem, co oni robią.

Przynajmniej teraz wyglądał na zainteresowanego.

–Tak?

–Tak, oni... Oni je pieprzą. Terrible. Zabijają, przetrzymują i pieprzą. Burdel wypełniony duchami. Nie mogę uwierzyć, że to przeoczyłam. Że nie wpadłam na to wcześniej, Ale to właśnie robią. Jestem pewna.

Milczał tak długo, że zwątpiła już, czy w ogóle odpowie. Może po prostu odwróci się i zamknie przed nią drzwi.

–Terrible?

–Tak. Jesteś... pewna?

–Jak najbardziej, tak. To ma sens, nie? A jeśli chodzi o ten znak, kiedyś był taki w Kościele... Niezupełnie taki sam, starszy. Zatrzymuje duszę w ciele. Nie tak jak wtedy ze Złodziejem Snów, nie jest ciemnym runem, nie daje energii ani nic takiego. On... cholera, zaufaj mi. Mam rację. Wiem o tym.

–Nie wątpię, ale co z Małym Tagiem? I tymi facetami? Myślisz, że... że ich też używają?

Ha! Na to się przygotowała.

–Ofiary. To były ofiary z krwi i energii potrzebne do rozpoczęcia zaklęcia. Ta magia erotyczna, którą wyczułam... Duchy nie potrafią rzucać takich czarów. One potrzebują energii, i to olbrzymiej, jak wtedy, gdy odbiera się komuś życie. Pewnie użyli ich... Brakowało jakichś części ciała?

–Tak. Różnych. I tych też. Nie pomyślałem o tym wcześniej, byli zupełnie zmasakrowani. Wielu rzeczy brakowało, stóp i wnętrzności, i... wielu innych rzeczy.

–To po to, żeby rozpocząć zaklęcie. – Organy seksualne i regeneracyjne nawet po śmierci miały w sobie mnóstwo energii. To by wyjaśniało mrok, który wyczuła w zaklęciu, tę okropną nutę szaleństwa pod jego powierzchnią. Ludzie zginęli dla tego czaru, nieodwracalnie plamiąc jego magię, tak jak ona plamiła swoich twórców.

Terrible przestąpił z nogi na nogę.

–Dlaczego? Z tym duchem pracuje jakiś człowiek, nie? Po co?

Aha... motyw. Wcześniej skupiła się tylko na dziewczynach, a teraz jej umysł szybował metr nad jej głową.

–Jeśli jest jego Towarzyszem... To robi to, co zadowala ducha, tak? Może jeszcze sam na tym zarabia, jak myślisz?

Uchwyt dwunastopaku zaczął się wbijać w jej rękę. Nie chciała się rozpraszać, a już na pewno nie chciała przypominać Terrible'owi, dlaczego przyniosła alkohol, ale palce jej zdrętwiały.

–Chciałam... Chciałam ci to dać. – Uniosła wyżej piwo, prawie podtykając mu pod nos.

Wyglądał na zaskoczonego. Cholera, będzie musiała mu to powiedzieć, prawda?

–Za to, że mi pomogłeś. Tamtej nocy. Wiem, że było naprawdę późno... i zimno, i... chciałam ci tylko podziękować. Bardzo dziękuję.

No, teraz zaprosi ją do środka i będą mogli pogadać. Może napiją się piwa albo zamówią coś do jedzenia? Tak, jedzenie to niezły pomysł. Opowie mu, co wymyśliła, i udowodni, że nie jest zupełnie beznadziejna.

Dopiero tedy zauważyła, że był ubrany do wyjścia. Miał na sobie kurtkę, a w rękę trzymał klucze.

–Nie musisz mi nic kupować – stwierdził. – To żaden problem, jasne?

–Ale chcę. Ja... weź to i już, okej?

Wciąż był na nią wściekły? Przeprosiła go wtedy w nocy, ale znajdowała się w takim stanie, że sama nie była pewna za co. Zresztą Terrible wydawał się raczej zaskoczony jej widokiem, jakby nie wiedział, co ma z nią zrobić. Jasne, była u niego tylko parę razy i zawsze wcześniej dzwoniła albo on ją zapraszał, ale to do niego niepodobne, trzymać ją tak na progu. Zwłaszcza że mieli tyle rzeczy do omówienia. Naprawdę ważnych rzeczy.

–Terrible? Weźmiesz to? Trochę to ciężkie.

–Och, jasne. Tak. – Zabrał od niej dwunastopak. Chess zacisnęła i rozluźniła pięść, próbując przywrócić krążenie krwi w palcach. Miała na nich głębokie czerwone pręgi.

–Dzięki.

Pokiwała głową.

–Dokąd się wybierasz?

–Muszę... coś zrobić.

Cholera, naprawdę był na nią zły. O co tu chodzi? Albo jej teoria nie dawała mu spokoju, albo dalej się wściekał.

Oczywiście, istniała też trzecia możliwość. Widział ją poprzedniej nocy na głodzie, całą w wymiocinach, z nogami podrapanymi do krwi, skuloną na podłodze. Może po prostu poczuł obrzydzenie. Czy mogła mu się dziwić?

Nie, nie mogła. Ale przez to wcale nie czuła się lepiej.

–Eee... Mogę pojechać z tobą? Po prostu... Moglibyśmy pogadać o różnych rzeczach. Wiesz, o tym, co mówiłam. I gdzie się ukrywają. Skoro wiemy, co planują, możemy wymyślić...

Zawahał się.

**–To nie tak... To znaczy, muszę po prostu coś zrobić, kapujesz?**

**–Mogłabym się po prostu z tobą przejechać. – Policzki jej płonęły. Nie było sensu dłużej tego ciągnąć. Najwyraźniej nie chciał, żeby mu towarzyszyła. Usłyszał, co miała do powiedzenia i chyba nie miał zamiaru o tym więcej rozmawiać. Pewnie nie chciał też mieć z nią do czynienia.**

**Ramiona jej opadły. Może zadzwoni do Lexa i powie mu o duchach prostytutek. Pewnie będzie chciał się z nią spotkać, chociażby po to, żeby zaciągnąć ją do łóżka. I dobrze, naprawdę. Czemu nie?**

**–Okej, dobra... Eee... Zadzwoń do mnie.**

**–Hej, Chess... Może jednak ze mną pojedziesz, co? Fajnie będzie mieć towarzystwo.**

**Siedząc w jego samochodzie, słuchając Nine Pound Hammer i paląc papierosa, czuła się tak, jakby poprzednia noc wcale się nie wydarzyła. Do diabła, jakby cały zeszły tydzień nie był prawdziwy. To było tak, jakby zawinęła się w kokon z ciepłej bawełny. A w głowie miała spokój.**

**Terrible zaczerpnął głęboko powietrza i nie spuszczał oczu z drogi.**

**–Ja nie... Cholera! Nie powinienem zabierać cię wtedy do Bumpa, nie mówiąc ci, czego chce. To znaczy, nic mi nie powiedział, ale... Domyślałem się, że coś takiego chodzi mu po głowie. Miał jakiś pomysł. Powinienem cię uprzedzić, ale pomyślałem, że wtedy do niego nie pójdziesz, a Bump chciał z tobą pogadać, kapujesz? Byłem zły, ale nie na ciebie, jasne? Nie na ciebie.**

**Była tak zaskoczona, że nie mogła złapać tchu. Dobrą chwilę zajęło jej, zanim zrozumiała jego słowa. Poczowała, że Terrible patrzy na nią kątem oka, czekając na odpowiedź.**

**–Ja też cię przeproszam. Nie chciałam powiedzieć tych wszystkich rzeczy. To znaczy... powiedziałam to ale wcale tak nie myślę. Naprawdę.**

**Rozluźnił ramiona. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jaki był spięty. Sama pewnie też byłaby spięta, gdyby to było fizycznie możliwe. Jasne, nie czuła już kopa, ale i tak była o wiele bardziej rozluźniona i spokojniejsza niż w ciągu ostatnich kilku dni.**

**–Dobra, nie ma o czym gadać.**

**Przez chwilę siedzieli w ciszy, ale była to przyjemna cisza. Łatwiejsza. – Terrible?**

**–Tak?**

**–Myślisz, że szybko ich znajdziemy? Ten dom?**

**Wzruszył ramionami.**

**–Trudno powiedzieć. Mam nadzieję. Przynajmniej teraz wiemy, czego szukamy, no nie? Jak na to wpadłaś?**

**–Och. – Okej, to było dość niezręczne. – Przeglądałam materiały z pracy. W każdym razie myślałam, że to materiały, ale to były... Eee... Takie domowe nagrania i kobieta była przebrana za ducha...**

**Uśmiechnął się.**

**–Nie tego się spodziewałaś, co? Niezłe materiały.**

**–Nie. Zdecydowanie nie tego się spodziewałam.**

**–Ta kościelna robota jest chyba fajniejsza, niż myślałem.**

**Roześmiała się.**

**–Może powinienem się zgłosić? Myślisz, że bym pasował? Nikt by mnie nawet nie zauważył w tłumie. Jakbym był niewidzialny.**

**–Ty chyba nigdzie nie mógłbyś być niewidzialny – stwierdziła i poczuła, jak płoną jej policzki. Nie to chciała powiedzieć.**

**Zjechał na lewy pas. Odchrząknął.**

**–Więc naprawdę chcesz to zrobić? Wyjść na ulicę? Może nie warto, po tym, co odkryłaś.**

**Zmiana tematu była niezłym pomysłem, ale chyba lepiej, żeby wybrał jakiś inny.**

**–Nie, tak naprawdę to niezły pomysł. Nie sądzę, żeby się udało, ale warto spróbować.**

**Nie uda się, bo wszędzie za mną chodzą, pomyślała, ale nie mogła mu o tym powiedzieć. Musiałaby kłamać, gdzie ją widzieli i gdzie ona ich widziała, a nie chciała tego robić. Nie chciała też, żeby zaczął ją męczyć i szukał jej jakiegoś lokum, zwłaszcza że mogła mieszkać u Lexa. Nie chciała o tym wszystkim myśleć, przynajmniej teraz.**

**–Ja też nie. Widziałaś ich znowu? Znalazłaś jeszcze jakieś oczy w samochodzie?**

**–Nie. Ale to nie znaczy, że przestali mnie obserwować ani że mnie nie rozpoznają,**

prawda? Myślisz, że jak powiem o tym Bumpowi, to mnie posłucha?

–Miałem wrażenie, że wszyscy cię słuchają.

Nagły wybuch śmiechu wprowadził ją w zakłopotanie, był zbyt głośny jak na tę małą zamkniętą przestrzeń. Powoli opuszczał ją haj, ale nie dobry humor. Po raz pierwszy od dawna czuła się całkiem nieźle.

Wyjechali z Dolnej Dzielnicy i jechali autostradą w kierunku Cross Town. Nie pytała dokąd. Wyglądała przez okno, wpatrując się w białe niebo, rozpostarte nad miastem jak przemierzający się ocean z chmur.

–Minęło kilka dni, od kiedy zaatakowano ostatnią dziewczynę. Myślisz, że trzymanie ich u Czerwonej Berty coś dało? Cały czas tam są?

–Tak, cały czas. A ona jest już mocno wkurzona. Kolejny powód, by z tym wszystkim skończyć. Czerwona Berta potrafi być głośna, kumasz?

Wyciągnęła papierosy i zapaliła jednego.

–Przynajmniej są bezpieczne.

–Tak, i ona o tym wie. Czerwona Berta nie jest taka zła. Ale lubi robić wszystko po swojemu. Nie jest jej łatwo mieć w domu tyle dziewczyn, zwłaszcza że cały czas na siebie wrzeszczą i skaczą sobie do oczu. Skrzeczą jak ptaki.

–Jak psychopompy – powiedziała, nie zastanawiając się nad tym, co mówi. – Gdy przychodzą po czyjaś duszę.

Jej słowa zawisły w powietrzu. Terrible zjechał z autostrady i zaczął lawirować po szerokich ulicach Cross Town.

To nie była zamożna dzielnica, ale miała aspiracje. Nowsze domy miały większe, szersze ogródki. Więcej przestrzeni. W miarę jak wspomnienia z Nawiedzonego Tygodnia powoli blakły w zbiorowej świadomości, ludzie mieli coraz większą ochotę oddalić się od sąsiadów. Jeśli ktoś mieszkał tak blisko, że słyszało się, jak bierze prysznic, nie dodawało to już otuchy, a stawało się irytujące.

Co Terrible miał tu to załatwienia? Chciała go o to zapytać, ale nie dał jej dojść do słowa.

–Nie zostaniemy długo – zapewnił, zatrzymując samochód przed niepozornym jasnoniebieskim budynkiem, większym niż wiele domów na ulicy, ale nie największym.



**–Gdzie jesteście?**

**–To znajomi – wyjaśnił. – Muszę tu coś podzucić.**

**No proszę, co za niespodzianka. To on miał jakichś znajomych? I to poza Dolną Dzielnicą? Chciała go o to zapytać, ale widząc jego szerokie ramiona i powściągliwe milczenie, postanowiła się zamknąć. Zamiast tego poszła za nim do drzwi, szczelnie owijając się płaszczem. Czekala, gdy zapukał. Po chwili usłyszeli w środku kroki.**

**Drzwi się otworzyły. Z ciepłego, jasnego wnętrza wyskoczyła mała dziewczynka. Chess, zdumiona, aż się cofnęła, ale Terrible był na to przygotowany. Podniósł dziewczynkę do góry, pozwalając, by zarzuciła mu rękę na szyję.**

**–Wujek Terry! Co mi przywiozłeś?**

**Wujek Terry? Co takiego? Przecież on nie miał rodziny, nawet nie był pewien, ile sam ma lat i kiedy są jego urodziny. A więc miał w Cross Town przyjaciół i to na tyle bliskich, że ich córka wołała na niego „wujku”?**

**Co jeszcze przed nią ukrywał? Żołądek jej się ścisnął.**

**–Może i mam coś dla ciebie, skarbie. Ale nie zostanę długo, chcę tylko pogadać z twoją mamą.**

**Chess weszła za nadąsaną dziewczynką do domu, czując, że z każdym krokiem oddala się od tego, co było znajome. Minęło tyle czasu, odkąd była w takim domu gościem, a nie rozpoczynającym śledztwo przedstawicielem Kościoła. Czy kiedykolwiek zaprosił ją do siebie jakiś normalny, zwykły człowiek?**

**Drobna kobieta o ciemnych, kręconych włosach, podobnych do włosów dziewczynki, obejrzała Chess od stóp do głów, posyłając jej w końcu niechętny uśmiech.**

**–Jestem Felice – przedstawiła się.**

**–Chess.**

**–Wujek Terry ją przyprowadził – oznajmiła dziewczynka, gdy Terrible postawił ją na podłodze. Miała może siedem lat i była w tym dziwnym wieku, kiedy dziecko nie jest już małym brzdącem, ale daleko mu jeszcze do okresu dojrzewania. Była wysoka, miała długie, chude ręce, długie nogi i uśmiech, który rozjaśniał całą jej twarz. Wyglądała uroczo, jakby przepełniała ją zbyt wiele radości, której nie potrafiła ukryć.**

**–Tak, Katie, widzę.**

**–Jesteś koleżanką wujka Terry’ego? Pracujesz z nim?**

**Co miała powiedzieć? Dlaczego Terrible w ogóle tu przyjechał? Czy ta kobieta była stałą klientką? Lokalnym dilerem? O co chodzi?**

**Nie. Mówił, że to znajomi, i na to wyglądało. Nie ukrywałby przed nią, że chodzi o zwykły interes. Chess postawiła na szczerość.**

**–Nie, pracuję dla Kościoła. Jestem Demaskatorem.**

**Brwi Felice uniosły się, znikając w jej włosach. Mała dziewczynka, Katie, aż otworzyła buzię.**

**–Łapiesz duchy?**

**–Czasami. Zazwyczaj ludzie wcale nie widują duchów, tylko udają.**

**–Tatuś mówi, że to oszustwo – stwierdziła Katie. – Mówi, że nie wolno kłamać.**

**–I ma rację – powiedziała Felice. – Katie, skarbie, może pójdiesz pooglądać telewizję, co? Mamusia musi porozmawiać z wujkiem Terryem na osobności, okej?**

**–Chcę zostać.**

**–A ja chcę, żebyś poszła pooglądać telewizję. Pamiętaj, że ja tu jestem mamą. Więc zmykaj.**

**–Tak, skarbie, uciekaj. Masz, weź to. I powiedz mi, co z tym zrobisz. – Terrible wsunął jej do ręki dwudziestodolarówkę.**

**Uśmiech dziewczynki zrobił się jeszcze szerszy i wyrecytowała:**

**–Jeden dolar jest dla mnie, a reszta dla mojej świnki skarbonki, do czasu, aż stanę się dorosła.**

**–Grzeczna dziewczynka.**

**Pocałowała go w policzek, rzuciła matce pochmurne spojrzenie i powolnym krokiem zaczęła się oddalać, jakby miała nadzieję, że o niej zapomną i będzie mogła zostać.**

**Atmosfera w pokoju zmieniła się, nieznacznie, ale na tyle, że Chess zdołała to wyczuć. Poczowała mrowienie na skórze. Czy ona też powinna wyjść?**

**Terrible uniósł lekko brwi i wzruszył ramionami. To zależało od niej, mogła zostać, jeśli chciała, mogła też pójść do drugiego pokoju.**

**Z jakiegoś powodu nie chciała im towarzyszyć.**

**–Katie, mogę pójść z tobą?**

**Dziewczynka pokiwała głową, a jej podekscytowany wyraz twarzy ostrzegł Chess, żeby szykowała się na przesłuchanie.**

**Kościół czasem wysyłał Demaskatorów i Egzekutorów do szkół, żeby opowiadali o swojej pracy. Po to, żeby dzieci pamiętały, że Kościół zawsze nad nimi czuwa. Miała wrażenie, że ta rozmowa będzie podobna do tych niekończących się sesji pytań i odpowiedzi.**

**I wiele się nie pomyliła. Katie pytała ją o pracę, prosiła, żeby Chess opowiedziała jakąś straszną historię, pytała, czy zna jakichś oszustów mieszkających w okolicy, czy była w Mieście, ile duchów naprawdę widziała, chciała zobaczyć jej tatuaże... Przez cały ten czas i kuchni dochodził niski głos Terrible'a, raz głośniejszy, raz cichszy.**

**–Ja bym się bała zrobić sobie tatuaż – oznajmiła Katie. – Mama mówi, że to boli. Wujek Terry ma ich mnóstwo, ale to facet.**

**–Wcale tak bardzo nie boli. To tylko niewielkie ukłucie. – To nie była do końca prawda, ale i tak nie mogła mówić o rytuale, o monotonnym śpiewie w jasnym pokoju, brzęczeniu pistoletu do robienia tatuaży, palących się wokół ziołach i energii uderzającej o jej skórę.**

**–To samo mama mówiła o dentyście. A bolało. Potem dali mi ten gaz, po którym ma nie boleć, wiesz jaki? Dziwnie się po nim czułam, jakbym miała lekką głowę.**

**Chess pokiwała głową.**

**–Ja nie mogę go brać. Jestem na niego uczulona.**

**–Naprawdę? Kichasz po nim?**

**–Nie. Ale jest mi niedobrze i boli mnie głowa... – urwała. Zupełnie o tym zapomniała. O swojej pierwszej wizycie u dentysty, tuż po rozpoczęciu szkolenia. Czuła się tak, jakby miała się udusić, jakby miała umrzeć...**

**Tak jak w domu Pyle'ów, kiedy pojawiał się ten okropny zapach.**

**Cholera, to naprawdę było takie proste?**

**Oczywiście. Gaz sprawiał, że ludzie nie wiedzieli, co się dzieje. Czuli się trochę jak na haju. Przynajmniej na tyle, żeby nie zauważyć światła z projektora i nie usłyszeć**

kliknięcia, gdy został włączony. Na tyle, że serca były im szybciej i bardziej odczuwali strach. Że ich reakcja mogła zostać odczytana jako strach i że faktycznie się bali, gdy ich świadomość nagle się zmieniała.

Pamiętała, że gaz dentystyczny miał lekki, ale charakterystyczny, trochę przesłodzony zapach. Zapach, który należało zamaskować czymś innym, czymś mocniejszym, żeby go ukryć. Na przykład odorem gnijącego mięsa.

–Chess? Wszystko w porządku?

Chess spojrzała na dziewczynkę. W wielkich ciemnych oczach Katie malowała się troska, troska i strach.

–Jasne – rzuciła uspokajająco. – Zamyśliłam się. Mogę skorzystać z toalety?

Jak tylko znalazła się w środku, sięgnęła po cepty, wsadziła je do ust i popiła wodą. Więc jednak w domu Pyle'ów ktoś sfingował nawiedzenie. To miało sens. Dlatego tamtej nocy duchy jej nie zaatakowały, nie przeszły przez drzwi. To dlatego czuła się tak okropnie, gorzej niż kiedykolwiek. Gorzej niż wtedy, gdy spotkała Złodzieja Snów.

Ale – o ile gaz nie został przygotowany specjalnie dla niej – jego obecność oczyszczała z zarzutów przynajmniej jednego z Pyle'ów. Czy to Kym wszystko zaaranżowała, żeby przestraszyć Rogera i zmusić go do sprzedania domu i powrotu? A może był jakiś inny powód? Może to Roger chciał przestraszyć żonę i córkę? Arden też mogła za tym stać, mimo uwag rzucanych pod jej adresem przez Fletchera. Ale pomyśl, by czternastoletnia dziewczyna zdobyła tak dużą ilość gazu, wydawał się niedorzeczny. Niedorzeczny, ale nie niemożliwy.

Mało brakowało, żeby to przeoczyła. I tak miała zamiar odwiedzić jutro Pyle'ów. Kolejna zasada Demaskatorów – nigdy nie umawiać się na konkretne wizyty i działać z zaskoczenia. Ale teraz jutrzejsza wizyta nabierała zupełnie innego znaczenia. Musiała sprawdzić kanalizację, obejrzeć pomieszczenie gospodarcze. Czy był tam jakiś licznik? Przypomniała sobie krew wypływającą ze zlewu. Gaz mógł być pompowany przez rury i rozchodzić się po sypialni. W gabinecie też była łazienka, prawda?

A propos łazienek. Jeśli zaraz nie wyjdzie, zaczną się zastanawiać, co się z nią stało. Oplukała ręce i wyszła. Była tak pogrążona w myślach, że nawet nie zauważyła, iż w pokoju pojawił się ktoś jeszcze.

Domyśliła się, że to ojciec Katie i jej młodszy brat. Dwie ciemne głowy pochylone nad książką obok dziewczynki.

Chłopiec uniósł głowę i się uśmiechnął. Chess spodziewała się tego samego szerokiego uśmiechu, który dostrzegła na twarzy Katie, ale ten był inny. Pewnie miał

go po ojcu. Tak, byli niemal identyczni.

Więc mała była podobna do matki... Nie. Nie była. Chess знаła ten uśmiech. Widziała go wcześniej, mnóstwo razy.

Miała wrażenie, jakby w czymś przeszkadzała, jakby znalazła się w sytuacji, której nie rozumiała. Okropnie. Zbyt wiele rewelacji, by jej umysł mógł to ogarnąć w tak krótkim czasie. Powinna była wziąć więcej pigułek.

Poczuła ulgę, gdy Terrible wyszedł wreszcie z kuchni, choć z zagniewanym wyrazem twarzy. W czasie długiej podróży powrotnej do jej mieszkania prawie się nie odzywał. A Chess nie miała pojęcia, co mu powiedzieć, więc patrzyła na śnieg, na płatki opadające na szybę jak maleńkie duchy kamikadze.

Dopiero gdy zatrzymali się na parkingu przed jej mieszkaniem, przyszło jej coś do głowy. Nie wiedziała czy powinna to robić, czy nie, ale musiała spróbować. Nie mogła tego tak zostawić, choć wiedziała, że pewnie powinna.

Czując się tak, jakby zaraz miała skoczyć ze skały, odwróciła się do przyjaciela.

–Terrible, może wpadniesz do mnie na piwo? I opowiesz mi o swojej córce.

## ROZDZIAŁ 19

Stali pod małym daszkiem pomieszczenia gospodarczego na dachu jej budynku i wpatrywali się w padający śnieg. Czują się tak, jakby stali u wejścia do jaskini. Nie było wiatru, a powietrze wydawało się niemal ciepłe, w ten dziwny sposób, który zawsze towarzyszył opadom śniegu – jakby śnieg zapewniał izolację.

I jak ludzie w jaskini, byli ukryci przed oczami Dolnej Dzielnicy, stojąc na dachu wysokiego budynku, w którym mieszkała Chess. Z tego miejsca widzieli niemal całe miasto, rozmazane i zniekształcone przez płatki śniegu i gęsty dym wydobywający się z kominów. Ale sami byli niewidzialni, ukryci w śniegu. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Dach był jej pomysłem. W środku Terrible wydawał się niespokojny, jakby znalazł się w klatce, a jego niepokój sprawiał, że ściany wokół nich zaczęły się kurczyć. Więc weszli na górę, z dwunastopakiem, który mu kupiła, i butelką burbona, którą wyciągnął z bagażnika, Oparli się o ścianę i razem spoglądali na przydymione niebo.

–Wiedziałem, że to się nie uda – odezwał się, przerywając milczenie. – To znaczy z Felice. Bogata dziewczyna. Myślała, że jest cholernie odważna, gdy zaczęła tu przychodzić, wiesz. Ale ją lubiłem. Spotykaliśmy się pięć, może sześć miesięcy, kiedy okazało się, że jest w ciąży Dowiedziałem się tylko dlatego, że kiedyś przypadkowo na nią wpadłem. Kiedy się zorientowała, przestała odbierać moje telefony, nie? Nie chciała mi powiedzieć. Nie chciała mnie angażować. Wcale jej się nie dziwię. W moim życiu nie ma miejsca dla dziecka. Nie mam nawet nazwiska, które mógłbym jej dać, no nie?

–Nie odpowiedziała. Bała się, że jeśli się odezwie, Terrible przestanie mówić.

–Więc w końcu zawarliśmy układ. Już i tak spotykała się z Billem, cały czas się z nim spotykała. Wiedział, że to nie jego dziecko, ale chciał się z nią ożenić. Daję jej co miesiąc parę dolców i mogę odwiedzać Katie, kiedy chcę. Nie najgorszy układ. Przynajmniej ją widuję. Mogę ją poznać, kumasz?

–Ona nie wie?

Pokręcił głową i pociągnął długi haust z opróżnionej już do połowy butelki.

–Tak jest lepiej. Nikt nie wie. Tylko Bump, nikt inny.

–Dzięki.

Zerknął na nią i skinął głową.

**–Jest naprawdę ładna, Terrible. I bystra.**

**–Prawda? Kiedyś pójdzie do college'u. Tego na pewno nie ma po mnie. Ale jest wysoka, tak jak ja.**

**–Ma twoje oczy. I twój uśmiech.**

**W pomarańczowym blasku zapalniczki zauważyła, że się zaczerwienił, ale się nie odezwał.**

**Chess nachyliła się, żeby mógł jej przypalić papierosa.**

**–Myślałeś o tym, by mieć następne?**

**–Nie. Wysterylizowałem się. Jak tylko się dowiedziałem. Jedynym powodem, dla którego jakaś laska chciałaby mieć ze mną dziecko, jest forsa. Z Felice miałem szczęście. Nie chcę więcej ryzykować.**

**–Ja też nie – powiedziała, obserwując, jak wydechany przez nią dym miesza się ze śniegiem.**

**–Co?**

**–Ja nie... Nie mogę mieć dzieci.**

**–Myślałem, że wszystkie laski z Kościoła nie mogą?**

**–Niezupełnie. Demaskatorki i łączniczki nie, wiesz, wszyscy, którzy pracują z duchami albo zajmują się czymś niebezpiecznym. Ale Dobrotliwe mogą i niektórzy pracownicy merytoryczni. Lubią tam mieć ciężarne kobiety, dają im premie i takie tam, bo mają wtedy dodatkową moc. Przydaje się, gdy przygotowują zaklęcia albo narzędzie rytualne.**

**Wzięła głęboki wdech. Dziwnie się czuła, opowiadając mu o tym... Opowiadając o tym komukolwiek. Ale była mu to winna. Poznała jego tajemnicę, i to tak wielką, że wypychała na zewnątrz jej własną, by zrobić sobie miejsce.**

**–I tak włożyliby mi wkładkę, kiedy zaczęłam pracować, ale nie musieli. Miałam... Eee... Kiedy miałam trzynaście lat, zaszłam w ciążę. Z jednym z moich braci z rodziny zastępczej. Nie pamiętam, z którym. On... no wiesz, nic nowego, tak jak oni wszyscy, ale byłam z nim w ciąży, więc zaprowadzili mnie do takiego jednego lekarza. Mówili, że to lekarz. I on coś schrzanił, pociął mnie czy coś i prawie umarłam. Więc... jestem okaleczona. Uszkodzona.**

**–Cholera, Chess. – Oparł się na niewielkim grzbiecie wystającym ze ściany i**

**skrzyżował ręce.**

**Poczuła, że uchodzi z niej całe napięcie, z którego nawet nie zdawała sobie sprawy. Ktoś inny mógłby zrobić z tego wielkie halo. Chciałby z nią o tym pogadać, po raz kolejny precyzyjnie to przez jej głowę, mając mylne wyobrażenie, że wywlekając to na wierzch, będzie mogła zapomnieć. Albo mógłby przytłoczyć ją swoim współczuciem, aż w końcu miałyby ochotę się rozplakać tylko po to, żeby się zamknąć. Albo patrzyłby na nią wielkimi krowimi oczami, nie widząc w niej człowieka, tylko jej koszmarne przeżycia.**

**Ale Terrible nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Stał po prostu obok niej i palił papierosa. Zaakceptował to, co się stało, i to, że mu o tym powiedziała. Dokończył piwo i otworzył nowe, popijając burbonem. Kiedy podawał jej butelkę, kołnierzyk jego koszuli nieznacznie się rozchylił, a różowy neon z przeciwnej strony ulicy oświetlił maleńki napis wytatuowany na jego szyi, tuż nad czarnym podkoszulkiem. Nigdy tak naprawdę mu się nie przyjrzała.**

**Chess odstawiła piwo i stanęła pomiędzy jego nogami rozstawionymi w rozkroku, żeby rozpiąć mu kołnierzyk. Chciała odczytać napis i znaleźć się blisko niego.**

***Ego vos mergam, ne merger a vobis. Zatopię cię, żeby nie zostać zatopionym.***

**Kiedy spojrzała w górę, zauważyła, że ją obserwował. Jego twarz pozostała nieruchoma. Na wpół zagojona rana pod okiem zostawiła na jego policzku ciemną kreskę, zlewając się z blizną, którą miał nad wargą, krzywym nosem i zrosniętymi brwiami. To dziwne, ale nie pamiętała, kiedy po raz ostatni zwróciła na to wszystko uwagę i naprawdę mu się przyjrzała. A przecież kiedyś nie widziała niczego innego.**

**–Co to znaczy?**

**Wzruszył ramionami. Przeniósł wzrok na jakiś punkt tuż za nią.**

**–Znam tylko angielską wersję. Nie potrafię przeczytać tego po łacinie.**

**Ale ona potrafiła. Łacina była w Kościele przedmiotem obowiązkowym, chociaż tego mu nie powiedziała. Zamiast tego powtórzyła:**

**–Co to znaczy?**

**Cisza. Pod palcami wyczuwała jego rytmiczny puls. Patrzyła, jak tętnica porusza się pod skórą. Ufał jej, pozwolił jej się dotknąć, stać tak blisko. Zaufał jej, powierzając jej swój największy sekret. A co by zrobił, gdyby przyłożyła usta do tej żyły i lekko skubnęła jego miękką skórę? Nadal by jej ufał? Pozwoliłby jej na to?**

**–Że jak ktoś ze mną zaczyna, sam obrywa – powiedział w końcu. Znowu spojrzał jej**



**w oczy. – I to pierwszy.**

**Ładnie pachniał. Tytoniem i brylantyną, burbonem i piwem, a to wszystko zmieszane z czymś, czego nie mogła określić. W powietrzu unosił się też zapach dymu i lekko metaliczny, ale czysty zapach śniegu. Przez ułamek sekundy wyobraziła sobie, że unosi się nad swoim ciałem i widzi ich, jak stoją oparci o ścianę. Ich ciała niemal się stykają, a lekki wiatr unosi do góry kosmyki jej włosów, które znikają na tle przydymionego nieba.**

**Chciała... Chciała mu coś pokazać, coś powiedzieć. Że cieszy się, że znowu są przyjaciółmi i że docenia to, co dla niej zrobił, że jej zaufał i że ona też mu zaufała. Jak ważny był dla niej jego sekret.**

**Ale nie mogła znaleźć odpowiednich słów, przynajmniej takich, o które by się nie potknęła. Nachyliła się więc i go pocałowała.**

**To miał być tylko przelotny pocałunek w policzek, naprawdę, ale kiedy już zaczęła, nie wiedziała, jak się wycofać. Nie wiedziała, a gdy go dotknęła i usłyszała jego urywany oddech, kiedy zobaczyła, że zareagował, zdała sobie sprawę, że nie chce przerywać. Chciała zostać i go całować.**

**Coś brzęknęło o ziemię. Upuścił piwo, a jego ciepłe, twarde dłonie przesunęły się po jej policzkach, obejmując je, jakby chciał się upewnić, że naprawdę tam była. Przesunął palcami po jej włosach, po szyi, i dalej w dół, aż jej płaszcz zawinął się szczelnie wokół niej, mocno ściśnięty jego rękoma. Gdy poczuła na ustach jego wargi przeszedł ją dreszcz, przeszywając całe ciało i rozgrzewając ją od środka. Musiała mu to oddać, jak sekret. Jak zaufanie.**

**Gdzieś w jej głowie zrodziła się myśl, że jeśli nie przestanie go całować, pozna kolejne jego sekrety. I odpowiedzi na pytania, o których istnieniu nawet nie wiedziała. To ją jednocześnie podniecało i przerażało. Kręciło jej się w głowie.**

**Pragnęła tego tak samo mocno, jak wtedy gdy bawiła się zakazanymi zaklęciami na początku szkolenia. Jak kreski speedu, której chciała trochę za bardzo. Chciała od niego brać i oddawać. Chciała się z nim podzielić. Przesunęła palcami w górę, dotykając jego twardej szczęki, krótkich, szorstkich bokobrodów, które drapały ją w skórę.**

**Rozchylił jej usta, wsuwając do środka język, a ona go powitała, smakując burbona i dym, i coś jeszcze, czego nie próbowała nawet nazwać. Jego olbrzymie dłonie znowu się poruszyły, odnajdując jej biodra, obejmując je, rozpościerając palce nad jej pośladkami. Przez dzinsy poczuła każdy palec z osobna, jak elektryczne kable, które przeszywały ją lekkim, rozkosznym prądem.**

**Ale to jej nie wystarczało. Chciała poczuć jego skórę. Chciała wcisnąć się w niego i**

**schronić na jego szerokiej piersi. Czuć na sobie jego dłonie, jego ciało na swoim, w sobie. Ogarnął ją głód. Desperacja, której nigdy wcześniej nie czuła. Nie wiedziała nawet, że coś takiego istnieje i że nie ma to nic wspólnego z narkotykami. Głód chwycił ją i wstrząsnął nią od środka, przyspieszając jej oddech i wzmacniając jej uścisk. Więcej, chciała więcej. Więcej Terrible'a. Potrzebowała więcej. Całe jej ciało było rozgorączkowane, nadwrażliwe jak wystający nerw, który błaga o ukojenie.**

**Czuła pod palcami jego puls – bił niemal tak samo szybko, jak jej serce. Zsunęła rękę w dół, odnajdując krawędź koszuli i wsuwając pod nią dłonie, szukając jego nagiego ciała. Cały czas miała przed oczami jego nagi tors. Widziała go parę miesięcy wcześniej. Palce ją swędziały, nie mogła się doczekać, żeby go dotknąć. By wędrować po jego szerokim torsie i zapamiętać go dotykiem.**

**Jego skóra zadrżała pod jej dłońmi, gdy musnęła twarde mięśnie brzucha, gdy rozłożyła ręce, by poczuć jak najwięcej. Przesunęła dłonie wyżej, odnajdując gęste włosy na jego piersi, wplątując w nie palce. Wydał z siebie cichy pomruk, tak cichy, że ledwo go słyszała, ale poczuła każdym centymetrem swojej skóry i każdym mięśniem.**

**Pocałunek zamienił się w coś więcej, zaszedł jeszcze dalej. Jego ręce znowu się poruszyły, jedną przesunął na jej pośladki, przyciągając ją bliżej, a drugą zaplątał w jej włosy. Pochylił się i pocałował ją mocniej, głębiej, aż w końcu zaczęło jej się kręcić w głowie i nie mogła złapać tchu. Była zgubiona, całkowicie pochłonięta.**

**Odnalazła ciężką sprzączkę jego paska i gwałtownym ruchem ją rozpięła. Przesunęła rękę w stronę zamka, nie myśląc o niczym, poza tym, żeby zaspokoić pragnienie. Próbowwała udawać, że to coś nowego, ale tak nie było. Pod grubym materiałem wyczuła, że jest rozpalony i gotowy. Jęknął, jej puls przyspieszył, a pomiędzy udami poczuła ogień, który wydawał się krzyczeć...**

**Mocno ścisnął jej biodra. Zbyt mocno. Dopiero po chwili zorientowała się, że wcale jej nie przytulał. Odpychał ją.**

**Stała tam jak idiotka, cały czas bawiąc się jego koszulą, zanim przez otaczającą jej umysł słodką mgłę dotarło do niej, że coś jest nie tak.**

**–O co chodzi, Chess? – Jego głos był tak szorstki i niski, że gdyby nie obserwowała jego warg, nie domyśliłaby się, że to Terrible. – Litujesz się nade mną?**

**O czym on mówił? Dlaczego w ogóle mówił? Wpatrywała się w niego, całkowicie zbита z tropu. Próbowwała odnaleźć słowa, zapytać o coś, ale nie mogła nic wymyślić.**

**–Do diabła. – Wyprostował się i odsunął od niej. Wyciągnął z kieszeni papierosa. W przytłumionym białym świetle wyglądał, jakby się trząsł. – Nie musisz tego robić, jasne?**

**O cholera! Znowu zrobiła z siebie idiotkę.**

**Jej ręce drżały, gdy sięgnęła po swoje piwo. Jednym haustem wypła połowę butelki.**

**–Przepraszam, nie chciałam... ja...**

**Wzdrygnął się.**

**–Taa... cóż. Nie chcę, żebyś robiła coś, czego nie będziesz chciała rano pamiętać.**

**Jęknęła. Nie mogła się powstrzymać. Równie dobrze mógł jej napluć w twarz.**

**–Wiedziałem o tym.**

**Udawała, że nie pamięta. Okłamała go, trzy miesiące wcześniej, po tamtej nocy w barze. Udawała, że nie pamięta, jak wziął ją w ramiona, podniósł i oparł o ścianę, a ich usta nie mogły się od siebie oderwać.**

**Owszem, była tamtej nocy nawalona, dzięki nielegalnej i niezwykle mocnej pigułce, którą znalazła. Ale nie aż tak. Nie aż tak, żeby nie pamiętać, co robiła i nie odtwarzać całego wydarzenia w głowie, na nowo przeżywając każdy jego szczegół.**

**Co z nią było nie tak? Dlaczego się tak zachowywała? Cały czas.**

**Łatwo być pożądaną przez faceta, który nie widział cię w złych chwilach, A miała ich dużo... Miała tyle do ukrycia. Tak wiele, że była zdziwiona, gdy ktoś, kto znał ją dłużej niż kilka dni, w ogóle chciał z nią być.**

**Terrible wiedział o niej więcej niż ktokolwiek inny. I dlatego ją odrzucał. Zasłużyła sobie na to.**

**–Przepraszam – powtórzyła.**

**Ściskając w ręku piwo, odwróciła się i wyszła na śnieg. Zaledwie parę minut temu Dolna Dzielnica wyglądała niemal ładnie, prawie romantycznie, gdy śnieg pokrywał cały brud. Teraz czuła, że wszystko czai się pod powierzchnią – brud, połamane igły, zużyte prezerwatywy, szczury i śmieci. Poczowała na sobie wrogie spojrzenie miasta, jakby wszyscy wiedzieli, kim była i co robiła. Wyobraziła sobie, że widzi morderców, sunących jak zjawy między budynkami, spiskujących przeciwko niej, obserwujących ją.**

**Po policzkach płynęły jej łzy. Wytarła je, udając, że odgarnia włosy.**

**–Cholera! – Śnieg i dzielący ich dystans stłumiły jego głos i lekki odgłos chlupnięcia, gdy uniósł butelkę. – Teraz myślisz, że cię nie chcę, tak?**

**Co do cholery? A co miała myśleć? Przecież dopiero co jej powiedział, że jej nie chce. Otworzyła usta, żeby o to zapytać, ale zaraz je zamknęła. To było bez sensu.**

**Cisza zmroziła powietrze.**

**–Cholera. Pragnę cię, Chess. Co do tego nie możesz mieć żadnych wątpliwości, jasne? Pragnę cię i to bardzo. Czasami tak bardzo, że nie mogę o niczym innym myśleć, tylko o łóżku. I nie obchodzi mnie to, co bierzesz, by przetrwać dzień i co się z tobą dzieje, gdy nie bierzesz, jasne? I tak cię pragnę.**

**Nie poruszyła się. Czekala. Nie miała pojęcia, co powinna zrobić. Sama nie wiedziała, co czuje, czy mu w ogóle wierzyć. Przecież mógł ją mieć. Była już przy jego cholernych guzikach, jak ofiara głodu gotowa wdrzeć się na bankiet. Jeszcze kilka sekund i wsunęłaby mu dłoń w slipki, a drugą zrzuciła własne ciuchy, by nie przeszkadzały. I błagałaby go, żeby ją wziął tu przy ścianie, na mrozie.**

**Wiedział o tym. Wiedziała, że on też wie. Tylko ktoś, kto nie miał bladego pojęcia o kobietach, nie zauważyłby, jak jej palce wbijały się w jego skórę, jej przyspieszonego oddechu. A kto jak kto, ale on znał się na kobietach. Więc jeśli naprawdę jej chciał... To okazywał to w cholernie pokręcony sposób.**

**–Ale nie... Nie mógłbym tego znieść, gdybym obudził się obok ciebie rano, a ty udawałabyś, że nic się nie wydarzyło. Albo gdybyś mi powiedziała, że to był błąd. Albo: „Dzięki, może jeszcze kiedyś tego spróbujemy”. Wiem, jak to rozgrywasz, z dystansem, żadnych obietnic, tak? Masz swoje powody. Więc myślę, że...**

**Jego zapalniczka trzasnęła raz, potem drugi, gdy ją zamykał. Cisza. Widziała, jak stoi przy ścianie, wpatrując się w stopy, z ręką na karku, jak wtedy, gdy nad czymś myślał albo był wkurzony. Albo gdy miał powiedzieć coś, co według niego mogło sprawić, że stanie się bezbronny.**

**–Myślę, że gdybyś naprawdę mnie chciała, tobyś mi powiedziała. Jak teraz. Jeśli tylko dasz mi zielone światło, zaniosę cię do mieszkania i położę na plecach, zanim zdążysz pisnąć słówko. Ale musisz być tego pewna, bo nie szukam współczucia. I nie pozwolę ci później odejść. Raz... raz mi nie wystarczy, rozumiesz?**

**Zapiekł ją świeże łyzy. Zupełnie nie miała pojęcia, co robić. Każde zdanie, które przychodziło jej do głowy, wydawało się złe, każdy czyn niedorzeczny, a poza pulsowaniem, które czuła na dole i dziwnym, lekkim uczuciem w brzuchu, wyczuła coś, co doskonale знаła i czego nie mogła pomylić z niczym innym. Strach.**

**Terrible ją przerażał.**

**Przerażał, ponieważ gdy go całowała, gdy tak rozpaczliwe go pragnęła, tu i teraz, cały czas była przytomna. Nie zatraciła się. Nie myślała o nim jak o maszynie do**

orgazmów, by na kilka minut mogła zapomnieć, kim jest. Była w pełni świadoma, że całuje Terrible'a, że czuje przy sobie jego ciało, jego dłonie na swoich biodrach, że to jego usta rozgrzewają jej krew.

Cały czas tam była. Pragnęła go, ona, Chess, nie tylko jej ciało. To pragnienie, ta szalona, głęboka potrzeba... nie była tylko fizyczna. Co to mogło znaczyć?

Słyszała go za plecami, jak palił papierosa, otwierał kolejne piwo. Czekał. Topniejący śnieg mieszał się ze łzami na jej policzku i zmoczył jej włosy. Może na tym polegał problem. Może zamarzła i dlatego nie mogła się ruszyć.

–Dobra – powiedział. – Więc teraz już wiesz.

Dlaczego się nie poruszyła? Czego, do diabła, się bała? Chciała do niego podejść, wyobraziła sobie, jak to robi, zabiera go do siebie, do łóżka, do którego nigdy nikogo nie wpuściła. Nawet Lexa. Znowu wyobraziła sobie jego nagi tors, swoje palce przesuwające się po jego brzuchu i dużo niżej.

Nie mogła powstrzymać tych obrazów. Widziała jego usta na swoich piersiach, jego dłoń między jej nogami i całe jej ciało spięło się tak mocno, że miała wrażenie, że zaraz upadnie. Pragnęła go. Pragnęła go od miesięcy, co najmniej tak mocno, jak on pragnął jej. Nie mogła dłużej zaprzeczać.

Ale nie mogła... do niego podejść. Nogi dosłownie odmówiły jej posłuszeństwa. Jakby wiedziały, kim tak naprawdę jest, i chciały ją ukarać, ignorując polecenia. Usta nie chciały się otworzyć, by wypowiedzieć to jedno słowo, które chciał usłyszeć. Jej ciało wybrało sobie akurat ten moment, by się na niej zemścić.

Usłyszała z tyłu brzęk szkła. Terrible zakaszłał, pociągnął nosem.

–Chyba dość się już nagadałem, jeśli nie masz nic przeciwko. – Cisza. – Dobranoc, Chess.

Została, wpatrując się w śnieg, aż warkot silnika chevelle'a całkowicie ucichł. Odjechał i została sama. Sama, z wyjątkiem Miasta ukrytego pod bezpieczną śnieżną kołdrą.

Budynki wokół jej dachu były pełne ludzi i życia. Tam w środku tulili się do siebie kochankowie, rodziny śmiały się albo klóciły, czy co tam robiły rodziny, gdy były razem. A ona stała tu, niewidzialna. Uwięziona.

Sama. I po raz pierwszy od bardzo dawna... samotność nie wydawała jej się taka fajna.

I to było w tym wszystkim najbardziej przerażające.



## ROZDZIAŁ 20

Następnego ranka obudziła się u Lexa. W głowie szumiało jej od snów po ozerze i nie miała bladego pojęcia, jak się tam znalazła.

Usiadła, spychając z siebie ciężką kołdrę, a potem opadła z powrotem na łóżko, gdy wspomnienia nagle uderzyły ją w głowę. I w pierś. I w żołądek.

Terrible. Jego dłonie na jej biodrach, usta na ustach, oddech na skórze...

A ona uciekła. Została na dachu, aż z zimna straciła czucie w rękach i nogach. A potem wsiadła do samochodu, przyjechała tutaj i wykorzystała Lexa, jak każdy inny narkotyk. A gdy to nie pomogło, znalazła taki, który dał jej zapomnienie.

Szkoda tylko, że nie będzie mogła tego robić wiecznie. Musiała dzisiaj pracować. Sprawa Pyle'ów była niemal zakończona, a przynajmniej będzie, jak tylko znajdzie dowód. Co nie powinno być takie trudne, teraz, kiedy wiedziała już, czego szukać.

Lex przeturlał się obok niej na łóżku, zsuwając z siebie białą pościel i ukazując nagi tors. Miał naprawdę niezłą klatę.

–Cześć, tulipanku – wymamrotał. – Myślałem że nie wstaniesz przez co najmniej kilka godzin. Zeszłej nocy nieźle się zmachałaś, nie?

–Najwyraźniej nie – powiedziała, oblewając się rumieńcem.

–Nie? Mnie na pewno wykończyłaś. Wracaj tu do mnie i pomóż mi się obudzić.

Przesunął dłonią po jej nagich plecach, dotknął jej ramion i ręk. Gdy chwycił jej rękę, by przez kołdrę mogła poczuć jego męskość, lekko zadrżała.

Cofnęła dłoń.

–Wygląda na to, że już się obudziłaś.

–To pomóż mi znowu zasnąć. To wszystko twoja wina, prawda? Leżałem już w łóżeczku, jak greczny chłopiec, gdy nagle wpadłaś do środka i praktycznie zdarłaś ze mnie ubranie. Nie narzekam, ale mogłabyś facetowi trochę pomóc, szczególnie że przypominam sobie co najmniej pięć razy, gdy...

–Muszę iść do pracy.

–Mogę ci zagwarantować jeszcze kilka...

Uśmiechnęła się do niego przez ramię. Jego sterczące włosy oklapły nieco z jednej

strony, co nadawało mu uroczego pijanego wyglądu.

–Nie mogę. Muszę wziąć prysznic.

–Pójdę z tobą.

–Nic z tego. – Zsunęła do końca kołdrę, sięgnęła do torby i wyłuskała z niej pudełko z pigułkami. – Ale jak będziesz miły, to może wrócę dziś wieczorem.

–Przynajmniej dwa razy, tak? Chociaż mogę być jeszcze zbyt zmęczony. Może będę jeszcze dochodził do siebie.

Przewróciła oczami, wrzuciła do ust dwa cepty i sięgnęła po butelkę z wodą.

–Aha, miałem cię zapytać. Skąd masz te wszystkie zadrapania? Wyglądasz tak, jakbyś walczyła na noże ze skrzatem.

Zerknęła w dół, przelękając pigułki. Jej nogi rzeczywiście wyglądały okropnie. Tak naprawdę nawet na nie nie spojrzała, unikała tego, aż do teraz. Wcierała w nie tylko krem z antybiotykiem dwa razy dziennie. Nawet wtedy im się nie przyglądała. Wcierała krem i rzucała okiem, czy nie są zbyt czerwone.

W chłodnym świetle wpadającym przez okno nabrały wściekłego koloru, jakby jej dusza próbowała przebić się na zewnątrz i wydostać z ciała, ale jej się nie udało. A może i udało. Tego ranka czuła wyjątkową pustkę. Może tego właśnie jej brakowało?

Miała nadzieję, że tak.

–A, to. Złapałam jakąś wysypkę w domu Pyle'ów. Nic wielkiego. – Jej dzinsy leżały po drugiej stronie pokoju, tam gdzie rzuciła je poprzedniej nocy. Czuła na sobie wzrok Lexa, gdy po nie szła i się ubierała.

–Niezła wysypka.

Zadzwonił telefon i Lex odebrał. Rozmawiali po kantońsku. Chess w tym czasie znalazła swoją bluzkę między poduszkami na małej kanapie, wsunęła ją przez głowę i rozpoczęła polowanie na stanik i majtki.

Majtki leżały za telewizorem, ale stanika wciąż nie mogła znaleźć, gdy Lex odłożył słuchawkę.

–No proszę – powiedział. – Wygląda na to, że i tak się dziś spotkamy. Szykuje się niezła noc.

–Co takiego? – Wyłowiła stanik spod łóżka, wyplątując go z bokserek Lexa i rzuciła na kanapę razem z majtkami.



**–Mamy randkę z Bumpem. Słyszałem, że ty też będziesz. Niezła z nas ekipa, co?**

**Wiedziała, że to się zbliża, więc dlaczego była zaskoczona? Może dlatego, że wciąż miała nadzieję że to tylko zły sen? Na samą myśl o przebywaniu w jednym pomieszczeniu z Terrible'em i Lexem poczuła na całym ciele ciarki.**

**–Lex... nie znasz mnie, jasne? Mówię poważnie, Nie możesz nawet... Czy twój ojciec wie? O mnie?**

**Zmrużył oczy.**

**–Mój ojciec?**

**–Co? A... – Jasne, przecież nic mu o tym nie wspomniała, prawda? – Bump mi powiedział. Ukrywałaś to?**

**–A to ma jakieś znaczenie?**

**–Nie, nie do końca. Ale nie wiem, dlaczego po prostu nie powiedziałaś prawdy.**

**–Jakoś się nie złożyło. Mężczyzna musi mieć swoje tajemnice, tulipanku. Chciałabyś, żebym wiedział wszystko o tobie?**

**Fuj. To było nie do pomyślenia. Otworzyć się przed Lexem?**

**–Nie.**

**–Też tak myślałem. Wracaj do łóżka. Robi się zimno.**

**–Bump nazwał cię psem na baby.**

**Prychnął, ale na jego twarzy pojawił się uśmiech.**

**–Bump ma cięty język, nie? Nie jestem pewien, czy „pies” jest tu najlepszym określeniem, ale co to za różnica.**

**Chess była pewna, że „pies” pasuje idealnie, ale nie było sensu o tym dyskutować. Nie miała też na to czasu. Musiała się ruszyć.**

**–No więc, wie o mnie? Slobag? Twój ojciec. Wie?**

**–Oczywiście, że wie.**

**–Cholera! Po co?**

**–Daj spokój, nie bądź taka. Wie i już. To on kazał mi do ciebie przyjść na początku,**

**pamiętasz? Wie, co się dzieje z jego towarem. Nie bój się. Nie jest plotkarzem. Wie, że jeśli masz nam dalej pomagać, musimy to wszystko trzymać w tajemnicy.**

**–Ale czy wie, to znaczy...**

**–To jego dom, no nie? Myślisz, że nie wie, kto tu przychodzi?**

**Cepty zaczynały działać, rozlewając się po jej ciele przyjemnym ciepłem, ale nie powstrzymały nadciągającego bólu głowy. Połknęła jeszcze jednego, rzucając Lex'owi gniewne spojrzenie znad butelki z wodą.**

**–Nie rozumiem, dlaczego nie znajdziesz sobie własnego mieszkania, jak każdy normalny facet w twoim wieku.**

**–Nigdy ci to nie przeszkadzało. Trochę na to za późno, nie?**

**–Terrible nie mieszka z Bumpem.**

**–To może zaczniesz się pieprzyć z Terrible'em, skoro tak ci to przeszkadza. Do diabła, tulipanku, o co ci chodzi? Mieszkam tu. Zawsze tu mieszkałem. Dlaczego zawsze musisz być tak cholernie poważna?**

**Nie przychodziła jej do głowy żadna sensowna odpowiedź. Skupiła się więc na tym, by zachować kamienny wyraz twarzy. Jego słowa wywołały w jej głowie całą serię obrazów, a była to ostatnia rzecz, jakiej w tej chwili potrzebowała.**

**–Obiecaj mi, proszę – powiedziała w końcu. – Nigdy wcześniej mnie nie widziałeś. Nie znasz mnie, jasne? Żadnego mrugania okiem, żadnego flirtowania. Nic, dobra?**

**–Jaki byłby ze mnie pies na baby, jeśli nie zwrócę uwagi na taką laskę jak ty, co?**

**Roześmiała się wbrew sobie.**

**–Dobra, masz rację. Ale obiecaj, że się nie zagalopujesz. Proszę?**

**–A co będę za to miał?**

**–Moją dozgonną wdzięczność?**

**–Musisz się trochę bardziej postarać.**

**–Eee... Będiesz wiedział, że mnie nie zabiją za to że się z tobą spotykam?**

**–Myślałem o czymś nieco bardziej fizycznym. – Usiadł, pozwalając, by kołdra zsunęła się jeszcze niżej. – Nie sądzisz chyba, że Terrible mógłby cię zabić?**

**Wzruszyła ramionami. Nie, pewnie nie. Ale nic chciała też wystawiać go na próbę.**

**–Nie wiem.**

**–Nie, tulipanku, nic z tego. Za bardzo się wszystkim martwisz, to niezdrowe. A teraz, przyjdiesz tu wreszcie i porządnie się ze mną przywitasz czy nie?**

**Zegar wskazywał dwunastą czterdzieści siedem. Była spóźniona. Nikt na nią wprawdzie nie czekał, ale było później, niż myślała.**

**A, do diabła! Piętnaście minut niczego nie zmieni, prawda? Mogła za to spróbować go przekonać, żeby się nie wygłupiał w trakcie spotkania i nie rzucał tych swoich aluzji, które według niego były sprytnie i niezrozumiałe, gdy w rzeczywistości każdy wiedział, o co chodzi.**

**Westchnęła i zdjęła bluzkę.**

**–Dzień dobry – powiedziała.**

**\*\*\***

**Maska gazowa była okropna.**

**Tak naprawdę jak na maskę nie była taka zła. Kiedyś u Terrible'a zajrzała do jednej z jego książek o historii II wojny światowej. Widoczni na zdjęciach mężczyźni w maskach przypominali insekty, z okrągłymi, tępyimi żuwaczkami wylaniającymi się z otaczającego ich gazu. Już na samą myśl, że miałyby coś takiego włożyć, serce zaczęło jej szybciej bić.**

**Mała kościelna maska była inna i przypominała maskę chirurgiczną. Była dość lekka i wygodna. Ale gdy ją założyła, poczuła na plecach klaustrofobiczne ciarki. Schyliła się, by wsunąć ręcznik w szparę pod drzwiami do sypialni Pyle'ów.**

**Powiedziała im, że chce użyć niebezpiecznej magii, i to ich przekonało, żeby wyjść na siarczasty mróz, przynajmniej na kilka godzin. Miała nadzieję, że nie zajmie jej to aż tyle, zwłaszcza że to, co zaplanowała, nie miało wiele wspólnego z magią.**

**Zaszeleściła plastikową torebką z wiórkami drewna, które zabrała wcześniej z Kościoła. W kolejnej torbie miała swoją największą misę na ogień. Ustawiła ją na podłodze pod łazienką i wrzuciła do niej wióry. Po chwili zaczęły się tlić i uniosła się znad nich gęsta smuga białego dymu. Świetnie. Po paru minutach pokój wypełni się dymem i będzie mogła ruszyć do łazienki.**

**Skopiowała numer i wstała. Czas sprawdzić teorię w praktyce.**

**Włączyła czujnik elektryczny, wypuszczając na zewnątrz kable i poszła do łazienki.**

**Czujnik lekko zareagował, gdy przekroczyła próg. Dobrze. Urządzenie, które tamtej nocy uruchomiło odbiornik na jej pasku, gdy u Pyle ów odbywało się przyjęcie. właśnie się włączyło. Nie pozostawało nic innego, tylko czekać.**

**Szkoda tylko, że tłące się drewno i dym wydzielały zbyt dużo ciepła, żeby mogła użyć soczewki podczerwieni. Mogła jedynie siedzieć i się rozglądać, czekając na charakterystyczne zakłócenia w białej mgle.**

**Zaczęło się. W całkowitej ciszy, bez ostrzeżenia. Kątem oka zauważyła w rogu jakiś ruch. Tam, gdzie stała szafka ze środkami czystości.**

**Chess ostrożnie ruszyła w jej stronę, świecąc latarką w migoczącym dymie. Teraz, kiedy już wiedziała, czego szuka, nie miała żadnych problemów. Z łatwością odnalazła niewielki otwór w blacie. Położyła na nim palce i poczuła chłodny, wilgotny strumień gazu.**

**Wolną ręką sięgnęła po klucz francuski i podeszła do umywalek. Czekala. Mogła nie usłyszeć kliknięcia, szczególnie że w misie trzaskał ogień, ale na pewno zobaczy jego efekt. Ruszyła do przodu, a aparat lekko obijał się o jej piersi.**

**Bez oszałamiającego, mdlącego działania gazu zobaczyła ducha takim, jaki był. Obrazek nałożony na kłęby dymu. Widziała światło z hologramowego projektora, widoczne w postaci szerokiego pasa opadającego z sufitu. Odchyliła głowę, odnajdując maleńki otwór, zanim obraz zniknął, i zapamiętała jego umiejscowienie.**

**W niewielkiej szafce znalazła stołek oparty o tylną ścianę. Chwyciła go, rozłożyła i stanęła na nim, żeby spojrzeć na otwór z bliska i zrobić zdjęcia. Jak już udowodni, kto jest winien, będzie musiała dostać się tu, żeby wydostać projektor. Szykowała się niezła jazda.**

**Czy to był spektakl dzienny, czy nocny? Zerknęła w stronę sypialni. Była ciekawa, w jaki sposób oszustowi udało się zaciemnić pokój, ale spotkało ją rozczarowanie. Zamiast tego zaczęła bulgotać umywalka. Z odpływu wypłynęły zamroczone karaluchy. Włożyła rękawiczki i sięgnęła po klucz francuski.**

**Niektóre elementy swojej pracy lubiła, a niektórych nie. To był ten drugi przypadek. Gdy odkręciła zawór, z rury wypłynął gęsty czerwony płyn. Będzie musiała zerwać płytki i dostać się do ściany, żeby się upewnić, ale gdy się nad tym porządnie zastanowiła, to było banalnie proste. Zwykły przełącznik albo czujka zamontowana w podłodze. Pompa za ścianą. Każdy, kto miał elementarną wiedzę na temat elektryki i hydrauliki, mógł to wymyślić.**

**Pewnie był też jakiś regulator czasowy, który zmieniał efekt. Na przykład ta kobieta**

postać. Chess nie widziała jej za pierwszym razem. Oczywiście to mogło być spowodowane wpadającym przez okno światłem. W sumie rzecz była bez znaczenia.

Zakręciła zawór, otworzyła okno, żeby przewietrzyć pokój i zaczęła wycierać szkarłatne plamy z płytek, wlewając trochę płynu do plastikowego słoika do analizy. Nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że kiedykolwiek będzie wdzięczna za swoje uczulenie, ale teraz była zadowolona. Kto wie, ile czasu zajęłoby jej rozwiązanie tej zagadki, gdyby nie jej reakcja na gaz?

To było sprytne. Ale nie dość sprytne, szczególnie gdy brakowało odrobiny szczęścia, a prędej czy później ono każdego opuszczało.

Zadrzała, wyciskając papierowe ręczniki i wrzucając je do tłącego się ognia. Każdego w końcu opuszczało. Miała tylko nadzieję, że nie ją.

## ROZDZIAŁ 21

Tak. Szczęście sprzyjało jej aż do chwili, gdy idąc korytarzem, natknęła się na Olivera Fletchera, który nalegał, by „spotkała” się z nim w gabinecie Rogera.

Ponownie zerknęła na zdjęcia, które trzymała w dłoni, tasując je, w nadziei że uda jej się wymazać widoczne na nich obrazy. Jak siedzi na kanapie w salonie i pali skręta. Jak wciąga coś ze spinki do włosów, skulona przy kole od samochodu. Jak stoi na ulicy z Terrible'em, a jego ciało przypomina olbrzymi cień obok niej, i wrzuca do ust kilka pigułek. I tak dalej. I tak dalej.

Kurwa. O kurwa...

Wzięła głęboki wdech i próbowała zapanować nad głosem. Rzuciła zdjęcia z powrotem na biurko przed Oliverem Fletcherem. Żegnaj, nowy samochodzie. Żegnaj, grzejniku do sypialni. Żegnajcie, resztki uczciwości.

–Czego pan ode mnie oczekuje?

–To chyba oczywiste. Sądzę, że te zdjęcia mogą okazać się niezwykle interesujące dla twoich praco...

–To rozumiem. Pytam, co mam zrobić? Skłamać i powiedzieć, że to prawdziwe nawiedzenie? Czy zwalić winę na kogoś innego.

–A jak pani sądzi?

–Mówi pan poważnie?

–Oczywiście. To pani ma doświadczenie. Co by pani poleciła? Jeśli powie pani, że to prawda, jakie dowody będą Pani' potrzebne, jaka dokumentacja?

Tak, na pewno mu to powie, żeby znowu mógł to zrobić. I zacząć na boku mały interes pod tytułem, jak oszukać Kościół.

–To zależy.

–Dam pani wszystko, czego pani potrzebuje. To chyba oczywiste, że mam spore możliwości.

–Tak.

–Musi pani przyznać, że to było o wiele lepsze niż zwyczajne sfingowane nawiedzenie.

**Czy on mówił poważnie?**

**–Czego pan chce, żebym poklepała pana po ramieniu? Nie oglądam pańskich filmów, panie Fletcher. I niech pan nie oczekuje ode mnie oklasków.**

**–Nie musi być pani taka niegrzeczna.**

**–Na miłość boską. – Sięgnęła po torbę i wyłowiła z niej papierosy. Zapalił zapalniczkę, i to zanim zdążyła włożyć papierosa do ust, jakby byli na jakiejś randce.**

**Ale pozwoliła mu przypalić.**

**–Po co? Po co to wszystko?**

**–Po co? Ja... – Pokręcił głową i sięgnął po szklanke, którą miał po prawej stronie. Nie zauważyła jej wcześniej, ale teraz poczuła zapach whisky. – To chyba oczywiste. Roger Pyle chce opuścić mój program i zacząć robić filmy. Nie moje filmy. Jest moją największą gwiazdą i jest mi potrzebny, chcę zacząć kolejny scenariusz. Chcę, żeby się stąd wyniósł i wrócił tam, gdzie jego miejsce. Do cholery, zawdzięcza mi całą swoją karierę, jest mi to winien. Ale to nieważne. Nie domyślała się pani tego? Wpadła pani na to, jak to zrobiłem... A tak przy okazji, niezły numer z tym dymem w łazience. Ale nie domyślała się pani motywów?**

**–Niezupełnie. Byłam pewna, że to pan. – Chociaż. Kiedy się nad tym zastanowiła, coś jej dalej nie pasowało. To wszystko poszło zbyt łatwo, zbyt...**

**–Ale nie miała pani dowodów, że to ja. Tak naprawdę, cały czas niczego pani nie ma.**

**–Mogę je zdobyć.**

**Z uśmiechem pokręcił głową.**

**–Wątpię. Ach, młodość jest taka arogancka. Byłem taki sam, jak pani. Mimo moich wad, byłem pewien, że nie mogę zrobić nic złego.**

**Nie mogła się oprzeć.**

**–Tak jak teraz?**

**Skrzywił usta.**

**–Różnica polega na tym, że teraz wiem, że to, co robię, jest złe. Jestem tylko zdeterminowany, by nie dać się złapać.**

**–I dlatego mnie pan szantażuje?**

**–A pani nie zrobiłaby tego samego na moim miejscu? Naprawdę, aż się pani prosi. Jeśli ja mogłem panią śledzić i zdobyć dowody na to, że zażywa pani narkotyki, chociaż to już raczej uzależnienie, nie wierzę, by ktokolwiek inny miał z tym problem. Powinna pani być bardziej ostrożna.**

**–Będę o tym pamiętać. – Na pewno. – Wysłał pan komuś te zdjęcia?**

**–Co? Nie, nie. Wszystkie tu są, razem z negatywami. Zatrzymam je, mam nadzieję, że pani to rozumie?**

**Owszem, rozumiała. Ale wcale jej się to nie podobało. Nie ufała mu. Może za parę lat zdecyduje, że potrzebuje jakiejś kościelnej przysługi? Już i tak była na każde zawołanie Bumpa i Lexa. Nie potrzebowała kolejnego szantażysty na karku.**

**Musiał zauważyć, że się poddała, bo jego irytujący uśmiech zrobił się jeszcze szerszy. Zgarnął zdjęcia, układając je w elegancki mały stosik.**

**–Proszę mi powiedzieć, jakich dowodów pani potrzebuje i jak chce to pani rozegrać. Zgodzę się na to, co pani zaproponuje. Proszę.**

**Pomiędzy jego wskazującym a środkowym palcem pojawiła się wizytówka, jakby nie chciało mu się jej trzymać.**

**–To moja wizytówka, z prywatnym numerem komórkowym. Dowód mojego zaufania. Wiele osób zapłaciłoby każde pieniądze za ten numer. Jeśli pani nie zdradzi moich sekretów, ja nie zdradzę pani tajemnic. Może być?**

**Wizytówka była zrobiona z tak sztywnego i ostrego papieru, że można nią było robić kreski. Na odwrocie rzeczywiście widniał jego numer telefonu, wypisany grubym czarnym tuszem.**

**–Niech pani do mnie zadzwoni – rzucił lekko, wracając do papierów, które rozłożył na biurku Rogera Pyle'a. Jednym słowem, odprawił ją.**

**Na nic więcej nie zasłużyła.**

**\*\*\***

**Slobag nie chciał zapuszczać się zbyt daleko na terytorium Bumpa, a Bump nie chciał, żeby Slobag zobaczył, gdzie mieszka, więc spotkanie zaplanowano na moście Aceria, daleko na zachód, niemal w Cross Town. Stojąc na samym środku mostu, Chess widziała pomarańczowy blask ognisk z Dolnej Dzielnicy, odbijający się w mgle i dymie, eleganckie latarnie Cross Town, a nawet domy na wzgórzach Północnej Dzielnicy. Było bardzo cicho, spokojnie. Jakby znalazła się zupełnie gdzie indziej.**



**Gdzieś, gdzie nikt jej nie szantażował, gdzie nie wychodziła ze skóry ze strachu, że wszystko się wyda, gdy Lexowi coś się „przypadkowo” wymysknie.**

**Gdzieś, gdzie nie czułaby na sobie wzroku Terrible'a. Gdzie nie spieprzyłaby wszystkiego między nimi. Znowu.**

**Mimo ognia buchającego z kubła po lewej, było zimno. Ale Chess to nie przeszkadzało. Przynajmniej miała wymówkę, żeby skulić się w płaszczu, w sobie, gdy stała z opuszczoną głową, oparta o barierkę.**

**Pod nimi szalały lodowate wody Rzeki Wieczności, wzburzone od śniegu, który stopniał w ciągu dnia. Wir był tak mocny i silny, że cały most aż wibrował. Przez chwilę Chess wyobraziła sobie, że most się załamuje, a oni wszyscy spadają w dół, wchłonięci przez czarny prąd. Czy to by bolało? A może woda sprawiłaby, że straciłaby przytomność i nawet nie poczuła, jak jej płuca przestają pracować, jak...**

**–Jesteś gotowa, biedroneczko? Zdobędziesz od nich wszystko, czego ci trzeba? – Otoczone złotymi obwódkami oczy Bumpa wpatrywały się w nią spod poszarpanego ronda fioletowego kapelusza. W złotej sprzączce paska odbijał się blask ognia. Daleko mu było do Bumpa, którego widziała nie tak dawno w idiotycznej pidżamie. To był Bump uliczny. Na jego ramionach spoczywała moc, zarzucona równie niedbale jak obskurna biała, futrzana peleryna którą miał na sobie. Pod nią dostrzegła co najmniej trzy koszule, gdzieniegdzie pocięte tak, że prześwitywał przez nie materiał, który był pod spodem. Bump miał na sobie ciemnozielone welurowe spodnie, wsadzone do ciężkich, futrzanych butów, które o dziwo wyglądały dość czysto.**

**Paznokcie pomalował na czarno. Gdy się poruszał, na jego palcach brzęczały pierścionki, wysadzone diamentami i innymi kamieniami szlachetnymi. Laska ze złotą rączką błyszczała i stukała o chodnik, tworząc mało harmonijną symfonię.**

**–Co?**

**–Zdobędziesz to, czego potrzebujesz, żeby przygotować dla mnie zaklęcia, tak? Myślę, że z Lexem pójdzie ci łatwo, wystarczy, że przejedziesz palcami po jego włosach, żaden problem. Może uśmiechniesz się ładnie. Niech myśli, że mu się poszczęści. Slobaga zostaw mnie. Bump ma pewien plan...**

**–Ale myślałam... – Zerknęła na Terrible'a, ale jego twarz niczego nie wyrażała, a oczy ukrył za okularami przeciwsłonecznymi. W ciemnych szklach odbijały się płomienie. Jakby nie miał oczu, a pod jego powiekami czaił się jedynie ogień. Wzdrygnęła się. I to nie tylko przez ten widok. Po tym, jak się z nią przywitał, nie odezwał się ani słowem. – Myślałam, że zmieniłeś zdanie. Nie wspominałeś o tym więcej. Zakładałam, że sam zorganizujesz sobie to, czego potrzebujesz.**

**–Kiedy Bump tak powiedział? Nie przypominam sobie nic podobnego. Wiesz coś, o**

**czym Bump nie wie, biedroneczko? Te pigułki naprawdę mieszają ci w głowie, co?**

**Zanim odpowiedziała, ugryzła się w język i głęboko odetchnęła. Dupek.**

**–Będą wiedzieli, co chcę zrobić. Wiedzą, kim jestem.**

**–Zrób to, dobra? Weź to, co trzeba. Zabezpieczenie, wiesz? Żeby Bump coś miał, jeśli kiedykolwiek zajdzie taka potrzeba.**

**Pomyślała, że to i tak nie miało znaczenia. Mógł do niej przyjść, po co tylko chciał, a ona sfinguje zakłęcia. Sprawzi, że nie będą działać. Więc pokiwała głową.**

**–Jasne.**

**–Dobrze. Cholernie dobrze. Nie zostaniemy tu długo, co nie? Jest cholernie zimno. Bump nie lubi zimna.**

**Po raz drugi kiwnęła głową. I zerknęła na Terrible'a. Miała nadzieję, że pogadają na osobności, ale Bump krążył wokół niej jak sęp, który czekał na śmierć swojej ofiary. Terrible nie byłby chyba zadowolony gdyby szef podsłuchał ich rozmowę, nawet jeśli jej by to nie przeszkadzało. A przeszkadzało.**

**I tak nie wiedziała, co powiedzieć.**

**Nie po raz pierwszy żałowała, że w ogóle go pocałowała. Gdyby nie zaczęła, on by nie skończył i nie musiałyby sobie teraz zawracać głowy. Mogłaby nadal udawać, że w ich przyjaźni nie było żadnych podtekstów, i ignorować wspomnienia.**

**Dlaczego tak bardzo się starała, żeby wszystko spieprzyć?**

**Westchnęła i jeszcze bardziej się skuliła. Po chwili zmieniła zdanie i sięgnęła po pudełko z pigułkami. Bump chciał, żeby przystawiała się do Lexa? Przed Terrible'em? Tak, świetny pomysł. Musiała się ogłuszyć, to był jedyny sposób, żeby przez to przejść.**

**Kolejne trzy cepty powinny pomóc. Połknęła je i zapaliła papierosa.**

**Zdażyła wypalić połowę, gdy na moście pojawiły się światła samochodu, pozbawiając koloru wszystko, co znalazło się na ich na drodze, a potem zgasły. Przyjechał Slobag.**

**Pierwsze co przyszło jej na myśl, to że stanowił wierną kopię Bumpa. Ten sam kapelusz, tylko czerwony. Jego peleryna pokryta była maleńkimi złotymi dzwoneczkami. Zarówno jego koszule, jak i brokatowe niebieskie spodnie były pocięte. Ale nie miał w sobie tej samej niefrasobliwości co Bump. Wyglądał tak, jakby**

włożył na siebie kostium. Ze sposobu, w jaki się poruszał, domyśliła się, że w przeciwieństwie do Bumpa ubierał się tak dla szpanu, bo tego od niego oczekiwano, a nie dlatego, że naprawdę to lubił.

Potem pomyślała, że był bardzo podobny do Lexa. Ich podobieństwo było oczywiste, chociaż Slobag nie był tak wysoki, jak syn i nie miał w sobie tego samego leniwego poczucia, że coś mu się należy.

Lex stał za plecami ojca, a jego czarne sterczące włosy błyszcząły jak onyks. Przejechał wzrokiem po moście, odnalazł ją i przesunął spojrzenie dalej. Wypuściła powietrze. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymała oddech.

Chess nie ruszyła się z miejsca, gdy mężczyźni zaczęli się witać, ale gdy zbliżyli się do niej – Bump swoim zwyczajnym posuwistym krokiem, Slobag ostrożnie, jakby obawiał się, że ulica może przykleić mu się do butów – zrozumiała, że na dłuższą metę takie zachowanie nie miało sensu. Slobag spojrział na nią, lustrując ją od stóp do głów. Widziała w jego oczach, co sobie myślał i nie było to nic pochlebnego. Mieszanka niechęci z powodu jej pozycji w Kościele oraz stosunków z jego synem i następcą. Jego spojrzenie przypominało twarde palce, zaciśnięte na jej szyi.

–To jest Chess. – Bump pomachał w jej stronę pierścieniami. – Pomaga nam.

Lex chwycił jej rękę i podniósł ją do ust. Nie spojrzała na niego, nawet gdy wsunął język między jej środkowy a serdeczny palec.

–Pomocna z ciebie dziewczyna, co?

Wyrwała dłoń i skrzyżowała ramiona na piersi. Jej twarz oblała się rumieńcem, nadal na niego nie patrzyła.

Lex się roześmiał.

–No co ty, nie ma powodu się obrażać, co? Nie skrzywdzę cię, dziewczyno, chyba że sama tego chcesz. Jestem naprawdę niezły w dawaniu panienkom tego, czego potrzebują.

Drań. Ale miał rację. Dziwnie by to wyglądało, gdyby ją zupełnie zignorował. A to nie było jej na rękę. Gdyby Bump zauważył, że nie chce nawet spróbować zrobić tego, co jej kazał, nie byłby zadowolony. Zrozumiała też, że Lex naprawdę zamierzał wczuć się w rolę. To ona była najsłabszym punktem tego zgromadzenia, luźną cegłą w fasadzie.

A może nie. Zerknęła na Terrible'a. Nie zmienił wyrazu twarzy, ale na jego szyi pojawił się rumieniec, którego nie potrafił kontrolować.

**–Widzę, że nie mówisz nie – ciągnął Lex.**

**Z ogromnym trudem opanowała głos.**

**–Nie.**

**–No proszę, ona mówi. Zawsze tak trudno zmusić cię do mówienia?**

**Jego słowa nawiązywały do ich pierwszego spotkania, kiedy ją porwał, trzymał zamkniętą w pokoju, aż ogarnął ją narkotykowy głód, a potem machał jej przed nosem torebką pełną ceptów, aż w końcu zgodziła się z nim porozmawiać.**

**–Mam ci coś jeszcze do powiedzenia.**

**–Tak? Nie wątpię. Może powiesz mi później? Co ty na to?**

**Rzuciła mu gniewne spojrzenie. Jego oczy zaiskrzyły. Jakby to była jakaś gra.**

**Oczywiście dla niego to była gra. To nie on znalazł się w niebezpieczeństwie.**

**W którym momencie jej nałóg zrobił się tak cholernie trudny? Tak męczący? Tak długo wszystko wydawało się zupełnie proste. Miała towar, nie wychylała się, nikt jej nie przeszkadzał. A teraz cały czas pakowała się w jakieś intrygi i kłopoty, rozrywana na wszystkie strony. Przez to, że potrzebowała pigułek.**

**Zamknęła oczy i pokręciła głową. To bez znaczenia. I tak nie mogła niczego zmienić, prawda? Nie. Więc powinna się zamknąć i skupić na tym, żeby jakoś przez to przebrnąć. I nie dać się zabić, chyba że tego właśnie chciała.**

**Slobag odchrząknął. Zajął miejsce przy rozpadającym się żelaznym filarze, ostrożnie poprawiając kolejne warstwy swojego odzienia.**

**Lex zostawił ją i pewnym krokiem pomaszerował w stronę ojca. Bump i Terrible stali po obu stronach Chess. Chcieli już zacząć.**

**A przynajmniej zrobią to, gdy ktoś się w końcu odezwie. Na razie wszyscy gapili się na siebie i czekali.**

**Cisza zaczynała działać jej na nerwy. A może to Lex, który złowił jej spojrzenie i mrugnął do niej okiem. Tak czy siak, mimo dodatkowych pigułek zaczynała odczuwać niepokój, a barierka, o którą się opierała, zrobiła się niewygodna. Ale nie miała odwagi się poruszyć. Nawet wtedy, gdy targane wiatrem włosy zaczęły łaskotać ją w twarz. Ani wtedy, gdy nagle pomyślała, że jej morderczy, kradnący oczy kumple mogli czaić się gdzieś w ciemnościach, obserwując ich. Szykując się do ataku.**

**Slobag przegrał pierwsze starcie.**

**–Chciałeś, żebyśmy przyszli.**

**Jego słowa wyjaśniały przynajmniej jedną rzecz, która nie dawała Chess spokoju, jeśli chodzi o Lexa. Mówił tak, jak się mówiło w Dolnej Dzielnicy, ale jego akcent był inny. Interesujące.**

**–Taa... – Bump odchylił się, nie ukrywając triumfalnego uśmiechu. – To prawda. Wygląda na to, że mamy ducha, co? Który morduje nasze dziewczyny. Bump słyszał, że macie podobny problem. To prawda?**

**Slobag kiwnął głową.**

**–To nie Bump, jasne? Nie gonię za twoimi cholernymi dziwkami. Chess ma taki pomysł, że jakiś duch wykorzystuje ich oczy, żeby widzieć, zabiera ich dusze i zamienia je w prostytutki. Może niech ona o tym powie, żebyście skumali.**

**Lex wypuścił dym, który poleciał jej prosto w twarz.**

**–Tak, niech mówi, co ma do powiedzenia. Gadaj, co wiesz, kościelna wiedźmo.**

**Czując na sobie ich spojrzenia, nie mogła zmiażdżyć go wzrokiem. Za bardzo by się wystawiła. Zamiast tego spojrzała na jakiś punkt tuż nad jego głową i szybko opowiedziała o tym, co się dzieje. Czego była pewna.**

**Nastąpiła cisza, przerywana jedynie okazjonalnym szuraniem nóg i trzaskiem zapalniczki Terrible'a.**

**–Taa... cholernie to pokręcone – stwierdził Bump, Mocniej chwycił laskę, stukając błyszczącymi pierścionkami. – No i co powiesz, biedroneczko? Myślisz, że teraz, jak już wiemy, czego szukamy, znajdziesz ich? Czego ci trzeba, żeby z tym skończyć?**

**–Mogę się ich pozbyć, kiedy już ich znajdziemy. Ale nie wiem, gdzie szukać.**

**–Wiemy, że tu ich nie ma. Na terenie Bumpa nie dzieje się nic, o czym Bump nie wie. – Tym ostatnim słowem towarzyszyło zadowolone spojrzenie, rzucone w stronę Slobaga. – Ale może Slobag nie może powiedzieć tego samego, co? Co ty na to, Slobag? Są po twojej stronie? Może warto się temu przyjrzeć. Może powinnaś tam pójść, biedroneczko. Trochę się rozejrzeć, zobaczyć, co uda ci się znaleźć.**

**Teraz chciał, żeby weszła między ludzi Slobaga i zaczęła szpiegować. Jasne. Czy on, do cholery, nie rozumiał, że miała prawdziwą pracę?**

**Kiwnęła głową. Będzie musiała z nim pogadać, jak tylko to głupie spotkanie się**

**skończy.**

**–Taa... No i wszystko gra. – Bump wstał. – Jak przyjdzie do was, biedroneczka, ma być bezpieczna, jasne? Może lepiej powiedzieć tu i ówdzie, że ją do was wysyłamy.**

**Slobag kiwnął głową i zerknął na Terrible'a. Bump się roześmiał, wydając z siebie oślizgły chichot, który osiadł na jej skórze.**

**–Nie martwcie się o Terrible'a. Chyba nie chcecie go teraz sprzątnąć, co?**

**Spotkanie dobiegło końca. Lex ponownie polizał jej palce i odjechał z ojcem. Chess nie patrzyła, jak odjeżdżają. Była zbyt zajęta zapalaniem papierosa, chowaniem się za filarem przed wiatrem, czymkolwiek, byleby tylko nie zaczynać rozmowy, która i tak ją czekała.**

**A raczej kilku rozmów. Najpierw Bump poinstruował ją, jakich informacji od niej oczekuje – robiła nawet notatki – i przypomniał, że wciąż czeka na włos Lexa.**

**A potem odjechał, zostawiając ją samą z Terrible'em.**

**Zaciągnęła się głęboko, żałując, że to tylko speed, a nie odwaga, i patrzyła, jak sięgnąwszy ręką do kieszeni, wyciągnął niewielki dyktafon, o którym nie miała pojęcia. Zerknął na nią, gdy go otwierał, wyjął czip i schował go do kieszeni.**

**–Wszystko gra, Chess?**

**–Tak, tylko... Więc to był Slobag.**

**Terrible wzruszył ramionami, ale czuła na sobie jego wzrok.**

**–Nic specjalnego, co?**

**–Nie, chyba nie. – Poczowała uderzenie speedu. Czuła się tak, jakby potarła zęby aluminiową folią.**

**–Chodź. Musimy się stąd wynieść. Muszę skoczyć w parę miejsc. Nie masz dziś roboty?**

**–Jest parę rzeczy, które powinnam zrobić. Ale... chcę z tobą chwilę pogadać. Jeśli nie masz nic przeciwko.**

**Co ona wyprawia? Zamierzał jej odpuścić! Zupełnie postradała zmysły?**

**Ale nie czuła się jak wariatka. Może była trochę oszołomiona, przez te dodatkowe cepty i trochę rozgadana, przez speed, który sparaliżował jej nos i gardło, Ale nie szalona.**

Była mu to winna. I chociaż wolałaby się ukryć i udawać, że nic się nie stało, tak nie było. A jego słowa sprawiły, że poczuła się na tyle silna, żeby dać mu coś w zamian.

Pomasował kark, zwlekał, a potem wsunął ręce do kieszeni, spuszczać przy tym wzrok.

–Nie musisz nic mówić, Chess. Wszystko gra, jasne? Przynajmniej z mojej strony.

–Ale, to nie... to znaczy, czuję, że...

Pokiwał głową, jakby chciał ją powstrzymać.

–Dobra. Kapuję, nie ma problemu. Do zobaczenia kiedyś tam. Idź już do samochodu.

–Nie, zaczekaj. Proszę.

Tak było łatwiej. Odwrócił się, żeby odejść. Mogła mówić do jego pleców. Słowa przychodziły jej o wiele łatwiej, gdy na nią nie patrzył. Gdy nie wiedziała, że za nieprzeniknionymi szklami okularów wbijał w nią wzrok, obserwując każdy jej ruch.

Zaschło jej w gardle. Sięgnęła po wodę, krztusząc się z pośpiechu.

–To nie jest... tak jak myślisz. Nie jest. To...

Cholera, to nie było łatwe. Jak powiedzieć komuś prawdę, gdy samemu nie było się pewnym, jaka ona jest? Gdy nigdy się czegoś takiego nie mówiło, nie w ten sposób? Ręce jej się trzęsły, gdy zakręcała butelkę z wodą.

–Tu nie chodzi o ciebie, to nie jest tak, że ja nie chcę... Chyba nie jestem na to gotowa. Nie byłabym w tym dobra.

Cholera, jej gardło i usta nie chciały normalnie funkcjonować. Za migdałkami poczuła olbrzymią gulę strachu, pokrytą warstwą speedu.

–Potrzebuję... trochę czasu. Jeśli nie masz nic przeciwko. To znaczy, nie oczekuję, że będziesz siedział i na mnie czekał. Ale nie chcę, żebyś myślał, że chodzi o ciebie, tego nie chcę... To nie tak. I nie chcę, żebyśmy przestali się spotykać. Chcę. Chcę, żebyśmy... Po prostu., potrzebuję trochę czasu.

Jej słowa zawisły w powietrzu tak długo, że Chess niemal słyszała grzechotanie śmierci, gdy umierały. Cholera, źle to rozegrała, co? Źle to powiedziała, nie wiedział, o co jej chodzi. Myślała, że będzie wiedział, że wyczyta wszystko między wierszami i zrozumie. Ale jeśli nie? Czy powinna jeszcze coś powiedzieć? Ale co?

Ale Terrible pokiwał głową.

**–Dobra, w porządku. Nie martw się.**

**Zimny uścisk na jej piersi nieco zelżał. Cały czas czuła panikę, która próbowała przebić się przez jej skórę i dostać się do środka, ale już nie tak silną, jak parę minut temu.**

**Oczywiście nie miała zielonego pojęcia, co teraz zrobią.**

**–Wracasz do siebie?**

**–Nie wiem. Chcesz wpaść? – powiedziała to, zanim zdążyła się zastanowić. Może to nie był najlepszy pomysł. Sami w jej mieszkaniu, na haju... Tak. To wcale nie był dobry pomysł.**

**–Chciałem iść do Trickstera. Ma grać jakaś nowa kapela, całkiem niezła. Chodź ze mną, jeśli chcesz.**

**Pokiwała głową i zrobiła parę kroków do przodu, podchodząc bliżej niego. Trickster był o wiele lepszym pomysłem. Już samo stanie u boku Terrible'a powodowało, że jej żołądek zaczął fikać koziołki. Z jakiegoś powodu nie mogła przestać gapić się na jego szyję. Skóra w tym miejscu była taka delikatna, taka wrażliwa, gdyby tylko musnęła ją ustami.**

**–Pojadę za tobą, zostawisz swój samochód, tak?**

**Kiedy szli, musnęła ramieniem jego rękę. Dotyk sprawił, że poczuła na ciele ciarki, które nie miały nic wspólnego z panującym wokół chłodem. Cholera, co ona zrobiła? I co miała teraz zrobić? Chyba właśnie popełniła wielki błąd. Jeśli ostatni tydzień czegokolwiek ją nauczył, to właśnie tego, że ona i związki to nie najlepsza mieszanka. Że dobrze robiła, będąc przez tyle czasu sama.**

**Ale samotność nie wydawała jej się już oazą spokoju. Była po prostu samotna. Wiedziała, że Terrible nie będzie jej do niczego zmuszał, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Nigdy by nic nie powiedział, gdyby go nie zmusiła. Pozwoliłby jej zdecydować, jaki ma być następny ruch i kiedy go wykona. A to, że była przy nim podniecona... Cóż, to nic nowego, prawda? Chociaż próbowała udawać, że jest inaczej.**

**Gdy dotarli do końca mostu, położył rękę na jej plecach i pomógł przejść przez żwir i luźne odłamki betonu. Jej krew jeszcze bardziej się rozgrzała. Cholera, musiała przestać o tym myśleć. Podniecenie było przekleństwem. Jak tylko je poczuła, nie chciało odejść, wlewając się w nią jak whisky. Wciąż była przerażona, ale chyba mogła go pocałować, co? Mogą być przyjaciółmi, którzy się całują, prawda?**

**Tylko jeden pocałunek. Chciała znowu poczuć jego dłonie, posmakować jego skóry.**



To nie musiało trwać długo. Chciała go tylko dotknąć. Być blisko niego. Mogła go pocałować, wsunąć ręce pod jego koszulę, dotknąć jego piersi. Trzymałby ją mocno w ramionach. Mogła pocałować go w szyję, przejechać po niej zębami, wbić się w nią, ugryźć, rozerwać ją na strzępy i poczuć na sobie jego krew, sięgnąć wyżej i wbić mu paznokcie w oczy, wyciągnąć je i...

Stłumiła okrzyk, gwałtownie się od niego odsunęła i upadła na lodowatą ziemię.

–Nie! Trzymaj się ode mnie z daleka! – Odtrąciła rękę, którą jej podał i przeczołgała się na drugą stronę chodnika. – Oni tu są, Terrible. Cholera, są tu! Czuję ich...

Zacisnął rękę na jej ramieniu, gwałtownie podciągnął ją na nogi i przycisnął do siebie. Zadrżała, z całej siły powstrzymując się przed tym, by nie wtulić się w jego klatkę piersiową, wdychając jego zapach jak kreskę speedu. Lepiej sięgnąć po nóż. Terrible już trzymał w dłoni pistolet. Uważnie wpatrywał się w drzewa widoczne na skraju drogi, w brzeg rzeki.

–Jak blisko? Mocno ich czujesz, czy są jeszcze daleko?

–Nie wiem. – Powietrze nagle wdarło się do jej płuc. Musiała pamiętać o tym, by oddychać. Czy to, co czuła, było erotyczną magią, czy zwykłym podnieceniem? Żądza krwi nie była jej, a była cholernie silna. Jak silna? Trudno powiedzieć. Była zbyt mocno związana z całą resztą, z pragnieniem przeszywającym jej ciało.

–Co mamy robić? Czekamy na nich? Może uda nam się ich złapać, co? Masz w sobie dość sił, bez tych twoich ziół i całej reszty?

Pokiwała głową, nie ufając swojemu głosowi.

–Zróbmy to.

Zacisnął rękę na jej ramieniu, a potem zwolnił uścisk. Wszystko działo się tak szybko, że mogłaby przysiąc, że to tylko jej wyobraźnia, gdyby nie była tak wyczulona. Ruszyli przed siebie, odwrócenie do siebie plecami, mniej więcej w tej samej pozycji, w której szła z Lexem wtedy w krematorium. Czekali. Obserwowali. Nad brzegiem słychać było szum rzeki, który przypominał cichy szmer. Wiatr poruszał gałęziami drzew, potęgując szum, a na tym tle słyszała własny oddech i pulsowanie krwi w uszach. Zesztywniała, czekając, aż magia zrobi się silniejsza. Czekala na Vanitę i jej Towarzysza.

Mijały kolejne minuty. Jej mięśnie zaczęły trzeszczeć od napięcia. Wśród drzew poruszały się cienie, tworząc tajemnicze kształty. Wstrzymywała oddech, ale gdy próbowała skupić na nich wzrok, znikaly.

Nic, Niczego tam nie było, energia słabła. Na początku myślała, że to tylko jej

wyobraźnia, jej pobożne życzenie, ale nie. Moc na pewno słabła.

Terrible uspokoił się, gdy i ona się uspokoiła. Czy on też wyczuł energię?

–Nie przyjdą, co? Myślisz, że nas widzieli?

–Chyba tak.

Przechylił głowę.

–Jakbyś miała w sobie jakiś alarm. Nie mogą cię za skoczyć, co?

–Chyba nie.

Dopiero w samochodzie, widząc w tylnym lusterku przednie światła chevelle'a, zaczęła się zastanawiać, czy to na pewno było dobre. Jeśli nie mogli jej zaskoczyć, a zdecydowanie chcieli się jej pozbyć...

Co zrobią następnym razem?

## ROZDZIAŁ 22

Lex był zdenerwowany, markotny i zmęczony. I nie był w nastroju, by ją pocieszać. Tak naprawdę nigdy tego nie robił. To nie była najmocniejsza strona ich związku, opartego raczej na żartach i, trzeba przyznać, świetnym seksie. Więc dlaczego nie marzyła w tej chwili o niczym innym, tylko o tym, by wrócić do jego mieszkania i zakopać się w pościeli? I szukać oparcia... czegokolwiek, czego i tak nie było? To tak, jakby szukała złota na wysypisku śmieci. I jeśli to porównanie nie było w stanie jej przekonać, to już sama nie wiedziała, co mogło.

Będzie musiała to skończyć. Zawsze wiedziała, że kiedyś nadejdzie koniec, ale teraz, po tym wszystkim, co się stało i decyzji, którą podjęła... Tak, będzie musiała z nim skończyć. Wkrótce.

–Dziś jest za zimno – powiedział, ściskając brzegi skórzanej kurtki, by osłonić się przed wiatrem. Znaki, które narysowała mu na czole i szyi, zanim weszli do środka, poruszały się na jego twarzy jak cienie.

–Mógłbyś się zapiąć, wiesz?

–Coś ty, wyglądałbym jak pinda.

Przewróciła oczami.

–Tak, wyglądasz o wiele lepiej, gdy ją tak ściskasz. Poza tym nikt nas nie widzi. Tu nikogo nie ma.

To akurat była prawda. Z akt Remingtona Chess skopiowała adres starego cmentarza, na którym została pochowana Vanita. Numery grobu i rzędu widniały czarno na białym na kartce w jej notesie. By wejść do środka, użyła swojego głównego klucza, otwierając bramę za pomocą symboli ochronnych i znaków ostrzegawczych. Mieszkańcom nie wolno było wchodzić na teren cmentarza. Żadnego cmentarza. Wzięła ze sobą Lexa, ponieważ Cmentarz Dwudziesty Trzeci, niegdyś zwany Cmentarzem Oak Hill, znajdował się na terenie Slobaga. Poza tym chciała mieć towarzystwo. Banicja duchów to jej praca. Co wcale nie znaczyło, że się nie bała.

Poza tym atmosfera panująca na Cmentarzu Dwudziestym Trzecim wcale jej nie uspokajała. Połamane nagrobki wały się na zmarzniętej, przekopanej ziemi. Na grobach i między zarośniętymi rzędami wiła się martwa roślinność. Sztywne, nagie gałęzie przypominały patykowate ręce wyciągnięte, by ją pochwycić. Jakby próbowały pociągnąć ją w dół i wessać pod ziemię.

Zgarbiła się, żeby ukryć zdenerwowanie i szła dalej. Vanita została pochowana

niemal na samym środku, na miejscu piętnastym, rząd trzydziesty ósmy. Jeśli nie pomyliła się z liczeniem, znajdowali się właśnie w rzędzie trzydziestym pierwszym. Gdyby musiała, odgarnęłaby martwe gałęzie porastające numery rzędów i sprawdziła. Gdyby musiała. Ale nie chciała. Nie chciała niczego dotykać i na pewno nie chciała spacerować tu nocą.

–Daleko jeszcze? – Lex chuchał w dłonie.

–Nie, jeszcze tylko kilka rzędów.

–Strasznie tu. Nie rozumiem, jak możesz to robić, tulipanku.

–Zazwyczaj robię to w ciągu dnia, żeby zebrać ziemię. I zazwyczaj cmentarze są lepiej utrzymane. Kościół ścina trawę i w ogóle.

Ale Cmentarz Dwudziesty Trzeci znajdował się w Dolnej Dzielnicy i, jak wszystko wokół, był zaniedbany, zniszczony i brudny.

Tak jak ona.

–To dlaczego ten nie jest?

Wzruszyła ramionami.

–Może gość, który powinien się tym zajmować, olał robotę. Nie wiem. To nie moja działka. Nie mam pojęcia, jak to jest zorganizowane.

Tatuaże pod jej płaszczem i swetrem zaczęły mrowić, a skóra zaczęła się rozgrzewać. Nic dziwnego. Na cmentarzu były resztki energii, uwięzionej przez skomplikowane urządzenia, które znajdowały się w ogrodzeniu, oraz przez symbole i runy namalowane na nim. Nikomu nie wolno było mieszkać w promieniu trzydziestu metrów od cmentarza, ale Kościół i tak nie zaniedbywał swoich obowiązków. Głównym powodem jego istnienia było panowanie nad duchami i zapewnienie ludziom, którzy znajdowali się pod jego pieczęcią i opieką, mapy czy kodeksu moralnego, który wskazywałby, jak powinni żyć, by mieć pewność, że kiedyś sami trafią do Miasta. Że nie skończą w więzieniu dla duchów albo w jeszcze gorszym miejscu.

Ale to nie... Zatrzymała się. Serce zaczęło jej szybciej bić i to nie tylko z powodu nagromadzonej tu energii. Wokół unosiła się erotyczna magia, która pełzała po jej kręgosłupie, żebrach i piersiach, sunąc w dół do dżinsów. Vanita i jej Towarzysz. Zdaje się, że dotarła na miejsce i cholernie trudno będzie jej się przed tym uchronić.

–Lex.

**–Co?**

**–Chyba powinieneś poczekać tutaj. Tu jest jakaś magia. Nie sądzę, byś chciał...**

**–Daj spokój, tulipanku, wiesz, że nigdy nie czuję tego gówna, no nie? Nic mi nie będzie, nie martw się.**

**–Nie, ja... – Nie chodziło o niego. Chodziło o nią.**

**Erotyczna magia, by wskrzesić Vanitę. Żeby ją wzmocnić, do diabła, by ją osiąść. Wszystko skupione tutaj. A teraz znalazła się w pułapce. Czuła, jak lepkie palce zaciskają się wokół niej, wbijają się w nią, i nie mogła od tego uciec. Nie, jeśli chciała to skończyć.**

**–Chyba powinieneś tu zostać.**

**–Mówisz, że to jakaś magia, przy której nic nie pomogę?**

**–N... tak. Blokujesz energię. Zostań tutaj, dobrze? Miej na mnie oko.**

**„Tutaj” okazało się na wpół zgniłym pniakiem, obok ruin mauzoleum. Kiedyś musiało to być piękne miejsce, to znaczy mauzoleum, nie przewrócone drzewo, chociaż ono pewnie też miało swój urok. Na szczycie budynku znajdował się anioł, który nie został zniszczony w trakcie Nawiedzonego Tygodnia. Większość cmentarnych rzeźb była nienaruszona, ponieważ ludzie bali się wtedy wchodzić na cmentarze, a gdy Kościół przejął władzę, wszystkie pozamykał.**

**Chess widziała już obrazy aniołów. W Archiwum było ich mnóstwo. Ale w tym było coś szczególnego – kamienna głowa, schylona pod ciężarem ogromnego smutku, na wpół rozłożone skrzydła, złożone ręce. Poczwała w piersi lekki ból. Było tak spokojnie. Jak to jest mieć w sobie taką wiarę? I wierzyć, że śmierć przynosi coś dobrego, spokój i pojednanie z czymś, co jest od nas potężniejsze?**

**Oczywiście większość ludzi i teraz tak myślała. Miasto nikogo nie przerażało. Tylko Chess. Ludzie chyba lubili wiedzieć, że będą żyć dalej.**

**Ale symbole starej religii były takie piękne, takie majestatyczne, przepelnione mocą i wdziękiem. Ktoś kiedyś umieścił tu anioła, ponieważ naprawdę w niego wierzył. Wyciągnęła rękę i dotknęła lodowatych kamieni rozpadającego się budynku. Był tak stary, że poczuła jego vibracje. Pełen mocy, jak ziemia pod jej stopami...**

**Właśnie. Jak ziemia. Czas się ruszyć. Co ona wyprawia, stoi i gapi się na jakąś rzeźbę?**

**–Wszystko gra, tulipanku? Wyglądasz jakoś blado. Chcesz, żebym wykopał ziemię?**

**–Nic mi nie jest. – Nic, z czym nie poradziłoby sobie kilka dodatkowych ceptów albo... Miała przy sobie pandę, fajny środek uspokajający, trochę silniejszy od ceptów. Nie chciała przecież spać, a jedynie zachować jasny umysł, dopóki nie skończy tego, co ma zrobić. Zmusiła się, by rozgryźć pigułkę. Im szybciej znajdzie się w krwiobiegu, tym lepiej, szczególnie że ta cholerna magia przyspieszyła jej puls.**  
**– Zresztą, nie możesz. Sama muszę to zrobić. Muszę odprawić rytuał. Zaczekaj tu.**

**Grób Vanity znajdował się w połowie alejki, dokładnie tam, gdzie powinien być. Chess uważnie przyjrzała się brązowym igielkom trawy, które go pokrywały, ale nie znalazła nic niepokojącego. Dobrze.**

**Z nagrobka nie spoglądały żadne anioły. Była tylko zwyczajna tablica ustawiona na ziemi, porośnięta suchym bluszczem. Chess obeszła grób, żeby odgarnąć rośliny i upewnić się, że jest we właściwym miejscu. Była. „Vanita Tailor”.**

**–*Aklamadii paratium revatska* – wyszeptała, wchodząc na grób.**

**Erotyczna energia buchnęła na jej nogi, wypełniając każdą wolną przestrzeń, wślizgując się do środka, na nią. Miała zbyt wiele pustych miejsc. Wszystko było puste. Pochłonęła ją.**

**Gdy uklękła, na jej czole pojawiły się kropelki potu. Tatuaze zaczęły ją łaskotać i piec. Czuła się tak, jakby znaki na jej czole i szyi zostały wyskrobane zużyta zapalką.**

**Zamarznięta ziemia stawiała opór i kopanie szło opornie. Tym bardziej że chociaż czuła już działanie pandy, a jej mięśnie nieco się rozluźniły, to nie wystarczało. Czuła na skórze ciarki, krew jej się zagotowała i cała była zlane potem. W tym tempie będzie tu siedzieć do rana. Cholera.**

**Ziemię cmentarną najłatwiej było wykopać na głębokości pół metra, nikt nie wiedział dlaczego. Nie była pewna, czy jej się uda. Z każdym kolejnym mizernym uderzeniem łopaty moc robiła się silniejsza. Z każdym kolejnym uderzeniem czuła coraz większe mrowienie w mięśniach, nie mogła usiedzieć w miejscu i coraz wyraźniej zdawała sobie sprawę z obecności Lexa, który siedział zaledwie parę metrów dalej, nagi pod swoim ubraniem. Nieważne, że spociała się jak mysz, że włosy przykleiły jej się do głowy i zaschło jej w ustach. Kimkolwiek był Towarzysz Vanity, był naprawdę niezły. Silny.**

**–*Shaska leptika antida*.**

**A teraz czas na zabawę. Jeśli ktoś to lubił. Grzebała palcami w ziemi, zgarniając ją do plastikowej torebki, którą wzięła ze sobą. Cząsteczki brudu wchodziły jej pod paznokcie, wbijały się w zagłębienia dłoni. Ziemia była lodowata, zamarznięta, ale na jej rozgrzanej skórze wydawała się przyjemna.**

**Torebka zaczęła się napełniać. Uniosła nad nią dłoń i sięgnęła po nóż.**

**–*Asteru antida*, krwią nadaję ci moc. Krwią cię wiążę.**

**Wciągnęła powietrze w płuca, mocniej, głębiej, aż poczuła się tak, jakby miała wybuchnąć. Wstrzymała oddech, skupiając się na życiu i mocy, które płynęły w jej żyłach. Próbowwała nie zwracać uwagi na pelzającą wokół energię, która doprowadzała ją do szaleństwa.**

**–Krwia cię wiążę – powtórzyła i przecięła lewą dłoń.**

**Jej krew spłynęła na ziemię. Energia zareagowała tak gwałtownie, że Chess aż zważyło z nóg. Poczowała tak silne podniecenie, że musiała zdławić okrzyk. Przynajmniej tak jej się wydawało. Myślała, że udało jej się zachować spokój, dopóki nie zobaczyła przed sobą twarzy Lexa. Była zbyt pochłonięta, by z tym walczyć.**

**Chwyciła go za kark i przyciągnęła do siebie jego twarz.**

**Zawahał się, próbował się odsunąć, ale chwyciła go jeszcze mocniej. Teraz. Teraz, teraz, teraz... Nie przerywając pocałunku, zmieniła pozycję, unosząc się na kolana, żeby móc się w niego wczepić.**

**Jego samochód stał zaparkowany przy bramie, ale wyjście z cmentarza zajęłoby im co najmniej pięć minut. Za daleko. Za daleko, żeby iść. Powietrze było lodowate, ale jej krew była tak rozgrzana, że nie miało to dla niej znaczenia.**

**–Tulipanku, co to ma być?**

**–Zdejmuj spodnie.**

**–Samochód jest niedaleko, możemy...**

**–Nie. – Mimo niewygody, przesunęła czystą rękę i go ścisnęła. Mocno.**

**Dotknął jej pośladków, wsunął ręce między jej nogi, pogłaskał jej udo, a ona westchnęła i jeszcze mocniej się w niego wczepiła.**

**–Jest cholernie zimno, tulipanku. – Ale wiedziała, że nie odmówi. Ledwo zdołał to wykrztusić i z każdą kolejną sekundą nabrzmiewał w jej dłoni. Świetnie, bo energia cały czas rosła. Do diabła, dlatego właśnie unikała magii erotycznej. Nie mogła złapać tchu. Wcale nie miała szczególnej ochoty robić tego tutaj, na mrozie, na cmentarzu, na miłość boską. Ale jeśli on zaraz nie zdejmie tych spodni, chyba wybuchnie. – Tamtej nocy mówiłaś coś innego. – Jego szyja była ciepła, ugryzła go, przesunęła rękę.**

Włożył dłoń pod jej bluzkę, unosząc jej płaszcz i odsłaniając na mrozie niewielki skrawek brzucha. Prawie tego nie zauważyła. Wsunął jej palce pod stanik i pieścił sutki. Zaczęła jęczeć.

–Nie wiem, co w ciebie wstąpiło. – Jego oddech uderzył ją w szyję i delikatne zagłębienie pod obojczykiem przeszywając jej ciało dreszczem. – Dwa dni temu wpadasz i rzucasz się na mnie, a teraz to...

–Narzekasz?

–Do diabła, nie.

Odnalazła guzik jego dżinsów. Rozpięła go i sięgnęła do własnych spodni.

–To dobrze. Daj spokój, nie jest aż tak zimno.

–Tamtej nocy mówiłaś coś innego, tulipanku – wymruczał, przesuając dłoń z jej piersi i wsuwając ją do majtek. Odchyliła głowę, by mógł całować ją w szyję. Przeturlali się na dywan z martwych liści, na ziemię, która powinna być twardsza, niż była. I byłaby, gdyby nie była tak blisko, by wybuchnąć.

I wtedy, gdy zaczęła ściągać mu spodnie, a jego palce zaczęły się energicznie poruszać, usłyszała niski, zdławiony dźwięk poprzez szum własnej krwi i jęki, które oboje wydawali. Odchyliła głowę, widząc wszystko do góry nogami, próbując zidentyfikować źródło odgłosu i napotkała wzrok Terrible'a.

Zamarła jak zwierzę uwięzione w pułapce. Czuła się tak, jakby serce miało wyskoczyć jej z piersi. Co... O cholera! Jak długo tam stał? Dlaczego tu był, skąd wiedział...

Jasne. Już wiedziała. Wcale nie musiał jej tego mówić. Wiedziała i to zanim ta myśl zdążyła się na dobre uformować w jej głowie. Ktoś do niego zadzwonił. Ktoś, kto nie podał imienia. Albo dostał jakąś wiadomość. Nie mogli się do niej zbliżyć, czuła ich, więc znaleźli inny sposób, by się jej pozbyć.

Mamy cię.



## ROZDZIAŁ 23

Gwałtownie odsunęła się od Lexa. Przeturlała się na prawy bok i skoczyła na równe nogi. Martwe liście i źdźbła trawy przyczepiły się do jej płaszcza, wplątały we włosy. Dżinsy miała rozpięte. Zanim je zapięła, minęło mnóstwo czasu. Wzrok Terrible'a wiercił w niej dwie dziury. Cholera, co on sobie myślał? Był wściekły? Co za idiotyczne pytanie. Oczywiście, że był. Czowała na sobie jego gniew.

Górny guzik wreszcie wskoczył na swoje miejsce i spojrzała w górę. Prosto w jego oczy.

A raczej tam, gdzie powinny być jego oczy. Widziała jedynie czarne dziury, głębokie i puste. Wydawał się jeszcze większy, na tyle wielki, że wypełniał sobą groby, ogrodzenie. Na tyle wielki, by wypełnić sobą cały świat.

– „Tamtej nocy”? – zapytał głosem tak niskim, że raczej poczuła wibrację jego słów, niż je usłyszała. – „Tamtej nocy mówiłaś coś innego, tulipanku”?

Otworzyła usta. Ale nic nie powiedziała. Przez chwilę zobaczyła siebie taką, jaka była, zaróżowioną, potarganą. Brudną. Oślizgłą.

–Od kiedy, Chess?

–Terrible... – Cholera, zaczynała płakać?

Lex ruszył w ich stronę, oświetlony kremowo – perłowym blaskiem księżyca i stanął między nimi.

–Daj spokój, Terrible, nie musisz się tak...

Tamten skoczył do przodu. Przez ułamek sekundy jego pięść zabłysła w świetle, odbijając się w jej oczach jak negatyw fotografii, a potem ze świstem opadła w dół. Uderzenie trafiło Lexa w policzek. Usłyszała głuchy odgłos, gdy ciało uderzyło o ciało, a potem trzask. Lex runął na ziemię jak odcięty ze stryczka wisielec.

–Od czasu Chester, tak? – Jego zachrypnięty głos robił się coraz szybszy. – Tulipanku? Od...

Rzuciła się do przodu, zanim zdążyła się zastanowić nad tym, co robi. Zanim zobaczyła, jak unosi nogę. Gdyby mógł, gdyby go nie powstrzymała, zabiłby Lexa. Zabiłby go tu i teraz. Słyszała to w jego głosie.

Udało się, ale nie tak jak myślała. Gdy tylko go dotknęła, odskoczył. Tak bardzo chciał od niej uciec, że prawie się przewrócił. Nie chciał jej dotyku. Zacisnął pięści, a

jego ramiona poruszały się mechanicznie, odtrącając jej ręce. Nie mogła tego powstrzymać.

Chciał ją uderzyć. Widziała to w jego oczach, w szybkim oddechu. I wiedziała, że ledwo się powstrzymał. Po raz pierwszy od kilku miesięcy strach ścisnął jej gardło, a w piersi poczuła lodowaty chłód. Bała się jego i tego, co mógł jej zrobić. Krzywdzenie faceta, który rozwiązywał wszystkie swoje problemy przemocą, nie było najlepszym pomysłem. Jego kontrola rozciągnęła się do granic wytrzymałości. Czowała to w powietrzu wokół nich.

Nie musiała pytać, jak powiązał „tulipanka” z Chester. Lex zostawił jej któregoś dnia karteczkę, rysunek małego tulipana. Terrible go widział. O nic nie pytał nie skomentował, ale powinna się domyślić, że będzie o tym pamiętał.

–Terrible – zaczęła znowu, ale pokręcił głową. Cofnął się, potknął o nagrobek, ale zaraz się wyprostował. – Terrible, proszę cię, posłuchaj. Proszę. – Nagle poczuła na dłoni coś ciepłego i zdała sobie sprawę, że to łza. – To nie jest... Wiem, jak to wygląda, ale nie chciałam...

–Dwa dni temu. Powiedział: dwa dni temu, tak? Dwa dni temu się z nim widziałaś? Tej nocy, kiedy ja... Poszłaś do...

Ogarnął ją wstyd. Słyszał to... Wszystko słyszał. Wszystko widział i wiedział, co zrobiła. Niemal żałowała, że jej nie uderzył i nie skończył z tym raz na zawsze. Może gdyby ją uderzył, poczułby się lepiej. Może i ona poczułaby się lepiej.

–Cztery miesiące – wykrztusił. Jego wściekły głos ranił jej skórę. – Cholernie długo, Chess. A ty mi mówisz, że potrzebujesz czasu.

–Ale to nie jest tak... Nie zależy mi na nim, nawet go nie lubię...

–Masz niezły sposób, żeby to okazać, co? Dlaczego... Och! Nie, nie chcesz chyba... – Uniósł rękę, zakrył usta, a potem potarł kark. – Ostatnio nie kupujesz już tak dużo od Bumpa. Od czasu Chester. Myśleliśmy, że się ograniczasz, ale tamtej nocy nie wyglądałaś, jakbyś się ograniczała, co?

Nic nie powiedziała. Nie mogła. Cała się trzęsa. Objęła się rękoma, chcąc się uspokoić, ale to nic nie dało. Wiedziała, co myślał. Wiedziała, co zaraz powie.

–Pieprzysz się z nim dla prochów? Jesteś jakąś cholerną wtyczką czy kimś takim i pieprzysz go dla prochów? Zrobił z ciebie...

Rzucił się na nieruchomą postać Lexa. Chess skoczyła, złapała go i owinęła ręce wokół jego szyi i piersi.

**Czuła się tak, jakby próbowała walczyć z budynkiem. Biło od niego ciepło, chciała się w niego wtulić i udawać że to wszystko się nie wydarzyło. Błagać go, żeby ją brał do domu i o wszystkim zapomniał. Już się tego nie bała, nie teraz, gdy miała stracić wszystko. Była głupia że w ogóle się bała. Co było z nią nie tak?**

**Waliła go pięścią w kurtkę i przycisnęła twarz do jego klatki piersiowej. Nie dotknął jej, stał nieruchomo, napinając dąło.**

**–To nie tak... – wykrztusiła. – Nie jestem... To nie tak. Nie jestem dziwką. Nie jestem. To nie... Proszę, proszę...**

**Nie dała rady skończyć. Za bardzo płakała, żeby mu to wytłumaczyć. Nie mogła się zdobyć nawet na to, by skłamać. Nie, nie pieprzyła się z Lexem dla prochów. Formalnie nie.**

**Ale prochy były zapłatą za jej fałszywą lojalność, prawda? Za jej zdradę. I cały czas się z nim widywała, spędzała z nim noc, ponieważ dawał jej towar. Nie był to może jedyny powód, ale jeden z wielu. Miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Przysięgała sobie, że nigdy czegoś takiego nie zrobi. Mówiła sobie, że ma dla siebie zbyt wiele szacunku, i proszę. Zrobiła to. I nawet nie zauważyła kiedy. Odnalazł jej dłonie i zaskakująco delikatnie wyplątał je ze swojej kurtki. Odsunął ją od siebie, wpatrując się w ziemię. Nawet nie chciał na nią spojrzeć. Była mu za to wdzięczna. Nie chciała, żeby widział ją w tym stanie.**

**–Nie – powiedział. – Nie, Chess. Nie jesteś dziwką. Dziwki są uczciwe.**

**Odwrócił się i odszedł. Patrzyła, jak przeskakuje przez ogrodzenie. Przez chwilę jego szerokie plecy zatrzymały się w górze, po czym opadły na drugą stronę, zostawiając za sobą ciemność.**

**Zimny prysznic, który wzięła dwie godziny później, sparaliżował jej ciało na tyle, że była gotowa spod niego wyjść. Nie zawracała sobie głowy ręcznikiem, zostawiając na podłodze mokre ślady, gdy weszła do salonu po pudełko z pigułkami.**

**Miała tam oozera. To mogło pomóc. I jeszcze jedną pandę, chociaż ta, którą wzięła na cmentarzu, za bardzo jej nie pomogła. Ale jeśli je wszystkie połączy, może to wystarczy, żeby pozbyć się wspomnień i na chwilę odzyskać spokój.**

**„Od kiedy, Chess?”**

**Oczywiście był jeszcze samotny valtruin. To by załatwiło sprawę. Ale mógł ją za bardzo rozweselić i sprawić, że robi coś głupiego. Na przykład zacząć go szukać. A to byłby błąd. Wcześniej zdołał się powstrzymać, ale teraz? Po paru godzinach przemyśleń, po tym, jak powiedział Bumpowi? Poczwała, jak ogarnia ją chłód. Biedny Lex, jego twarz straszliwie spuchła, zanim odwiozła go do domu.**

Nie chciała go szukać, o nie. Nie chciała też siedzieć w domu i czekać, aż się zjawi. Wyblakłe ściany w kolorze kości słoniowej zdawały się oddychać wokół niej i z każdym kolejnym oddechem coraz bardziej się zacieśniały. Książki wpatrywały się w nią oskarżycielsko. Nie mogła tu zostać. Nie chciała.

Ale nie miała dokąd pójść. Przez głowę przemknęła jej wizja palarni. Tego właśnie potrzebowała. Zejść po obskurnych schodach i znaleźć się w ciemnym pomieszczeniu z wysokim sufitem, pełnym sof. Chciała zająć jedną z nich i przyssać się do fajki, aż zapomni, jak się nazywa.

Ale nie mogła. Bump mógłby się dowiedzieć, dokąd poszła. Terrible mógł tam być, robiąc obchód albo szukając ludzi, którzy wisieli mu forszę. I nie mogła pójść do Slobaga. Na samą myśl, że miałyby się zbliżyć do tamtej części miasta, poczuta mdłości. Żadnych fajek. Nie dzisiaj. Może nawet przez kilka tygodni.

Zadzwonił telefon. Patrzyła na niego, jakby na kanapie siedział zabójca z nożem. Może Lex? Terrible?

Merritt Hale.

–Może miałabyś ochotę na drinka? Wiem, że jest późno, ale właśnie skończyłem swoją zmianę, więc.

–Tak – powiedziała, mając nadzieję, że nie słyszał w jej głosie desperacji. Tego właśnie potrzebowała wyjść. Wyjść z mieszkania, zostawić za sobą myśli, otoczyć się ludźmi. – Gdzie? Spotkamy się na miejscu.

Powiedział jej. Jakiś bar w Północnej Dzielnicy, dwadzieścia minut drogi od niej, ale wystarczająco daleko od Dolnej, żeby nie musiała się martwić. Idealnie.

Wysuszyła włosy, zarzuciła na siebie czyste ubranie i umalowała się, żeby zakryć zaczerwienione oczy i plamy na skórze.

To wszystko można było ukryć. Ale to, co było w środku...

„Dziwki są uczciwe”.

Sięgnęła po kluczyki i zatrzasnęła za sobą drzwi, modląc się, by pigułki zaczęły szybciej działać. Żałowała, że nie może zatrzasnąć drzwi, zamykając za sobą całą dzisiejszą noc, i zacząć wszystkiego od nowa. Albo jeszcze lepiej, zatrzasnąć drzwi, zamykając za sobą całe życie.

A tak... Będzie musiała się upić. Szkoda, że miała wrażenie, że to nie wystarczy.

To był jeden z tych sieciowych barów dla klasy średniej, ze starannie przemyślanym wystrojem, który miał wyglądać „rustykalnie”. Stara Księga Prawdy leżała pod szklanym blatem i miała sprawiać wrażenie, że miejsce istnieje od czasów Przed Prawdą. Nie istniało. Chess niemal wyczuła świeży pył budowlany, gdy przekroczyła próg.

Co Merritt robił w takim miejscu? Pod warstwą nowości unosił się tu zapach bankowości inwestycyjnej i snobizmu. Nienawidziła tego. To nie było miejsce dla niej. A muzyka dochodząca z głośników wcale nie ułatwiała sprawy. Jakaś mieszanka łatwo wpadającego w ucho gówna, które sprawiało, że włosy na karku stanęły jej dęba.

Ale przynajmniej skóra na barowych stołkach nie była porwana ani szorstka, a w ofercie mieli kilka rodzajów piwa, co stanowiło miłą odmianę w porównaniu z większością miejsc w Dolnej Dzielnicy. Zamówiła piwo i wódkę, mówiąc barmanowi, żeby cały czas pilnował, by szkło było pełne. Miała zamiar utopić ten cholerny głos w głowie, nawet jeśli będzie to ostatnia rzecz, jaką kiedykolwiek zrobi.

Może tak właśnie będzie. Czy to nie miła myśl?

–Wszystko w porządku, Chess? – Merritt sączył swojego drinka, który wyglądał jak whisky z imbirem. Zmarszczył brwi.

–Świetnie. – Wychyliła trzeci kieliszek i odwróciła go do góry dnem. – Dlaczego?

–Tak tylko pytam.

–Czuję się świetnie – powtórzyła. „Dziwki są uczciwe”. Cholera! Jeszcze za mało wypła.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Sytuacja mogła wydawać się niezręczna, gdyby w ogóle się tym przejmowała.

–Jak idzie sprawa? Jesteś gotowa, by przegonić duchy?

Gdzie był ten cholerny barman?

–Chess?

–Co? A sprawa. Tak, jeszcze nad tym pracuję. – Zerknęła na niego. Siedział obok niej, pocierając szklankę. Będzie musiała udawać, że wciąż nad tym pracuje, może nawet zadać mu jakieś pytania, a nie siedzieć i topić smutki w alkoholu. – A ty coś widziałeś? Jakies duchy? Jak myślisz, co się dzieje?

–Niczego nie widziałem. Ale Pyle’owie powoli zaczynają wariować. Mam nadzieję, że

wkrótce wszystko się wyjaśni. Bo jeśli zdecydują się wrócić, będę musiał uprzedzić właściciela mieszkania, że wyjeżdżam.

–Chcesz z nimi zostać?

–Jasne. Czasami jeżdżę z nimi do Hollywood i to jest naprawdę super. Chciałbym tam mieszkać.

Pokiwała głową. W tej chwili wyjazd z Triumph City wydawał jej się doskonałym pomysłem.

–Jak często odwiedza ich Oliver Fletcher? Co o nim myślisz?

Zmrużył oczy.

–Dlaczego pytasz?

–Hej, ty to zacząłeś.

–Ale nic nie mówiłem o Fletcherze.

–Nie, ale to ich przyjaciel, prawda? Nie chcesz mówić, to nie mów. Pomyślałam tylko, że skoro sam zacząłeś, to może będziesz chciał mi trochę pomóc. Może coś mi o nim powiesz.

–To dobry człowiek, Chess. Oni wszyscy są dobrymi ludźmi. Nie są oszustami ani złodziejami. Wiem, że to twoja praca, ale naprawdę uważam, że powinnaś rozpocząć procedurę banicyjną czy co tam robisz i zostawić ich w spokoju.

–Chciałeś się napić czy zrobić mi wykład?

–Może jedno i drugie.

Przewróciła oczami.

–Znam się na tym, Merritt. Wiem, co robię.

–Nie wątpię. Ale chciałbym, żeby to się już wyjaśniło. Ta sprawa doprowadza Arden do szaleństwa. Dzieciak i tak ma wystarczająco dużo problemów na głowie.

Arden... Widziała ją, prawda? Wspomnienie było nieco zamglone, przesłonięte silniejszą wizją bólu i rozpacz, ale była niemal pewna. Arden wymiotowała, widziała jej bladą, pełną skruchy twarz. Na szyi miała malinkę albo coś takiego.

–Na przykład jakich?

Zaczął się wiercić i zmarszczył brwi. Sięgnęła po papierosy i zaproponowała mu jednego, w nadziei że to go nieco rozluźni.

Wziął papierosa.

–Po pierwsze, nie chciała się tu przeprowadzać. Cały czas chodzi i zrzędzi. I chyba nie najlepiej rozumieją się z matką. Widziałaś Kym. Niełatwo być pulchnym dzieciakiem i cały czas mieć przed oczami coś takiego. To jest... Cholera, popatrz, jaki wielki gość.

–Co? Gdzie? – Chess tak szybko się odwróciła, że niemal straciła równowagę. Jak ją odnalazł? Śledził ją?

Merritt dziwnie jej się przyglądał.

–Tam, przy łazience.

–Co... Och! – To nie był Terrible. Wcale nie był taki duży. Terrible wypełniał sobą całe pomieszczenie, a jego obecność powodowała, że wszyscy inni chowali się po kątach. Mężczyzna, którego wskazał Merritt, był zwyczajnym facetem.

Barman w końcu postawił przed nią kolejną lufę. Wychyliła kieliszek i gestem zamówiła następny.

–Hej, może chcesz stąd wyjść?

–Co? – Gardło ją piekło, ale chyba wreszcie się udało. Nasłuchiwała w głowie głosu Terrible'a, ale niczego nie usłyszała. Nie czuła też rąk ani nóg, ale w końcu w życiu zawsze jest coś za coś, prawda?

–Chcesz stąd wyjść? Mieszkam niedaleko. Moglibyśmy spokojnie porozmawiać. Chciałbym... Chciałbym pogadać o sprawie. To znaczy o Pyle'ach.

Hm. Nie chciał o tym rozmawiać w miejscu publicznym? To mogło być interesujące, ale i tak nie miało znaczenia. To znaczy będzie interesujące, o ile uda jej się nie zasnąć. Była wystarczająco pijana, żeby nie myśleć o Terrible'u, ale za chwilę mogła też być na tyle pijana, by nie myśleć o niczym. I chociaż była to przyjemna myśl, siedziała w knajpie, nie u siebie, gdzie mogłaby po prostu stracić przytomność.

–Jasne. Zaczekaj chwilę. Pójdę do łazienki.

Łazienka była większa i ładniejsza, niż Chess się spodziewała, ale nie zwracała na to uwagi. Jedną ścianę pokrywało lustro, a ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili potrzebowała, był widok własnej twarzy.

Ruszyła do kabiny i przygotowała sobie grubą kreskę na pojemniku z papierem toaletowym. Powinno wystarczyć. Na tyle, żeby czuć przyjemne otępienie, ale i pobudzenie, żeby mogła robić notatki.

Twarz miała zdrętwiałą, ale i tak poczuła kopnięcie speedu. Dobrze. A nawet lepiej niż dobrze. Jej ślimaczące się serce przyspieszyło, a świat zaczął błyszczeć, wprowadzie tylko trochę, ale to wystarczyło, by przegonić z jej głowy smutek.

Przynajmniej na chwilę.

\*\*\*

Jego mieszkanie było większe, niż się spodziewała, ładniejsze – z czystą, pustą kuchnią i pasującymi do siebie meblami. Praca dla Pyle'ów była chyba lepiej opłacana, niż Chess myślała.

Posadził ją na kanapie i przyniósł piwo. Czekala, aż pokój przestanie wirować. Cholera, była naprawdę pijana. Totalnie. Tak, że jej skóra wydawała się zrobiona z gumy, a kończyny ciężkie jak z ołowiu.

–Myślę, że to Kym – oznajmił, całkowicie zbijając ją z tropu.

–Kym Pyle? Sfingowała nawiedzenie?

–Jeżeli ktokolwiek to zrobił, a wcale nie jestem o tym przekonany, to mogła być właśnie Kym. – Sączył piwo. – Nienawidzi tego miejsca. Chce wrócić do Hollywood i cały czas narzeka.

–Ale przecież ktoś ją skrzywdził. – Powiedziała to, zanim zdążyła się nad tym zastanowić. Kym została ranna. Nie wymyśliła sobie tych zadrapań. A Fletchera nie było wtedy w mieście.

Więc kto był tamtej nocy w sypialni Pyle'ów? Kto pociął jej bladą skórę w ciemnościach?

Błada skóra w ciemnościach... Jak jej własna, gdy majstrowała przy guzikach na cmentarzu, pod wściekłym wzrokiem Terrible'a.

Cholera. Dlaczego nie mogła przed nim uciec?

–Wielu ludzi się rani, Chessie. Wiesz o tym.

I to jak. Pokiwała głową.

–Więc myślisz, że Kym to wszystko wymyśliła? Żeby zmusić Rogera do wyjazdu?



**–To ma sens, nie sądzisz?**

**–Chyba tak.**

**Merritt położył jej rękę na udzie. A więc o to chodziło. Może i chciał pogadać o sprawie, ale tak naprawdę nie był zainteresowany tym, co Chess myśli na ten temat. Przyprowadził ją w tu w zupełnie innym celu. Wszystko jedno.**

**Odstawiła piwo i go dotknęła. Pozwoliła, by ją całował. Pozwoliła, by jego dłonie wędrowały po jej zdrętwiałym ciele. Jej własne ruchy były niezdarne, obojętne, ale tego nie zauważał albo miał to gdzieś.**

**Wciąż był tak samo nieporadny jak wtedy, gdy miał siedemnaście lat. A może po prostu przyzwyczaiła się do sprawniejszych rąk na swoim ciele, sprawniejszych ust na swoich ustach. Wdarł się językiem między jej wargi, a jego głowa pozostała nieruchoma. Poczula w piersi ból.**

**Rozpiął jej dzinsy i je zsunął. Wsunął dłoń między jej nogi, jakby chciał jej nadać nowy kształt, wbijając w nią palce. Bolało, przynajmniej to, co zdołała poczuć, ale było jej wszystko jedno.**

**Potem zsunął własne spodnie. Wciągnął ją na siebie, zanim była gotowa, jedną ręką obejmując jej biodra a drugą manewrując przy prezerwatywie. Jego usta powędrowały do jej piersi, szyi, zbyt delikatnie, by mogła cokolwiek poczuć. Jego ręka wydawała się szorstka i niezdarna, ale cała reszta zbyt wolna, beznamietna, więc zanim cokolwiek zaczęło się dziać, była już znudzona i sfrustrowana. A kiedy zaczęło się na dobre, po prostu umierała z nudów.**

**Zaczęła się mechanicznie poruszać, oddalona myślami o tysiące kilometrów, odłączona od reszty ciała. Była to sztuczka, której nauczyła się dawno temu, ale od dawna nie musiała jej stosować. Jednak bez problemu ją sobie przypomniała, tak samo łatwo i naturalnie, jak magię.**

**Oliver Fletcher twierdził, że to on stał za nawiedzeniem u Pyle'ów, ale to nie on skrzywdził Kym. Więc kto?**

**Merritt jęczał i szeptał coś pod nią. Nie zwracała na niego uwagi. To i tak nie miało znaczenia. Właściwie to już skończyła z Pyle'ami. Rano zacznie pracować nad raportem o prawdziwym nawiedzeniu. Rano albo wtedy, kiedy uda jej się obudzić. A pod koniec tygodnia będzie po wszystkim.**

**Znudzona przyspieszyła tempo. Chciała już skończyć, ponieść karę i iść do domu.**

**Próbował ją pocałować, ale się odsunęła, chowając twarz w jego szyi. Masował jej plecy, jakby pocieszał dziecko. Wkurzyło ją to, ale nic nie powiedziała. Przynajmniej**

jej pragnął. Nie patrzył na nią ze złością i rozczarowaniem. Nie widział w niej szansy na zdobycie przewagi nad swoim wrogiem. Może i nie był najlepszy w te klocki, ale przynajmniej jej pragnął. Coś dla niego znaczyła, nawet jeśli chodziło tylko o parę minut szybkiej przyjemności.

Poczuła, że kręci jej się w głowie. Za dużo alkoholu, za dużo pigułek, za dużo ruchu. Zrobiło jej się ciemno przed oczami. Walczyła z tym resztkami sił. Nie chciała tu spać. Chciała iść do domu. Za nic w świecie nie była w stanie teraz prowadzić, ale miała jeszcze trochę speedu. Mogła się otrzeźwić i dojechać do domu, jeśli tylko będzie ostrożna. Mieszkanie Merritta miało dziwny zapach i wydawało się małe. Chciała już iść.

Zacisnął palce na jej biodrach, wbił się w nią, a ból sprawił, że znowu go zauważyła, akurat gdy kończył. Ledwo się powstrzymała, żeby nie odetchnąć z ulgą. Skończył. Skończył i mogła pójść do domu. Może, może uda jej się wymyślić jakiś sposób, żeby wszystko naprawić.

Albo stracić przytomność, co było chyba bardziej prawdopodobne.

Tak czy siak, była mu trochę wdzięczna. Wyciągnął ją z domu, upił i dał jej parę minut spokoju.

To nie było wiele, ale czasami musiało wystarczyć.

## ROZDZIAŁ 24

Półtorej godziny później zostawiła samochód na parkingu przed domem i powlokła się w stronę schodów. Bolały ją uda. Wszystko ją bolało. Czuła się tak, jakby w ustach miała watę, zęby wydawały się ostre i szorstkie. Dwa litry wody które w siebie wlała, chlupotały jej w brzuchu. Ledwo zdołała je utrzymać. Przynajmniej wciąż było ciemno. Nie mogłaby teraz zmierzyć się ze słońcem.

Terrible czekał na schodach. Chess zatrzymała się gwałtownie, szczeka jej opadła. Niemal słyszała odgłos podobny do tego, jaki wydają wyrwane z zawiasów drzwi.

Obejrzał ją od stóp do głów, jej potargane włosy i rozmazany makijaż, wymięte ubranie i chwiejny krok. Wiedziała, co o niej myślał, i miała ochotę się schować, zwinąć w kłębek na chodniku i wyć, aż do jego odejścia.

–Cześć. – wykrztusiła.

Wsunął ręce do kieszeni i rozejrzał się wokół. Na schodach, parę budynków dalej, niewielka grupka wyrostków podawała sobie skręta. W panującej wokół ciszy ich śmiech brzmiał jak bluźnierstwo.

–Terrible, proszę, pozwól mi wytłumaczyć.

Pokręcił głową.

–Powiedziałaś mu coś?

–Co? Ja...

–O... o tym, gdzie cię wtedy zabrałem. Powiedziałaś o tym Slobagowi?

Katie. Pokręciła głową tak gorliwie, że poczuła, jak mózg uderza o jej czaszkę.

–Nie! Nie. Obiecuję. Nic nie... To nie tak, nie...

–Jeśli mu coś powiesz, zabiję cię – zagroził. Jego głos był tak szorstki, że ledwo go rozpoznała. – Kapujesz? Nie kłamię.

–Nic nie mówiłam. Nigdy bym nie...

–Nie interesuje mnie to. Musiałem cię ostrzec. Żebyś wiedziała.

Zanim zdołała się powstrzymać, z jej ust wydobył się szloch, przebijając się przez jej odrętwiały umysł.

**–Proszę, możemy pogadać? Mogę ci wszystko wyjaśnić.**

**Gapił się na nią przez długą chwilę, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. Może tak było.**

**Ból w piersiach robił się nieznośny. Pomyślała, że będzie musiała wyciąć serce, by się go pozbyć.**

**Odwrócił się, żeby odejść i wtedy coś przyszło jej do głowy. Musiała się czegoś dowiedzieć.**

**–Terrible. Powiedziałaś Bumpowi?**

**Zatrzymał się, ale nie odwrócił. Pokręcił głową. Olbrzymie, gorące łzy poleciały po jej policzku, po szyi, zmywając ostatnie ślady ust Merritta.**

**–Dzięki.**

**–Nie zrobiłem tego dla ciebie. – Zerknął na nią, a w blasku latami wyraźnie dostrzegła każdy siniak i bliznę na jego pobrużdżonym profilu. – Myślisz, że chcę, żeby wiedział, jak spieprzyłem sprawę? Mówiłem że można ci zaufać. Zwłaszcza że wie... Że ja... – Pokręcił głową, – Nie zrobiłem tego dla ciebie.**

**–Nie kłamałam. – Nie mogła przestać mówić. Myślała, że jeśli mu wszystko wytłumaczy, przekona go żeby jej znowu zaufał. Żeby znowu był jej przyjacielem. Żeby znowu jej pragnął, już się nie bała. Życie z nim nie byłoby straszne. Ale bez niego, znowu sama...To zmroziło jej rozcieńczoną alkoholem krew. – Wtedy, na moście, nie kłamałam.**

**–Cholera, Chess. Nie jestem taki mądry jak ty. Ale wiem, kiedy ktoś mnie wykorzystuje, jasne?**

**–Terrible, nie jesteś gł...**

**–Nie. Pomożesz nam, kiedy znajdziemy ten dom duchów. Myślę, że to rozgryziesz. Zwłaszcza że to pomoże twojemu chłopakowi. Potem... nie chcę cię widzieć. Między nami wszystko skończone, jasne? Nie ma nic.**

**Odszedł, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.**

**\*\*\***

**Obudziła się zaplątana w kołdrę, jakby wokół niej owinął się wąż, pocąc się i trzęsąc na wymiętym łóżku. Czuła się tak, jakby zamiast spać, stoczyła jakąś walkę. Bolała ją głowa. I mięśnie. Czuła się brudna, zmęczona i stara. Tak stara, jakby żyła co**

**najmniej sto lat, a nie dwadzieścia cztery.**

**Jakby wszystkie dobre rzeczy, które miały jej się przytrafić, już się wydarzyły. A teraz czekała ją tylko śmierć.**

**Nie podnosząc się z łóżka, przygotowała sobie kreskę na podrapanym stoliku, który stał obok. Wciągnęła ją, żalując, że nie może otępić umysłu równie skutecznie, jak nosa i zatok. A tak, musiała się zadowolić fałszywym spokojem pigulek, czterech małych białych przyjaciółek, gotowych ją ukoić.**

**Gapiała się na ślady wilgoci na obskurnym suficie, aż w końcu jej żołądek się uspokoił, a umysł spowiła mgła. Potem wstała. Wzięła prysznic, zmywając z siebie zapach Merritta. Ubrała się. Udawała, że to zwyczajny dzień, jak każdy inny. Jakby nie spieprzyła sprawy, nie zawiodła ludzi, na których jej zależało, i nie schrzaniła tych wszystkich dobrych rzeczy, które ją czekały. Jakby nie rozpięła poprzedniej nocy spodni, gdy była z Lexe'a. Miała zadanie do wykonania. Musiała oszukać Kościół i zamknąć sprawę nawiedzenia u Pyle'ów.**

**Starszy Griffin osobiście powierzył jej to zadanie. A ona go zawiodła, tak jak wszystkich, którzy jej zaufali. No dobra, jak tę jedną osobę, która jej zaufała.**

**Wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze, wdzięczna speedowi za sztuczny błysk w oku. Nadal miała pracę, którą powinna wykonać. Nawet jeśli musiała kogoś okłamać, przynajmniej to jej zostało. Czas z tym skończyć. Wypełnić formularze, oddać je, a potem wrócić do domu i zakopać się w łóżku na resztę dnia. Albo do końca tygodnia.**

**Albo do końca życia.**

**Samochód wrzeszczał na nią w drodze do Kościoła, dzwoniąc szybami i przypominając o zdezelowanym silniku. Znowu padał śnieg, pokrywając ulice białym puchem, przez co zrobiły się śliskie i niebezpieczne. Nie zwolniła. Może spowoduje wypadek? Straci kontrolę, wjedzie w jakąś ścianę i wszystko się skończy.**

**Nic z tego. Dojechała do Kościoła w ekspresowym tempie, zamiatając tyłem samochodu na boki i parkując w poprzek na dwóch miejscach.**

**Mimo mrozu, cienki, drażniący strumień potu po speedzie spływał po jej plecach. Wiatr sprawiał, że jej twarz przypominała obrany ze skórki pomidor. Bała się, że kiedy dotknie policzków, zaczną krwawić.**

**Nagle zatrzymała się na środku szerokiego korytarza. Serce zaczęło jej mocniej bić, gdy zdała sobie sprawę z tego, co chce zrobić. Miała zamiar okłamać Kościół.**

**Naprawdę okłamać. Nie tak, jak oszukiwała każdego dnia, udając, że jest taka sama jak inni. Chodziło o prawdziwy przekręt. Taki, który miał ich kosztować kupę forsy.**

**Chciała krzyknąć, biegać w koło, rzucać ławkami i robić dziury w ścianach.**

**Miała tego dość. Była jedynie częścią czyjejś układanki, kawałkiem mebla, przesuwany tam, gdzie akurat pasowało. Była od tego silniejsza, twardsza. Potrafili sprawić, że nienawidziła siebie i że w siebie wątpiła, ale nie mogli jej odebrać najgłębszych instynktów. Przetrwa, i robi to wszystko, żeby za jakiś czas powiedzieć im wszystkim, by szli do diabła. Teraz zagra według reguł Fletchera, ale nigdy więcej nie dopuści do takiej sytuacji.**

**Otworzyła drzwi do gabinetu Starszego Griffina i wmaszerowała do środka z wysoko uniesioną głową, żeby zgłosić nawiedzenie.**

**Zastała go zgarbionego przy biurku. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, a oczy były podkrążone i nie miało to nic wspólnego z kościelnym ceremoniałem.**

**–Cesario – powiedział. – Jak się czujesz?**

**Co się z nim działo? Za każdym razem, gdy go widziała, wyglądał coraz gorzej, jakby coś go zjadało od środka.**

**–Bardzo dobrze, proszę pana – wykrztusiła w końcu.**

**–Zakładam, że przyszedłeś w sprawie Olivera Fletchera – rzekł. – Widziałem, że prosiłeś o jego akta. Nie wiem... jak mam cię przeprosić. Myśleliśmy, że skoro jego zaangażowanie w wydarzenia u Pyle'ów jest marginalne...**

**Westchnął i pokręcił głową.**

**–Nie chciałem, by ukrywano to przed tobą. Mówiłem im, że na pewno na to wpadniesz, że jesteś lepsza, niż myślą. Fakt, że mają do ciebie tak niewiele zaufania, kiedy mieliśmy już okazję przekonać się o twoich umiejętnościach, jest dla mnie sporym rozczarowaniem. Ale ty... Ty mnie nie zawiodłaś. Usiądź, proszę.**

**Oliver Fletcher? Dlaczego, do diabła, mówi! o Fletcherze?**

**Usadowiła się na ciepłym fotelu w kolorze kości słoniowej naprzeciwko niego, wdzięczna za to, że może usiąść. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Miały ochotę podrygiwać i skakać, żeby rozładować energię, która ją wypełniała, gdy tylko przestała się ruszać. A jednocześnie nie były w stanie utrzymać jej ciała nad podłogą.**

**–Tak, prosiłam o jego akta – stwierdziła. Jej mózg pracował na pełnych obrotach, a jednocześnie udawała, że doskonale wie, o czym mówi Griffin.**

**Starszy pokiwał głową.**

**–To nie była moja decyzja.**

**–A czyja?**

**–Wiedziałem, że poprosisz o te akta – ciągnął, ignorując pytanie. Cholera. Miała nadzieję, że coś jej podpowie.**

**W jego palcach błysnął długopis, z każdym kolejnym nerwowym ruchem odbijając w jej stronę miękkie niebieskie światło z lampki na biurku.**

**–Mówiłem im... A potem pokazałaś mi ten znak. Nie zaufałaś mi na tyle, żeby powiedzieć, gdzie go widziałaś, ale w końcu na nic innego nie zasłużyłem, prawda? Ukryłem to przed tobą.**

**Otworzyła usta i zamknęła je z powrotem. Chyba nie mówił o znaku wypalonym na ciałach martwych prostytutek? O co, do diabła, chodzi?**

**–Który z Pyle'ów miał to narysowane na ciele, Cesario? A może to sam Oliver? Był z niego taki dumny. To bardzo zaawansowany projekt jak na studenta trzeciego roku. Wszyscy byliśmy pod wrażeniem. Prawdę mówiąc, zazdrościliśmy mu, szczególnie my, ze starszych klas. Miał styl, który nam imponował, a przy tym wcale się nie wysilał. Był niezwykle silny, jak na kogoś w swoim wieku. Wiedzieliśmy, że któregoś dnia może zostaniemy Starszymi, pod warunkiem że będziemy ciężko pracować i całkowicie poświęcimy się Kościołowi. Ale on miał na czole wypisane; „Prastarszy”. Wszyscy o tym wiedzieli. Wystarczyło, by wyciągnął po to rękę.**

**Do diabła! Co Oliver Fletcher, producent filmowy miał wspólnego z zamordowanymi prostytutkami w Dolnej Dzielnicy? Dlaczego nikt jej nie powiedział o jego kościelnym wykształceniu? Tego nie było w jego teczce. To on wymyślił ten znak?**

**Była tak zajęta dopasowywaniem poszczególnych elementów, choć nie wydawały się należeć do tej samej układanki, że nie słyszała dalszych słów Griffina. Cholera! Skup się, idiotko.**

**–...ale Fletcher był ich mózgiem. Landrum może i miał pieniądze, ale Olivier? Jego talent przyćmiewał nas wszystkich. Więc kiedy wymyślił ten znak, zmodyfikował go, wszyscy byliśmy zdumieni. Taki prosty, taki elegancki! Nie tylko po to, by zatrzymać duszę, ochraniać ją w ciele i przedłużyć życie, ale też, by umożliwić nad nią kontrolę. Żeby nie dopuścić do nawiedzenia, jeśli spóźni się psychopompa. By uniknąć wypadków. Ze zwyczajnego kościelnego znaku stworzył coś niezwykłego, dodając nowy znak z rzadko używanych runów, zaprojektowanych w taki sposób, że nabierały podwójnego znaczenia. Nikt z nas nigdy by na coś takiego nie wpadł, a Fletcher wymyślił to bez problemu.**

**Sposób, by zatrzymać duszę w ciele. Żeby utrzymać ciało przy życiu i zatrzymać**

**duszę do chwili przybycia psychopompy.**

**Wiedziała o tym. Zwłaszcza po tym, jak Hat Trick pokazał jej altheę. Ale teraz utworzył się w jej głowie cały obraz. Widziała zioła palące się w czymkolwiek, co było pod ręką. Znak wypalony na delikatnej jasnej skórze. Szmata na ustach i nosie, spokojną śmierć, duszę przeniesioną do sowy, największej psychopompy, i zabraną tam, dokąd miała iść.**

**A potem uwolnioną – w pełni ukształtowaną, kontrolowaną – i związaną elektrycznym kablem, by służyła tym, którzy za to zapłacili.**

**I za tym stał Oliver Fletcher?**

**To po co sfingował nawiedzenie? Ktoś o takiej mocy i takich umiejętnościach bez problemu wskrzesiłby kilka prawdziwych duchów. Mógł je nawet kontrolować i chronić Pyle'ów, żeby nie wyrządziły im krzywdy.**

**Co on, do diabła, kombinował?**

**Starszy Griffin najwyraźniej pomylił jej zmarszczone brwi i milczenie z wyrazem gniewu i dezaprobaty.**

**–To przez ten wypadek – stwierdził. – Dlatego nie chcieli tego ujawniać. Kiedy Kemp... Ale muszę to wyjaśnić. Cesario, nawet nie wiem, od czego zacząć. Wystarczy powiedzieć, że Fletcher i jego przyjaciele, cała trójka, byli nierozłączni. Horatio Kemp i Thaddeus Landrum należeli do najbardziej uzdolnionych uczniów, jakich widzieliśmy. Byli ponad nami, jakby cały czas otaczał ich jasny blask. Aż do wypadku. Do dnia, gdy weszli na szczyt wieży i Kemp spadł. Ciało było połamane, zniszczone. Dusza by go opuściła... ale Fletcher dopadł go pierwszy. Wyrył na jego skórze znak. To mu uratowało życie, Cesario. Uratowało mu życie, ale sprawiło, że nie miał po co żyć. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, co się dzieje, gdy jest się poddanym duchowej kontroli, duchowej dominacji...**

**Głos mu się urwał, a niebieskie oczy wpatrywały się w ścianę nad jej głową. Chess czuła na skórze mrowienie, a jej mózg wirował jak blender.**

**Nie mogła sobie wyobrazić, by ktoś kontrolował jej duszę za pomocą magii. To musiało być gorsze od jej nałogu, od uczucia, że cały czas rzuca się na kamienisty brzeg potrzeb swojego ciała. Narkotyki przynajmniej przynosiły jej ulgę i spokój. Miała powód, by rano wstać. Miała coś, w co mogła się zawiąć jak w koc i w razie potrzeby trzymać blisko siebie. Kościół dawał jej cel, ale pigułki sprawiały, że udawało jej się wytrzymać, a głowa nie eksplodowała pod ciężarem życia.**

**I chociaż potrzeby ją ograniczały, miała choć trochę wolnej woli. Miała jakiś wybór. Była kukielką, ale poruszano nią za pomocą kilku zaledwie sznurków, a nie całego**



tuzina.

–Stracił kontrolę – wyszeptała.

Starszy Griffin pokiwał głową.

–Nie wiedzieliśmy, czy przez jego talent, czy po prostu przez znak, ale zrobił się... jakby przyćmiony. Duchy mogły wchodzić w jego ciało i zmuszać go do robienia różnych rzeczy. I to nie tylko potężne duchy, ale jakiegokolwiek. Był zupełnie bezbronny. Nocami wałęsał się po ulicach. Nie wiedzieliśmy, co robił, ale parę razy wrócił w strasznym stanie, miał krew na ustach i nie pamiętał, co się stało. Fletcher nie mógł do siebie dojść z żalu. Chciał uratować przyjaciela, a skazał go na cierpienie. Zajął się badaniem znaku. Całkowicie się temu poświęcił i niemal doprowadził się do śmierci, próbując znaleźć sposób, by odwrócić to, co się stało. Ale to było niemożliwe. W ten sposób odkryliśmy, że nie tylko modyfikacja znaku czyniła kogoś bezbronnym. Sam znak, ten podstawowy, o którym się uczyliśmy, też miał podobną moc. Ale nie aż taką, o nie. Po prostu pozwalał dominować i sprawować spektralną kontrolę. Usunęliśmy go z naszych ksiąg, z naszych umysłów i z naszych ciał. Kemp znalazł się w szpitalu psychiatrycznym. Fletcher i Landrum odeszli ze szkoły. I nigdy więcej o tym nie mówiliśmy.

–To dlatego w aktach nie ma informacji o kościelnym wykształceniu Fletchera?

Pokiwał głową.

–Myśleliśmy, że jeśli wyciągniemy to na światło dzienne... Powiedz mi, Cesario, myślisz, że Oliver stoi za nawiedzeniem w domu Pyle'ów? Czy to prawdziwe nawiedzenie?

Mogło tak być. Mógł wezwać prawdziwe duchy, a potem je nagrać i odtwarzać w domu Pyle'ów. Tak było bezpieczniej. Taki facet jak Oliver Fletcher, który niemal przykleił sobie na czole tabliczkę z napisem: „To moje dzieło”, gdy z nią rozmawiał, mógł to zrobić. Bez najmniejszego problemu.

Ale coś ją w tym wszystkim niepokoiło. W jaki sposób wiązało się to z oczami zostawionymi w jej samochodzie i domu? Z Vanitą?

Przez chwilę wpatrywała się w Starszego Griffina. Zaufała mu, prawda? Nie do końca, ale na tyle, na ile mogła. A on ją okłamał. Mógł jej o tym powiedzieć wtedy w bibliotece. Albo przekazać jakąś wiadomość. Wiedział, że to jej źródło utrzymania, że potrzebuje pieniędzy z tej sprawy.

Wiedział, z czym przyjdzie się jej zmierzyć, gdy zlecił jej to zadanie.

Miała ich wszystkich dość. Starszego Griffina, który narażał ją na

niebezpieczeństwo przez swoją powściągliwość. Terrible'a, który zabrał ją do Bumpa, żeby ten mógł ją szantażować i żądać zaklęcia śmierci. Lexa, który jedną ręką rozpinął jej spodnie, a drugą dawał pigułki.

Nie, to nie było do końca fair. Terrible ją przeprosił. Lex nigdy nie kłamał, kim jest i czego od niej chciał. Nie miała wątpliwości, że według niego, związek między daniem jej prochów a daniem orgazmów był co najwyżej nikły. Tak naprawdę wątpiła, by jego zawadiackie ego pozwalało mu inaczej na to patrzeć.

Ale ją wykorzystał. Zrobił z niej szpiega, a jej ciało było dla niego tym cenniejsze, że dawało mu poczucie triumfu i zdobycia przewagi nad wrogami.

–Myśli pan, że Oliver byłby zdolny do czegoś takiego? – zapytała, chcąc zyskać na czasie.

Gdyby dała mu teraz konkretną odpowiedź, zobowiązałaby się do podjęcia określonych działań, a nie była na to gotowa. Najpierw musiała porozmawiać z Fletcherem i dowiedzieć się czegoś więcej. Westchnął.

–Oliver Fletcher, którego pamiętam, nie. – Jego błękitne oczy utonęły we wspomnieniach. – Nie znałem go za dobrze, ale którejś nocy... Obaj byliśmy w barze, padało. Ja byłem... jestem od niego parę lat starszy. Chyba... Chyba mu imponowałem. Był pod wrażeniem tego, że poświęcałem mu dużo uwagi. My... – Pokręcił głową, odsuwając od siebie wspomnienie. Chess uniosła brwi.

Starsi nie uprawiali seksu. Przynajmniej nigdy o tym nie myślała. I co z tego, że niektórzy mieli żony? Ale Starszy Griffin nie był wtedy Starszym, tylko studentem, a Oliver Fletcher wielu mógł się wydawać przystojnym mężczyzną.

Mężczyzną, którego głowę widziała między nogami Kym Pyle. Ale kim ona była, by go osądzać? Absolutnie nikim.

Wydawało się, że rozmowa dobiegła końca. Chess wstała.

–Dziękuję, Starszy Griffinie. Za to, że mi pan powiedział. To na pewno pomoże.

Jego uśmiech nie chciał się rozwinąć, zadrżały mu tylko kąciki ust. Ale przynajmniej próbował.

–Nie ma za co, moja droga. Do widzenia, Cesario. Fakty są prawdą.

–Fakty są prawdą – zgodziła się i wyszła z gabinetu. Ale fakty i prawda jeszcze nigdy nie były tak zagmatwane.

## ROZDZIAŁ 25

Gdy zauważyła dom Pyle'ów, ściszyła radio, nie chcąc, by Replacements ryknęło ochroniarzowi prosto w twarz. Myślała, że dzięki muzyce poczuje się lepiej, że utopi w niej swoje myśli, ale tak się nie stało. Muzyka jedynie je wyizolowała i spotęgowała do tego stopnia, że słyszała je ponad *Raised in the City*.

Fletcher wiedział, że badała sprawę zamordowanych prostytutek. Oczywiście, że wiedział. Wysłał za nią kumpli, żeby ją prześladowali i zostawiali jej drobne upominki, prawda?

Ale jej nie zabili. Teraz wiedziała dlaczego. Kiedy odkrył, że można ją było szantażować, kazał im się wycofać. Gdyby zginęła, Kościół przekazałby sprawę Pyle'ów komuś innemu. Demaskator, którego dało się kontrolować, był o wiele bardziej przydatny.

Co powinna zrobić? Nie mogła pozwolić, żeby Fletcher nadal zabijał ludzi. Ale nie chciała też zobaczyć rozczarowania na twarzy Starszego Griffina, gdy ten dowie się, że go zawiodła. Była gotowa zrobić wszystko, by do tego nie dopuścić.

Bump i Terrible, Slobag i Lex... Oni też robi wszystko, żeby nie dopuścić do kolejnych morderstw jeśli im powie, kto za tym stoi...

Cholera, naprawdę o tym myślała? Morderstwo?' Chciała zabić Fletchera, żeby... Nie, nie mogła tego zrobić. Nie mogła.

Ale przecież był mordercą. A karą za morderstwo była śmierć. Jeśli nawet nie powie swoim kumplom – dilerom i alfonsom – jeśli oni się nim nie zajmą, z pewnością zrobi to Kościół. Bez względu na to, czy Fletcher ją wyda, czy nie.

Ale to nie będzie morderstwo, tylko egzekucja. Zgodna z prawem i usankcjonowana.

Nie mogła powiedzieć Kościołowi, czym zajmuje się Fletcher, bo wtedy ją wyda. I nie mogła powiedzieć Bumpowi, bo tamten każe go zabić.

Po raz dziesiąty sięgnęła po telefon i zaczęła wybierać numer Terrible'a. On będzie wiedział, co robić. Może pojedzie i nią i zmusi Fletchera, żeby zwrócił jej zdjęcia i negatywy, pomoże jej...

Tak, zapewne. Terrible na pewno zechce jej pomóc, po tym co widział i słyszał. Wiedział, że od miesięcy go oszukiwała. Że wysłuchiwała jego zwierzeń, a potem pobięła do Lexa, by się z nim bzyknąć. Nadal nie mogła uwierzyć, że zdobył się na to, by jej o tym wszystkim opowiedzieć. Cholera! Nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, ile musiało go to kosztować. A następnego dnia oznajmiła mu, że chce z

**nim być, ale jeszcze nie teraz.**

**Nic dziwnego, że czuł się wykorzystany i myślał, że przez cały ten czas go oszukiwała, by zdobyć informacje dla Lexa. Sama też nie uwierzyła mu na słowo, gdy Bump chciał, żeby rzuciła dla niego zaklęcie, prawda?**

**Co za bajzel.**

**Ochroniarz dał jej znak, żeby wjechała. Ruszyła wzdłuż dziwnego podjazdu, świadoma, że jest obserwowana. Twarze kryły się za zasłonami w domu i za przyciemnianą szybą w budce ochroniarza. Cały budynek wydawał się przyczajony, gotowy na nią skoczyć. Zadrżała i poklepała się po staniku, w którym ukryła jedną z torebek Edsela z sześcioma pigułkami w środku. Poza tymi trzema, które wzięła dziesięć minut temu. Ostatnia rewizja była wprawdzie dokładna, ale nie aż tak, więc doszła do wniosku, że prochy były bezpieczne.**

**A jeśli nie... Cholera, i tak była już szantażowana.**

**No dobra, Merritt wspominał, że dziś pracuje. Oczywiście istniało spore ryzyko, że będzie próbował ją obmacywać, ale zajmie się tym, jeśli rzeczywiście do tego dojdzie.**

**Merritt był na miejscu Siedział przed monitorami w pomieszczeniu ochrony, z nogami na stole i jadł chińską zupkę z małej plastikowej miski. Uśmiechnął się, kiedy weszła, postawił nogi na ziemi i odstawił naczynie, żeby się z nią przywitać.**

**–Cześć, Chessie. Nie myślałem, że się dzisiaj zjawisz, po tym, ile wczoraj wypiałś.**

**Pochylił się, żeby ją pocałować, a Chess – nie bardzo wiedząc, co powinna zrobić – pozwoliła mu na to. Kiedy poczuła jego usta na swoich, zrobiło jej się nieswojo. Miała ochotę uciec. Co ona wyprawiała? Był zamieszany w jej śledztwo, może nawet był świadkiem. Do diabła, z tego co wiedziała, mógł brać w tym wszystkim udział, choćby i marginalny.**

**Tak dobrze jej szło. Wszystko miała posegregowane, wszystko pod kontrolą, robiła notatki, odkładała rzeczy na miejsce, żeby mogła je znaleźć, nawet jeśli totalnie się nawaliła. To było męczące, ale dawała radę.**

**I w mgnieniu oka, w ciągu tych pięciu minut na cmentarzu, wszystko odfrunęło tak daleko, że nie miała pojęcia, czy uda jej się poskładać to z powrotem.**

**–Cześć. Gdzie są wszyscy?**

**–Kto? Ochroniarze czy Pyle'owie?**

**–Wszyscy.**

**Oparł rękę na drzwiach przy jej głowie, a drugą rek poszukał jej talii.**

**–Pyle’owie dokądś wyjechali. A ochroniarze gdzieś się kręcą, ale mógłbym zamknąć drzwi.**

**Oho. Odsunęła się od niego, niemal nabijając się na ostrą lufę wiszącej na półce strzelby.**

**–Dziś pracuję.**

**–Ale nie musisz chyba pracować cały czas, co?**

**–Dzisiaj tak.**

**Jeszcze jeden powód, żeby zakończyć tę cholerną sprawę. Mogła ignorować jego telefony, ale nie mogła tego zrobić, gdy próbował ją pogłaskać po policzku. Poza tym nie chciała tak po prostu z nim zrywać. A jeśli jeszcze będzie potrzebowała jego pomocy? Nie żeby było co zrywać, ale on najwyraźniej myślał, że ostatnia noc coś znaczy.**

**–To nie jest zabawne. – Na miłość boską, czy on naprawdę udawał, że się dąsa? Tak, to dopiero było seksowne.**

**–Posłuchaj, Merritt, przykro mi. – Zmusiła się, by go przeprosić, chociaż słowa cięży jej język jak brzytwy. Nie miała czasu niańczyć dzieciniałego faceta, nie teraz, gdy Oliver Fletcher właśnie szykował kolejne morderstwo. Może nawet to ona miała zostać ofiarą.**

**–Wpadniesz później? Mógłbym cię zabrać na kolację, jest takie fajne miejsce niedaleko...**

**–Zobaczymy, co się będzie działo, dobra? Jestem dziś dość zajęta i nie czuję się najlepiej po wczorajszym wieczorze. Chyba położę się wcześniej spać.**

**–To może wpadnę do ciebie? Przyniosę coś do jedzenia.**

**Skrzyżowała ręce i się odsunęła. Niedaleko. Nie na tyle, by go rozzłościć, ale wystarczająco, żeby nie czuć na sobie jego oddechu.**

**–Zobaczymy, dobra? Może jutro albo kiedy indziej. Słuchaj, jest może Oliver Fletcher?**

**–Fletcher? Powinien gdzieś tu być. Może w gabinecie pana Pyle’a, chcesz, żebym sprawdził?**

**–Sprawdził?**

**–Mogę się przejść do domu i sprawdzić.**

**–Och, jasne. Tak. – Serce znowu zaczęło jej bić. Przez sekundę myślała, że w domu też były kamery i że tamtej nocy mogli zostać z Terrible'em nagrani.**

**To i tak nie miało znaczenia, ale trudno się pozbyć starych nawyków. Tak jakby.**

**Za oknem rozciągał się ponury krajobraz, który przez przyciemnianą szybę nabierał odcienia bladej sepii. Był nierzeczywisty jak obraz, ale i zbyt przyziemny jak na dzieło sztuki. Zwyczajny ogród z rosnącymi gdzieś patykowatymi drzewami. Zwyczajny dom, lśniący świeżą farbą na tle stalowego nieba.**

**A jej kariera i życie, uzależnione od widzimisię człowieka, który był w środku.**

**–Jest w gabinecie pana Pyle'a – poinformował ją Merritt. – Mówił, że na ciebie czeka. Dlaczego?**

**–Czeka? W takim razie lepiej do niego pójde.**

**–Tak, ale jak on...**

**Musnęła go ustami, żeby się uciszył. Pozwoliła nawet, by pocałował ją mocniej, niżby sobie życzyła. Oczywiście, każdy jego pocałunek był głębszy, niż chciała, ale co tam. Cholerny Fletcher. Musiał wiedzieć, że Merritt zapyta, dlaczego przyjaciel gospodarzy oczekuje wizyty kościelnej czarownicy, i że to nie ułatwi jej sprawy. Co za arogancja: myślał, że może ją kontrolować. Może wydawało mu się, że Chess nie wie, co on robi. Co knuje. Że przymknie oko na morderstwo, żeby zachować pracę.**

**Odsunęła się od Merritta i przykleiła do twarzy szeroki uśmiech. Nie może pozwolić, by morderca dłużej czekał.**

**Fletcher siedział za biurkiem Rogera Pyle'a, opierając się na skórzanym fotelu tak, jakby oczekiwał, że w każdej chwili może się nad nim pojawić reflektor. Może tak było.**

**–Panno Putnam, jak miło panią widzieć.**

**Chess klapnęła na jednym z delikatnych, obitych perkalem krzesel naprzeciw biurka, żałując, że nie wzięła jeszcze jednej pigułki.**

**–Daj spokój, Fletcher. Rozgryzłam cię.**

**Uniósł eleganckie brwi.**

**–Rozgryzaś? Nie jestem pewien, czy rozumiem.**

**–Myślę, że rozumiesz. Wiem o twoim kościelnym wykształceniu. I o tym znaku.**

**Wiem, co on znaczy i co robi.**

**Wyglądał jak uliczny sprzedawca, który próbuje sprzedać stary towar jako nowy. Ostrożna próba ukrycia emocji, strach przed tym, że prawda może wyjść na jaw, zanim pieniądze przejdą z ręki do ręki. Z tym że Fletcher wcale nie próbował jej nabrać. Był autentycznie zdumiony.**

**–Jak się o tym dowiedziałaś?**

**–Dobrze wiesz, że kościelne akta przechowywane są bardzo długo. Poza tym, nawet jeśli tak by nie było, Starszy Griffin by mi powiedział. Pamiętasz go?**

**–Starszy... Thad Griffin? Starszym?**

**–Widzę, że go pamiętasz. On na pewno pamięta ciebie.**

**–Co ci powiedział?**

**–Wspomniał o tobie. O twoich kumplach, Kempie i Landrumie. O tym znaku. Nieźle. Gdyby cię nie pamiętał, pewnie bym na to nie wpadła.**

**–Co takiego? Ja nie...**

**–Chciałabym wiedzieć dlaczego? – Teraz z kolei ona pochyliła się do przodu, a na jej twarzy pojawił się uśmiezek zadowolenia. Jediną rzeczą, której nie mogła opanować, był gniew, zarówno na siebie, jak i na niego.**

**Gdy tak siedziała i wpatrywała się w jego bladą twarz, wszystko do niej wróciło. Tamte dziewczyny, zabite, ich ciała porzucone na ulicy. Nawet nie zabrał ich do krematorium, gdzie dołączyłyby do stosu zakrytych ciał, jak plastikowe pniaki oparte o ścianę, jego kumpel z pomalowaną twarzą już raz się tam włamał, dlaczego nie mógł tego robić za każdym razem? Kiedy ciało znalazło się już w tamtym pomieszczeniu, zakryte anonimowym białym płótnem, nikt nie wiedział, czy powinno tam być, czy nie. Nie w tak olbrzymim mieście jak Triumph City.**

**Dlaczego je zostawiał? Dlaczego nie ukrywał tego, co robi?**

**–Już chyba o tym rozmawialiśmy? Po co do tego wracać?**

**–Nie mówię o nawiedzeniu. Mówię o tamtych dziewczynach. O prostytutkach.**

**Ucieknij. Znajdź sobie inną pracę, inne miejsce do życia. Przecież nikt nie kazał jej pracować dla Kościoła, prawda? Mogła... Mogła znaleźć coś innego. To nie miało znaczenia. Bo bez względu na to, jak nisko upadła i kim się stała, nie pozwoli, by morderstwa popełnione na niewinnych kobietach uszły mu na sucho. Przynajmniej**

**będzie potem z siebie dumna.**

**Chociaż z tego.**

**–Prostytutkach? Czy wyglądam na faceta, który...**

**–Tak, wyglądasz. Wyglądasz na faceta, który potrafi tak wystraszyć swojego kumpla, by ten robił, co tylko chcesz. Kogoś, kto posuwa żonę przyjaciela, żeby uwiarygodnić sfigowane nawiedzenie. Gościa, który potrafi zastraszyć nastoletnią dziewczynę. I tak, wyglądasz na faceta, który morduje prostytutki i zostawia je na ulicy.**

**–Co takiego?**

**–Słyszałeś, co powiedziałam. Myślałam, że nie mamy przed sobą tajemnic. Wiem, co robisz. I wiem dlaczego. I muszę przyznać, że ni cholery nie daje mi to spokoju.**

**–Nie rozumiem. – Naprawdę wyglądał na zaskoczonego. Ani przez chwilę nie dała się nabrać.**

**I tak już skoczyła ze skały. Teraz mogła jedynie zobaczyć, jak daleko polecą.**

**–Po co sfigowałeś to nawiedzenie, skoro mogłeś wezwać prawdziwe duchy? Po co ci ten mały burdel z duchami, skoro chcesz zmusić Rogera Pyle'a do wyjazdu? Po co...**

**–Panno Putnam, nie mam pojęcia, o czym pani mówi. Burdel z duchami? Martwe dziwki? Rozumiem, że osoby uzależnione od narkotyków mają różne dziwne pomysły, ale to jest...**

**–Chcesz powiedzieć, że nie zabiłeś tamtych dziewczyn? – Sięgnęła do torby i znalazła w kieszonce aparat. Chciał się bawić w dowody? Świetnie. Też potrafiła w to grać.**

**–Nikogo nie zabiłem. Naprawdę. Chyba powinniśmy jeszcze raz to wszystko przemyśleć. Jest pani bardziej niezrównowazona, niż myślałem.**

**–Jestem wystarczająco zrównowazona, by cię przymknąć – warknęła i pokazała mu ekran aparatu.**

**Zdjęcie było na tyle szerokie, żeby objąć pustą, pozbawioną oczu twarz Daisy i wypalony na jej delikatnej skórze znak. I na tyle bliskie, żeby rozpoznać znak.**

**Okropny widok, to prawda. Chess była niemal pewna, że widziała go zeszłej nocy we śnie i że będzie go widywać przez kolejne lata, razem ze starymi dobrymi**



znajomymi: Randym Duncanem, zamordowanym przez Złodzieja Snów, i Mózgiem, który jej zaufał i przez to zginął. Razem z niedowierzającym wzrokiem Terrible'a, tam na cmentarzu, gdy zdał sobie sprawę, że od miesięcy go oszukiwała.

Ale przerażenie na twarzy Olivera Fletchera sprawiło, w poczuła na plecach ciarki. Wyglądał tak jakby właśnie zobaczył coś, czego nie spodziewał się w najgorszych snach, jak człowiek, na którego oczach zamordowano rodzinę.

–Dobry Boże – powiedział. Jego słowa brzmiały tak pusto, że Chess prawie nie zauważyła bluźnierstwa. Fletcher nie przeprosił. Ludzie, którzy wychowali się w czasach Przed Prawdą, czasami używali któregoś ze starych zwrotów. Groziła za to tylko niewielka grzywna. – Kiedy... Co to ma być?

–To martwa dziewczyna. Została zamordowana. – Nie wiedziała, co powiedzieć. Nikt nie mógł być aż tak dobrym aktorem. Jego rozpacz, jego przerażenie wypełniło całą przestrzeń i rozgrzało jej tatuaże, sprawiło, że włosy na jej karku się zjeżyły, jakby chciały uciec. – To twój znak, prawda? Ten, który stworzyłeś? Którego użyłeś na swoim przyjacielu, Kempie?

Pokiwał głową, nie spuszczać wzroku z aparatu.

–Horatio... biedny Horatio.

Ogarnęło ją współczucie, ale bezwzględnie je od siebie odsunęła. Fletcher nie okazał jej litości parę dni temu, gdy kazał jej się przed sobą płaszczyć, by zachować pracę.

–Biedny, bo mu to zrobiłeś? Jest w szpitalu psychiatrycznym, tak?

Spojrzał na nią. Źrenice miał tak rozszerzone, że ledwo widziała jego szaroniebieskie tęczęwki.

–Nie. Już nie. Z tego co widzę... panno Putnam, powiedziałbym, że jest w Triumph City i morduje prostytutki.

## ROZDZIAŁ 26

–Jak to możliwe?

Wzruszył ramionami. Powoli wracał mu rumieniec i wyglądał prawie normalnie. Ale ona czuła się tak, jakby ktoś ją wrzucił do wosku i zostawił, by zastygła.

–Horatio... Domyślam się, że Thad opowiedział pani, co się wydarzyło? O znaku i o wieży?

Pokiwała głową.

–On... miał obsesję na punkcie duchów. Na punkcie wielu rzeczy, tak naprawdę. W tej chwili to nieważne. Ale w końcu odkryliśmy, że... zabijał ludzi. Kobiety. Robił... im różne rzeczy. Chodziło o kanibalizm. Nekro... Czy muszę mówić dalej?

–Nie.

–To nie był on, panno Putnam. Musi to pani zrozumieć. To nie on, nie mój przyjaciel Horatio. To było coś, co nim w danym momencie zawładnęło. Przez swój talent i ten cholerny znak świecił jak latarnia morska... Nie wiedziałem, że tak się stanie. Może powinienem. W najgorszych chwilach tak właśnie myślę. Byłem taki arogancki. Wydawało mi się, że jestem na tyle silny, by się ochronić. By ochronić nas wszystkich.

W jej głowie zaświtała pewna myśl, ale ją zignorowała. Przynajmniej na razie. Lepiej poczekać i zobaczyć, co się wydarzy.

–A co się stało z Kempem? Złapali go i wsadzili do psychiatryka?

Fletcher pokiwał głową.

–Założyliśmy z Landrumem spółkę, która opłacała jego rachunki. W każdym razie te dodatkowe, bo Kościół płacił na jego utrzymanie. Widzę, że tego pani nie wiedziała.

Zamrugła. Nie było sensu tego ukrywać, widział, że jest zaskoczona.

–Nie, nie wiedziałam.

–Tak było. Uciszone sprawę morderstw, nie trafiły na czołówki gazet, a Kościół się nim zajął. Landrum i ja dawaliśmy rodzinie Horatia pieniądze. Płaciliśmy za jego ubrania, posiłki i wszystko, czego potrzebował. Czasami wydawało się, że z tego wyjdzie, że uda im się naprawić problem. Jego ciało... Ostatnim razem, kiedy go widziałem, ledwo go rozpoznałem, był cały pokryty znakami ochronnymi.

**Znaki ochronne... Zobaczyła twarz tamtego mężczyzny, jakby stał tuż przed nią. A więc to było na jego skórze? Nie miała okazji się wtedy przyjrzeć.**

**–Dlaczego nie działały?**

**–Ponieważ – zaczął, wzdychając tak ciężko, jakby chciał wessać całe powietrze wokół. – Ponieważ nie chciał, by działały. Zdążył dogadać się z jakimś duchem. Pewnie do tej pory z nią współpracuje.**

**–Z nią? – Wiedziała. Wiedziała o tym, ale chciała usłyszeć to od niego, żeby się upewnić.**

**–Tak. Pracował z duchem jakiejś kobiety. Mówił mi o niej któregoś razu, gdy go odwiedziłem. Powinienem to zgłosić, wiem. Ale nie myśleliśmy, że kiedykolwiek go wypuszczą.**

**Chess sięgnęła po do połowy wypitą szklankę whisky Oliviera i wlała jej zawartość do gardła, krzywiąc się z powodu goryczy. To pewnie nie był najlepszy pomysł, gdy tylko speed i cepty trzymały ją przy życiu, ale czuła, że tego potrzebuje. Tak naprawdę, potrzebowała całej butelki.**

**–Jak miała na imię?**

**–Ten duch? Nie pamiętam dokładnie Wirginia. Va... Coś takiego. On...**

**–Vanita.**

**Pokiwał głową.**

**–Tak, właśnie. Skąd pani wie?**

**–Była prostytutką.**

**–W... Och, nie. Pani żartuje. Naprawdę? A teraz oni... Cóż, cholera to ma sens, co?**

**–Tak, to ma sens. I wiesz, co jeszcze ma sens? Pomożesz mi go znaleźć.**

**–Ja? A dlaczego miałbym to robić?**

**–Bo to twoja wina. Posłuchaj mnie, Fletcher, wiem, że jest ci przykro z powodu tego, co się stało z twoim przyjacielem. Naprawdę. I rozumiem, że to był wypadek. Ale to twoja wina. Nie powinieneś zrobić tego, co zrobiłeś. Nie powinieneś wyrzucić tego znaku...**

**–Miałem pozwolić, by umarł? – Wstał i nachylił się nad biurkiem, wpatrując się w nią rozpalonym wzrokiem. – Powinienem zostawić mojego przyjaciela i pozwolić mu**

umrzeć? To chce pani powiedzieć? Miałem nie zrobić wszystkiego, co w mojej mocy, by go uratować? Co z pani za człowiek, żeby sugerować coś takiego?

–A teraz ma się lepiej?

–Teraz przynajmniej żyje!

–Tak, żyje i jest opętany. Żyje i z każdą kolejną minutą coraz bardziej plami swoją duszę. To nie jest życie. Fletcher, to wegetacja, niewolnictwo. Ty to zrobiłeś.

Wyszedł zza biurka. W zwyczajnej, zapinanej marynarce wydawał się potężniejszy. Jego chłodne kalifornijskie opanowanie zamieniło się w morderczy gniew. Zrobiła krok do tyłu i sięgnęła po nóż, którego Merritt nie znalazł, gdy obmacywał ją w pomieszczeniu ochrony, Jeśli spróbuje jej dotknąć.

Dotknął. Nie sięgnęła po broń, ponieważ jej nie atakował, nie groził.

Płakał.

Pochylił się, opierając głowę na jej ramieniu, a jego łzy zmoczyły jej bluzkę.

Co miała z nim, do diabła zrobić? Przytulić go i powiedzieć mu coś na pocieszenie? Szantażował ją, a teraz miała się nim zaopiekować, jak jakaś pieprzona niańka? Nie wiedziała, jak to się robi. Co ludzie robili, żeby kogoś pocieszyć?

Poklepała go lekko po plecach, marząc o tym, by uciec jak najdalej. Chociaż musiała przyznać, że ładnie pachniał.

Na szczęście nie trwało to długo.

–Przepraszam – powiedział, tuląc się do jej szyi. – Ja... To dla mnie prawdziwy wstrząs. Nigdy nie chciałem... Jeśli Horatio zabija ludzi, zabija kobiety, to moja wina, prawda? Przez ten znak. Przez to, co mu zrobiłem?

Gdyby był jej przyjacielem, pewnie by go okłamała. Ale nie był.

–Tak.

–Nie chciałem tego. Może i jestem dupkiem... Nie, nie zaprzeczaj. Wcale nie masz zamiaru, co? Ale nie jestem mordercą. Nie chcę być odpowiedzialny za śmierć tych ludzi.

–Więc pomóż mi z tym skończyć. – Chciała, żeby już się od niej odsunął. Jego czoło wbijało się w jej obojczyk. – Nie wiem, jak miałbym to zrobić. Okazał się potężniejszy, niż się spodziewała, twarde bicepsy ukryte były pod drogą marynarką. Chwyliła go za ramiona i odepchnęła od siebie.

**–Wiesz, gdzie on jest, prawda? Gdzie go szukać? Jeśli go znajdziemy, złapiemy ich wszystkich. Te dziewczyny. Możemy je uwolnić.**

**–Nie potrafię.**

**–Potrafisz. Starszy Griffin mówił, że masz talent.**

**–Ale ja już nie robię takich rzeczy. Już nie.**

**–To dlatego nie wezwałeś tutaj prawdziwych duchów? Mógłbyś to zrobić. To byłoby o wiele prostsze.**

**–Ja... Tak, właśnie dlatego.**

**–Musisz o tym zapomnieć. Potrzebuję twojej pomocy. Znasz go, jesteś jego przyjacielem. Może uda nam się zrobić to tak, żeby nikomu nie stała się krzywda.**

**–Zostaw go.**

**W drzwiach gabinetu stała Arden Pyle. Jasne włosy związała w niechlujny kucyk, a jej czarna bluzka była jeszcze luźniejsza niż zwykle.**

**Ale Chess ledwo to zauważyła. Była całkowicie skupiona na pistolecie.**

**Fletcher odwrócił się od Chess, zabierając ręce z jej talii i wolno unosząc je do góry, jak wciągane o świcie flagi.**

**–Arden... Arden, kochanie, opuść pistolet.**

**–Obiecałeś. Powiedziałeś, że się nami zaopiekujesz.**

**–I zrobię to, ale nie wtedy, gdy mnie zastrzelisz, prawda?**

**–Nie ciebie chcę zastrzelić – stwierdziła dziewczyna. To było jedno z tych zdań, które wymagało silnej reakcji, ale Chess zdobyła się jedynie na niewielki gniew. W tym momencie było jej wszystko jedno. Niech już strzeli, no!**

**Ale była wkurzona, że koniec nastąpi z powodu Olivera Fletchera. On najwyraźniej... A fuj.**

**–Cholera, Fletcher – wymamrotała. – Ona ma dopiero czternaście lat, dupku.**

**i Taki... och, nie. Ona... Nie jestem aż tak pokręcony, panno Putnam. Proszę.**

**–Przestańcie gadać! – Pistolet w dłoni Arden zadrżał. Chess oderwała od niego wzrok i spojrzała na workowatą bluzkę dziewczyny. Jej lekko wystający brzuch...**

**Dziewczyna była w ciąży. Miała czternaście lat i była w ciąży. Chess bardzo jej współczuła. Nic dziwnego, że Arden miała w ręku broń, nic dziwnego, że...**

**Nic dziwnego, że zaatakowała tamtej nocy matkę. Fletchera nie było wtedy w mieście, ale ktoś wszedł do sypialni Pyle'ów. Ktoś, kto w środku czuł się martwy. Ktoś zdesperowany.**

**–Arden. – Zrobiła ostrożny krok naprzód. – Nie musisz tego robić.**

**Niebieskie oczy dziewczyny ledwo drgnęły.**

**–Co ty możesz wiedzieć, do cholery?**

**–Wiem, że zabicie mnie nie jest najlepszym pomysłem. Chcesz urodzić to dziecko w więzieniu? I umrzeć miesiąc później?**

**–A kogo to obchodzi?**

**Na miłość boską, nie była dobra w te klocki. Tak naprawdę, nie znalazłaby zbyt wielu rzeczy na świecie, w których byłaby gorsza.**

**Co było z nimi nie tak? Nie widzieli, że ze wszystkich ludzi na świecie, ona akurat najmniej nadawała się do tego, żeby rozwiązywać ich problemy emocjonalne? To tak, jakby prosili psa, żeby rozwiązał skomplikowane zadanie z algebry.**

**Wtedy odezwał się Oliver, ratując ją przed próbą wyjaśnienia dziecku, że powinno jej zależeć na czymś, na czym tak naprawdę wcale jej nie zależało.**

**–Mnie obchodzi. Dlatego to robimy, tak? Żebyś mogła wyjechać i zamieszkać ze mną. Żebym mógł ci pomóc. Nie psuj tego teraz, gdy jesteśmy tak blisko.**

**Chess zauważyła swoją szansę.**

**–Nikt nie będzie miał kłopotów. Ja się wszystkim zajmę w Kościele. Mogę nawet zalecić twoim rodzicom, byś zamieszkała z panem Fletcherem. Więc nie...**

**–Arden?**

**Chess niemal wyrzuciła ręce do góry w odruchu irytacji. W drzwiach gabinetu pojawiła się Kym Pyle. Na ramionach wciąż miała zarzucony jasnoniebieski, wełniany płaszcz.**

**Chess nie była pewna, co się najpierw stało. Wiedziała tylko, że Arden otworzyła usta i zaczęła się odwracać. Pistolet poruszał się wraz z nią, kiwając się na boki, a jego czarne oko nareszcie odwróciło się od Chess.**

Oliver skoczył w tym samym momencie, co Kym. Arden zauważyła go i próbowała mu wyrwać broń.

Pistolet wystrzelił. Odłamki drewna poleciały z framugi drzwi jak w zwolnionym tempie. Kym wrzasnęła. Arden też. W pokoju rozległ się kolejny strzał, potem kolejny. Oliver się zachwiał. A Arden runęła na ziemię.

Chess stała samotnie przy biurku. Dzwoniło jej w uszach, więc nie słyszała krzyków, ale widziała twarze i otwarte usta. Wszyscy byli bladzi. Krew obryzgała cały pokój.

Po chwili zorientowała się, skąd ta krew. Ze stopy Arden, cholerny dzieciak postrzelił się w stopę. Z ramienia Fletchera, Z ręki Kym Pyle. Kula przebiła ją na wylot i uderzyła w drewno albo odbiła się rykoszetem, Chess nie była pewna. Wiedziała tylko, że czas się stąd ulotnić.

Z Oliverem Fletcherem. Postrzelony czy nie, był jej potrzebny, żeby znaleźć Kempa. A jeśli poczeka, aż producent wyjdzie ze szpitala, może być za późno. Dzięki swojej pracy miała pewne wpływy, ale nie aż takie, żeby mieć pewność, że Fletcher nie wyjdzie ze szpitala i nie czmychnie z Rejonu. I co miała wtedy zrobić, polecieć do niego do domu na drugą stronę kontynentu?

Nie, przy pierwszej lepszej okazji dałby nogę i umył ręce od całej sprawy, niezależnie od tego, ile łez wylał w jej rękaw ani jaki był odpowiedzialny. Musieli działać teraz.

Do środka wpadł Merritt z trzema innymi ochroniarzami, każdy z bronią w ręku. Chess ledwo ich słyszała przez wrzaski Kym i Arden. W uszach cały czas jej dzwoniło od wystrzałów. Pokój wydawał się zbyt mały, przepełniony ludzkimi ciałami i przesiąknięty smrodem amunicji, krwi i rozpacz. Chess nie ruszała się z miejsca. To było niemal interesujące, widzieć tyle bólu i dla odmiany nie brać w tym udziału.

Ale było coś, co powinna zrobić, gdy nikt nie zwracał na nią uwagi. Lewą ręką otworzyła zatrask torby, a prawą zgarnęła do niej zdjęcia Olivera. Negatywy... Mówił coś o negatywach. Też tu były?

Nie. Przejrzała resztę rzeczy na biurku, ale nic nie znalazła. Oliver musiał je trzymać gdzie indziej. Później spróbuje je odzyskać. Zawsze mogła zakraść się do Pyle'ów z Rączką i przejrzeć jego rzeczy.

Ale teraz... Na zewnątrz panował mrok i musieli zacząć działać. Gdyby Oliver nie został postrzelony, mogliby jeszcze zaczekać. A tak, nie chciała ryzykować i tracić go z oczu, dopóki nie zakończą sprawy.

Przecisnęła się obok jednego z ochroniarzy i chwyciła Fletchera za zdrową rękę.

**–Chodźmy.**

**–Co?**

**–Chodź ze mną. Musimy znaleźć Kempa.**

**–Chyba sobie żartujesz. Jedynym miejscem, do którego się wybieram, jest szpital.**

**–A właśnie, że pójdziesz. Zginą następne kobiety, będziesz odpowiedzialny za ich śmierć, tak?**

**–Nic z tego. Jadę do...**

**Chess spojrzała mu prosto w oczy, by zobaczyć, że jest zdeterminowana. Żeby zrozumiał, że w tej chwili miała wszystko gdzieś.**

**–Pójdziesz ze mną albo wezwę prasę. Chcesz mnie wydać? Proszę bardzo. Ale tobie też zależy na tym, by ukryć całą tę sprawę, tak samo jak i mnie. I dobrze o tym wiesz. Więc chodźmy już.**

**Gdy zamrugął, wiedziała, że go ma.**



## ROZDZIAŁ 27

Nie miała ochoty zapraszać do siebie Olivera Fletchera, ale musieli dokądś pójść, a w łazience miała całkiem przyzwoitą apteczkę.

Nie było sensu dzwonić do Terrible'a. Szanse na to, że odbierze telefon, gdy zobaczy, że to ona, były mniejsze niż to, że kiedyś zostanie Prastarszym. Zamiast tego wysłała mu wiadomość, że wie, gdzie jest dom duchów i że powinien do niej zadzwonić albo wpaść.

Pięć minut później otrzymała w odpowiedzi jedno słowo: „Świetnie”. W porządku, więc miał zamiar przyjść czy co? Cholera, miał zamiar tu przyjść, a ona wyglądała tak, jakby dopiero co wstała z łóżka?

Fletcher siedział na toalecie, czyszcząc poszarpaną ranę na ramieniu. Chess nie zwracała na niego uwagi. Ochlapała twarz zimną wodą i nałożyła odrobinę makijażu. Czuła się jak idiotka, i tak nie miało to znaczenia, ale doprowadziła się do porządku.

–Niech pani nie sprawia sobie kłopotu, poradzę sobie – odezwał się Fletcher. Zerknęła na niego, wychodząc przez drzwi.

–To dobrze.

Powinna zadzwonić do Lexa? Pewnie tak. A raczej na pewno. Ale gdy pomyślała, że chłopak tu przyjdzie, gdy zjawi się też Terrible... Zadzwoni do niego, jak już będą wiedzieli, dokąd idą.

Jeszcze tylko kilka nípów i ceptów, żeby się uspokoić i obudzić. I była gotowa. Tak jakby.

–Panno Putnam? Mówię poważnie, może mi pani pomóc?

Fletcher cały czas siedział na toalecie, a na podłodze, niczym płatki kwiatów, walały się zakrwawione chusteczki. Będzie musiał po sobie posprzątać.

–Nie mogę sięgnąć. I bardzo mnie boli.

Westchnęła.

–Odwróć się.

Z głębokiej rany na ramieniu leciała ciurkiem krew. Pocisk drasnął go pod dziwnym kątem. Chess sięgnęła po tubkę ze sprejem antybiotykowym i użyła go, ignorując jęki mężczyzny.

**–Wiem, że ma pani środki przeciwbólowe, panno Putnam. Mogłaby mi je pani przynajmniej zaproponować. Właśnie zostałem postrzelony i przecież próbuję pani pomóc.**

**–Nie masz własnych? – Wytarła skórę dookoła rany i sięgnęła po gazę.**

**–Nie wiem, o czym pani mówi.**

**–Nie faszerowałaś Rogera Pyle’a narkotykami?**

**To było tylko przypuszczenie. I na pewno nie spodziewała się tego, co usłyszała.**

**–To nie ja. To Kym.**

**–Kym?**

**Pokiwał głową.**

**Chyba nie sądzi pani, że jestem jedyną osobą, która nie chce, by tu mieszkali? Myślała, że on... Do diabła, nie wiem, co sobie myślała. Pewnie, że zrobi się nerwowy, chory i będzie się czuł bezbronny. Tak jak mówiłem, nie jest najbardziej inteligentną kobietą na świecie.**

**–Tak mówiłeś, prawda?**

**–Słucham?**

**O to chodziło. Cały czas nie dawało jej to spokoju.**

**–Tak naprawdę wychodziłeś ze skóry, żebym uwierzyła, że to wszystko zorganizowałaś. Od samego początku. Dlaczego?**

**–Nie wiem, o czym...**

**–To była Arden, prawda? To ona sfingowała nawiedzenie. To ona podrapała tamtej nocy Kym i zainstalowała projektor, podobny do tego, na którym pokazywałaś swój film, wtedy, kiedy zostałam na noc? – Nie czekała na odpowiedź. – A kiedy powiedziała ci, co zrobiła, kiedy dowiedziałeś się, że Roger i Kym chcą powiadomić Kościół, pomogłeś jej, bo dobrze wiedziałeś, że to co zrobiła, mogło nabrać rodziców, ale nie Demaskatora. Wiedziałeś, jak wygląda prawdziwy duch. Wiedziałeś, jakie prowadzi się wtedy dochodzenie i wiedziałeś, że nie ujdzie jej to na sucho, gdy sprawą zajmie się Kościół. To bardzo szlachetne z twojej strony, tak pomagać córce przyjaciela. I to wszystko z dobroci serca?**

**Westchnął.**

**–Niezupełnie. Ona jest moja.**

**–Ona... Co?**

**–Arden jest moją córką, nie Rogera. On jest bezpłodny. Kym się dowiedziała i przyszła z tym do mnie... Pomogłem jej. Arden nic nie wie... Roger zresztą też nie. Ale gdy potrzebowała pomocy, zwróciła się do mnie. Zaczęła już to całe głupie nawiedzenie, zwędziła Rogerowi jeden z jego starych projektorów. Ma ich kilka, walają się po domu. Tak naprawdę nie miałem wyboru, musiałem jej pomóc.**

**–Ważnie że miałeś. Dobrze wiesz, że kara byłaby łagodna. Dość długo współpracowałeś z Kościołem, by o tym wiedzieć. Co najwyżej przez rok byłaby objęta programem dla nieletnich przestępców. A ty nie musiałbyś... Aha, jasne.**

**Uchwyciła jego spojrzenie i wiedziała, że śledził tok jej myśli. Pokiwał głową.**

**–Badanie DNA. Gdyby ją aresztowali, pobraliby próbki DNA od całej rodziny i wyszłoby na jaw, że nie jest córką Rogera. To by go zabiło i zniszczyło Arden.**

**–I ciebie, gdyby prasa się o tym dowiedziała.**

**–Tak, to również.**

**Cholera. To była Arden. Niezły z niej detektyw, nie ma co.**

**–Kim jest ojciec dziecka?**

**–Nie wiem. jakiś facet z Los Angeles. Dlatego tak bardzo chce wyjechać. Nie tylko po to, by uciec od rodziców, ale żeby do niego wrócić. Co mogę powiedzieć, dziewczyna ma czternaście lat. Czy teraz mogę już dostać jakąś pigułkę?**

**Przewróciła oczami, ale pozwoliła, by poszedł za nią do salonu, gdzie dała mu parę ceptów i wodę.**

**I usiadła. Nipy przyspieszyły bicie jej serca, a palce u stóp zaczęły stukać o powycierany dywan.**

**Przynajmniej nie musiała długo czekać. Ledwo zdołała odtworzyć w głowie jedną piosenkę Queersów, gdy usłyszała głucho pukanie do drzwi i skoczyła na równe nogi.**

**Odległość pomiędzy kanapą a drzwiami nigdy nie wydawała się tak duża. Co miała powiedzieć? Czy w ogóle powinna zawracać sobie głowę i cokolwiek mówić? Czy on się do niej odezwie?**

**Ssanie, które czuła w żołądku, dało jej odpowiedź, i to zanim zdążyła otworzyć**

drzwi. Stał z rękoma w kieszeniach i zaciętym wyrazem twarzy, wpatrując się w jakiś punkt za jej plecami, aż poczuła się jak drobinka kurzu na szybie.

–Cześć. – Cofnęła się, zapraszając go do środka. – My... To jest Oliver Fletcher. Wie, dokąd idziemy, więc jeśli chcesz wejść...

Terrible wzruszył ramionami i wszedł do środka, delikatnie skręcając tułów, by jej nie dotknąć w drzwiach.

Nawet na nią nie spojrział.

Czego się, do cholery, spodziewała? Że ją przytuli i wybaczy? Normalnie też się nigdy nie przytulali. To nie był chyba najlepszy moment, by to zrobić.

Fletcher wstał, chwiejąc się nieco na nogach. Świetnie. Tylko tego jej brakowało, pijanego czarodzieja – amatora. Ile whisky zdążył w siebie wlać? Czy on w ogóle coś jadł?

–Mam na imię Oliver – przedstawił się. – Czy pracował pan kiedyś w ochronie? Cały czas szukam...

–Mów, co wiesz, żebyśmy mogli z tym skończyć.

Fletcher spojrział w osłupieniu na Chess, a potem spytał:

–Chcesz wiedzieć, gdzie jest Kemp?

–Kemp to ten gość?

–Tak. – Zerknęła na Terrible'a, czekając, aż na nią spojrzy. Nie spojrział. – Pracuje z Vanitą. To znaczy z jej duchem. Pamiętasz, jak Tyson miał Gospodarza? To nie jest chyba taki sam układ, ale... Tak, pracuje z nią.

Terrible uniósł brodę, a potem ją opuścił, co było jedyną oznaką zdziwienia.

–Oliver zna Kempa. On też studiował w Kościele, więc może nam pomóc...

–Idziesz? – Terrible przyjrzał się Oliverowi od stóp do głów. – Możesz się tym zająć? Masz co trzeba?

Zagryzła wargę.

–Nie, oboje idziemy, on mi pomoże.

Popatrz na mnie, porozmawiaj ze mną, cokolwiek.

Nic z tego. Stał chwilę w miejscu, chłonąc to, co mu powiedziała, a potem wzruszył ramionami.

–Gdzie?

Chess spojrzała na Fletchera, który stał z szeroko rozstawionymi nogami, jakby miał problemy z utrzymaniem równowagi. Co za miernota.

–Fletcher? Gdzie?

–Co? Och, myślicie, że jest w jednym z naszych budynków? W tej części miasta są cztery. Jeden jest... chyba na Drugiej, gdzieś przy cmentarzu... co?

Chess niemal się zdrygnęła.

–Gdzie są pozostałe?

–Zastanówmy się. Na Osiemdziesiątej jest taki magazyn. Mieszkania są chyba na Mercer i Wharf. Ale z tego co wiem, budynek na Mercer niedawno spłonął.

–Wharf? Przy dokach?

Pokiwał głową.

–Chyba tak. Landrum je kupuje. Pamiętam adresy, bo akurat parę dni temu je sprawdzałem. Wypełniałem papiery podatkowe.

Terrible po raz pierwszy na nią spojrzał, ale jego oczy wciąż były skupione na jakimś punkcie tuż nad jej głową. Jakby jej tam nie było, jakby była niewidzialna.

–Masz wszystko, czego potrzebujesz?

–Zaraz wezmę. Możesz mi pomóc? Niektóre rzeczy są na półce w szafie.

Wiedziała, że to nie było zagranie fair. Ale jeśli nie chciał z nią rozmawiać...

–Fletcher nie jest mały, nie? Pewnie chętnie ci pomoże.

Fletcher patrzył niepewnym wzrokiem to na Chess, to na Terrible'a.

–Jasne, pomogę ci.

W sypialni panował totalny bałagan. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni tam sprzątała. Tylko tego brakowało, żeby Fletcher widział brudne ciuchy porozrzucane na podłodze i rozwalone łóżko.

**Ale trzeba przyznać, że nie zwrócił na to uwagi. Jak posłuszne dziecko podawał jej z górnej półki różne pudełka i torebki.**

**–Co się dzieje między tobą a wielkoludem?**

**–O czym mówisz? – Będzie potrzebowała ricanthy i althei, skoro i tak były używane. Przydadzą się też ciemiernik, melidia i imbir. Tak naprawdę... Chwyliła pudełko, w którym trzymała zioła i różne składniki i wsypała wszystko do torby. Psychopompę, czaszkę owiniętą jedwabiem. Świece. Dodatkową czarną kredę do znaków ochronnych. Miała ziemię cmentarną z grobu Vanity. Miała nóż, ale może warto było wziąć jeszcze jeden, tak na wszelki wypadek i chyba będzie musiała wziąć przenośną apteczkę.**

**Nie chciała za to omawiać zawiłości swojego związku z Terrible'em. Zwłaszcza z szantażystą.**

**–Myślałem, że jesteście przyjaciółmi, ale chyba już nie. Czy to ma coś wspólnego z tym Azjata?**

**–Skąd... – Jasne. Zdjęcia. – To nie twój interes.**

**–Próbowałem tylko nawiązać rozmowę. – Cholera, czy on był naćpany? Oczywiście że tak. Naćpany i rozgadany. Coraz lepiej.**

**–To nie próbuj. – Skończyła się pakować i zapięła torbę. – Chodźmy.**

**\*\*\***

**Na zewnątrz panował taki mróz, że miała wrażenie, iż jej rzęsy pokryły się soplami lodu. Ale i tak zostawiła kurtkę w samochodzie Terrible'a. To nie miało żadnego znaczenia. Czula, że nic nie jest w stanie jej rozgrzać po tej lodowatej, milczącej podróży. Terrible włączył na cały regulator Assuck, kapelę, której nie cierpiała, i nie słyszała własnych myśli. Nie żeby jej na tym bardzo zależało.**

**Obserwował ją, gdy zakładała torbę na ramię i chwyciła z podłogi swój pręt. Fletcher został w samochodzie. W ostatniej chwili opuścił ciepłe wnętrze.**

**Wcale mu się nie dziwiła. W pobliżu doków unosił się smród glonów morskich, benzyny i kwaśny odór stojącej morskiej wody. To w niczym nie przypominało prawdziwego oceanu, który widziała kiedyś... z Terrible'em.**

**Odsunęła od siebie to wspomnienie, zanim na dobre nią zawładnęło i rozejrzała się po cichej ulicy. Dziwne. Nigdy wcześniej nie była w tej okolicy. Mieszkańcy Dolnej raczej trzymali się swoich dzielnic, ale to wyglądało na dość ruchliwe miejsce. Budynek naszpikowane były barami, a w ciemnych oknach widziała neony z piwem.**

Tyle że brakowało stojących przed nimi tłumów. A po ulicach nie wałęsały się żadne dzieciaki, szukające czegoś do jedzenia, miejsca do bójki lub do pieprzenia. Nawet muzyka wydawała się przytłumiona.

Ale... na pewno byli w dobrym miejscu. Czowała to, jej tatuaże zaczęły się rozgrzewać, a energia duchów pełzała po jej skórze jak maleńkie tajemnicze palce. Była silna. Na tyle silna, że Chess poczuła na całym ciele ciarki, które nie miały nic wspólnego z kryształowo zimnym powietrzem.

–Czy ktoś jeszcze z nami idzie?

Terrible wzruszył ramionami.

–Nie dzwoniłaś do swojego chłopaka?

Cholera. Zasłużyła sobie na to, prawda?

–On nie jest moim chłopakiem.

–A kim, klientem?

Au!

–Nie dzwoniłam do niego.

–Nie? Myślałem, że mówisz mu o wszystkim, czego się dowiesz. Nie tak to działa?

–Nie, to nie „działa” w żaden sposób. Terrible, gdybyś tylko pozwolił mi wyjaśnić, gdybyś mnie wysłuchał...

–Może potrzebuję trochę czasu.

–Tak? – Do diabła z nim. Musiała się skupić, skoncentrować, a on jej nie pomagał. – To idź z tym gdzie indziej. Mamy tu coś do zrobienia, tak?

To było dobre. Chyba nawet zabrzmiało, jakby naprawdę tak myślała. Jakby nie bolało jej gardło, oczy nie piekły, a żołądek nie przypominał czegoś, co zaschło i zdechło w jej brzuchu.

I oczywiście miał rację. Przekazywała Lexowi jakieś tam informacje. Nic ważnego. Nic takiego, co mogłoby komukolwiek zaszkodzić. Ale okoliczności ich poznania... To, że zgodziła się schrzanić sprawę z lotniskiem Chester. Nie miała wyjścia. Choć wątpiła, by Terrible był tego samego zdania.

Ale powie mu. Opowie mu o wszystkim, jeśli tylko jej na to pozwoli. Oby to coś zmieniło.

**–Dobra, bierzmy się do roboty. Nie chce mi się z tobą gadać, kumasz?**

**–To jest nas dwoje.**

**Gapił się na nią przez minutę z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Potem zapukał w szybę samochodu i kazał Fletcherowi wysiąść.**

**Olivier lekko się zatoczył. Chess się skrzywiła.**

**–Wszystko w porządku, Fletcher? Może powinieneś zostać w samochodzie?**

**–Bzdura. Horatio jest moim przyjacielem. Powinienem przy tym być.**

**–Tak, ale... – Kątem oka zauważyła jakiś ruch. Mężczyzna, chudy i brudny jak bezpański pies, wyszedł z bocznej uliczki i ruszył w ich stronę. Nic nadzwyczajnego. Szanse na to, by stać sobie spokojnie na ulicy w Dolnej i nie zostać zaczepionym przez sprzedawcę garnków, bandytę lub jeszcze gorzej, były dość nikłe, a kurczyły się jeszcze bardziej, im dłużej pozostawało się nieruchomym celem.**

**Nie bała się bandytów ani innych zbirów, nie, gdy Terrible przy niej był. W tej chwili nie uratowałby jej skóry, ponieważ tego chciał, ale dlatego że przyjechali, by wykonać zadanie, i wiedziała, że traktuje to serio. Do diabła, już sama jej obecność o tym świadczyła, prawda? Zwłaszcza że patrzył na nią tak, jakby go miał ucieszyć jedynie widok martwego ciała Chess.**

**Ale coś było nie tak z mężczyzną na ulicy. Nie wiedziała, czy chodzi o jego dziwne, puste spojrzenie, czy raczej, że wydawał się nie mieć bladego pojęcia, co robi jego ciało. Zignorował ich, nie zwracając najmniejszej uwagi na zaparkowanego na chodniku chevelle'a. Jakby ich tam nie było.**

**–Hej! – krzyknął Terrible, ale tamten nawet nie mrugnął okiem. Spod przymkniętych powiek wpatrywał się w jakiś punkt tuż przed nim. Chociaż... nie. Gapił się na coś, co było poza zasięgiem jego oczu, coś, co łagodziło wyraz jego twarzy i sprawiało, że mimo mrozu szeroko otworzył usta.**

**Wyglądał jak facet, który miał zamiar iść z kobietą do łóżka.**

**Terrible i Oliver musieli pomyśleć o tym samym. Cała trójka spojrzała na siebie, a na ich twarzach odmalowało się zrozumienie.**

**–Prostytutki – zaczęła Chess. – Klie... ci mężczyźni. One ich zabijają.**

**–Niezły sposób, by odejść. – Ale uśmiech zniknął z twarzy Olivera, gdy Chess i Terrible posłali mu groźne spojrzenie. Wzruszył ramionami. – A co, może nie? W moim wieku myśli się o takich...**



**Chess sięgnęła po telefon.**

**–Potrzebujemy więcej ludzi. Jeśli są tam mężczyźni, nawet tylko kilku, i będą tak samo sfiksowani, a może nawet uzbrojeni, mogą się stać niebezpieczni.**

**–Jasne. Nie chcesz nic robić bez Lexa, co? Wolisz, żeby sam się wszystkiemu przyjrzał, nie?**

**Żadna z odpowiedzi, które przyszły jej do głowy, jej nie zadowalała, więc jedynie spojrzała na niego spode łba i wybrała numer.**

**–Proponuję, żebyś zadzwonił do Bumpa i powiedział mu, co jest grane.**

**–Gówno mnie obchodzi, co proponujesz.**

**Lex odebrał.**

**–O co chodzi, tulipanku?**

**Wyjaśniła mu sytuację, co jakiś czas zerkając przez ramię. Terrible rozmawiał przez własny telefon, nie spuszczał z niej czarnych, zimnych jak stal oczu, gdy chodziła w tę i z powrotem po chodniku. Rozbierał ją wzrokiem.**

**–Dobra – rzucił Lex. – Zaraz do was wpadnę. Zaczekacie, co nie?**

**Wsunęła telefon do torby i wyciągnęła czarną kredę.**

**–Chodźcie tu, obaj. Musimy się zabezpieczyć.**

## ROZDZIAŁ 28

Oliver, którego twarz była niemal całkowicie ukryta za magicznymi symbolami, palił papierosa oparty o bok chevelle'a. Był naprawdę niezły. Sam narysował znaki na swoich rękach: pokazał Chess kilka sztuczek, na które nie wpadła. Szkoda że przygoda z Kościołem tak się dla niego skończyła, pomyślała, powstrzymując uśmiech. Wcześniej była przekonana, że był morderczym szantażystą pedofilem. Okazało się, że jest tylko szantażystą. Cóż, każdy miał jakieś wady.

Przynajmniej z nią był. Tu i teraz. Może mu wybaczy, że zmuszał ją, by po raz kolejny okłamała Kościół, tylko dlatego, że z nią tu przyjechał i chciał jej pomóc.

Szkoda jedynie, że nie wszyscy byli skłonni do wybaczenia.

Terrible siedział na stercie skrzynek na krawężniku, z wyciągniętymi nogami i założonymi rękoma. Musiała go naznaczyć, narysować na jego skórze ochronne runy i znaki, żeby był bezpieczny, ale na samą myśl, że miałyby to zrobić...

No dobra, to było kłamstwo. Nie musiała tego robić. Mogła poprosić Olivera. Dużo pamiętał, mimo że był nawalony. I na pewno miał w sobie moc.

Chciała to zrobić. Takie były fakty i prawda. Chciała go naznaczyć, znowu go dotknąć. Bo gdzieś głęboko w środku myślała, że jeśli to zrobi, jeśli się do niego zbliży i spojrzy mu w oczy, będzie mogła mu wszystko wyjaśnić. Odzyska go. Nawet jeśli już jej nie pragnął, mógł być jej przyjacielem. Tęskniła za nim. Minął ledwie jeden dzień, a już za nim tęskniła.

–Żałosne – wymamrotała, ale kreda drżała jej w palcach. gdy stanęła między jego nogami. – Spójrz w górę.

Zerknął na nią, a potem odwrócił wzrok.

–Terrible. Odchyl głowę. No dalej.

Przez chwilę się nie ruszał. Trwało to tak długo, że zaczęła się zastanawiać, czy nie wezwać jednak Olivera. Potem lekko skinął, jakby podjął jakąś decyzję i odchylił głowę, podnosząc oczy do nieba. Nie patrzył na nią.

Chess zagryzła wargi i pochyliła się do przodu.

Wzdrygnął się, gdy położyła koniuszki palców na jego karku, tuż za linią szczęki. Jakby jej dotyk sprawiał mu ból.

Może tak było. Sama nie czuła się najlepiej.

Znowu poczuła to samo. Jej nozdrza wypełnił zapach brylantyny, dymu i mydła, czuła pulsujące pod jego skórą żyły, słyszała, jak wstrzymał oddech i zauważyła jego pochmurny wzrok, gdy zdał sobie sprawę, że go słyszy.

Nakreśliła mu na czole podstawowy znak ochronny, przez moment skupiając się na tym, co robi i wkładając w to jak najwięcej mocy. Potem dodała kilka runów. Jeden, by dać mu siłę, drugi, by rozwiać strach. Nie żeby potrzebował któregokolwiek z nich, ale lepiej się z tym czuła.

Lewą rękę przesunęła na jego kark, żeby odchylić mu głowę, a jej palce zaplątały się w jego włosy. Bokobrody musnęły jej nadgarstek. Czy czuł, jak wali jej serce?

Przysunęła się bliżej, niż miała zamiar, aż wcisnęła nogi w jego uda, a jego broda znalazła się tuż nad jej piersiami. Gdyby spojrzał w dół albo przed siebie...

Przełknęła ślinę. Przesunęła kredą po jego policzku, dodając wszystko, co przyszło jej do głowy, by go ochronić i rozproszyć jak najwięcej mocy, z którą mieli się zmierzyć.

Objęła ręką jego twarz i marzyła o tym, by trwało to wiecznie. Kiedy jego oddech ogrzewał delikatną skórę na jej ramieniu, jego usta milczały, a wściekłe spojrzenie skierowane było w inną stronę. Mogła niemal udawać, że nic się nie zmieniło. Kiedy był tak blisko niej, tak blisko, że jego szerokie plecy osłaniały ją przed wiatrem, mogła sobie wyobrazić, że nie stoją na ulicy. Że znajdują się w zupełnie innym miejscu, gdzieś, gdzie było ciepło i ciemno, a pościel ocierała się o ich nagą skórę.

Poczuła na całym ciele ciarki. Częściowo przez moc. Wezwała jej tyle, ile tylko mogła, pozwalając, by płynęła z jej ciała do niego, przez jej dłonie i kredę. Ale pozostała część... To była ona, pragnęła go. A podniecenie zaczęło się wspinać po jej kręgosłupie, dotykając każdego nerwu w jej ciele, zalewając wnętrze i kumulując się tuż pod brzuchem.

–Druga strona. – To był jej głos? Wydawał się suchy i szorstki, zbyt cichy, ale jednocześnie zbyt głośny na opustoszałej ulicy.

Posłuchał jej, unosząc twarz, a ich spojrzenia się spotkały.

Kreda wyleciała jej z rąk.

Nadal jej pragnął. Widziała to w jego rozpalonym spojrzeniu. Poczuła to w jego ciele, gdy niemal jej dotykał, w zbyt ciężkim oddechu i przyspieszonym pulsie. Był wściekły, co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Ale pragnął jej i wiedział, że ona też go pragnie. Wiedział, że nie chodziło jej tylko o to, by go ochronić, że próbowała go uwieść.

Wpatrywali się w siebie przez długą chwilę, jej palce były odrętwiałe i całe się trzęsły. Ale cały czas dotykały jego szczęki, a jej głowa sama pochyliła się, próbując się do niego zbliżyć. Włosy jej opadły, ukrywając ich w ich własnym prywatnym świecie. Jeszcze parę centymetrów i zaczną się całować, jeszcze tylko kilka maleńkich centymetrów...

Coś musnęło jej udo. Jego ręka. O Boże, jego ręka. Przesunęła się wyżej, nad kolano, a Chess otworzyła usta i westchnęła, wydając z siebie cichy jęk. którego nie była w stanie powstrzymać. Mocno ścisnął ją dłonią, a całe jej ciało przeszył dreszcz. Wiedziała, że wyczuł przez dżinsy, jak bardzo była rozpalona. Utonęła w jego oczach, dzieliła ich już tylko szerokość włosa i poczuła na ustach jego gorący oddech.

Zesztywniał, przełknął ślinę.

–Chess.

–Tak? – wykrztusiła dopiero za drugim podejściem.

–Mam przy sobie parę pigulek. Chcesz? Potem wpadnę i cię zerznę. Nie wiem, ile bierzesz, ale...

Uderzyła go w twarz. Na tyle mocno, że jej ręka zawyla z bólu, a całe ramię zrobiło się ciężkie i obolałe. Jego szczęka przypominała kawałek betonu. Dupek, cholerny...

O kurwa. Zeskoczył ze skrzynek, oczy błyszcząły mu a gniewu, a na zaróżowionej twarzy widoczny był ślad jej ręki. Uniósł dłoń, cofnął ją...

Chess próbowała zrobić unik, ale wiedziała, że już za późno. Walnęła na odlew Terrible a. Nikt, kto go uderzył, nie przeżył...

Ale cios nie spadł. Zamiast tego rzucił skrzynkami. Poszybowały w stronę obokurwego baru i rąbnęły w poplamione cegły, aż wokół poleciały wióry. Huk był tylko trochę głośniejszy od ryku Terrible'a.

–Cholera! – Oliver. Kurcze, zupełnie o nim zapomniała. Schylił się, wpatrując się w nich tak, jakby celowali do niego z broni, – Do diabła, co się z wami dzieje?

–Ją o to zapytaj – stwierdził Terrible, mierząc w nią grubym palcem, jakby ją o coś oskarżał. I tak było. – No dalej, zapytaj.

–Idź do diabła, Terrible. Pierdol się.

–Sama się pierdol, ty mała kłamliwa dziwko.

–Dupek.

**–I co, fajnie się czujesz, jak ktoś cię wykorzystuje? – Zmrużył oczy. – Głupio się czujesz?**

**Otworzył usta, jakby chciał coś dodać, ale wtedy wtrącił się Oliver, poprawiając podartą, zakrwawioną koszulę, jakby szykował się do wygłoszenia mowy na bankiecie.**

**–Muszę wam przypomnieć, z czym mamy do czynienia? I że mam w szpitalu rodzinę i przyjaciół? Nie tak wyobrażałem sobie miły wieczór, więc przestańcie skakać sobie do oczu.**

**–Ty też się pieprz – powiedziała, ale bez złości. Nie dała rady. Gniew ją opuścił, zastąpił go smutek. Oczy zaczęły ją piec, w gardle poczuła ból i wiedziała, że zaraz się rozpłacze. Myślała... była taka głupia, ale przez chwilę wydawało jej się...**

**Odwróciła się, nie chcąc, by na nią patrzyli. Marzyła tylko o tym, by zniknąć. Nie chciała tu być. Wolałaby pójść do palarni i utopić ból w chmurze gęstego, słodkiego jak miód dymu. Marzyła o tym, żeby połknąć wszystkie pigułki, które miała w pudełku, i zapomnieć o całym świecie.**

**Widok parkującego samochodu Lexa wcale nie poprawił jej humoru. A widok jego twarzy tym bardziej.**

**–Co do cholery... – zaczęła, ale potem sobie przypomniała. Terrible go znokautował, prawda?**

**Wyglądało na to, że zrobił coś więcej. Cała lewa część twarzy Lexa była posiniaczona i spuchnięta, a jego oczy ledwo było widać spod brwi.**

**–Cześć, tulipanku – powiedział, a Chess się skrzywiła. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, to usłyszeć jego czułe przydomko. Albo jeszcze lepiej: żeby Terrible to słyszał.**

**Lex zauważył jej spojrzenie i zerknął na Terrible'a, który stał obok z założonymi na piersi rękoma i odwróconą twarzą.**

**–Złamał mi szczękę. Jest cała w drutach.**

**Przynajmniej wydawało jej się, że to właśnie powiedział. Mogła się jedynie domyślać, bo jego słowa były niewyraźnie i przytłumione, a szczęka pozostała nieruchoma. Nic dziwnego, że przez telefon ledwo go słyszała.**

**–Cholera. – Wyciągnęła do niego rękę, ale zaraz ją cofnęła. – Przykro mi.**

**Wzruszył ramionami.**

**–Nie żebym był zaskoczony. Mieliśmy pecha.**

**–Niezupełnie.**

**–Co?**

**–To nie był pech. Zostaliśmy... To znaczy, ktoś mnie wrobił. Jestem pewna. Faceta, który prowadzi ten dom. Zostawił Terrible'owi wiadomość, nie wiem w jaki sposób.**

**–I nie masz zamiaru pytać, co?**

**–Nie.**

**Wraz z Lexem z samochodu wysiadło kilku mężczyzn. Stanęli za nim, a ich przystojne, ciemne twarze pozostały nieruchome. Wpatrywali się w Terrible'a.**

**Ten ruszył się dopiero wtedy, gdy dołączyła do nich kolejna grupka osiłków, których najwyraźniej wezwał. Wpatrywali się w ludzi Lexa jak kocury broniące swojego terytorium.**

**Czas się ruszyć. Chess oznakowała wszystkich, tak jak wcześniej Olivera i Terrible'a. Martwiła się trochę o Lexa. Nie mogła dotknąć lewej części jego twarzy i nie mogła tam wszystkiego narysować, ale zamiast tego namalowała symbole na jego szyi i klatce piersiowej czując na sobie palący wzrok Terrible'a.**

**Nienawidził jej. Pewnie nadal jej pragnął, w końcu był tylko facetem, a faceci tak łatwo nie przestają marzyć o tym, by kogoś przelecieć. Przynajmniej tak jej się wydawało. Ale ich przyjaźń i przeczucie, że są na progu czegoś więcej, czegoś, co nie wydawało jej się wcześniej możliwe... To minęło. Na dobre. Będzie miała farta, jeśli w ogóle zechce ją dziś chronić. Zresztą nawet jeśli to zrobi, to tylko dlatego, że był to winien Bumpowi, tym martwym prostytutkom i zaginionym mężczyznom.**

**A Lex? Nie miała pojęcia, jak się zachować. Wiedziała, że powinna z nim skończyć. Ale czy to miało teraz jakiegokolwiek znaczenie? Terrible i tak jej nie wybaczy, nawet jeśli zerwie z synem Slobaga.**

**Poza tym lubiła Lexa. Może i nie byli idealnie dobrani i oboje wiedzieli, że nie ma dla nich przyszłości. Do diabła, nie mieli co do tego żadnych wątpliwości, ale rozśmieszał ją i nakręcał. I był całkiem przyzwoitym towarzyszem, który nie zadawał żadnych pytań i nie próbował odbywać z nią poważnych, znaczących rozmów. Na wiele sposobów był idealnym pseudochłopakiem.**

**Ale jeśli z niego nie zrezygnuje, za nic w świecie nie naprawi stosunków z Terrible'em.**

**Więc co miała zrobić? Zostać przy tym, co było pewne, czy odpuścić sobie w zamian za możliwość, bardzo niewielką szansę na coś innego...?**

**Westchnęła. Nie było sensu o tym rozmyślać. Wszystko zepsuła. Wiedziała, jakie mogą być konsekwencje, ale i tak to zrobiła. Samodestrukcja to jedno, ale ona powoli zamieniała się w jednoosobową niszczycielską torpedę.**

**Sięgnęła po kolejne pigułki, połknęła je i zerknęła na swoją poszarpaną bandę.**

**–Dobra – powiedziała. – Idziemy.**

**Odnalezienie budynku nie było trudne. Przed drzwiami ustawiała się kolejka cierpliwie czekających mężczyzn, która zawijała aż za róg. Poza tym Chess słyszała wołanie, ciche jak delikatny erotyczny szept na skórze, ale z każdym kolejnym krokiem coraz silniejsze i mroczniejsze.**

**Budynek niczym nie różnił się od innych stojących wzdłuż zniszczonej ulicy. Łuszcząca się, odpadająca farba, która kiedyś była pewnie biała albo szara, trzymała się ścian jak zaogniona wysypka. Z ogrodzenia werandy zostało tylko kilka rozklekotanych szczebelków. Budynek powinien być martwy jak kolejne puste ciało do skremowania.**

**Ale Chess wiedziała, jak jest naprawdę. Wdziała ten dom przez otaczającą go zielonoczną magiczną mgłę. Wyglądał jak drapieźnik, który ich obserwował i czekał, a jego przymknięte, opadające powieki udawały senność.**

**W oknach nie było żadnych świateł. Parę metrów dalej wciąż dymiły zwęglone resztki podobnego budynku. Musiał się spalić, gdy jego mieszkańcy zostawili włączony grzejnik albo zapalone świece, spiesząc się, by skorzystać z uciech proponowanych przez Vanitę i Kempa. Dobrze przynajmniej, że ulokowali się na skraju miasta. Gdyby wykorzystali któryś z budynków w centrum Dolnej Dzielnicy, połowa mieszkańców wpadłaby w ich pułapkę.**

**Odwróciła się i spojrzała na mężczyzn. Razem z Oliverem wymyślili znak chroniący przed seksualnym podnieceniem. Chyba działał. Żaden z nich nie dołączył do kolejki, chociaż kilku wydawało się lekko oszołomionych. Nie miała pojęcia, jak długo znak będzie ich chronił. Jak już wejdą do środka...**

**Pokręciła głową. Później o tym pomyśli. Najpierw musieli pozbyć się klientów. Nie mogli ich tak zostawić, odwracali uwagę i stanowili zbyt duże zagrożenie.**

**–Dobra. – Postawiła torbę na ziemię i skrzyżowała ręce. Przynajmniej przez chwilę mogła o wszystkim zapomnieć i skupić się na czymś innym niż jej problemy. – Chcę nakreślić wokół budynku krąg, żeby nie musiała tego robić pojedynczo, gdy będę w środku. Oliverze, myślisz, że nasz znak przerwie zaklęcie rzucone na tych facetów?**

**–Nie wiem, ale możemy spróbować.**

**–W porządku. Zobaczymy, co się stanie. Wolałabym nie robić zamieszania. Pewnie i tak już wiedzą, że jesteśmy, ale...**

**Oliver wziął od niej kawałek czarnej kredy i ruszył w kierunku mężczyzn w kolejce. Chess wstrzymała oddech.**

**Mężczyzna, którego wybrał Oliver, nie zwracał na niego uwagi, dopóki znak nie był skończony. Oliver zerknął w jej stronę, jakby chciał zapytać, co o tym myśli, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, mężczyzna pokręcił głową, rozejrzał się wokół, jakby nie miał pojęcia, co się dzieje, i opuścił kolejkę. Świetnie.**

**–Dobra. Oliverze naznacz ich wszystkich, a ja zacznę kreślić koło.**

**–Może pójde z tobą? – Lex trzymał już w pogotowiu nóż, a pod jego koszulą dostrzegła zarys pistoletu.**

**Terrible prychnął i się odwrócił. Chess nie zwracała na niego uwagi.**

**–Dobra. Ale żadnego gadania. Muszę się skupić.**

**Ustawiła na chodniku pręt, kierując go na wschód, przyczepiła żelazną podstawę i po obu stronach umieściła świece. Poczowała coś. Nie wiedziała co, ale działo się coś dziwnego. Coś więcej niż strach, który pełzał jej po plecach, czy smutek z powodu tego, co wydarzyło się między nią a Terrible'em. Cholera, naprawdę myślała, że jej wybaczy, po tym co mu zrobiła? Coś więcej niż żal z powodu śmierci tak wielu ludzi.**

**Nie. Coś było nie tak, ale nie wiedziała co. Miała jednak wrażenie, że zaraz się dowie.**

**Torba soli, którą zabrała ze sobą, choć duża i ciężka, nie była jednak wystarczająco pojemna, by nakreślić wokół całego budynku grubą linię, taką jaką by chciała. Wiatr też w tym nie pomagał. Będzie musiała sypać sól cienką warstwą, w nadziei że potrafi jej nadać tyle mocy, by się utrzymała.**

**Przydałaby się też jeszcze jedna psychopompa. Cóż, w życiu nigdy nic nie przychodziło łatwo...**

**Nagle usłyszała krzyk za plecami i w tym samym momencie jej pozostałe zmysły wszczęły alarm. To było zbyt proste, prawda? Jak mogła sądzić, że jeden znak wystarczy? Że unoszące się w powietrzu zaklęcie zostanie przerwane za pomocą jednego głupiego znaku?**

**Tak, to było głupie. Odwróciła się i zobaczyła, jak rozpoczęła się walka.**





## ROZDZIAŁ 29

Stojący w kolejce mężczyźni w ciągu kilku sekund zamienili się z ogarniętych pożądaniem zombie w rozwścieczony tłum. Inni, odziani w szaty podobne do tej, którą Kemp miał na sobie w krematorium, wypadli nagle z budynku. Nie było ich wielu – pięciu, może sześciu – ale ich moc uderzyła ją w żołądek niczym pięść. Wszyscy byli gospodarzami. Duchy, z którymi dzielili ciała, obdarzyły ich wyjątkową energią. Cholera, jeśli zginą, duchy się podniosą...

Nic na to nie poradzi. Mogła jedynie jak najszybciej nakreślić krąg, żeby wziąć się do pracy. Gdyby nie było kręgu, psychopompa mogłaby uciec – pofrunąć do miasta i zabrać ze sobą wszystkie dusze, na jakie miałyby ochotę. To byłoby morderstwo. I poniosłaby za nie odpowiedzialność, gdyby złapali psychopompę i odkryli, iż należała do niej.

–*Septikosh, septihosh* – mruzczała pod nosem. Starła się zachowywać cicho i nie zwracać na siebie uwagi, tak długo, jak było to możliwe. Stojący obok Lex wyciągnął pistolet i pochwycił jej spojrzenie. Kiwnęła głową i ruszyła dalej, strzepując z palców sól.

Minęli róg. Chess cały czas skupiała się na kręgu, na zaklętych słowach wydobywających się z jej ściśniętego gardła. Energia sprawiała, że włosy na karku stały jej dęba. Moc była tu taka silna, cholera...

Każdy kolejny krok był jak krok w stronę śmierci. Zrobiło jej się ciemno przed oczami. Nie tylko z powodu unoszącej się wokół energii, ale dlatego, że czuła czyste zło. Cały budynek był zabezpieczony. Żadna niespodzianka, to właśnie trzymało tych mężczyzn na zewnątrz. Pewnie mieli jakiś alarm wyczuwający nieznaną magię. Nie miała pojęcia, jak szybko jej i Oliverowi uda się go złamać. Jeśli w ogóle im się uda.

Zajmie się tym później. Jeśli w ogóle uda jej się zająć tak daleko. Cały czas nie wiedziała, kto obserwował ich ze środka, tam gdzie byli Kemp i Venita.

Kolejny róg i znaleźli się na tyłach budynku. Żadnych świateł, a księżyc skrył się gdzieś za połamanym, betonowym horyzontem. Groźne cienie porzrzucanych na ziemi cegieł zamieniały zwyczajne kształty w czyhające potwory, gotowe, by na nią skoczyć.

Włosy opadły jej na twarz i zatrzymała się na chwilę, by wyciągnąć z kieszeni gumkę i związać je w kucyk. Przez przypadek zerknęła w prawo, na stojący pod ścianą pojemnik na śmieci, z którego wystawała ręka.

Podobny pojemnik widziała przed krematorium. Oczywiście. Te wszystkie zaginione ciała musiały się gdzieś podziać, prawda? Już wcześniej zastanawiała się, dlaczego

**zabójcy nie zabierali ze sobą ciał prostytutek. Byli zbyt zajęci pozbywaniem się zabitych mężczyzn. Ich śmietniki były pełne.**

**Temu makabrycznemu odkryciu towarzyszył lekki zapach rozkładu, do którego zdążyła się przyzwyczaić parę miesięcy wcześniej. Próbowła nie zwracać na niego uwagi. Wolnym, równym krokiem posuwała się naprzód, a jej głos wciąż był spokojny. Linia za nią się połączyła. Jak na razie zarówno sól, jak i szczęście jej sprzyjały.**

**Lex cały czas stał u jej boku, uważnie rozglądając się wokół. Dodało jej to otuchy. Mogła się skupić na magii i zapomnieć o całej reszcie.**

**Ale coś się zbliżało, rosnęło w niej i w powietrzu wokół nich. Na jej skórze pojawiły się kropelki potu. Jej serce waliło z całych sił, a ciało zaczęło swędzieć, jakby zapomniała o kolejnej dawce. Gdyby miała coś w żołądku, pewnie by to zwróciła. Z każdym kolejnym krokiem czuła się tak, jakby przedzierała się przez błoto, które oklejało jej nogi i próbowało wessać ją do środka.**

**Poprzez bicie własnego serca i swój głos słyszała krzyki walczących przed budynkiem mężczyzn. Kolejny problem, który musiała zignorować, przynajmniej do chwili, gdy wreszcie opuści alejkę i znajdzie się w bladym świetle.**

**Widziała poruszające się przed nią cienie, w powietrzu czuć było gniew i przemoc. Próbowaly wdrzeć się do środka, sprawiając, że w jej żyłach zaczęła krążyć adrenalina. Niedobrze. Magia wymagała spokoju i skupienia, a okazywanie duchom jakichkolwiek emocji nie było najlepszym pomysłem. Szczególnie strachu.**

**A wokół nich krążyły duchy. Strażnicy budynku, którzy zginęli albo wezwali do pomocy więcej duchów. Albo jedno i drugie. Na wpół przezroczyste kształty sunęły przez tłum, pojawiały się i znikaly.**

**Nie po raz pierwszy ucieszyła się, że był z nimi Oliver. Bez niego... Bez niego wszyscy mogliby zginąć. I pewnie by zginęli, przez nią i jej brak wyobraźni. Dała mu trochę ziemi cmentarnej i tojadu, ale nawet nie pomyślała, by dać je pozostałym. To właśnie powodowały zbyt silne emocje. Zabijały ludzi.**

**Lex zeszywniał. Uniósł pistolet. Chess wyciągnęła rękę, pochwyciła jego wzrok i pokręciła głową. Dopiero jak ktoś ich zobaczy.**

**Czyli za jakieś dziesięć sekund. Nie mieli jak od tego uciec. Żeby dokończyć zaklęcie, będzie musiała zbliżyć się do miejsca walki.**

**Z jej palców poleciały niebieskie iskry, gdy naszkicowała w powietrzu znak, który miał sprawić, by nie rzucali się z Lexem w oczy. Nie wiedziała, czy to coś da, czy nie, nie przy tej ilości energii, którą czuła w sobie.**

Zdążyli zrobić kilka kroków, gdy ktoś ich dostrzegł. Jeden ze strażników się odwrócił, otworzył usta i uniósł ręce. Blask księżyca odbił się od ostrza jego noża.

W lewej dłoni wciąż trzymała sól. Prawą ręką sięgnęła po ziemię. Gotowe.

Wystrzelił pistolet. Ledwo usłyszała jego huk, gdy na czole strażnika pojawiła się dziura, a jego ciało zastygło w zdumieniu.

Istota, którą miał w środku, wyslizgnęła się z jego osuwającego się ciała, zionąc lodowatym gniewem jak olbrzymia zamrażarka. Chess zmusiła się, by stanąć bez ruchu i czekać, aż istota podejdzie na tyle blisko, by mogła w nią rzucić ziemią.

Spokój nie trwał długo. Jeżeli ich fizyczna obecność nie wystarczyła, by przyciągnąć uwagę, wystrzał z pistoletu dopełnił sprawy. Wszyscy walczący zwrócili się w ich stronę i tylko świadomość, że jeśli się teraz podda, będzie musiała wrócić później, powstrzymywała Chess przed ucieczką.

Ale ruszyła przed siebie, mijając po drodze ciała. Z jej ust płynęły zaklęcia, które dla jej zmęczonego, ogarniętego paniką umysłu wydawały się niczym więcej jak bezsensownymi sylabami. Kreska z soli w jednym miejscu była grubsza, w drugim cieńsza. Ręce drżały jej z nerwów.

Przez mgłę zobaczyła Terrible'a i dostrzegła ściekającą po jego policzku krew, zanim znowu zniknął jej z oczu. Uderzały w nią ciała, łokcie wbijały się w jej żebra i ramiona, nogi niemal przewracały ją na ziemię. Cała nadzieja w tym, że nie zostawiła w kresce dziur i że sól wchłonie się w ziemię.

Miała przeczucie, że cała jej praca pójdzie na marne ale i tak nie mogła nic zrobić.

Wyciągnęła z kieszeni nóż, unikając uderzenia czyichś pięści. Już prawie czas zamknąć krąg.

Oliver pochwycił jej spojrzenie i zobaczył w jej ręku broń. Wykonała gest imitujący cięcie i wskazała na siebie, mając nadzieję, że zrozumie.

Zrozumiał. Kiwnął głową i podbiegł w stronę walczących na skraju mężczyzn. Tłum był wyraźnie mniejszy. Wokół krawędzi unosiły się wolno sunące duchy, kilka z nich było poza solnym kręgiem, wszystkie utrzymywane z dala mocą ziemi i zaklęć Olivera.

Czy powinna wysłać za nimi psychopompę, zanim wejdzie do środka? A może to strata czasu?

Chyba że... Jej wzrok powędrował w górę, w stronę krążących nad budynkiem ptaków, unoszących się na prądach powietrznych nad głowami walczących

mężczyzn. Psychopompy. Dzikie psychopompy, których nie zalecano przy rytuałach. Nigdy nie słyszała, by ktoś z nich korzystał, z wyjątkiem tej sowy, którą wykorzystali Kemp i Vanita. Wiedziała jednak, że najpierw ją wyszkolili i nieźle się przy niej napracowali. Na pewno.

To były pospolite ptaki – wróble, gołębie, wrony. Wydawało jej się, że dostrzegła też jastrzębia, ale zniknął, zanim zdążyła się upewnić.

Oliver krzyknął coś, czego nie zrozumiała. Zaczynał słabnąć, a w jego zgarbionych ramionach i wolnych ruchach dostrzegła zmęczenie. Jeśli wyczerpie energię, jeśli zostanie ranny albo zginie, nic nie powstrzyma duchów.

Dobra.

Z jej palców poleciały ostatnie kryształki soli, zamykając krąg. Wokół niej krążyła magia, wiatr przycichł. Czas dopełnić zaklęcie.

Rękojeść noża była ciepła i śliska od potu. Uniosła lewą dłoń nad solnym kręgiem. Prawą ręką przystawiła ostrze noża do lewej dłoni obok gojącej się rany z cementarza.

–Solą zamykam krąg. Krwią zamykam krąg. Swoją mocą zamykam krąg by był mocny i nie mógł się złamać.

Przy słowie „krew” szybkim i mocnym ruchem przecięła opuszkę palca. W rozcięciu pojawiła się krew, skapnęła na zewnątrz i uderzyła w sól.

Całe jej ciało zaczęło drzeć. Czarna magia stojąca na straży domu reagowała na jej zaklęcie. Czuła się tak, jakby ktoś rozrywał ją w dwie strony, obijał z obu stron jak kawałek mięsa, który dostał się do młynka do rozdrabniania odpadów. Z zaciśniętych ust wydobył się krzyk. Miała wrażenie, że głowa jej eksploduje.

Jakieś milion kilometrów dalej usłyszała krzyk Olivera. Cholera. On pewnie też oberwał. Jeśli to go unieruchomi. Owszem, wydawał się mocny, ale mimo swojego wykształcenia i wrodzonych umiejętności, nie był czarodziejem. Ona mogła z tym walczyć, przynajmniej tak jej się wydawało, ale nie wiedziała, czy Fletcher sobie poradzi.

Wyrzuciła do góry lewą rękę, obserwując pryskającą w powietrzu krew.

–Wzywam eskortę umarłych! *Ornithramii mordreus*, rozkazuję wam!

Moc uderzyła w nią jak ściana, mocno, nic nie widząc, nic nie czując, zimna jak śmierć. Jej ciało zawyło z bólu, a każdy mięsień i każdy nerw wibrował od cierpienia, próbując przyjąć uderzenie. To było zbyt silne, o wiele za silne. Zaraz rozpadnie się na kawałki, rozplynie w nicość. Jej mózg nie wytrzymał, a ta mała świadoma

**część, która jeszcze została, wrzeszczała na nią i waliła w nią pięściami, próbując przejąć kontrolę, zanim całkowicie oszaleje.**

**Nie wiedziała po co i jak, ale wypowiedziała kolejne słowa:**

**–*Ornithramii mordreus*, rozkazuję wam! Moją krwią i moją mocą, rozkazuję wam!**

**Nagle energia zniknęła, wylatując z niej z taką samą złością, jak wleciała. Chess chwiała się na nogach, wciąż obolała po mrocznym powitaniu, które Kemp i jego duch dla niej zgotowali.**

**Nad jej głową skrzeczały ptaki. Miała je. Przynajmniej tak jej się wydawało. Czula je głęboko w środku, w swoim umyśle. Były wściekłe, a jednocześnie ciekawe i walczyły z jej kontrolą.**

**Zrobiło jej się niedobrze. W głowie miała chaos. Nie miała bladego pojęcia, jak długo da się je kontrolować. Nie mogła wyjść z podziwu, że w ogóle udało się je złapać. Cały czas słyszała ostrzeżenia Starszego Bewicka o tym, jak nieprzewidywalne są dzikie ptaki. I że ich wykorzystanie podczas rytuałów może się okazać niebezpieczne.**

**Niebezpieczeństwo było kwestią względną. Mogła wykorzystać ptaki i umrzeć – albo ich nie wykorzystać i umrzeć na pewno. Razem ze wszystkimi innymi.**

**Postawiła na ziemi tacę z ogniem i wsypała do niej zioła. Tojad i imbir, drzewo sandałowe, pluskwicę groniastą, hyzop i diabelskie zioło. Zapaliła zapalniczkę i przystawiła płomień do ziół.**

**Z tacy buchnął ogień, na parę sekund rozgrzewając jej skórę. Pakowała się w takim pośpiechu, że z rozpędu wrzuciła do torby kilka odwodnionych dżdżownic, twardych i poskręcanych jak kawałki kory. Wrzuciła je do ognia. Niewielka ofiara, zapowiedź większej, którą miała zamiar złożyć.**

**Tym razem przecięła dłoń, ledwo zauważając ból przez pulsującą w żyłach magię. Jej ciało pulsowało tym samym rytmem, w głowie dudniło. Przed oczami trzepotały jej skrzydła, pióra ocierały się o skórę. To nie były ptaki, ale ich moc, ich esencja, walcząca z jej kontrolą.**

**–Oferuję eskortie spokój za jej pomoc – powiedziała, obserwując, jak krew skapuje w ogień. By zobaczyć, czy jej ofiara zostanie zaakceptowana.**

**Ptaki ucichły.**

**Chess spojrzała w górę. Cały czas szybowyły nad jej głową, odbijając w skrzydłach blask księżyca, ale nie wydawały z siebie żadnego dźwięku. Ich gorączkowa energia ucichła w jej głowie. Wciąż były dzikie, wciąż nieprzewidywalne, ale przynajmniej na**

razie się poddały.

–Eskorto umarłych, rozkazuję wam, zabierzcie te dusze, które nie powinny tu być. Moją krwią, moją mocą, moją ofiarą, zabierzcie je z tego świata, z powrotem do miejsca ciszy!

Ptaki zawróciły. Po raz pierwszy od chwili, gdy ich minęła, Chess spojrzała na walczących mężczyzn.

Byli ledwo widoczni. Wokół niej unosił się czarny dym, symbol mrocznych strażników. Była tak zajęta ptakami, że nie zwracała na nic uwagi, ale gdy się zatrzymała, poczuła to, usłyszała wokół szepty, które próbowały ją osłabić.

Dostrzegła ponad tłumem głowę Terrible'a. Wciąż trzymał się na nogach, wciąż walczył. Kątem oka zauważyła sterczące włosy Lexa, bladą, wycieńczoną twarz Olivera i kilku innych, których rozpoznała.

Ale wszędzie były ciała i wszędzie były duchy. Ptaki sfrunęły w dół. Oliver odwrócił głowę i w ostatniej chwili zauważył ptaki oraz otchłań, która utworzyła się za nimi. Jego usta wypowiedziały słowa, których nie słyszała, i uniósł ręce, by odepchnąć żywych od otwartej bramy.

Duchy wymachiwały w powietrzu rękoma, próbując walczyć, ale wszystko na nic. Ptaki wykonały swoje zadanie, szeroko rozpościerając skrzydła, gdy schodziły w dół, chwytając zgubione dusze w ostre szpony i zabierając je ze świata żywych.

Chess czuła, jak się ruszają, czuła każde napięcie pazurów, każde machnięcie skrzydłami, jakby sama to robiła. Jej ciało zaczęło się poruszać, naśladując ruchy zwierząt, ogarnięte przez płynącą w jej żyłach magię.

Wydawało się, że wszystko dzieje się bardzo wolno, że zajęło dużo czasu, ale gdy otchłań się zamknęła, zdała sobie sprawę, że minęło zaledwie kilka sekund.

Nie wszystkie ptaki zniknęły. Część z nich nadal krążyła wokół budynku, czekając na kolejny rozkaz.

Szkoda tylko, że nie wiedziała, jak miałby brzmieć. Chyba był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Oliver wyłonił się z wirującej czarnej mgły. Za nim pojawił się Lex, a po chwili Terrible.

–Mamy iść z tobą?

Chess kiwnęła głową. Nie chciała się odzywać. Nie była pewna, czy to nie przerwie

**jej więzi z ptakami, i nie chciała się o tym przekonać.**

**Zostawili kilku mężczyzn na zewnątrz i minęli wąską, popękaną werandę, by otworzyć zmurszałe frontowe drzwi.**



## ROZDZIAŁ 30

Kurz wypełnił jej nozdrza w tym samym momencie, kiedy energia seksualna, o wiele silniejsza w środku niż na zewnątrz, uderzyła w jej ciało. Zadrżała, jęknęła... Z trudem doszła do siebie. Mężczyźni nerwowo rozglądali się wokół – przynajmniej Oliver i Terrible, Lex nie wydawał się w najmniejszym stopniu poruszony.

Stali w miejscu, w którym kiedyś znajdował się korytarz. Na jego końcu w żelaznym kinkiecie paliła się pojedyncza świeca, rzucając migoczące światło na brudną podłogę. Z poplamionych ścian zwisały strzępy tapet, a na podłodze zalegały sterty gipsowych odłamków.

W pomieszczeniu słyhać było muzykę, zbyt cichą, żeby Chess mogła rozpoznać melodię. Chyba skrzypce. Jakaś orkiestra. Nie wiedziała, skąd dochodzą dźwięki. I nie słyszała żadnych innych. Każdy nerw w jej ciele kłuł ją i drżał, czekając na Kempa, na Vanitę, na duchy. Na to, co czaiło się w tym domu.

Po lewej znajdował się ciemny, pusty pokój. Deski w podłodze były połamane. Zakryte krzesło, połamane lustro, tak stare i brudne, że przypominało wpatrujące się w nich puste szare oko.

Bez słowa ruszyli na koniec korytarza, w stronę samotnego płomienia. Za ich plecami chwiały się w zawiasach drzwi.

Chess cały czas utrzymywała więź z ptakami szybującymi nad budynkiem. Wypatrywały następnych pasażerów. Czuła ich obojętność. Było im wszystko jedno, kto żył, a kto umarł. Czekały tylko na to, żeby posprzątać, jak już będzie po wszystkim.

Po prawej dostrzegła kręte schody. Na ich poręczy odbijał się blask świec. Drewno wydawało się dość solidne. Stopnie nie skrzypiały.

I tak nie miało to znaczenia. Duchy wiedziały, że tu są. Miała pewność, że Kemp i Vanita znają każdy ich krok. To była pułapka, ale taka, której Chess nie mogła ominąć, chyba że chciała, by zginęło jeszcze więcej osób. Nie mogła do tego dopuścić. Żadne z nich nie mogło do tego dopuścić.

Oczywiście, łatwo być stanowczym, gdy się nie wie, co cię czeka. Chess dowiedziała się tego na szczycie schodów i ledwie powstrzymała się przed ucieczką.

Mężczyźni westchnęli, ale czy z powodu seksualnej energii, czy na widok, który ukazał się ich oczom, trudno było powiedzieć. Zresztą miała to gdzieś.

Z jakiegoś powodu myślała, że duchy będą stały. Ale nie. Zamiast tego do rogów

łóżek, na których leżały materace, były przymocowane żelazne ramy. A do ram przyłączone były poprzęplątane kablami kajdanki, założone na nadgarstki i kostki duchów. Prąd, który przepływał przez kable, utwardzał zjawy. Ich skóra miała srebrzystobiały blady odcień, gdy wily się na łóżkach. Jakby zostały wyrzeźbione z blasku księżyca.

Było ich chyba tuzin, nie potrafiła ich w tej chwili policzyć.

Chess żadnego nie rozpoznała. I dobrze, nie musiała ich łączyć z żywymi kobietami, którymi niegdyś były, lub pustymi ciałami, które widziała na zimnych ulicach. Nie chodziło nawet o zachłanność, widoczną na ich twarzach. Ani o to, jak lśniła im skóra, gdy wysysały siły życiowe z uwięzionych przez magię nagich mężczyzn.

To ich oczy. Wyjęte z ciała, zakrwawione, trochę skurczone i poczerwiałe, ale wciąż rozpoznawalne. Ktoś włożył je do oczodołów zjaw, jak jakiś chory żart, niepasujący do nienaturalnie perfekcyjnych twarzy.

Chess zaschło w gardle. Spojrzała na najbliższego ducha, na nieziemski widok, który miała przed sobą, i nie była w stanie nic zrobić. Przez długą, chorą chwilę mogła się jedynie przyglądać.

Duch był przerażający, ale i piękny. Chess poczuła, jak ogarnia ją pożądanie, chciała podejść do zjawy, dotknąć jej, by samej poczuć tę perfekcję. Ktoś za nią się poruszył, a potem stanął. Może nieczuły na nic Lex zdążył go zatrzymać.

A może ten ktoś zauważył mężczyznę, który znajdował się nad duchem. Jego ciało wydawało się rozpylać, jego oczy były puste i martwe w przepelnionej cierpieniem twarzy. A może zauważył kleistą plamę na materacu, gdy eksplodowały zużyte części ciała, które robiły się czerwone i w końcu zaczynały krwawić. Każde łóżko, każdy duch pokryty był krwią i nasieniem, łzami i śliną. Materace śmierdziały, a podłogę pokrywała gruba warstwa lśniących, kleistych ludzkich płynów.

Ale mężczyźni cały czas poruszali biodrami, a ich ręce nie przestawały wędrować po ciałach leżących pod nimi. Byli jak sparaliżowani. Uwięzieni. W zacieśniającej się pułapce, z której nie mogli się wydostać, niezależnie od tego, jak bardzo próbowali. Chess poczuła w gardle ostry i kwaśny smak żółci. Zmusiła się, by przełknąć i skupić się na tym, by skończyć ten koszmar, zamiast go chłonać. Jej dusza widziała już zbyt wiele.

Powinna najpierw wezwać psychopompy czy spróbować odciągnąć mężczyzn? Problem polegał na tym, że nie wiedziała, czy uda jej się to zrobić. Nie była też pewna, czy ptaki nie zabiorą mężczyzn do Miasta, porzucając ich ciała jak ziarenka kukurydzy. Nie wiedziała nawet, czy zostanie z nich tyle, by przeżyli po tym, jak ich uwolni. Mężczyzna przed nią to sama skóra i kości. Jego pokurczone usta odsłaniały

**zęby, a przez cienkie włosy na czubku głowy prześwitywała skóra.**

**Ale i tak muszą go uwolnić. Gdyby udało im się uwolnić wszystkich mężczyzn, mogłaby po prostu wezwać ptaki. Żelazne kajdanki i prąd nie stanowiły problemu...**

**Uderzenie ścięło ją z nóg, upadła na brudny dywan. Zanim zorientowała się, co się stało, zerwała się z powrotem na nogi i instynktownie rzuciła do przodu. Skóra ją paliła i swędziała, a tatuaże rozgrzały się do granicy bólu. Miała ochotę krzyczeć, ale była zbyt przerażona.**

**Nie wiedziała, co działo się później, ale czarna magia, która strzegła tego miejsca, została właśnie uwolniona.**

**Przed sobą miała zabrudzoną grubą szybę, przez którą ledwo widziała cienie ptaków krążących po niebie. Wciąż miała nad nimi kontrolę. Czekają.**

**Przynajmniej na razie. Cholera, nie miała pojęcia, co robić. Najmniejszego, a coraz trudniej było jej oddychać. Coraz trudniej myśleć. Nogi jej się trzęsły, wzrok rozmazywał. Zakłęcie, zapora ciągnęła z niej moc.**

**Z nich wszystkich. Przez drzwi sypialni dostrzegła stojących na korytarzu mężczyzn. Opierali się o chwiejące barierki i o siebie nawzajem. Jeśli nie weźmie się w garść, wszyscy zginą...**

**–Oliver! – Gdzie on się podział? Czy to kurz unosił się w powietrzu, zalewając wszystko mrokiem?**

**Nie. Jej tatuaże zawyły z bólu, na plecach poczuła ciarki i wiedziała już, co się dzieje. Duchy. Coraz więcej duchów, diabli wiedzą ile, wezwanych zakłęciem Kempa albo po prostu dlatego, że wyczuły śmierć oraz strach i chciały przyłączyć się do zabawy.**

**Nie zastanawiając się nad tym, co robi, wybiła szybę w oknie.**

**Odłamki szkła wbiły się w jej ramię, rękę i ramiona. Krzyknęła, jakby całe jej ciało wyło z bólu.**

**Przez okno zaczęły wlatywać ptaki. Ponad bólem poczuła, jak żywią się jej krwią, jak więź jeszcze bardziej się zacieśnia. Czuła ich zachłanność i chłód. I ogarnęło ją przerażenie, gdy wyczuła, jak zakłęcie z nimi walczy.**

**Kemp i Vanita zamienili budynek w dom dusz, w strażnika. Psychopompy nie mogły wykonać swojego zadania, magia je blokowała. Były bezsilne. Latały wściekle wokół pokoju, trzepocząc skrzydłami, coraz bardziej rozzłoszczone. Buntowały się, za chwilę je straci. Już i tak czuła, jak się od niej odsuwają, próbując przerwać więź,**

mimo że czerpały przyjemność z jej ofiary.

I cały czas oddawały swoją energię. Budynek i tak wysysał już jej moc, a teraz doszły jeszcze ptaki. Coraz trudniej było je utrzymać, coraz trudniej cokolwiek widzieć, ruszyć się. Potrzebowała pomocy. Potrzebowała kogoś, kto mógł się podzielić... Oliver. On miał w sobie moc i wiedział, co robić. Prawda?

Nie miała pojęcia, co działo się na korytarzu. Czy mężczyźni wciąż tam byli? Poddali się magii. Opierzone skrzydła uderzały w jej twarz, w zakrwawione ręce i nogi, gdy przedzierała się przez stado z powrotem na korytarz. Jej nozdrza i zatoki wypełniał kurz.

Ktoś ją chwycił i odwrócił. Krzyknęła. Uderzyła pięścią w twardą kość. Oliver złapał się za nos, posyłając jej wściekłe spojrzenie. Widziała tylko białka jego oczu.

Nie było czasu na przeprosiny.

–Dom je ochrania! – krzyknęła. – To dom dusz, musimy złamać zaklęcie.

Pokiwał głową. Może i był szantażystą, ale też wiele mu zawdzięczała.

Gorącą, spoconą dłonią chwycił ją za rękę. Dotknął gołej skóry. Poczowała, jak jego moc przenika w głąb jej ciała i stapia się z jej energią. Wzrok jej się rozjaśnił. Mięśnie zareagowały.

Razem ruszyli do przodu. Musieli znaleźć serce domu, serce zaklęcia. Wiedziała, że mężczyźni idą za nią, czuła przy swoim boku Lexa, który trzymał w ręku nóż.

Przed nimi jakiś kształt wyłonił się z powietrza. Vanita. Błada skóra lśniła w ciemnościach, zbyt doskonała, by mogła być prawdziwa. Jej postać odziana w czarną suknię zniknęła w ciemnej mgle. Była wszędzie wokół, otaczała ich. Żadnej drogi ucieczki, żadnych szans, powinna się poddać...

Nagle w poszarpanej ręce poczuła przeszywający ból. Gwałtownie odwróciła się i zobaczyła przed sobą twarz Olivera. Uderzył ją? Dupek.

Ale miał rację. To nie pora, żeby się poddawać. Krew ciekła jej po palcach, gdy sięgnęła do torby, szukając ziół i ziemi. Wiedziała, że to nie wystarczy. Vanita też była połączona z domem. Nie będzie mogła odesłać jej do Miasta, dopóki nie przerwą zaklęcia.

Ale jeśli uda się ją powstrzymać, spowolnić, odebrać jej część mocy, mogło im się udać.

–*Arkrandia bellarum dishager!* – Chess rzuciła garść ziemi w zadowoloną, lśniącą

twarz zjawy. Dodała trochę imbiru oraz sproszkowanych kości wrony i sięgnęła do kieszeni po ekto plazmarker. Gotowe.

Vanita zachwiała się, ale nie zniknęła. To wystarczyło. Za nią Chess dostrzegła to, czego szukała. Drzwi, spoza których wylaniał się mrok. Nogi się pod nią ugięły. Wiedziała, że tam właśnie musiała pójść.

Poszukała wzrokiem Terrible'a – przypominał olbrzymi kształt ukryty w cieniu. Zauważył jej wyciągniętą dłoń i podszedł. Nie zwracała uwagi na ból, zignorowała to, że ledwo ją dotknął.

–Drzwi – powiedziała. – Wyłam je.

Kiwnął głową.

Rzuciła się do przodu. Jej płuca przeszył lodowaty chłód, nie mogła złapać tchu i pociemniało jej w oczach. Zachwiała się, oślepiąca, przebijając się przez ducha, pewna, że za chwilę runie na ziemię. I będzie zgubiona, na zawsze, zgubiona w wiecznym mroku...

Już i tak jestem zgubiona. Te słowa nie powinny działać motywująco, ale tak się właśnie stało. Ta dziwka nie mogła zrobić niczego, co jej jeszcze nie spotkało. Nie mogła już niżej upaść. Zamieniła tę myśl w mantrę, pozwalając, by wszystkie negatywne słowa i obrazy, o których za wszelką cenę starała się zapomnieć, ogarnęły jej umysł. Poczowała, że jej skóra znowu się rozgrzewa. Wzrok jej się rozjaśnił i dostrzegła, jak Terrible rzuca się na drzwi całym ciałem. I jeszcze raz, i jeszcze raz. Futryna się zachwiała, a ściany wokół zaczęły trzeszczeć. Jej skóra, wszystkie tatuaże zaczęły wibrować, gdy zaklęcie traciło swą moc.

Vanita też obserwowała, co się dzieje. Jej uwaga była odwrócona i Chess wykorzystwała tę szansę. Ciało Vanity pozostało przezroczyste, ale jej dłonie były twarde. Chess narysowała na ręce zjawy symbol, który wymyśliła. Udało jej się skończyć dokładnie w chwili, gdy Vanita ją zauważyła. Duch z jękiem odsunął się na bok.

Za późno.

Terrible wpadł przez drzwi. Z otwartej otchłani wylała się ciemność, gęsta, ciemnozielona, dusząca.

Nóż podskoczył jej w dłoni. Ciągnęła energię od Olivera, z powietrza, z płonącego w jej duszy gniewu. Weszła do środka.

Dom przeszył ryk. Poczowała, jak drży, wstrząsając całym jej ciałem. Nie zwracała na to uwagi. Zignorowała też walkę, która rozpoczęła się za jej plecami i wokół niej, gdy

Vanita próbowała ją powstrzymać. Zignorowała strach, że w każdej chwili może zjawić się Kemp i ją zabić. Oliver ruszył do przodu, trzymając ją za rękę, ale jego głos przypominał ciche mruknięcie na tle ogólnego zgiełku. Nie miała wiele czasu.

Całą podłogę, od ściany do ściany, pokrywały runy. Terrible dotknął już niektórych. Czują, jak wypalają dziury w podeszwach jej butów.

*–Baredia lachranta. Baredia lachranta emplorascum. Moją mocą rozkazuję ci.*

Rana na jej lewej dłoni wciąż krwawiła. Zaciśnęła zęby, pogłębiając ją tak, żeby krwi było więcej. Czerwone kropelki zaskwierczały i prysły, gdy dotknęły desek u jej stóp.

*–Baredia lachranta resticatum.*

Podłoga zaczęła drżeć. Chyba się udało. Ale nie dość szybko. Upadła na kolana na pokryte runami drewno, mokre od jej krwi. Wbiła w nie ostrze noża i zaczęła niszczyć runy i symbole.

*–Ashtaroth, septikosh, higam, spadirost.*

Vanita krzyknęła. Krew Chess cały czas lala się na podłogę, zalewając cięcia w deskach pozostawione przez nóż. Twarz Olivera była blada, a jego ręce się trzęsły. Był niemal pusty. Nie mogła oddychać i potrzebowała więcej mocy...

Wciąż miała ptaki. Były niespokojne, ale miała je i zamierzała wykorzystać. Pióra wypełniły jej umysł, jej ciało. Cała się od tego trzęsła, przez chwilę nie wiedziała, czy nadal jest człowiekiem, czy już nie, ale ich energia przepływała przez jej ciało. Nagle coś zauważyła. Coś się ruszało w kącie pokoju.

Kot. Zdechły kot, w którym roiło się od robaków. Ofiara zaklęcia. Gnijące ciało dawało mu energię, okrytą blaskiem, dopóki nie osłabiła magii na tyle, by go stłumić. Racjonalna Chess poczuła obrzydzenie, ale pozostała jej część po prostu widziała, co ma przed sobą i co trzeba zrobić.

Rzuciła się do przodu, uniosła nóż i wbiła go w martwe ciało, niemal krzycząc z wściekłości, mocy i strachu. Z przerażającym rykiem, który Chess poczuła w palcach u stóp, zaklęcie zostało przerwane.

Ptaki wrzeszczały, przecinając powietrze. Miały na oku nowy cel. W pokojach obok usłyszała krzyki mężczyzn, wściekłych, że zabrano im nagrodę, albo krzyczących z ulgą, że zostali uwolnieni, albo jedno i drugie. Chess miała jeszcze coś do zrobienia.

Chwyciła z torby własną psychopompę i ustawiła czaszkę na ziemi. Wzięła do ręki garść ziemi z grobu Vanity.

**–Wzywam strażników Miasta Umarłych. Wzywam eskortę. Wspomóżcie mnie, zabierzcie tę duszę z miejsca, w którym nie powinno jej być.**

**W powietrzu było tyle magii, że psychopompa utworzyła się w ułamku sekundy, rycząc i podskakując w górę. Chess odskoczyła i odwróciła się, widząc, że Vanita próbuje uciec. Rzuciła w nią ziemią.**

**–Vanito Taylor, rozkazuję ci wrócić do miejsca spoczynku. Rozkazuję ci mocą mojej krwi, rozkazuję ci, mocą mojej magii. Wzywam eskortę Miasta Umarłych, by cię tam zabrała i tak się stanie!**

**Vanita próbowała uciec, ale nie mogła. Ziemia uwięziła ją w miejscu. Trzymała ją, dopóki nie pojawił się wielki czarny pies i nie chwycił zębami jej sukienki.**

**Przez mgłę i dym Chess widziała, jak Vanita się kurczy, jak zostaje wciągnięta w otchłań, która zamknęła się za nią. Czaszka z hukiem upadła na ziemię, uwalniając z sykiem magię.**

**Przez chwilę wszyscy stali w miejscu, spoglądając na siebie bez słowa.**

**Potem rzucili się do ucieczki.**

**Ruszyli po schodach, aż spod ich nóg leciały wióry. Oliver cały czas trzymał ją za rękę. Czuła, jak bardzo osłabł, tyle jej oddał. Zalała ją wdzięczność i zrobiło jej się przykro... Nagle runął za nimi sufit.**

**Właściwie niemal na nich. Przyspieszyli, widząc przed sobą drzwi. Wzywały ich wolność i powietrze, a nawet nikły blask księżyca, normalny świat. Bolały ją płuca, bolało ją całe ciało, ale ruszyła w stronę drzwi najszybciej, jak tylko mogła, ciągnąc za sobą Olivera. Ciągnąc ich wszystkich.**

**Wypadła przez drzwi, prosto na beton, akurat, by zobaczyć, jak runął budynek. Zawalił się w całości, jak przedmiot rzucony z bardzo wysoka. W jednej chwili tam był, a w drugiej stał się jedynie stertą gruzu, spod której słychać było słabnące żalosne krzyki ofiar duchów. Ptaki nosiły ich dusze do wciąż otwartej otchłani, a ponure, migoczące światło odbijało się od ich ciał.**

**Chess wzięła głęboki wdech. Jeszcze nigdy smród stęchłej wody i martwych rzeczy nie był tak słodki, tak świeży. Nie mogła się nim nasycić. Jeszcze jeden oddech i uwolni ptaki. Potem będą mogli odejść.**

**Ledwo dostrzegła wylaniającą się ze zgliszczy postać. W chwilę później zrozumiała kto to. Nagie ciało mężczyzny od stóp do głów pokrywały magiczne symbole i runy.**

**Nagle poczuła, że uderzyło w nią coś twardego i ciężkiego, zwalając ją z nóg. Ranną**

**ręką, wciąż naszpikowaną szkłem, uderzyła o chodnik. Próbowwała krzyczeć, ale w jej płucach nie było powietrza.**

**Usłyszała huk wystrzałów, krzyki. Kolejne strzały. Coś trafiło ją w nogę, zbyt twarde i głębokie, by poczuła ból. Poczowała jedynie wstrząs, zaczęło jej się kręcić w głowie. Wiedziała, że stało się coś strasznego, coś nieprzewidywalnego...**

**Terrible. Jego ciało nad nią. Więcej krzyków. Coś mokrego sączyło się przez jej sweter na skórę. Wiedziała, co to było i co się stało. I wreszcie zaczęła krzyczeć. Zepchnęła z siebie jego ciężkie ciało i próbowała się ruszyć, ale nie mogła przestać wrzeszczeć.**

**Miał zamknięte oczy. Nie ruszał się. Próbowwała podnieść jego rękę, zmusić go, by na nią spojrzał, żeby z nią porozmawiał. Bez skutku. Jej umysł nie mógł się z tym pogodzić, a jej oczy nie chciały tego widzieć. Usłyszała skrzydła, ciężkie skrzydła i spojrzała w górę. Wiedziała, że straciła kontrolę nad ptakami.**

**Zbliżał się jastrząb.**



## ROZDZIAŁ 31

Ptak szeroko rozłożył potężne skrzydła, powoli szybując w dół, by zabrać duszę, po którą przybył. Duszę Terrible'a. Umierał, umarł. Ta myśl uderzyła ją na tyle mocno i głęboko, że rana postrzałowa, którą miała w nodze, wydawała się niczym. Nie mogła do tego dopuścić. Nie mogła na to pozwolić.

Drżącymi rękoma sięgnęła po jego pistolet, wetknięty za pasek dżinsów i dotknęła wciąż ciepłej skóry.

–Chess, co ty robisz...?

–Chodź już, tulipanku.

Poczuła na ramionach delikatne dłonie. Próbowaly pomóc, wiedziała o tym. Ale się myliły. Nie wiedziały, co robić. Strząsnęła je, podniosła pistolet i odbezpieczyła. Pozwolił jej z niego strzelić tylko kilka razy, ale mogła to zrobić. O tak, mogła.

Oliver znowu coś krzyknął, ale prawie go nie słyszała. Nie słyszała nic poza biciem własnego serca, które waliło tak szybko, jakby wciągnęła całą torebkę speedu. Uniosła pistolet, wycelowała, tak jak jej pokazywał i nacisnęła spust.

Nie trafiła. Jastrząb odleciał w bok, ale wciąż się zbliżał. Za chwilę sięgnie po swoją nagrodę, nie było czasu do stracenia. Cholera, nie mogła...

Znowu wystrzeliła. Jastrząb niezdarnie runął w dół, jego głowa zniknęła, a bezużyteczne skrzydła nie mogły powstrzymać upadku. Uderzył o chodnik i leżał bez ruchu.

–Chess! Nie możesz tego zrobić, nie możesz...

Chess gwałtownie się odwróciła, wciąż trzymając w ręku nóż, patrząc prosto w oczy Olivera Fletchera. Spojrzała na niego tak, żeby zrozumiał, że naprawdę ma zamiar to zrobić. Odgłos odbezpieczanego pistoletu po raz drugi odbił się echem po ulicy.

–Nie mów mi, czego nie mogę robić.

–Nie wiesz co...

–Odpierdol się, Fletcher – wyjęczała. Ile miała czasu? Marnował jej tylko czas. – Odpieprz się.

–Chess, wiem, co czujesz. Cholera, wiesz o tym, ale nie możesz...

Przerzuciła pistolet do lewej ręki i sięgnęła po nóż.

**–Nie mogę go stracić. Właśnie tego nie mogę zrobić. Nie mogę... nie mogę...**

**Szarpnęła koszulę Terrible'a, rozerwała ją. Krew na jej palcach, krew na jego klatce piersiowej. Tyle krwi, spóźniła się, zaraz pojawi się kolejna psychopompa, musiała się spieszyć.**

**Ktoś chwycił ją za ramię, próbował ją odciągnąć. Wyrwała się i rzuciła do przodu, trzymając nóż nad jego sercem. To było takie proste.**

**–Chess, proszę – powiedział Oliver. – Proszę.**

**Nie zwracała na niego uwagi.**

**Dokładnie przestudiowała ten znak, śledziła go oczami. Znała go. Nóż zaczął się poruszać własnym rytmem, kreśląc trójkąt, dodając runy, skręcając na górze. Nie użyła modyfikacji Olivera. Nakreśliła jedynie znak kościelny, ten, którego używali wcześniej. Był bezpieczny na pewno był bezpieczny, a jeśli nie, trudno. Bo jeśli go straci, umrze.**

**–*Kesser arankia* – wyszeptała, ledwo rozpoznawalnym głosem. – Mocą mojej magii wiązę cię.**

**Nic się nie stało. Usłyszała skrzydła. Spóźniła się. Popełniła poważne przestępstwo, zabijając psychopompę i zrobiła to na darmo, ponieważ było za późno. Całe jej ciało poruszyło się w konwulsjach, z jej sztywnych palców wypadł nóż i nie mogła złapać tchu...**

**Pierś Terrible'a poruszyła się pod jej ręką.**

**\*\*\***

**Ostatnią osobą, którą spodziewała się zobaczyć przy swoim łóżku, był Oliver Fletcher. Przynajmniej do chwili, gdy zdała sobie sprawę, że obok niego siedzi Roger Pyle.**

**–Cześć – wychrypiała. Roger sięgnął po szklankę wody, która stała przy jej łóżku, i jej podał.**

**–Dziękuję – powiedział, nie dopuszczając jej do słowa. – Za to, że nie wsadziłaś mojej rodziny i przyjaciół do więzienia.**

**Co?**

**–On wie – wtrącił Oliver. – O naszym układzie.**

**–Trudno było nie zauważyć, że dzieje się coś dziwnego. Zwłaszcza że moja żona i**

**córka zostały postrzelone we własnym domu. Lekarz powiedział mi też, że... Cóż, że zostanę dziadkiem. – Roger pokręcił głową. Rzeczywiście nie wiedział, że Arden nie jest jego. – Wciąż nie mogę w to uwierzyć.**

**Chess nie miała pojęcia, co powiedzieć. Cieszył się, że jego rodzina i przyjaciele chcieli go oszukać i wystraszyć? Na jakiej planecie takie wieści można było zaliczyć do dobrych?**

**Musiał się domyślić, co jej przyszło do głowy, bo zaraz dodał:**

**–Wiem, że takiej dziewczynie jak ty trudno to zrozumieć. Ale... to moja rodzina. Nie chcieli mnie skrzywdzić, tylko nie mogli sprawić, żebym ich wysłuchał. Popełniłem błąd, zmuszając ich do przyjazdu tutaj. Oni też popełnili błędy. Ludzie robią głupoty, co nie znaczy, że się nie kochają.**

**Tak. Wiedziała o tym. Skupiła wzrok na szklance, którą trzymała w ręku, marząc o tym, by sobie poszli. Żeby mogła wziąć z torby kilka ceptów. Jediną dobrą rzeczą w szpitalu były darmowe prochy. Ale bardzo ostrożnie je tu rozdawali. Niezależnie od tego, jak bardzo udawała, że cierpi, za nic w świecie nie chcieli dać jej pigułek przed upływem kolejnych sześciu godzin. Pedanci.**

**Na szczęście miała własny zapas, dzięki uprzejmości Lexa. To było dziwne spotkanie, żeby nie powiedzieć więcej. Ale przyszedł, dał jej pigułki, pocałował ją. Co będzie dalej, po prostu zobaczą.**

**Ręka i noga już jej tak bardzo nie bolały. Jedynym powodem, dla którego ją jeszcze trzymali, była jej praca. Szpital nie chciał ryzykować, wypuszczając kogoś związanego z Kościołem, zanim ten całkowicie nie doszedł do siebie.**

**–Cieszę się – powiedziała w końcu, bo Roger najwyraźniej czekał na odpowiedź. – Mam nadzieję, że wszystko się dobrze ułoży.**

**–Ja też.**

**Dobra, to wszystko było trochę dziwne. Wiedział, dlaczego zgodziła się im odpuścić? Cholera, nawet nie wymyślili przyzwoitej wymówki, chyba że... chwileczkę. Spojrzała na Olivera.**

**–Zwalamy wszystko na Kempa, tak? Przyszedłeś, żeby mi powiedzieć, co nakłamałeś na przesłuchaniu?**

**Pokiwał głową.**

**–Właściwie tak. Powiemy, że Kemp wezwał duchy z zemsty, ze względu na moje zaangażowanie. Już rozmawiałem z Thaddem Griffinem. Byłaś w tym domu ze**

względu na mnie. Błagałem cię, żebyś ze mną poszła.

–A Starszy Griffin... uwierzył w to? To znaczy, ja...

–Nie sędzę, żebyś miała z nim jakiegokolwiek problemy. – Wpatrywał się w nią przez chwilę. Nie. Chyba nie miał tego na myśli... Starszy Griffin to nie człowiek, który przymknąłby oko na coś takiego z powodu seksu. Wiedziała o tym. Ale przysługa dla starego przyjaciela? To było możliwe.

–Dzięki.

–Przynajmniej tyle mogłem zrobić. Aha i... – Zerknął na Rogera. – Jeśli chodzi o twojego przyjaciela... Opłaciliśmy już jego rachunki. Zajmiemy się tym.

Zagryzła wargę. Jej przyjaciel... Udało mu się. Obudził się. Nie chciał się z nią widzieć. Próbowwała już dwa razy, ale za pierwszym razem drzwi były zamknięte, a pielęgniarka powiedziała, że śpi, a za drugim razem któryś z jego kumpli ją przegonił.

Nie chciał się z nią widzieć. Uratował jej życie, a ona uratowała jego, ale nie chciał z nią rozmawiać.

To musiało coś znaczyć, prawda? Że ją uratował? Że w ostatniej chwili zauważył Horatia Kempa z pistoletem i pomyślał o tym, by ją ochronić? Czy to coś znaczyło?

Spojrzenie Olivera mówiło jej, że wiedział, o czym myśli. Na szczęście się nie odezwał.

–W każdym razie – zaczął Roger – chciałem wpaść i ci podziękować. Zawsze możesz nas odwiedzić, jeśli będziesz miała ochotę.

–Zostajecie tu? Myślałam...

–Nie, me. Zatrzymamy dom, ale wracamy do Los Angeles. Będziemy tu przyjeżdżać na wakacje. Więc jeśli będziesz kiedyś w okolicy, wpadnij się przywitać. Bardzo bym tego chciał. Wszyscy byśmy tego chcieli.

To robiło się coraz dziwniejsze.

–Dobra, dzięki.

Pokręcił głową.

–Dzięki tobie odzyskałem rodzinę. Znowu ze sobą rozmawiamy. Mogłaś nas wszystkich wydać, zniszczyć nam życie, karierę. Do diabła, mogłaś to sprzedać jakimś brukowcom. Ale tego nie zrobiłaś. Doceniam to.

Otworzyła usta, żeby mu powiedzieć, że tak naprawdę nie miała wyboru, ale się zamknęła. Dobrze, że wyszło z tego coś dobrego, że przynajmniej czyjeś życie się poprawiło. Jej praca zazwyczaj nie miała szczęśliwego zakończenia. A jej życie... Cóż, to chyba oczywiste.

Jeszcze chwilę pogadali, a potem mężczyźni wstali, żeby wyjść.

–Jeszcze jedno. – Oliver podał jej coś. – Pomyślałem, że chciałabyś to mieć.

Była to płaska, kwadratowa paczka, tak gruba jak magazyn. Zdjęcia, pomyślała, drugi zestaw albo tamtej nocy w domu Pyle'ów nie zabrała jednak wszystkich. Pokiwała głową.

–Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebowała, zadzwoń do mnie. Proszę, to moja wizytówka.

–Dobra, jasne. Naprawdę dziękuję.

Podali sobie ręce. Oliver nachylił się i pocałował ją w czoło, a potem wyszli.

Otworzyła paczkę. Tak, zdjęcia. Wszystkie. I negatywy, To miło z jego strony. Oczywiście teraz miał na nią większe haki.

Na spodzie były dwie kopie tego samego zdjęcia, powiększenie. Ona i Terrible tamtej nocy, gdy pojechali do Bumpa, zanim zapukali do jego drzwi. Żartowali sobie.

Ich ciała były tak blisko, że niemal się stykały, trudno było powiedzieć, gdzie kończyła się ona, a gdzie zaczynał on. Wiatr rozwiał jej włosy i grzywkę, przez co jej oczy wydawały się większe, całkowicie skupione na nim.

A on uśmiechał się do niej tym uśmiechem, który całkowicie zmieniał wyraz jego twarzy.

W oczach Chess zebrały się łzy, otarła je. Oliver zrobił dwie kopie. Może wstanie i wybierze się na mały spacer.

Wyślizgnęła się z łóżka i wzięła pigułki. Może to nie było zbyt mądre, pewnie nie, ale w tym momencie miała to gdzieś.

Co to za różnica? I tak już zrobiła z siebie idiotkę, płacząc, wrzeszcząc i oznajmiając grupie facetów – w tym temu, z którym się pieprzyła – że jej życie się skończy, jeśli Terrible umrze.

Pokój Terrible'a nie był daleko, zaledwie parę drzwi dalej. Jego wielkie ciało nie mieściło się na łóżku i musieli dostawić jedno z tych małych łóżek z oddziału

położniczego, żeby nogi mu nie wystawały.

Wyglądał nieźle, oceniła krytycznym okiem. Niezbyt blado. Nie była pewna, czy to dobrze, czy źle.

Począpała w skarpetkach do niego, wsłuchując się w jego oddech. Wsłuchując się w rytmiczne pikanie stojącego w rogu monitora. To, co zrobiła... było tego warte. Jak najbardziej, mimo konsekwencji. Zabiła ptaka. Jeśli to się wyda, pójdzie na wiele lat do więzienia, a może nawet zostanie stracona. Ale nic jej to nie obchodziło. Nic a nic, ponieważ on żył.

Wyciągnęła rękę i odgarnęła mu włosy z oczu, marząc o tym, by się obudził. A może lepiej nie.

Poruszył się, wymruczał coś, czego nie zrozumiała, ale dalej spał. I dobrze.

Nie chciał jej widzieć, nie chciał z nią rozmawiać. To bolało o wiele bardziej niż dziura, którą miała w nodze. To i przeświadczenie, że pewnie po raz ostatni go dotyka, po raz ostatni jest tak blisko niego.

Ale gdyby nie on, byłaby martwa. Niezależnie od tego, jak bardzo był wściekły, jak bardzo go skrzywdziła, użył własnego ciała jak tarczy. Poświęcił się dla niej.

A ona mu się odplaciła. To musiało coś znaczyć, prawda? Mimo wszystko, może ich historia jeszcze się nie skończyła?

Ale na razie to musiało wystarczyć. Nie wiedziała tylko, co zrobić z Lexem. Nie wiedziała też, jakie mogą być konsekwencje znaku, który nakreśliła na piersi Terrible'a. Do diabła, nie wiedziała mnóstwa rzeczy. Nigdy ich nie wiedziała.

W tej chwili wiedziała tylko, że Terrible umarł, by ją uratować. Głęboko w środku wciąż mu na niej zależało, przynajmniej tak bardzo, jak bardzo jej pragnął. A ona pragnęła jego bardziej niż kogokolwiek innego i już się nie bała.

Jak na początek to całkiem nieźle.

Postawiła zdjęcie na szafce obok jego łóżka, żeby mógł je zobaczyć po przebudzeniu, i począpała na korytarz z powrotem do swojego pokoju. Teraz jego ruch.

Miała tylko nadzieję, że go wykona.

Czekało na nią łóżko. Wspięła się na nie, nie zwracając uwagi na ból w gojącej się nodze. Za godzinę lub dwie zjawią się pielęgniarki, żeby dać jej kolejne pigułki. Miała zapas od Lexa, telewizor na ścianie i stos książek od Starszego Griffina. Żyła. Nikt

**nie odbierze jej pracy. Nikt jej nie śledzi.**

**Może to nie było szczęśliwe zakończenie, ale i tak wyszło o wiele lepiej niż się spodziewała.**

**Każdy idiota może mieć szczęśliwe zakończenie prawda?**

**Przeżyła, żeby zmierzyć się z kolejnym dniem, jak mówią. I to by było tyle. Na razie.**

**This file was created with BookDesigner program**

**bookdesigner@the-ebook.org**

**2011-03-02**

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*